

STANIE SIĘ COS ZŁEGO



Zagrożenie,
wymysły
czy intryga?

JAKUB BĄCZYKOWSKI

M

JAKUB BĄCZYKOWSKI

STANIE
SIĘ COŚ
ZŁEGO



Redakcja: Anna Landowska
Korekta: Magdalena Matuszewska, Martyna Olewska

Projekt okładki i stron tytułowych, ilustracje na I stronie okładki: Paweł Panczakiewicz

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-82-0

Copyright © Jakub Bączykowski 2023
Wydanie I
Warszawa MMXXIII

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

PODZIĘKOWANIA

Zazwyczaj parę dni przed Wigilią bez przerwy słucham *All I Want for Christmas Is You*. Serio, bardzo to lubię. Zazwyczaj przed Bożym Narodzeniem w moim domu unosi się zapach cynamonu, jabłek i pierników. Zazwyczaj chodzę wtedy późno spać, bo z kieliszkiem grzańca w dłoni szukam inspiracji na prezent dla Sebastiana. Zazwyczaj rano wyrzucam skórki mandarynek z kubka po herbacie.

Zazwyczaj, ale nie tamtego roku...

Opadające powoli wątle płatki śniegu nie utrzymywały się nawet przez kilka sekund na ziemi. Niektóre roztopiały się już w powietrzu. Rozglądając się wokół, wciągnąłem nosem mroźne powietrze i poruszyłem w bucie zdrętwiałymi z zimna palcami. Popaprana część mnie za wszelką cenę chciała zabrać ten widok na pamiątkę. Mój umysł robił zdjęcia o najwyższej rozdzielczości. Przybliżał szczegóły i eksponował kolory. Szara trawa i wsiąkająca w nią krew. Bordowy prezentował się majestatycznie.

Wyjątkowo niska policjantka, z blond kitką i notesem w dłoni, cały czas coś zapisywała, poprawiając na twarzy poszarzałą maseczkę.

– Czy na miejscu zdarzenia znalazł się pan dobrowolnie...? Czy ofiara знаła adres pana pobytu...? Czy w chwili zdarzenia znajdował się pan pod wpływem substancji psychoaktywnych...?

Pędzelki, łyżeczki, łopatki, szczypczyki, rękawiczki. Miałem dokładne ujęcia wszystkich narzędzi. Tylko filtrów nie nakładałem. Fotografowałem na surowo, żeby do końca życia wyraźnie pamiętać dzień, w którym uniknąłem śmierci.

Nigdy wcześniej nie widziałem martwego ciała. Tym bardziej d w ó c h martwych ciał. Czuję się tak, jakby mój żołądek wypełniała lava, jakby ktoś wrzucił mi za koszulkę garść igieł i wmasował je w plecy, jakbym stanął boso na lodowisku.

Kiedy mieszkańcy podlaskiej wsi w spokoju jedli niedzielne śniadanie, w środku lasu niczym lampy na dyskotece pojawiały się i znikwały policyjne światła, omiatając czarne worki ze zwłokami. Niby był poranek, ale panował półmrok. Światem zawiadnęła zima.

Jeden, dwa, trzy... Policyjne żółte kwadraciki z numerami wypełniały podwórko jak pionki na szachownicy, na której leżały dwie zbite figury. W tej finałowej partii nie miało znaczenia, czy to król, królowa, skoczek, czy pionek. W ciemnym połyskującym worze każda, nawet najważniejsza figura wyglądała tak samo.

I taśma... Cały teren otoczony był białą taśmą z napisem „Policja”. Po to, żeby nikt tam nie mógł wejść. A może po to, żeby nikt stamtąd już nie mógł wyjść? Bardzo nie chciałem utknąć w tym piekle. Musiałem odzyskać swoje życie, jednocześnie akceptując to, co się wydarzyło. Tylko czy to w ogóle było możliwe?

Było mi niedobrze. Widok wydawał mi się zupełnie nierealny. Jakbym patrzył na siebie oczami kogoś innego. LĘK. W zasadzie chyba nie opuścił mnie ani na chwilę. Ostrożnie przykucnął gdzieś w rogu, żeby wrócić na pierwszy plan w sprzyjających mu okolicznościach. Liczyłem, że kiedy opadną emocje, będę mógł ułożyć sobie w głowie i sercu to, co się stało. Tyle tylko że emocje nie opadały. Bo niby czemu miałyby opaść?

Straciłem bliską osobę.

Myślenie magiczne całkowicie przejęło nade mną władzę.

Czy mogłem coś zrobić inaczej?

Czemu wcześniej nie zorientowałem się, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem?

Czy mogłem temu zapobiec?

Dlaczego w porę nie zauważyłem, że stanie się coś złego...?

ROZDZIAŁ 1

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

– Mamo, poczekaj chwilę. – Sięgając po szklany pojemnik z płatkami owsianymi, oparłem telefon o ekspres do kawy tak, żebyśmy mogli się widzieć podczas połączenia.

– No i słuchaj, ona miała taki pieprzyk. To znaczy myślała, że to pieprzyk. – Matka, popijając cappuccino, z charakterystycznym dla niej przy tego typu opowieściach napięciem w głosie nawijała o swojej sąsiadce. Z ekranu komórki biła aura chorej ekscytacji. – No i zdrapała to, i odrosło, i znowu zdrapała...

– No i? – Zalałem owsiankę wrzątkiem i sięgnąłem po banana. – Dzwonisz przed ósmą, żeby mi opowiadać tę historię?

– No bo Pawełku, ona nie żyje. To był rak skóry. – Matka patrzyła na mnie z teatralnym smutkiem, a ja nie bardzo wiedziałem, jakiej reakcji oczekiuję.

– To straszne – skłamałem, udając, że jestem przejęty. W ogóle mnie to nie interesowało. – Może niepotrzebnie tyle drapała.

„W zeszłym tygodniu koleś z warzywniaka miał udar, a dwa tygodnie temu moja nauczycielkę polskiego z liceum potrafił rowerzysta. Złamała nogę. Lewą. Ziemniaki wypadły jej z torby i poturłały się po ulicy...” – przypomniało mi się. Relacje matki dotyczące nieszczęść, które przydarzyły się w okolicy miejsca, gdzie się wychowałem, były bardzo szczegółowe.

– Straszna tragedia. – Matka zamysliła się, przeczesała ręką ufarbowane na ciemny blond, sięgające do ramion włosy i westchnęła. – Zrobisz, jak uważasz, ale ja na twoim miejscu poszłabym do lekarza zbadać wszystkie znamiona. Szczególnie tę kropeczkę na brzuchu, koło pępka.

– Pewnie. A mogę po śniadaniu czy trzeba na czczo? – Zacząłem kroić plastry banana do dwóch granatowych miseczek, uśmiechając się ironicznie.

– Możesz się śmiać. Ja idę do dermatologa w przyszłym tygodniu. – Matka przewróciła oczami. – Dwanaście – dodała.

– Wiem, że dwanaście. – Uśmiechnąłem się do niej, spoglądając w kamerkę. – Nie wiedziałem, że też to liczysz.

– Myślałam, że każdy liczy.

Czy każdy liczył, po ile kawałków banana wkrajał do owsianki? Powątpiewałem.

– A jak ci idzie pisanie, Pawełku? – zapytała ze szczerą matczyną troską, a ja poczułem ucisk w gardle na samą myśl o moich pisarskich postępkach.

Napiłem się wody prosto z butelki. Usłyszałem lekkie trzaśnięcie furtki. Zaraz potem do kuchni wbiegły dwa pełne energii psy: czarny trzyletni labrador Bado i trochę mniej czarna

sześćioletnia Rózia, w typie owczarka. Zwierzaki dopadły do błękitnych ceramicznych misek z wodą. Piły ją głośno niczym konie, rozchlapując po całym pomieszczeniu.

– Dobrze mi idzie, do przodu – skłamałem, zerkając na wchodzącego do kuchni Sebastiana ubranego w czarne legginsy do biegania, który właśnie zdejmował krótką żółtą puchówkę.

Razem z nim do środka wpadł obłok zimnego listopadowego powietrza, w którym chcąc nie chcąc się zanurzyłem. Sebastian zdjął czapkę i pocałował mnie w policzek.

– Dzień dobry. – Jego zmrożony szorstki zarost przejechał po mojej twarzy.

Przeszedł mnie dreszcz. Bynajmniej nie z podniecenia.

– O, cześć, teściowa! – Sebastian uśmiechnął się, zaglądając mi przez ramię w ekran. – Kiedy wpadasz?

Od wielu lat przy każdej rozmowie Sebastiana z moją matką z jego ust padało niby spontaniczne zaproszenie, rzucane radośnie i nigdy ze mną niekonsultowane. Na szczęście matka była jeszcze aktywna zawodowo, więc dotąd nie skorzystała z jego rzucanej ot tak propozycji.

– A wiesz, kochany, fajnie, że pytasz... – Na jej twarzy pojawił się niepokojący mnie radosny uśmiech. – Bo mój syn to mnie nie zaprasza.

– Mamo, nie zaczynaj. My cię chyba nie musimy zapraszać – syknąłem pod nosem, ale na tyle głośno, żeby usłyszała.

– Miło byłoby, gdybyś czasem mi powiedział, że chcesz mnie zobaczyć na żywo. – Nie dawała za wygraną.

– Dobra, to wy sobie pogadajcie, a ja dokończę śniadanie. – Oddaliłem się od telefonu, kiedy Sebastian nachylił się w stronę kamerki.

Sięgnąłem do wiklinowego koszyka z pomarańczami, wyciągnąłem kilka owoców i przekroiłem na pół. Uwielbiałem zapach cytrusów w trakcie wyciskania soku. Zdawałem sobie sprawę, że odgłos wyciskarki może reszcie przeszkadzać w rozmowie, ale skoro nie zwracali mi uwagi, to robiłem swoje. Raz-dwa i szklanki wypełnione witaminami.

– Dobra, to ustalone. Bardzo się cieszę. – Sebastian skierował podniesiony kciuk w stronę kamerki. – Nie mogę się doczekać, kiedy nam ugotujesz swoją ogórkową.

– Ja też! – Matka zapiszczała z radości, żeby po chwili zmienić ton na bardzo poważny. – Sebastian, a ty masz takie podkrążone oczy. I widzę kropelki potu na czole. Kiedy ostatnio badałeś sobie krew? Może ty masz anemię?

Tak, moja matka już dawno osiągnęła Mount Everest w okazywaniu troski poprzez wmawianie nam wszystkim chorób.

– Wróciłem z porannego biegania, to dlatego – odpowiedział spokojnie Sebastian. Jego podziwianą przeze mnie supermocą była cierpliwość. – A morfologię robiłem kilka tygodni temu. Zaraz wezmę prysznic i będę jak nowy. Wyślę ci selfie.

Usłyszałem chichot z drugiej strony kamerki.

– Dobra, chłopaki, muszę kończyć.

Myślałem, że te słowa nigdy nie padną.

– Miłego dnia. I dbajcie o siebie! Do zobaczenia wkrótce!

– Pa, mamol – krzyknąłem i popatrzyłem na Sebastiana, który po zakończeniu rozmowy odłożył mój telefon na stół. – Jakie wkrótce?

– Oj, daj spokój, przyjedzie na dwa dni zrobić zakupy świąteczne – powiedział Sebastian, wchodząc po schodach. – Będzie fajnie. Zaraz zejść na śniadanie! – krzyknął już z piętra.

Spojrzałem na stojącą w rogu kuchni pustą butelkę po cabernet sauvignon. Wyniosłem ją do zielonego worka w garażu. „Dzisiaj wypiję mniej” – postanowiłem naiwnie, słysząc dźwięk szkła uderzającego o szkło. Z góry jednak wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Zawsze było mi szkoda reszty wina w butelce i wlewałem ją sobie do kieliszka. Powiedzmy, że przyświecała mi idea *zero waste*.

– Paweł! – Dobięł mnie głos Sebastiana z łazienki. – A ty też słyszałeś, jak dzisiaj w nocy głośno szczekały psy? Zupełnie jakby ktoś chodził przed domem.

„Czemu on się jeszcze nie kąpie?” – dziwiłem się. Co rano wydawało mi się, że trzeba się spieszyć. Nawet jak nie trzeba.

– Nie słyszałem! Spałem z zatyczkami w uszach. Idź już się myć! – powiedziałem, podchodząc do schodów i wkładając całą energię w to, żeby mój głos brzmiał spokojnie. Chyba się udało, choć miałem wrażenie, że był zbyt niski. Ściśnięty. *Globus histericus*.

Kiedy Sebastian brał prysznic, położyłem się na plecach z ugiętymi nogami. Psy natychmiast do mnie podbiegły, pewne, że to zaproszenie do zabawy.

– Na miejsce! – warknąłem, odganiając je.

Prawą dłoń położyłem na klatce piersiowej, a lewą na brzuchu. Zacząłem oddychać tak, żeby podnosił się tylko brzuch. Powtarzałem czynność, dopóki nie usłyszałem, że woda pod prysznicem przestała lecieć. Zbyt szybko wstałem. Zakręciło mi się w głowie. Otworzyłem okno i łapczywie nabrałem świeżego powietrza. Jakby zaraz miało się skończyć.

„Jesienna szarość spowijała jeszcze całą okolicę, a zegar wskazywał parę minut po ósmej. Podwarszawskie osiedle domów jednorodzinnych niemal zniknęło pod warstwą gęstej listopadowej mgły”. Gdybym napisał powieść, której akcja zaczynałaby się tego dnia, to tak mogłyby brzmieć jej pierwsze zdania. Na zewnątrz było paskudnie.

Kiedy kilka lat temu przeprowadziliśmy się z placu Konstytucji w Warszawie do Konstancina-Jeziorny, byliśmy pierwszymi lokatorami nowo wybudowanego osiedla. Trzydziestoparolatkwowie, którzy doszli do wniosku, że poza sprawami zawodowymi nic ich nie trzyma w centrum. Z atutów wielkich miast i tak raczej korzystaliśmy poza Polską, głównie w Stanach Zjednoczonych. Przeprowadzka z pięćdziesięciometrowego mieszkania w kamienicy do ponaddwustumetrowego domu okazała się trafionym pomysłem, który nas jeszcze bardziej zbliżył do siebie.

Skończyliśmy urządzać dom tydzień przed trzydziestymi piątymi urodzinami Sebastiana, a że wypadają one w lipcu, nadarzyła się świetna okazja do zorganizowania grilla dla bliskich nam osób. Z grzeczności zaprosiliśmy też kilku sąsiadów, którzy właśnie kończyli się urządzać. Większość z nich była zapracowanymi rodzicami nastolatków, zatrudnionymi w korporacjach w Warszawie. W rozmowach z nimi najczęściej padał jakiś wariant zdania: „Ale ten kurier to się znowu pomylił i wasza paczka wylądowała u nas”. Po czym następował chichot.

Był wśród sąsiadów jeden wyjątek – mój rówieśnik Marcin. Obaj byliśmy młodszy od Sebastiana o trzy lata, co dawało nam możliwość wytykania mu każdego siwego włosa. Marcin mieszkał kilka domów od nas z żoną i dwoma niemowlętami. Od razu złapaliśmy wspólny język. Połączyła nas miłość. Miłość do wina. Poza tym obaj mieliśmy niekontrolowany zwyczaj wyłapywania wyrazów często powtarzanych przez innych rozmówców. Na wspomnianym grillowaniu zdiagnozowaliśmy sąsiadkę nadużywającą słowa „totalnie”. Wszystko dla niej było totalne, łącznie z niedopieczoną karkówką. Na koniec imprezy Renata, bo tak miała na imię, totalnie się nawaliła i została odwieziona do domu na taczce. Totalnie żenujące.

Poprawiłem firanę i włączyłem *Dzień dobry TVN*. Lecił jakiś reportaż o tym, jak zdradzają mężczyźni. Idealny temat do śniadania.

„...Zdrada u mężczyzny jest spowodowana wieloma motywacjami. Co ciekawe, własne zaspokojenie seksualne to tylko jedna z nich, niekoniecznie najważniejsza. Mężczyzna zdradza przede wszystkim po to, by potwierdzić swoją wartość jako samca i łowcy; by udowodnić swoją atrakcyjność...”*. Odruchowo ściszyłem telewizor i cisnąłem pilotem w róg szarej kanapy. Różia podniosła leniwie głowę, słysząc schodzącego po schodach Sebastiana.

– Jedziesz do centrum czy zostajesz dzisiaj w domu? – Kiedy usiadł przy stole, poczułem zapach jego skóry po kąpielu.

– Zabieram się z tobą, wyrzucisz mnie gdzieś na Marszałkowskiej. Popiszę z kawiarni. – Wziąłem łyk soku, postawiłem przed Sebastianem owsiankę i usiadłem naprzeciwko niego. – Smacznego.

– Jesteś cały czerwony na twarzy. – Seba spojrział na mnie z ciekawością. – Wszystko okej?

– Tak, spoko – odpowiedziałem z wymuszonym uśmiechem, mieszając płatki z dwunastoma kawałkami banana. „Poza tym, że ktoś w nocy laził przed naszym domem” – dokończyłem w myślach. Oplukałem miskę z resztek płatków i włożyłem ją do zmywarki.

– Idź się szykuj, a ja zrobię kawę na drogę.

Sebastian sięgnął po kubki termiczne. Był wyższy ode mnie o kilka centymetrów. Ja musiałem stawać na krześle, żeby coś ściągnąć z ostatniej półki. Jemu wystarczyło wspiąć się na palec.

„Idź się szykuj” – powtórzyłem w myślach, patrząc w lustro. O co mu chodziło? Czułem się jak najbardziej gotowy do wyjścia. Na kilka sekund zamknąłem oczy, a potem spróbowałem spojrzeć na siebie z perspektywy przypadkowej osoby: czarne spodnie od dresu, niewyprasowana flanelowa koszula w kratę i włosy sterczące na wszystkie strony. Wciąż wydawało mi się, że jestem odpowiednio ubrany do miasta. Fakt, ostatnio pracowałem wyłącznie w domu, więc moja percepcja mogła ulec skrzywieniu.

Wsadziłem głowę pod kran i szybko umyłem włosy. Wysuszyłem je, modelując fryzurę na kształt tych, jakie mają ludziki z klocków Lego, czyli długa grzywka zaczesana na jedną stronę. Ledwo wcisnąłem się w czarne lewisy i wszedłem do garderoby. Po mojej stronie panował, delikatnie rzecz ujmując, chaos. Poza rzeczami wiszącymi na wieszakach reszta ubrań jakoś się pomiętoliła. Pewnie sama.

– Już pora na ciebie. Nie chowaj się. – Sięgnąłem głęboko do wnętrza szafy po czerwoną bluzę z kapturem i napisem *All I Want for Christmas Is You*.

„Nie chciałem być listopadem... – pomyślałem potem, idąc pośród kałuż w stronę kawiarni znajdującej się po drugiej stronie ulicy. – Nikt na ciebie nie czeka, każdy chce, żebyś szybko sobie poszedł, a wszyscy uważają cię za główną przyczynę swojego złego samopoczucia”. Listopad miał jednak kilka cech, które były dla mnie pociągające. Był mroczny, tajemniczy, nostalgiczny, pełen melancholii. Potrafił zaskoczyć pięknymi promieniami słońca albo puszystym śniegiem. Choć fakt, głównie padało i wiało.

Mieszanka aromatów kawy, pomarańczy i świeżo wypiekanych croissantów rozgrzała moją zmarzniętą twarz zaraz po tym, jak przekroczyłem próg lokalu. Jak zwykle o tej porze dnia przy kilkuosobowych stolikach siedzieli głównie pojedynczy goście. Popijali swoje cappuccino na sojowym mleku i z nosami zanurzonymi w laptopach uzupełniali excelowe tabelki albo z kimś rozmawiali, szczerząc się do kamerki. Chętnie bym ich posadził razem, zrobiliby się luźniej. Pewnie nawet by nie zauważyli, że siedzą w innym miejscu.

Poszedłem do toalety i wytarłem papierowym ręcznikiem głowę zmoczoną deszczem. Kiedy wróciłem na salę, zobaczyłem, że dwóch mężczyzn w garniturach właśnie opuszcza mój ulubiony stół z pomarańczowymi fotelami.

– Tu będzie wolne? – Podeszedłem do nich i nie czekając na odpowiedź, położyłem swój czarny plecak na jednym z foteli.

– Tak, może pan siadać – odpowiedział niższy garniak, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Z lekką kpina zatrzymał się na napisie *All I Want for Christmas Is You*.

„Spadaj, gościu, do swojego biureczka w Mordorze!” – przekazałem mu spojrzeniem i z aktorską pogardą zająłem miejsce w rogu kawiarni. Wyjąłem z plecaka przedmioty, które mogły budzić biznesowe skojarzenia. Dwa notesy, kilka długopisów, koszulka z fakturą za wymianę filtrów do wody i pendrive z niedokończonymi tekstami. Rozłożyłem wszystko na stoliku tak, żeby sprawiało wrażenie, że toczy się tam ważne spotkanie. Przyniosłem z baru biały kubek wypełniony po brzegi americano oraz wysoką szklankę z owocową herbatą. Ustawiłem naczynia naprzeciwko siebie.

– Miłego dnia. – Stuknąłem kawą o herbatę, uśmiechając się tak, jakbym co najmniej opracował plan zatrzymania efektu cieplarnianego.

Otworzyłem wysłuchzonego laptopa i oficjalnie zacząłem dzień pracy. Jakiś rok wcześniej zrezygnowałem z ciepłej posadki w dużej niemieckiej firmie logistycznej. Byłem już zmęczony intensywnością codzienności. Targety, deadline'y i konwersje zaczynały plądrować mój układ nerwowy. Mieliśmy oszczędności, Sebastian dobrze zarabiał, więc przez jakiś czas mogłem sobie pozwolić na zamianę wysokiej pensji na nieregularne zlecenia.

Niedawno odezwałem się do Magdy, znajomej pracującej przy redagowaniu przewodników turystycznych. Zapytałem, czy nie miałyby pracy dla kogoś z małym doświadczeniem w pisaniu. Do wiadomości dołączyłem listę miejsc, które odwiedziłem: Japonia, różne stany USA, Chile, RPA, Australia. Pomyślałem, że zainteresuje ją choć jedno z nich. Ku mojemu zaskoczeniu wybrała Kalifornię. Owszem, kochałem ten kawałek Stanów, ale nie sądziłem, że ktoś może potrzebować aż całego przewodnika na ten temat.

„Sprawa jest prosta. Linia lotnicza wprowadza połączenie do Los Angeles, więc to projekt na ich zamówienie” – usłyszałem.

Teraz opisywałem więc, jak zwiedzić Kalifornię w dwadzieścia jeden dni. Kilka lat temu razem z Sebastianem objechaliśmy ten stan wzdłuż i wszerz. Magda dała mi dużo swobody przy zleceniu, a na braku presji ostatnio zależało mi najbardziej. Najbardziej.

W pewnym momencie utknąłem z pisaniem jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ od San Francisco, w Napa Valley. Spaleni kalifornijskim słońcem, słuchając *1989* Taylor Swift, przyjechaliśmy tam wtedy na weekend.

W języku Indian Wappo, którzy od stuleci zamieszkiwali tereny obecnej Napa Valley, słowo „napa” oznaczało krainę obfitości. Rzeczona obfitość i zielonożółty krajobraz winnic uwiiodły mnie już pierwszej nocy. Uwiiodły tak, że przez dwa kolejne dni nie mogłem się podnieść z łóżka. Z kolacji serwowanej w jutowym namiocie o zachodzie słońca zapamiętałem jedynie sałatkę z żółtych, czerwonych i zielonych pomidorów, polaną oliwą z oliwek i podaną w głębokim białym talerzu. Po niej chyba było coś ze szpinakiem. Ale to już wywnioskowałem bardziej po kolorze wymiocin. I był jeszcze kelner, niski Latynos, który cały czas dolewał nam wina. Głównie mnie. Sebastian mniej łapczywie delektował się tym dobrodziejstwem.

Niewiele zobaczyłem w Calistodze, niewiele więc miałem do opisanego. W zasadzie nic. Nie mogłem jednak zupełnie pominąć w przewodniku jednego z najważniejszych obszarów winiarskich na świecie. Teoretycznie mogłem pójść na skróty i poszukać jakichś informacji w internecie.

Na szczęście przypomniałem sobie o Marcinie. Kochał włoską kuchnię i kilka miesięcy temu kupił lokal w centrum, który przekształcił w restaurację. Włoską oczywiście. Plany miał ambitne, chciał serwować typowe włoskie jedzenie. Nawet próbował edukować gości z poprawnego wymawiania nazw potraw. W menu obok oryginalnej nazwy dopisana była prawidłowa wymowa, np. *gnocchi* wymawiamy „niokki”, a *tiramisù* wymawiamy tak, jak jest napisane, z akcentem na ostatnią sylabę. Niokki niokkami, ale w lokalu mojego sąsiada podawali najlepszą pizzę w Śródmieściu. Margherita z burratą i oliwą truflową rozplywała się w ustach.

Marcin z zamiłowania był sommelierem. Mógł godzinami patrzeć, jak tłusta kropla bordowego shiraza spływa po ścianie idealnie wypolerowanego kieliszka. Ja w tym czasie opróżniałem całą butelkę. Kochałem wino, ale w przeciwieństwie do jedzenia nie przywiązywałem większej wagi do jego walorów. Ważne, żeby nie było słodkie i miało czerwony kolor. Oferta dyskontów w zupełności spełniała moje niskie oczekiwania.

Zajrzałem do kalendarza w telefonie, upewniając się, że nie pomyliłem dnia ani godziny spotkania z Marcinem. Wszystko się zgadzało. Mieliśmy się zobaczyć wieczorem.

Tymczasem włożyłem do uszu słuchawki, dla stymulacji odpaliłem *California Dreamin'* i z zamiarem pisania nachyliłem się nad stolikiem. Niestety sam zamiar nie wystarczył. W sytuacjach, kiedy brakowało mi kreatywności, moja przyjaciółka Beata mówiła: „Paweł, obudź w sobie szalonego dzieciaka i pisz. Masz talent”. W rzeczywistości przez ostatnie tygodnie rzeczony dzieciak spał głębokim snem, a zamiast niego obudziła się we mnie stara baba, która wszędzie widziała zagrożenia i o dwudziestej pierwszej była śpiąca. Naturalnie,

trudno było od niej wymagać, żeby w interesujący sposób napisała o słonecznej Kalifornii. Lepiej poradziłaby sobie z Florydą – to tam wyjeżdżali Amerykanie po przejściu na emeryturę.

Zbyt mocno i nerwowo oparłem się o stół. Przechylił się w moją stronę. Pusta szklanka zatańczyła na blacie, podnosząc mi ciśnienie. Ufff, nie przewróciła się. Ale nawet przyspieszone bicie serca nie pomogło mi tamtego ranka obudzić w sobie literackiej kreatywności.

„Dobra, wykorzystam ten czas inaczej” – pomyślałem. Zamknąłem Worda i wszedłem na portal aukcyjny w poszukiwaniu inspiracji na prezenty świąteczne. Po kilkunastu minutach przeklikiwania różnych stron doszedłem chyba na koniec internetu. Bo jak inaczej nazwać miejsce, gdzie można kupić ledowe rzęsy, kupę w sprayu czy wysokiej jakości kobiece stopy?

Z zagłębia chińskiego absurdu wyrwał mnie dźwięk esemesa. Byłem przekonany, że to Sebastian odpisał na wiadomość z linkiem do zakupu gumowych warg usuwających zmarszczki. Jednak to nie on. To Magda, na której zlecenie pisałem przewodnik. Przewodnik, do którego dziś nie napisałem ani jednej strony.

Hej, linie lotnicze zamierzają wcześniej zacząć kampanię reklamową, więc chcę, żebyś jednak uwinął się z robotą do Bożego Narodzenia. Wiem, że termin ciasny, ale zaliczka już do Ciebie wyszła, więc musisz się spieszyć. Dasz radę? Xo, M.

„Xo? Ile ona ma lat?”. Nie pamiętam, czy najpierw ścisnęło mnie w żołądku, czy najpierw odpisałem:

Nie wkurwiał mnie, bo napiszę Twojej szefowej, że obciągnęła jej mężowi na targach w Berlinie. Wziąłem ten projekt, żeby mi nikt nie stał nad głową, więc jak będę gotowy, to go dostaniesz. Nie popędzaj mnie. Aha: i nie każdemu ładnie w żółtym – nie ma za co.

Wyślij. Anuluj. Kciuk przesunął się w prawo i w lewo tuż nad ekranem monitora. Serce biło coraz szybciej. Wiedziałem, że jeśli puszczyć wiadomość w tej wersji, to mogę się pożegnać z jakimkolwiek zleceniem z Warszawy, a może nawet z Polski. Magda plotkowała bardziej niż ja. Tak, było to możliwe.

Hej, dzięki za info! Wszystko będzie ogarnięte na czas. Jestem już na finiszu.

Hmmm...

Hej, dzięki za info! Wszystko będzie ogarnięte na czas. Jestem już na finiszu. Xo, P.

Poszło. Goście w kawiarni zaczęli mi się zlewać w jedną masę. Wielką, głośną i przepoconą masę, wytwarzającą swoimi telefonami, laptopami i oddechami ogromny ślad węglowy. Zamówiłem Ubera. Debashish podjechał w ciągu kilku minut. W tym czasie poczułem, jak na moim czole wypala się szkarłatny napis: „Miał szansę zacząć nowy etap zawodowy, a się FRAJER nie wyrobił”.

Niczego już nie osiągnę.

Frajer. xd

Późnym popołudniem stanąłem w urządzonej na biało-zielono łazience przy sypialni, wpatrując się tępo w swoje odbicie. Równie tępo, ale chyba bardziej intensywnie ono gapilo się na mnie. Nasza toksyczna relacja trwała, od kiedy sięgałem pamięcią. Mimo usilnych prób

unikania jego wzroku i tak nasze drogi ciągle się przecinały. Co rano moja lustrzana twarz wypominała mi, ile kieliszków wina wypilem poprzedniego wieczoru, i robiła szydercze miny za każdym razem, kiedy niezadowolony schodziłem z wagi. Obarczała mnie winą za wszystkie niepowodzenia, umniejszała moje osiągnięcia, narzucała mi, w co mam się ubierać, i nie zostawiała żadnej prywatności. Była wszędzie tam gdzie ja. Oceniała.

Przemylem twarz zimną wodą, uderzyłem się w policzek i zszedłem do salonu. „Wiem, że termin ciasny, ale zaliczka już do Ciebie wyszła, więc musisz się spać” – wybrzmiewało w mojej głowie niczym refren jakiegoś disco gówna puszczanego w radiu. Dopiero kiedy zmęczony w zasadzie niczym usiadłem na kanapie, zauważyłem, że na zewnątrz jest już ciemno. No, może nie całkiem ciemno, ale na pewno ponuro. Zapaliłem lampę stojącą w rogu pokoju. Niewiele to dało. Cóż, to chyba nie była kwestia światła. Napisałem do Sebastiana:

Jestem już w domu i nie wracam do centrum. O której będziesz?

Odpisał od razu:

Mam przysiarękę z Kacprem. Jeszcze jakieś dwie godziny. A co?

Szybko odpowiedziałem:

Nic. Pytam, żeby wiedzieć, na którą robić kolację.

Wcale nie takie nic. Chciałem, żeby Sebastian był już w domu. Kacper, Kacper... Przyjacieli i główne źródło dochodu mojego partnera, więc chwilowo i moje. Początek tej znajomości nie należał do łatwych. Kiedy Seba poznał mnie z modelem, dla którego jego agencja ogarniała większość zleceń, wypilem jednym haustem Long Island Ice Tea i naburmuszony wyszedłem z koktajlbaru przy Nowym Świecie. Foch. Zawsze uważałem zazdrość za zdrową cechę, charakteryzującą ludzi inteligentnych. Wtedy jednak trochę mnie poniosło. Przekonanie, że prawie dwumetrowy, idealnie zbudowany, dwudziestoparoletni blondyn i Sebastian są kochankami, było silniejsze niż świadomość, że po kwietniu przychodzi maj.

– Nawet gdybym miał ochotę, możliwości i nie byłbym z tobą, to i tak nic by z tego nie wyszło. Jego interesują kobiety – powtarzał w domu Sebastian.

Oczywiście mu nie wierzyłem.

Kilka dni po nieudanym pierwszym spotkaniu Kacper zaprosił mnie do znajomych na Facebooku. Z nerwowym podnieceniem przyjąłem zaproszenie. Lepsza okazja na inwigilowanie kochanka partnera mogła mi się nie przytrafić.

– „Ty i Kacper jesteście teraz znajomymi”. Wow! – wymamrotałem ironicznie pod nosem.

Wszedłem na jego profil podekscytowany niczym nastolatek trafiający po raz pierwszy na stronę z pornosami. Wyciskałem każdą informację. Na koniec zostawiłem sobie zakładkę „Albumy”, oczekując definitywnego potwierdzenia, że spotyka się z Sebastianem. Zamiast zdjęć z facetami trafiłem na masę fotografii z cytatami brunetkami. Na każdej z nich inna laska z ogromnymi ustami wisiła na Kacprze jak płaszcz na modelce.

Emocje opadły i po paru dniach ponownie się z nim spotkaliśmy. Tym razem we czworo: on, my i ubrana w neonowy kombinezon Sandra z Elbląga. Kacper został z nami do dzisiaj,

Sandra – nie.

Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Leżałem na kanapie i patrzyłem w ścianę, marnując resztę dnia. Światła samochodów mijających nasz dom odbijały się na suficie, rozjaśniając wnętrze salonu. Kilka aut i przerwa. Kilka aut i przerwa. Kilka aut i... salon nadal wypełniało halogenowe oświetlenie. Zupełnie jakby ktoś celowo stanął naprzeciw domu i świecił w okna.

Wstałem. Psy leżały znudzone na swoich posłaniach. Światło wciąż wlewało się do środka. Znowu poczułem przyspieszone bicie serca. Ruszyłem w stronę okna, zapalając po drodze jeszcze jedną lampę w salonie. Z zewnątrz dobiegł pisk opon. Zanim zdążyłem wyjrzeć na ulicę, zapadł mrok, tylko gdzieś tam majaczyły w ciemności podświetlone numery domów.

Chyba ktoś na kogoś czekał. Albo pomylił domy. Albo się masturbował... „Świat jest pełen wariatów” – powiedziałaaby mamusia. Wziąłem kilka uspokajających oddechów. Trochę za głębokich, bo zapiszczało mi w uszach.

„Nie można sprawnie myśleć, kochać i się wysypiać, jeśli nie jadło się dobrze” – napisała kiedyś Virginia Woolf. Powoływanie się na tę kobietę – która całe życie zmagала się z chorobą psychiczną, a w końcu się zabiła – tylko po to, żeby usprawiedliwić zrobienie czegoś kalorycznego na kolację, było takie sobie. Ale czułem, że jeśli nie zjem jakichś węglowodanów, to u Marcina szybko odleczę i znowu niczego się nie dowiem o kalifornijskich winach. Przygotowywanie kremu z dyni miało jeszcze jeden plus. Było czasochłonne. Mogłem nie myśleć o przewodniku. Mogłem nie myśleć o niczym poza gotowaniem.

* Arkadiusz Bilejczyk w rozmowie z Brunonem Nowakowskim, <https://facetpo40.pl/zdrada-i-romans/skazani-na-zdrade/>, dostęp 12.01.2023.

ROZDZIAŁ 2

– Bardzo dobra ta zupa. Wezmę jutro do pracy. – Sebastian, wkładając do ust łyżkę, zatrzymał wzrok na mojej twarzy. – Denerwujesz się czymś?

– Magda mnie dzisiaj przycisnęła z terminem. Może to dlatego. – Wzruszyłem od niechcenia ramionami.

Rzeczywiście krem wyszedł mi bardzo dobry. Może trochę za gęsty.

– Jak masz się znowu spinać, weź to olej. – Sebastianowi wydawało się to proste, bo nie powiedziałem mu o zaliczce, którą już wziąłem, żeby spłacić karty kredytowe. – A w ogóle to dużo jeszcze masz?

– No niestety sporo, ale może pójdzie mi szybciej, jak spotkam się z Marcinem. – Nie chciało mi się już kontynuować tego tematu przy kolacji. Zaczynałem się czuć frajersko. Najlepsze wyjście to zmiana wątku. Niekoniecznie subtelną. – A jak u Kacpra?

– Spoko, znowu kogoś poznał i chce nas sobie przedstawić. – Sebastian podniósł dwa razy brwi do góry i uśmiechnął się pod nosem. – Ta ponoć jest wyjątkowa.

– Jak każda, którą nam przedstawia – zaśmiałem się.

Kiedy włożyłem naczynia do zmywarki, ni z tego, ni z owego zachciało mi się spać. „Nadmierna senna jest objawem wielu groźnych chorób” – mawiała matka. Jednak nie byłem chory, tylko po prostu obżarty. Wracając z pracy, Sebastian kupił na Sadybie drożdżówki z porzeczkami i jeszcze się nimi dopchaliśmy po zupie. Były pyszne!

Z okien łazienki można było dostrzec w oddali gabinet Marcina. Wspiąłem się na palce i zauważyłem światło prześwitujące przez zaciągnięte zasłony. „Pewnie jeszcze pracuje” – pomyślałem. Wszedłem na jego konto na Facebooku. Aktywny pięć godzin temu. Hmm... Zszedłem na dół. Sebastian leżał przed telewizorem, Rózia obok niego, a Bado przy kanapie. Anita Werner zapraszała na *Fakty*, a w domu pachniało jesieniozimą: dynią, cynamonem i goździkami. I trochę wilgotnymi psami.

– Chodź do nas. – Sebastian uśmiechnął się i podniósł zapraszająco lewe ramię.

– Bardzo chcę, bardzo, bardzo, ale muszę wyskoczyć chociaż na godzinę. – Zrobiłem smutną minę. Nie chciało mi się wychodzić z domu.

– Wiem. Leć, nigdzie się nie ruszamy. Nie musimy pracować po nocy.

Mimo że stałem już tyłem, wciąż miałem w oczach ten jego zaczepny uśmieszek.

Idąc do sąsiada, nie zabierałem ze sobą wina. Nie miało to sensu, bo nawet gdy wydałem pewnego razu dwie stówki na najdroższego shiraza, jakiego znalazłem, Marcin tak to skomentował: „Kurde, nie wiem, czy to się przyda Agnieszce chociaż do gotowania”. Nie był przy tym oczywiście wyniosły ani złośliwy. Każdy ma jakiegoś bzika, każdy jakieś hobby ma.

Wziąłem paczkę orzeszków ziemnych z pieprzem. Przynajmniej nie szedłem z pustymi rękoma.

Kiedy tylko otworzyłem drzwi, listopadowy wieczór wymierzył mi efektownego plaskacza w lico. Wilgotne zimno przylepiło mi się do twarzy niczym lodowa maseczka.

Marcin mieszkał na końcu osiedla. Nie pamiętam, o czym myślałem, idąc do niego. Pewnie o niedokończonym przewodniku. Ostatnio często dopadały mnie wspomnienia z podróży z Sebastianem po Stanach. To na tych wyjazdach najwięcej się o sobie dowiadaliśmy. Zostawiając na Okęciu wszystkie codzienne wyzwania i wkurwy, mogliśmy się skupić na sobie.

Nałożyłem na głowę kaptur i nacisnąłem lodowaty guzik domofonu. Drugą dłoń schowałem do kieszeni, w której miałem orzeszki. Nikt nie otworzył. Zadzwoiłem jeszcze raz, tym razem przytrzymując dłużej przycisk. Nadal cisza.

– Marcin!!! – Zawsze wydawało mi się, że głośnie wołanie kogoś jest takie, no nie wiem... upokarzające? Zupełnie jak podbieganie. Tak, moim zdaniem podbieganie na sto procent było upokarzające.

Wydzieranie się nic nie dało. Nie zamierzałem znowu krzyczeć. Poza gabinetem Marcina, który znajdował się z boku domu, całą posesję spowijała ciemność. Taka z horroru: czarna, wilgotna i przepełniona niepokojącymi dźwiękami typu szelest przelatujących za plecami liści. Przeszło mi przez myśl, żeby przeskoczyć przez płot i rzucić czymś w okno pokoju, z którego wydobywało się światło. Opuściłem, bo zaraz potem w mojej głowie pojawiła się wizja poślizgnięcia się i wylądowania w krzakach.

„Kurwa, przecież sam niczego nie wymyślę do tego przewodnika!” – zakląłem w duchu, zniecierpliwiony. To i tak był eufemizm w stosunku do tego, jak się zaczynałem czuć. Na bazie informacji, które miał mi przekazać Marcin, zamierzałem pisać przez kolejne kilka dni. Inaczej czekałoby mnie zrobienie sporego researchu.

Telefonu Marcin również nie odebrał, a Facebook pokazywał, że ostatnio był online sześć godzin temu. Kiedy ponownie do niego zadzwoniłem, miałem wrażenie, jakbym wyłapywał brzęczący dźwięk w budynku. Odsunąłem komórkę od ucha i nadstawiłem je w kierunku domu. Nie usłyszałem jednak dzwonienia.

Niczym typowy stalker chodziłem wzdłuż ogrodzenia, nawet ze dwa razy podskoczyłem, żeby zobaczyć... Sam nie wiedziałem co. A może tylko podskakiwałem z zimna? Tak czy inaczej im dłużej wpatrywałem się w okna domu Marcina, tym bardziej wydawało mi się, że jest w nich coraz ciemniej. Co było raczej niemożliwe.

Kiedy miałem już wracać, usłyszałem za plecami podejrzany dźwięk. Na sto procent nie były to liście. I nie mógł to być przejeżdżający samochód. W odmetach mojego umysłu błyskawicznie narodził się scenariusz, w którym postać w czarnej kominiarce wbija mi nóż w plecy i... No właśnie, kradnie paczkę orzeszków i ucieka? Przecież i tak przy większości domów były kamery. Zdecydowanie jednak za moimi plecami coś się działo. Kropla potu spłynęła mi po czole. „Dobra, liczę do trzech i się obracam. Ale lepiej od przodu czy od tyłu? – Biłem się z myślami. – Od tyłu. Trzy, dwa, jeden... To teraz przez lewe czy przez prawe ramię? Przez lewe”.

– Ja pierdole! Co ty tu robisz? – Jeszcze nie do końca obrócony zobaczyłem, że o moją prawą nogę ociera się Mewa, kot Marcina. – A weź spadaj. Wystraszyłaś mnie. – Odsunąłem

ją.

Zamiaucała i wskoczyła na ogrodzenie.

Listopadowy wiatr uderzał chaotycznie i mocno w moją twarz, a serce nadal pracowało szybciej, niż powinno. Nic tu po mnie. Spojrzałem na dom Marcina najpogardliwiej, jak umiałem, i ruszyłem do siebie. W zasadzie to podbiegłem.

Zatrzasnąłem drzwi i wziąłem głęboki, łączący wdech. Z ulgą wróciłem do bezpiecznej codzienności, której DNA stanowił Sebastian, nasz związek, nasze psy i dom.

– Zapomniałeś czegoś? – Seba znajdował się dokładnie w tej samej pozycji jak wtedy, gdy wychodziłem. Psy również.

Wyjmując z kieszeni paczkę orzeszków, zauważyłem, że najwyraźniej ścisnąłem je tak mocno, że został z nich proszek.

– Nie, jakaś dziwna akcja w ogóle. – Ciężko mi się mówiło po tej krótkiej przebieżce. – Wyobraź sobie, że nie otworzył. A w gabinecie paliło się światło.

– A czemu tak sapiesz? – Sebastian wyprostował się na kanapie.

– No bo biegłem. Nieważne. – Rozczarował mnie jego brak zainteresowania spotkaniem, które nie doszło do skutku. – Wezmę szybki prysznic i schodzę do was.

– Czekamy. – Sebastian wstał z kanapy. – Nalać ci wina?

– Poproszę. – Nie rozumiałem, po co w ogóle pyta. Przecież to oczywiste.

„To takie zupełnie nie w stylu Marcina – powtórzyłem kilka razy w myślach, idąc na górę.

– Jak ja teraz sklecę ten tekst? Dobra, wypiję wino i pewnie coś wykombinuję”.

Obudził mnie ból głowy. W chuj intensywny. Na zewnątrz było już jasno. Usiadłem na łóżku i zachłannie wypilem pół butelki wody. Na samą myśl o winie zrobiło mi się niedobrze, choć wiedziałem, że wieczorem i tak napęnię kieliszek.

– Znowu za dużo pijesz – skarcił mnie Sebastian, wychodząc z łazienki. Zazwyczaj wyglądał rano jak młody George Clooney. Ja, zanim przepędziłem nabyty zespół dnia poprzedniego, nie przypominałem nikogo, kto dostałby rolę w komedii romantycznej. – Gadaliśmy już o tym wiele razy... – dodał wyraźnie rozczarowany.

– Daj spokój, wypilem tyle co zawsze. Tylko nie pamiętam, jak znalazłem się w łóżku. – Wyciągnąłem spod poduszki chusteczkę higieniczną i głośno smarknąłem.

– Nie, Paweł. Wypiłeś sam prawie dwie butelki wina. Gadałeś, jak cię wkurwił Marcin, że ci zniszczył karierę pisarską. W końcu zasnąłeś koło północy na kanapie, rozlewając na poduszkę resztę z kieliszka. – Sebastian szorstko wyrzucał z siebie oskarżenia.

– Przecież jestem w sypialni. – Wziąłem kolejny łyk wody, powoli wracając do pionu. Szybko jednak znowu usiadłem.

– Tak, bo się doczłapałeś z moją pomocą – syknął Seba i ruszył w stronę wyjścia. – To jest na maksa niefajne i nie chcę, żeby takie akcje się powtarzały – dodał w drzwiach.

Nie miałem powodu myśleć, że było inaczej. Znowu nie pamiętałem, co się działo wieczorem. Niewinny rytuał picia wina znacząco wpływał na moją pamięć. Niepamięć.

W drodze do centrum Sebastian nie odezwał się do mnie ani słowem. Nawet było mi to na rękę. Przysnąłem. Śniło mi się, że zasuwam najszybszą motorówką na wybrzeżu Pacyfiku. Z tego dziwnego stanu wyrwało mnie gwałtowne hamowanie. Żołądek podszedł mi do gardła.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA. Wielki napis wykuty w zielonym kamieniu godnie prezentował się przed moimi oczami. Sebastian włączył awaryjne.

– Nie wiem, o której dzisiaj skończę, więc bądźmy w kontakcie – powiedział, nie patrząc na mnie. – No, wysiadaj.

„Jezu, czemu on mi każe wysiadać przy bibliotece?”. Wzięłem głęboki oddech.

– Sebastian... – Chwyciłem jego dłoń.

– Co? – Spojrzał w moją stronę, zabierając rękę.

– A czemu ty mnie tu przywiozłeś?

– Ja pierdołę, Paweł. – Jego wzrok przepełniała złość, taka cztery na dziesięć, więc jeszcze nie największa. – Przed snem powiedziałeś, że skoro Marcin ci nie pomógł, to poszukasz inspiracji w bibliotece. Rozumiem, że nie pamiętasz?

Zrobiło mi się wstyd. Tak serio wstyd.

– Przepraszam, naprawdę musiałem się upić. – Sięgnąłem po plecak leżący na tylnym siedzeniu.

Kiedy w posępnym milczeniu opuszczałem samochód, Sebastian w ostatniej chwili zwrócił się do mnie:

– Paweł...

Liczyłem, że powie, że nic się nie stało albo żebym uważał na siebie.

– ...fatalnie wyglądasz i śmierdzisz alkoholem. Napij się jakiejś mocnej kawy, zanim pójdziesz do ludzi.

Dowalił mi, ale z troską.

Byłem tak zakręcony, gdy wychodziłem z domu, że dopiero oddając siwiutkiej szatniarce kurtkę, zauważyłem, że mam na sobie bluzę założoną na lewą stronę. Przebrałem się w toalecie, lknąłem w kafejce espresso, podwójne albo potrójne, i ruszyłem do głównej auli.

Udało mi się zająć miejsce niedaleko regałów z książkami o podróżach. Odzwyczailem się od korzystania z bibliotek, ale już po kilku minutach przypomniało mi się, czemu kiedyś tak dużo czasu w nich spędzałem. Zapach kurzu oraz unosząca się w powietrzu ciekawość. Ciekawość wiedzy. Ciekawość świata. Ciekawość emocji i doznań. Minęło wiele lat od czasu, gdy byłem stałym bywalcem tych skarbnic wiedzy, ale od razu zauważyłem, że poza bardziej nowoczesnym wystrojem nic się w nich nie zmieniło. Chociaż może nie do końca. Zmrużyłem oczy i powoli rozejrzałem się wokół.

Bezdomni. Tak, wszędzie było pełno bezdomnych. Całe grupki siedzące przy stołach. Porwane swetry, dziurawe spodnie, buty pozaklejane taśmami. I warstwy. Warstwa na warstwie. Wszystko bezkształtne i ponaciągane na siebie. Zapewne rzeczy z darów. „Biedni ludzie, pewnie poubierali się na cebulkę, bo przecież w listopadzie zimno. Ale jak zajebicie, że jednocześnie się ogrzewają i czytają” – pomyślałem.

Mój wzrok zatrzymał się na biurku, przy którym siedziały dwie młode bezdomne. Jedna z nich miała na sobie trzy kolorowe spódnice, legginsy, dwie różne getry, bluzę z kapturem,

a na niej jeszcze stanowczo za dużą marynarkę. Jej znajoma dla odmiany ubrana była w żółtą bluzę z kapturem, męskie spodnie w kant i do tego kozaki. Strój tej biedaczki uzupełniała za duża wełniana czapka w kratę, prawie zasłaniająca jej oczy.

Kiedy już miałem zacząć swoją robotę, jedna z nich sięgnęła do ogromnego plecaka i ku mojemu niedowierzaniu wyjęła z niego macbooka. Po chwili ta w czapce postawiła na stole ekskluzywną skórzaną torbę i również wydobyla z niej macbooka, tyle tylko że czerwonego. *Mindfuck*, czyli dysonans poznawczy. Jeszcze raz rozejrzałem się po sali. Dopiero teraz zauważyłem, że większość bezdomnych ma komputery, tablety i telefony komórkowe. Albo dostawali jakieś „dwadzieścia tysięcy plus” miesięcznie od rządu, albo jednak nie byli bezdomni. Westchnąłem głęboko, zaśmiałem się pod nosem i zrobiłem zdjęcie dziewczynom, na które się gapiłem.

Wiedziałeś, że tak się teraz młodzi ludzie ubierają?☺

Wysłałem esemesa do Sebastiana, wyciszyłem telefon, położyłem ekranem do dołu i poszedłem do półki z książkami. *Kurs wiedzy o winie*, Kevin Zraly. „Na początek może być” – pomyślałem, chwytając dość gruby tytuł z widniejącym na okładce kieliszkiem pieniącego się czerwonego wina na czarnym tle. Nadal na samą myśl o alkoholu robiło mi się niedobrze, ale rozczulanie się nad sobą nie wchodziło w grę. Musiałem uzupełnić brakujący fragment przewodnika, żeby pisać dalej. Zanim zacząłem pracę, wysłałem jeszcze do Marcina wiadomość wypełnioną emocjonalnym rozwolnieniem. Niedostarczona. Rzuciłem okiem na Facebooka. Użytkownik aktywny dzień temu. Trochę dziwne. Agnieszka była z ich córkami na jakimś obozie narciarskim w Szklarskiej Porębie. Może do nich pojechał? Albo może miał kogoś na boku?

Ze swoim kilkuletnim dellem pośród samych macbooków czułem się w bibliotece jak w dniu pierwszej komunii świętej, kiedy większość moich kolegów dostała w prezencie rowery albo walkmany, a najlepszym prezentem, jaki ja dostałem, był czarny zestaw złożony z zegarka uniseks, kalkulatora i długopisu. „Wszyscy mają, a ja nie! Zniszczyliście mi życie!” – darłem się do matki przez następnych kilka tygodni. W końcu mama pożyczyła pieniądze i kupiła mi czerwonego rometa.

Pisanie na kacu szło opornie, ale po kilkunastu minutach udało mi się złapać rytm i notatki zaczęły się zamieniać w zdania. Na razie takie szkolne, niczym fragmenty z wypracowania licealisty. Zawsze coś. Jednak nadal nie to. Czas musiał jakoś szybciej płynąć tego dnia. Zupełnie nie zwróciłem uwagi, kiedy spłodziłem osiem stron tekstu. Ani że zgłodniałem, ani że ktoś mi się przygląda...

Powoli podniosłem wzrok nad klawiatury, prawie nie ruszając głową. Byłem bardziej niż pewien, że osoba siedząca kilka biurka dalej patrzy w moim kierunku. Czuję na sobie ciepło jej wzroku. Mimo że wszystkie stoliki były zajęte, w gąszczu głów wyraźnie widziałem, że ta jedna tkwi nieruchomo skierowana w moją stronę. Czarna czapka, okulary przeciwsłoneczne, usta zakryte maseczką, granatowy bezrękawnik i czarny szalik. W innym miejscu okulary przeciwsłoneczne pod koniec listopada mogłyby się rzucać w oczy. Od kiedy jednak dosiadł się do mnie chłopak w sukience z brązowego sztruksu, już nic mnie nie dziwiło.

Nie umiałem nawet stwierdzić, jakiej płci jest zainteresowana mną osoba. Wyprostowałem się na krześle i spojrzałem prosto w jej stronę. Szybko odwróciła wzrok. Ewidentnie byłem na celowniku. Opuściłem głowę jeszcze raz, udając, że coś piszę, a potem nagle podniosłem. Sytuacja się powtórzyła. „Albo mam jakieś urojenia, albo to ktoś znajomy, kto nie do końca mnie poznaje. Na pewno dlatego, że przytyłem” – pomyślałem i spontanicznie pomachałem do tej osoby. Chciałem się przywitać.

Wstałem, jak najciszej dostawiłem krzesło do biurka i ruszyłem w stronę człowieka w granatowym bezrękawniku. Nagle między mną a nim przetoczyła się grupka „kloszardów” z macbookami i białymi bezprzewodowymi słuchawkami w uszach. „Ja pierdole!” – zakląłem w myślach. Kiedy przeszli, po tajemniczej osobie nie było już śladu. Scena jak z *Detektywa w sutannie*. Chyba za dużo wczoraj wypilem, zdecydowanie za dużo.

Wróciłem do stolika, gdzie leżały moje rzeczy, odniosłem książki na miejsce, spakowałem swój relikwiarz do plecaka, wziąłem do ręki telefon i kiedy miałem żwawym krokiem opuścić bibliotekę, nogi się przede mną ugięły. Usiadłem, uderzając głośno plecakiem o podłogę. Kilka osób spojrzało w moją stronę, a ja trzęsącą się ręką trzymałem swojego iPhone'a i nie mogłem oderwać od niego wzroku. Dwadzieścia jeden nieodebranych połączeń od Sebastiana i kilka wiadomości o treści „Oddzwonił”, również od niego.

Po pierwsze, nigdy w ciągu dnia nie dzwonił mi do siebie bez ważnego powodu. A już na pewno nie tyle razy. Po drugie, wiedział, że jestem w miejscu, gdzie nie mogę rozmawiać, więc musiał być bardzo zdenerwowany, skoro tyle razy próbował mnie złapać. Poczulem potężne uderzenie gorąca. Nie pamiętałem, jak wyszedłem z głównej sali. Kiedy byłem już za drzwiami, kilka razy głęboko odetchnąłem i właśnie miałem oddzwonić do Sebastiana, ale nie zdążyłem.

– Paweł! – Seba wbiegł do gmachu głównego biblioteki, od razu mnie zauważył i machnął ręką.

Szybkim krokiem podeszła do niego korpulentna pani z ochrony, prawdopodobnie po to, by zwrócić mu uwagę, że nie wolno tu krzyczeć. Ruszyłem w jego stronę. On biegł, a ja szedłem jak najwolniej. Zupełnie jakby mój mózg wysyłał nogom sygnał: „Nie podchodźcie tam”. Spojrzałem na twarz Sebastiana. Była nienaturalnie biała, jak kartka. Patrząc na nią, po raz pierwszy w życiu czułem ucisk w żołądku. Wiedziałem, że Seba nie przyjechał tu z lunchem dla mnie.

ROZDZIAŁ 3

Nie byłem w stanie przeczytać ani jednego wyrazu z leżącego na stole w naszym salonie dowodu osobistego. Otaczała mnie... hmm... mgła? Wyraźnie widoczni byli tylko policjant i policjantka: krępy mężczyzna w swetrze w romby i brunetka z lekko wylupianymi oczami.

– Czy pamięta pan, co pan oglądał w telewizji po powrocie z domu denata? – Kobieta ze zrosniętymi brwiami wnikliwie analizowała każdy skurcz mięśni mojej twarzy.

– Spod domu – poprawiłem ją, zaskoczony trzeźwością swojego umysłu.

– Oczywiście, spod domu. – Policjantka przekreśliła coś w czerwonym notesie i mruknęła pod nosem.

Policjant wstał od stołu i zaczął spacerować po odzyskującym ostrość salonie, w którym włączone były wszystkie możliwe światła. Nawet te, o których istnieniu zapomniałem, na przykład lampa led pod szafką RTV. Ciekawe, kto zapłaci za prąd zużyty podczas ich wizyty...

– Nie wiem, chyba *Fakty*. – Odwróciłem głowę, spoglądając na mężczyznę chodzącego za moimi plecami. – Mogą państwo zapytać Sebastiana. Gdzie on w ogóle jest?

Poza odgłosem wycieraczek na szybie nie pamiętałem niczego z trasy do domu. Bezskutecznie próbowałem ułożyć sobie w głowie to, co usłyszałem wtedy od Sebastiana.

– Pana partner jest tam. – Mężczyzna wskazał dłonią pokój gościnny przy schodach.

Spojrzałem na zamknięte białe drzwi na końcu korytarza.

– Czy pan Wróbel był panu winny jakieś pieniądze? – Pytania robiły się coraz dziwniejsze.

– Raczej nie. Na pewno nic znaczącego. – Nie mogłem się skupić. – A pan to tak może chodzić po moim domu? – zwróciłem się do czytającego tytuły książek policjanta, który właśnie utkwiał wzrok w półce z kryminałami.

– A ile to dla pana znacząca kwota? – Kolejne idiotyczne pytanie padło z ust kobiety, której plamy pod pachami na niebieskiej poliestrowej koszuli zataczały coraz większe koła.

– Dwa miliony. – Uraczyłem ją złośliwą miną, a ona i tak to zanotowała. Litości.

Policjant wrócił do stołu. Wyglądał tak, jakby coś intensywnie rozkminiął, i znowu zaczął spoglądać w stronę książek.

– *Będziesz tylko mój, Zemsta na chłodno, Jak zatarłam wszystkie ślady* – przeczytał na głos kilka tytułów, mrużąc przy tym oczy. – Dużo się chyba można nauczyć z takich powieści?

– Jak już pan odklei wzrok od półki z amerykańskimi kryminałami, to może uda się panu dostrzec, że poniżej znajduje się cały rząd pozycji o gotowaniu. – Krew we mnie zabuzowała.

– Na przykład *Nowoczesna kuchnia polska* Darii Ładochy. Możemy się umówić na jakiś inny termin? – warknąłem.

Gliniarze spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Oczywiście – odpowiedzieli prawie jednocześnie.

Dopiero kiedy zbierali się do wyjścia, zauważyłem, że wchodząc, nie zdjęli butów i nabrudzili. „Ludzie, jest listopad” – skarciłem ich w myślach. Przewróciłem oczami, ale ostatecznie spuściłem na to zasłonę milczenia. Chciałem, żeby sobie poszli.

Kiedy byli już za furtką, policjant jeszcze się obrócił w moją stronę i rzucił:

– Panie Pawle, proszę na razie nie wybierać się za granicę. – Skinął głową na pożegnanie i ruszył w stronę samochodu.

A to akurat zabrzmiało konkretnie. Spojrzałem jeszcze w stronę domu Marcina, pod którym kilkoro sąsiadów paliło papierosy, energicznie gestykulując. Nadal nie docierało do mnie, co się wydarzyło.

Gdy tylko zamknąłem drzwi, usłyszałem, jak Sebastian wychodzi z gościnnego. Schyliłem się do wybiegających za nim psów. Dotyk ich wilgotnych nosów odblokował mnie emocjonalnie. Chciało mi się płakać. Sebastian podszedł i mnie przytulił.

– Czuję się jak w jakimś filmie. Nie mogę w to uwierzyć. – Odsunąłem się od niego, żeby spojrzeć mu w oczy. – Jeszcze raz musisz mi powiedzieć, co się stało.

Sebastian zaprowadził mnie na kanapę. Nie puszczać mojej dłoni, powiedział:

– Marcin nie żyje. Agnieszka znalazła jego ciało, kiedy wróciła dzisiaj do domu. – Westchnął głęboko i spojrzął mi w oczy. – I wszystko wskazuje na to, że byłeś ostatnią osobą, która kręciła się pod ich ogrodzeniem, kiedy umierał albo już był martwy...

„Znalazła jego ciało”. W książkach i filmach był to punkt, po którym zaczynała się pasjonująca gra w „kto zabił?”. Jednak zdecydowanie lepiej się o tym czytało, a najlepiej z kieliszkiem wina w dłoni. Albo oglądało z miską popcornu. Nerwowo przywoływałem sobie wydarzenia z minionego wieczoru. Na pewno zostawiłem jakieś ślady pod domem Marcina. Na pewno stałem tam wystarczająco długo, żeby ktoś mnie zobaczył. Na pewno spotkałem kota i na pewno kilka godzin wcześniej jakieś auto stało na naszej ulicy. Po kilku „na pewno” już niczego nie byłem pewien. „Co teraz będzie? Czy policja myśli, że to ja zabiłem Marcina? Czy ten, kto go zabił, widział mnie pod jego domem i może myśleć, że ja też go widziałem?”. Nie znałem odpowiedzi na te pytania, ale jeśli którakolwiek z nich była twierdząca, znaczyło to, że wdepnąłem w niezłe gówno. *Nunc vino pellite curas*, pisał Horacy. Utopcie dziś swoje smutki w winie.

Nocą przewracałem się z boku na bok. Ogrzewanie cisnęło na maksa, a mnie było na zmianę gorąco i zimno. Najczęściej zimno i gorąco j e d n o c z e ś n i e . Pozornie kojące działanie wypitego przed snem wina ustępowało przyspieszonemu biciu serca i zawrotom głowy. Nie było nawet szansy na to, że dramatyczny przebieg minionego dnia pozwoli mi na odpoczynek. Wziąłem do ręki telefon.

Jasne, że pamiętam. Do wieczora.

W ostatnim esemesie od Marcina nie widziałem niczego, co by zwróciło moją uwagę. Przeczytałem go jeszcze od końca. A później co drugą literę. Nic. Żadnego szyfru. Zwykła wiadomość.

Kiedyś myślałem, że zanim się wydarzy coś złego, będzie to poprzedzone jakimiś znakami; że intuicja mi coś podpowie. Kiedy stałem pod domem Marcina, nie latały nad nim

czarne kruki. Nie pojawił się żaden złowieszczy promień. Nie widziałem zastępów aniołów. Był tylko kot.

„Pomyśl o czymś fajnym, pomyśl o czymś fajnym, pomyśl o czymś fajnym...”. Odłożyłem telefon i próbowałem podarować sobie kilka godzin snu. Moje stany lękowe nie zamierzały jednak odpuszczać. Przez przymknięte powieki zauważyłem, że czujnik ruchu uruchomił światło nad garażem. „Pewnie znowu kot” – pomyślałem. Od kiedy zamieszkaliśmy w domu, wszystko, czego nie widziałem, a co słyszałem, zrzucałem na zamieszkujące okolicę koty. Z salonu dobiegło ostrzegawcze szczeknięcie Rózi. Otworzyłem szeroko oczy i usiadłem, opierając się o wezłowie łóżka.

– Słyszałeś? – Szarpnąłem gwałtownie Sebastiana.

– Jezu, co? – Seba, zaspany, usiadł na łóżku. Halogenowa lampa znad garażu oświetlała połowę jego twarzy.

– Rózia szczekała i czujka nad garażem się włączyła. Chyba ktoś łązi pod domem. – Zapaliłem lampkę nocną.

Sebastian zmrużył oczy. Na jego twarzy pojawił się grymas zniecierpliwienia.

– Paweł, masz za sobą wyjątkowo ciężki dzień. Widzę, że bardzo to wszystko przeżywasz. Nie wiem, czy nie za bardzo. Jest koniec listopada, cały czas coś gdzieś stuka, puka i szumi. Idź spać, bo rano będziemy chodzić na rżęsach. – Położył głowę na poduszce i obrócił się do mnie plecami.

– Słuchaj, jeszcze tylko jedno... – Wstrzymałem oddech. – Wiem, że ty też o tym musiałeś pomyśleć. A co, jeśli jednak ktoś zabił Marcina, widział mnie pod jego domem i teraz będzie chciał mnie unieszkodliwić?

Nie było odpowiedzi. Być może Sebastian znowu zasnął. Być może udawał, że śpi. W zasadzie nawet gdyby nie zasnął, to i tak nie dałby się wciągnąć w dyskusję. Znałem go doskonale. Chyba znałem.

Dokładnie zaplanowany dzień, ustalone godziny posiłków, zbliżona pora chodzenia spać. Rutyna dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Kochałem ją nad życie. Jak Sebastiana. Jakikolwiek nieplanowane wytrącenie ze stałego rytmu stanowiło dla mnie powód do niezadowolenia i narzekania. Nagłą śmierć sąsiada i przesłuchanie z pewnością mogłem zaliczyć do takich właśnie sytuacji.

– Źle wyglądasz. Masz wory pod oczami. – Kiedy skończyliśmy śniadanie, pogłaskałem Sebastiana po policzku, zabierając ze stołu miseczki po owsiance.

Właśnie, owsianka. Dobrze, że chociaż ona mi została ze stałych punktów dnia. Nie daj Boże, żeby ktoś kazał mi zjeść na śniadanie jaja na bekonie.

– O, dziękuję bardzo. Ty też wyglądasz fatalnie – zaśmiał się Sebastian, wstając od stołu. – Może gdybyśmy spali w nocy, zamiast słuchać szczekania psów, tobyśmy lepiej wyglądali? – dodał już poważniej. – Naprawdę przez to twoje picie wina jesteś coraz bardziej i coraz częściej wytrącony z równowagi. Przez co ja też. Nie sądzisz?

Niczego nie sądziłem. Nic nie odpowiedziałem.

– Musisz dzisiaj jechać do centrum? – Przytuliłem się do niego na środku salonu.

– Muszę. Mam kilka spotkań. Postaram się szybko wrócić. – Sebastian pogłaskał mnie po plecach i odsunął delikatnie. – Jesteś pewien, że nie chcesz się zabrać ze mną?

– Nie chcę nigdzie jechać. – Byłem rozczarowany, że jednak nie zostanie w domu. Jeśli w okolicy grasował seryjny morderca, to przecież ja mogłem być jego następnym celem. Młody, atrakcyjny, kulturalny, kiedyś zamożny. Idealna ofiara.

Sebastian poszedł na górę po swoje rzeczy. Nacisnąłem long coffee na szarym panelu ekspresu. „Uzupełnij pojemnik” – przeczytałem na wyświetlaczu.

– Sam się, kurwa, uzupełnij – burknąłem w odpowiedzi.

Utkwiłem wzrok w czarnej gęstej cieczy wypełniającej filiżankę. „Ciekawe, w jaki sposób umarł Marcin. Czy było dużo krwi? Czy krew jest gęsta? Bardziej tryska czy się wylewa? Czy go bolało? Czy próbował się bronić? Czy ja próbowałbym się bronić?” – przez moją głowę przetoczyła się lawina pytań.

– Ej, stary, co ty robisz?! – Sebastian gwałtownie przesunął mnie na bok i nacisnął jakiś guzik w ekspresie. – Podstawiłeś małą filiżankę, a robisz duży napój. Przelewa się.

– Na pewno nie mnie. – Wróciłem myślami do kuchennej rzeczywistości i spróbowałem wyratować się żartem. – Zrobić ci kawę do samochodu?

Urywając kawałek papierowego ręcznika, spojrzałem mimochodem na orzeszki, które zmiażdżyłem w dłoni, stojąc pod domem Marcina. Zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałby dzisiejszy poranek, gdybym umówił się z nim na przykład na szesnastą. Albo gdybym przeskoczył przez płot? Czyste buty okazały się dla mnie ważniejsze niż ludzkie życie...

Sebastian pojechał do Warszawy, a ja zostałem sam w domu. Nie do końca byłem pewien, czy próbując dokończyć pisanie przewodnika w cieniu śmierci sąsiada, mierzyłem się bardziej z przeszłością, czy z przyszłością. Tak czy inaczej musiałem połknąć tę żabę. Do tego cholernie ciężko było przenieść się myślami do Kalifornii, kiedy za oknem ciemna szarość zmuszała do włączania lampki na biurku jeszcze przed południem. To było wręcz niewykonalne.

Kawa za kawą.

Kursor w Wordzie migał nerwowo. Kilka kliknięć na klawiaturze i backspace. I tak cały czas. Na backspace zostawiałem dziś najwięcej odcisków palców. Miałem idealne warunki do pisania. Siedziałem bezpieczny w domu. Przekonywałem samego siebie, że nie stanie się nic złego. Tyle tylko że już się stało. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowałem, jeszcze wczoraj leżał trup. Albo wisiał. Na pewno nie pływał, bo basenu Marcina z Agnieszką nie mieli.

We wszystkich wspomnieniach ze Stanów, które przychodziły mi do głowy, występował Sebastian. Wyglądało na to, że nie chciałem być sam nawet w myślach. „Guzik napiszę – pomyślałem i nerwowo zatrzasnąłem komputer. – Może jakaś grzeszna przyjemność?”

ROZDZIAŁ 4

DAWNIEJ

Los Angeles

– *Happy Thanksgiving, guys!* – Niski głos krępej latynoskiej recepcjonistki dopadł nas przy wyjściu z hotelu. – *Stay safe!*

Intensywnie pomarańczowe słońce zaczęło leniwie się obniżać, aż w pewnym momencie miałem wrażenie, że gdybym poszedł w jego stronę, to bez problemu mógłbym go dotknąć. Los Angeles wyglądało o tej porze dnia tak, jakby ktoś wylał na ulicę miasta Aperol Spritz. Szliśmy w dół Santa Monicą, w kierunku Beverly Hills. Roześmiani Kalifornijczycy w starannie wyprasowanych ubraniach wychodzili z domów, niosąc na spotkania z rodziną i przyjaciółmi misternie zapakowane jedzenie. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, ciast i oczywiście indyka.

– Poczekaj chwilę. – Sebastian zatrzymał się nagle przed jedną z witryn.

– Przecież jest zamknięte. – Zajrzałem przez szybę do sklepu z bieżniami.

– Oceniam, czy pasujemy do tej całej odświętności, żeby nas z restauracji nie wyprosilili. – Uśmiechnął się, wykonując obrót wokół własnej osi. – To znaczy, czy ja jestem dobrze ubrany, bo ty wyglądasz zajebiście.

Poprawił kołnierzyk czarnej koszuli, a ja na wzór mijających nas mężczyzn włożyłem swoje granatowe polo w dzinsy. Polo schowane do spodni? No trudno.

Końcówka listopada przypominała w tej części świata polski przełom maja i czerwca. Na jedne ubrania było za chłodno, a na inne za ciepło. Mijając idealnie przystrzyżone trawniki na Robertson Avenue, czułem, że raz mi zimno, a raz gorąco.

Zatrzymaliśmy się na przejściu dla pieszych. Czerwona dłoń na sygnalizatorze nakazywała czekać jeszcze przez kilkadziesiąt sekund. Do świateł po drugiej stronie ulicy podeszło dwóch mężczyzn z dzieckiem. Starszy z nich miał na oko około pięćdziesiątki, jego partner wyglądał na kilka lat młodszego. Panowie ubrani byli w błękitne marynarki, a dziewczynka w sukienkę do kolan w tym samym odcieniu.

– *Daddy, Daddy, look!* – Kilkuletnia blondyneczka chwyciła starszego za rękaw, próbując pokazać mu coś na niebie.

Spojrzałem w górę. Akurat przelatywał samolot. W dziecięcym uniesieniu dziewczynka wypuściła z rąk pomarańczowy balon w kształcie dyni. W ostatniej chwili złapał go młodszy mężczyzna i oddając właścicielce, pocałował ją i wziął na barana.

– *Happy Thanksgiving!* – Gdy mijaliśmy się na pasach, cała trójka prawie jednocześnie pomachała do nas.

Ten sielankowy obrazek najpierw otulił nas ciepło niczym wybrzeże Malibu, ale po chwili między mnie i Sebastiana wpadł podmuch zimnego wiatru z San Francisco. Przez kilka minut szliśmy w ciszy. Wielkim marzeniem Sebastiana było zostać rodzicem. Z czasem jego pragnienie stało się również moim. Sytuacja w Polsce nie dawała nam legalnych możliwości, żeby je spełnić. Rozważaliśmy adopcję przez Meksyk, Tajwan i Gruzję. Niestety bardziej niż potężne nakłady finansowe wstrzymywała nas myśl o wychowywaniu dziecka w naszym specyficznym społeczeństwie. Ostatecznie mimo wsparcia ze strony znajomych i rodziny nie zdecydowaliśmy się na ten ruch. Na co dzień, w Warszawie, nie poruszaliśmy tego wątku. Był zamknięty w pudle na strychu. Razem z wypełnionymi i nigdy niewysłanymi dokumentami adopcyjnymi.

- To chyba tu. - Sebastian wyrwał mnie z zamyślenia, wskazując restaurację ozdobioną długimi sznurami lampek.

- Tak, zobacz to logo! Wow! - Byłem pod wrażeniem wielkiego napisu „Pump” zrobionego ze świeżych czerwono-różowych kwiatów.

- To wchodzimy na indyka. - Sebastian pchnął ozdobione liśćmi szklane drzwi, przepuszczając mnie przodem.

- Seba... - Chwyciłem go za rękę. - Kiedyś nam się uda. Jak nie w Polsce, to gdzie indziej. Kocham cię.

- Ja ciebie też - odpowiedział. Jego spojrzenie było jednak przygaszone.

ROZDZIAŁ 5

– Jezu, ja nie mogę tak na ostatnią chwilę wymyślać w pracy, że niby mam spotkanie z klientem. Dawaj znać wcześniej. – Zasapana Beata zamknęła za sobą drzwi i pocałowała mnie w policzek. – Patrz, co złapałam do kawy po drodze.

Z uśmiechem wręczyła mi pudełko z logo jednej z najlepszych warszawskich cukierni. Zajrzałem do środka. Tort bezowy. Beata rozejrzała się po salonie.

– Jest Sebastian? – zapytała ściszym głosem.

– Nie ma, a co?

Czemu szeptala? Chciała mi coś powiedzieć na jego temat? Na razie miałem dość nowych bodźców.

– Ufff, bo dla niego nic nie wzięłam do kawy. – Na jej pyzatej, rumianej twarzy odmalowała się szczerza ulga.

– Beata, ale przecież my nie zjemy we dwoje całego tortu. – Wyjąłem go z pudełka.

– E tam, nie zjemy. – Beata zdjęła z czubka truskawkę i włożyła do ust.

No tak.

Miedziane włosy jak zawsze miała upięte z tyłu głowy. Obejmując ją na przywitaniu, odniosłem wrażenie, że jeszcze bardziej przytyła. Moja przyjaciółka jadła i piła za dwoje. Za troje? Tak chyba topiła smutki samotności. Nigdy jednak nie przyznała się do tego wprost. Temat jej życia w pojedynkę był chyba jedynym, którego nie poruszaliśmy nawet po kilku butelkach wina.

Beata była jedną z pierwszych osób, które poznałem po przyjeździe do Warszawy. Oboje zaczynaliśmy życie zawodowe w tej samej firmie. Już pierwszego dnia zauważyłem, że była wpatrzona we mnie jak w obraz. Fakt, byłem wtedy u szczytu formy. Przez pierwszych kilka miesięcy przynosiła mi kawę do biurka i próbowała mnie zaprosić na randkę. Niespodziewana wizyta brata, korek, uciążliwa czkawka... Czego to nie wymyślałem. Niestety, pracując z nią biurko w biurko, miałem mocno ograniczone możliwości mataczenia.

W końcu udało jej się wyciągnąć mnie na spotkanie, ale to ja wybrałem miejsce. Po szybkim sushi na Nowym Świecie zabrałem Beatkę do Utopii, najpopularniejszego na początku dwudziestego pierwszego wieku gejowskiego klubu w Warszawie. „Ale wszyscy są tu piękni” – powiedziała zaraz po wejściu. Kiedy lokal zaczął się zapelniać, Beata spotkała kolegę ze studiów, który zaprosił ją do baru na shota tequili.

Korzystając z tego, że chwilowo nie musiałem poświęcać jej czasu, w rytm *I Wanna Dance with Somebody* przeszedłem się po lokalu. Przy mniejszym fioletowym barze siedział Tomek. Chłopak, który od dawna próbował mnie poderwać. Był nawet atrakcyjny, ale wtedy uważałem, że jest za niski. Wobec braku innych znajomych usiadłem na wysokim krześle

koło niego. Gdy obaj siedzieliśmy, wzrost się wyrównał. Wyjątkowo dobrze nam się gadało tego wieczoru. O Eurowizji, o rocznicy śmierci księżnej Diany, o nowej płycie Kylie Minogue. Siedzieliśmy coraz bliżej siebie. Całkiem zapomniałem, że nie przyszedłem do klubu sam.

Na chwilę.

– Paweł, czy ty wiesz, co to jest za miejsce? – Między mną a Tomkiem stanęła nagle roześmiana Beata i położyła dłoń na moim ramieniu. – Cześć, jestem Beata. – Spojrzała na mojego rozmówcę, a wraz z opuszczanym wzrokiem z jej twarzy zniknął uśmiech. Żrenice powiększały się niczym u postaci z mangi.

Zsunąłem dłoń Tomka ze swojego kolana.

Didżej puścił *I Will Survive*. Zrobiło się, hmm... niezręcznie, jak w filmie z Meg Ryan. Tyle tylko że Beata w niczym nie przypominała płaczącej do poduszki bohaterki amerykańskiej komedii romantycznej. W zrozpaczonym wzroku tliło się coś złego i przerażającego. Jej błękitne oczy płonęły.

Beata postawiła niedopitego drinka na blacie baru, nie wypuszczając go z dłoni. Jakby chciała zgnieść szklanekę albo wkręcić ją w ladę. Zaczęła się drapać po szyi.

– Beata, wszystko okej? – Wstałem z hokera i stanąłem przy niej.

– Oczywiście. Muszę już iść. – Wybiegła, nie oglądając się za siebie.

Przez tydzień nie przychodziła do pracy. Nie odbierała ode mnie telefonów. A po powrocie jak gdyby nigdy nic zapytała: „Zrobić ci kawę?”.

Od tamtej pory byliśmy przyjaciółmi.

– No dobra, ale co właściwie się stało temu Maćkowi? – Beata ukroiła kolejną porcję bezy.

– Marcinowi, a nie Maćkowi. Mnie nie nakładaj. – Odsunąłem zbliżający się do mnie kolejny kawałek tortu. – Policja cały czas się tu kręci. Nie pamiętam nawet, co odpowiadałem na ich pytania. Niektóre były w chuj głupie, na przykład o to, czy łączyła mnie z nim relacja romantyczna.

Beata wybuchnęła śmiechem. Biały kawałek ciasta wyleciał jej z ust prosto na moją rękę.

– A może to ty go zabiłeś, bo miał mniej siwych włosów od ciebie? – Zebrała ze mnie palcem to, co wypłuła. I wzięła do buzi. – Sorki za to.

– Ciebie serio tak wszystko śmiesz? Wiesz, że od kilku miesięcy męczę się ze stanami łękowymi. Ta akcja jeszcze bardziej wyprowadziła mnie z równowagi.

– Nie, nie śmiesz mnie czyjaś śmierć. – Beata wyczuła, że jestem rozczarowany jej lekceważącą postawą. – Na początek jednak przy twoich jazdach proponuję pić mniej wina.

„Co oni z tym winem?!“ – krzyknąłem w myślach. Mój środkowy palec prawej ręki zatrzymał się tuż przed jej nosem.

Kolejne kilkadziesiąt minut upłynęło nam na obgadywaniu każdego, kogo znaleźliśmy. I kogo nie znaleźliśmy też. O tych najbardziej lubiliśmy wydawać opinie. Osądzać ich i wyśmiewać.

– Zabiorę sobie resztę tego tortu, jak nie chcesz jeść. – Nie czekając na odpowiedź, Beata spakowała bezę do białego kartonu. – Z tego, co pamiętam, Sebastian i tak chyba nie lubi bezy.

Akurat bezę lubił.

– Spoko, bierz. – Przytrzymałem pudełko z ciastem, a Beata, sapiąc, wkładała wysłużone już białe botki.

– Dobra, to trzymaj się. – Otworzyła drzwi. Do domu wpadło zimno. – I uważaj na mordercę. Lub morderczynię.

– Ty się, kurwa, nigdy nie zmienisz. – Z całej siły nacisnąłem guzik domofonu. Klik, furtka się otworzyła. – Cześć!

Beata cmoknęła w powietrze na pożegnanie. Zamknąłem drzwi. Przebiegły mnie dreszcze, a mój gadzi mózg zabrał się do pracy. Zostało jeszcze kilka godzin do powrotu Sebastiana.

Obudziłem się nagle. Usiadłem gwałtownie na kanapie, nie mogąc złapać oddechu. Przez pierwszych kilka sekund nie wiedziałem, gdzie jestem, straciłem też poczucie czasu. Topiłem się w ciemności. Świadomość zaczęła wracać, ale nie miałem się z czego cieszyć. Marcin nie żył. Policja mnie przesłuchiwała. Była końcówka listopada. Beata zjadła całą beżę. Sebastiana nie było w domu... Zimno. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno.

– Rózia! Bado! – Moim pierwszym pomysłem na uspokojenie się była bliskość psów. – Róóózia! Bado! Do mnie!

Albo ogłuchły, albo wybiegły gdzieś z domu. Ale gdzie mogły być i jak by wyszły? Przy okazji przypomniała mi się lekko przerażająca dobranocka z dzieciństwa, *Ferdynand Wspaniały*. W bajce tej ubrany w garnitur pies, w kapeluszu na głowie, chodził po mieście na dwóch łapach, przeżywając przygody. Zupełnie jak ja od kilku dni. Tyle tylko że ja nie byłem bohaterem kreskówki. I u Ferdynanda nigdy nie było ciemno.

Wymacałem ręką włącznik lampy przy kanapie. Pstryk. Nie działała. Spojrzałem na ścianę, na której wisiał telewizor. Kontrolki też się nie świeciły. Wyglądało na to, że nie ma prądu. „Pamiętaj, żeby mieć zawsze tak wszystko w domu poukładane, aby w środku nocy i po ciemku wiedzieć, gdzie co leży” – mawiał mój dziadek po kądzieli. Ruszyłem ostrożnie w stronę kuchni. Wiedziałem, gdzie powinna leżeć latarka. Widywałem ją codziennie, kiedy odkładałem klucze po powrocie do domu. Posuwając się wzdłuż ściany, znalazłem się przy komodzie kuchennej. Wymacałem uchwyt, delikatnie otworzyłem najwyższą szufladę i zacząłem macać w środku. Miarka, baterie, klucze, poczta... Latarki nie było na swoim miejscu.

Mój dziadek: „A trzeba było mnie słuchać”.

Moja matka: „A nie mówiłam?”.

Mój mózg: „Ktoś wszedł do domu, ukradł psy i latarkę”.

Mój wzrok: „Dobra, pomogę ci”.

Przyzwyczająłem się do widzenia w ciemności. Brałem pod uwagę dwa rozwiązania: albo idę na górę, gdzie zostawiłem telefon, albo do pomieszczenia gospodarczego, żeby sprawdzić, czy nie wysadziło korków. Zawsze w filmach, gdy gaśnie światło, bohater biegnie na górę i później nie ma jak się wydostać z domu. Wybrałem wycieczkę do pomieszczenia gospodarczego.

Małymi krokami ruszyłem do pokoju znajdującego się po drugiej stronie domu. Żeby tam dotrzeć, musiałem przejść przez garaż. Po wejściu do niego zrobiło mi się jeszcze zimniej

i nieprzyjemniej. Depcząc w ciemności psie zabawki, dotarłem do miejsca, gdzie umieszczone były korki. Niestety, stojąc tuż pod drzwiami, zdałem sobie sprawę, że i tak nie będę wiedział, co nacisnąć. Przez kilka lat byłem tam może ze dwa, trzy razy, i to tylko po to, żeby coś zostawić na przechowanie albo stamtąd zabrać. Liczyłem jednak na to, że intuicja mi coś podpowie. Zawsze podpowiadała.

Już miałem nacisnąć klamkę, kiedy zza drzwi dobiegł delikatny hałas. Coś jak szuranie czy drapanie. Moje ciało automatycznie pokryło się gęsią skórą, a w ustach pojawiła się nieznośna suchość. „Mysz? Kuna? Morderca? Co robić? Przecież nie zapukam”. Zrobiłem krok do tyłu i wymacałem jakieś plastikowe narzędzie. Wolałbym metalowy pogrzebacz, ale dobre i to. Przyszło mi do głowy, żeby z całej siły kopnąć w drzwi. W młodości oglądałem mnóstwo filmów z Jeanem-Claude’em Van Damme’em i wyglądało to na stosunkowo łatwą czynność. Ostatecznie odpuściłem. Wróciłem pod drzwi i jeszcze chwilę nasłuchiwałem. „Dobra, już pora”. Z całej siły nacisnąłem klamkę.

– Gdzie są moje psy?!!! – wydarłem się najgłośniejszym głosem, jak potrafiłem. Echo w pustym garażu karmiło ściany decybelami nie do zniesienia.

Usłyszałem upadający na ziemię metalowy przedmiot, a światło latarki skierowanej na moją twarz całkiem mnie oślepiło.

– Paweł, no kurwa mać! Pojechało cię do reszty? – usłyszałem głos Sebastiana. Promień światła poturlał się po podłodze. – Chcesz, żebym dostał zawału?

– Co ty tutaj robisz? Gdzie są psy? – Spokojniejszym, choć nadal podniesionym głosem próbowałem ustalić, co się wokół mnie dzieje.

– Ja pierdole, potrzymaj to. – Sebastian wcisnął mi latarkę. – I poświeć na bezpieczniki.

Po chwili grzebania w skrzynce zasilanie wróciło. Sebastian powiedział, że jak przyszedł do domu, to już nie było prądu, a ja spałem. Wypuścił psy na dwór i próbował naprawić usterkę. I wtedy wpadłem ja.

Po kolacji i wypiciu przeze mnie kilku kieliszków wina poszliśmy do sypialni. Sebastian jeszcze czytał. Położyłem głowę na jego ramieniu. Ciepłe światło nocnej lampki sprawiło, że od razu zacząłem przysypiać.

– Paweł... śpisz już? – wyszeptał Sebastian, lekko poruszając ramieniem, na którym trzymałem głowę.

Miałem nadzieję, że nie chodzi mu o seks, bo byłem zbyt zmęczony minionym dniem i alkoholem.

– W zasadzie tak... – odpowiedziałem równie cicho, nie otwierając nawet oczu.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – stwierdził tajemniczo.

Na myśl o ewentualnych rozterkach od razu się ożywiłem i podniosłem głowę.

– No co? – Spojrzałem na niego znacząco.

Wyglądał na skupionego. Wziął głęboki oddech, a potem zapytał:

– Co dokładnie zamierzałeś zrobić z tym mopem, który miałeś w ręce, kiedy mnie dzisiaj napadłeś?

– A weź, spadaj. – Obracając się do niego tyłem, usłyszałem, jak wybucha śmiechem. – Dobranoc.

Trochę mnie to śmieszyło, a trochę nie. Chyba bardziej jednak nie. Naprawdę się wtedy bałam.

ROZDZIAŁ 6

Ta noc znowu nie należała do tych, po których człowiek budzi się wyspany i rano mówi przed lustrem: „Możesz wszystko. Jesteś zwycięzcą”. Zdecydowanie nie. Przespałem maksymalnie trzy godziny. Mdlilo mnie. Nie chciałem zostawać sam w domu. Nie chciałem też jechać do kawiarni. Wiedziałem, że nie dam rady niczego napisać. Biblioteka kojarzyła mi się z wiadomością o śmierci Marcina, a Beata była na jakimś szkoleniu w Łodzi. Postanowiłem przykleić się do Sebastiana na tak długo, jak się da.

Po niewinnym szantażu emocjonalnym: „Jeśli ze mną nie pójdziesz, to ktoś mnie zabije” udało mi się wyciągnąć go do sklepu z bożonarodzeniowymi ozdobami. Mikołaje, choinki, renifery, koce w gwiazdki i inne piękne badziewia wręcz krzyczały: „Weź mnie do domu”. Wziąłem. Zawaliłem tym cały bagażnik. Po zakupach poszliśmy na lunch do tajskiej restauracji. Zamówiłem pad thai, a Sebastian makaron z krewetkami. Odpisałem na kolejną ponagląjącą przypominającą z redakcji. Skłamałem, że wszystko idzie zgodnie z planem i oddam projekt na czas. Wiedziałem, że w praktyce będzie to raczej niemożliwe. Zacząłem się już zastanawiać, jak z tego wybrnąć, żeby mnie nie skreślono z ich listy zaufanych redaktorów. Jako autor z zerowym dorobkiem nie znalazłem jednak żadnej wymówki.

No i co? Nikt Cię jeszcze nie zabił? ☺ Robicie w tym roku andrzejki? Zjadłabym coś dobrego.

Beata jak zawsze na straży życia towarzyskiego. Swojego przede wszystkim.

– Co się tak cieszysz? – Sebastian musiał zauważyć, że uśmiechnąłem się pod nosem.

– Esemes od Beaty. – Podniosłem głowę znad telefonu. – Pyta, czy organizujemy imprezę andrzejkową.

– Ja chętnie, ale zostawiam decyzję tobie. – Sebastian odgryzł ogonek krewetki. – Masz ciężki okres i mówiłeś, że nie bardzo chcesz się spotykać w większym gronie. Poza tym nie wiem, czy urządzenie prywatki zaraz po śmierci sąsiada to dobry pomysł.

Dopiero co na chwilę zapomniałem o tym, że Marcin nie żyje. Tyle chodzenia po sklepach na nic.

– Pogadajmy wieczorem. – Zacząłem się rozglądać za kelnerem. Chciałem wstać od stołu i się przejść. – Dobra, to leć już do biura. Zobaczymy się później w domu.

– Dzięki. Do wieczora. – Sebastian wstał i pogłaskał mnie po głowie. Potem energicznym krokiem ruszył w stronę samochodu.

Kiedy tylko zniknął za rogiem, zamówiłem kieliszek wina. Potem jeszcze jeden. Alkohol przegonił myśli o sąsiedzie. Zrobiło mi się błogo. Pomyślałem, że skoro wyjątkowo nie pada, to wezmę kawę na wynos i kawałek się przejdę. Ostatnio od siedzenia w domu przybyło mi parę kilogramów.

„To cappuccino niesłodzone, będę fit...” – usłyszałem w radiu, idąc do centrum, więc i na to się skusiłem. Z białym kubkiem w dłoni i ze słuchawkami w uszach maszerowałem, o niczym nie myśląc. Kilka kroków na sportowo, a kilka na romantycznie. Nie zwracałem uwagi na mijane twarze. Byłem tylko ja i muzyka.

Idąc przez park, zauważyłem, że zrobiło się już szaro, a do tego mgła przykryła miasto. Otaczające mnie bezlistne drzewa wyglądały z oddali jak ludzkie szkielety ustawione w równych od siebie odstępach. „Kiedy wyrzuciłem kubek?” – zastanawiałem się, wyjmując rękę z kieszeni kurtki, żeby spojrzeć na zegarek. Do ustalonego przez siebie celu, dwunastu tysięcy kroków, jeszcze trochę mi zostało, więc mimo londyńskiego klimatu kontynuowałem spacer. Gdzieś po „nogi mnie już trochę bolą”, ale jeszcze przed „łapię Ubera” zwolniłem. Wokół było już prawie ciemno. Od ziemi wyraźnie ciągnęło wilgocią, a kałuże zapełniły się opadłymi liśćmi. Stare latarnie dawały pomarańczowe światło, jakie pamiętałem z drogi na cmentarz w dzieciństwie. „Jeszcze tylko kilka piosenek i złapię podwózkę” – obiecałem sobie w myślach. Włączyłem Norah Jones i próbowałem sobie wyobrazić, że gram główną rolę w jakimś smutnym teledysku. Coś o tym, że on go zostawia i później chodzi po parku, wspominając ich wspólne chwile. Jesień miała jakieś plusy.

– O kurwa! – Poczulem mocne uderzenie w ramię. Podskoczyłem. Zachwiałem się i wyjąłem z uszu słuchawki.

– Bardzo pana przepraszam. – Chuda jak patyk trzydziestoparolatka ubrana w strój do biegania patrzyła na mnie tępym wzrokiem. – Nie chciałam pana wystraszyć.

– Ale pani to zrobiła. – Serce biło mi jak szalone.

– Jeszcze raz przepraszam. Bardzo tu ciemno. – Nacisnęła coś w urządzeniu, które miała przymocowane do ramienia. – Do widzenia.

„Oby nie”. Stałem tak spięty, że trudno mi było ruszyć z miejsca. „Pięć minut i wzywam Ubera”. W gębie został mi kapeć, czyli posmak tajskiego lunchu, wina i kawy. Sięgnąłem po opakowanie miętowej gumy do żucia. „W Turcji wierzy się, że pod wpływem ciemności guma do żucia zamienia się w naszych ustach w ludzkie mięso” – mawiała matka, żeby zniechęcić nas do żucia gumy. W okolicznościach, w których się znajdowałem, ten zabobon nie był aż tak śmieszny.

Usłyszałem za sobą kroki. Nie chciałem się oglądać, żeby nie wyjść na jakiegoś maniaka. I tak bym nikogo w tej mgłę nie zauważył. Na wszelki wypadek delikatnie przyspieszyłem. Mimo to miałem wrażenie, że odległość między mną a osobą, która za mną idzie, nie zmniejszała się. Jeszcze bardziej zwiększyłem tempo, ale nie biegłem. Po chwili już byłem pewien, że dystans między mną a tym kimś jest coraz mniejszy. „Może to znowu jakaś nawiedzona biegaczka?” – przeszło mi przez głowę, ale nie odważyłem się odwrócić. Szybko maszerowałem i po kilkunastu metrach przestałem słyszeć kroki za sobą.

Zbliżałem się do wyjścia z parku. Sięgnąłem po telefon, żeby zamówić Ubera. Coś zaszeleściło w krzakach. Obejrzałem się za siebie. Pusto.

– Aaaaaaa! Ale mnie pani wystraszyła! – Przede mną wyłoniła się dziewczyna w białej bejsbolówce. Stała stanowczo za blisko. – Proszę się ode mnie odsunąć.

– Spokojnie, przecież jestem od pana mniejsza. – Na jej ustach malował się niepokojący uśmiech. Przypominała Jokera. – Kiedy pana potrafiła tamta baba, to wypadł panu portfel z kieszeni. Chciałam go oddać. – Zrobiła krok w tył.

Włożyłem rękę do tylnej kieszeni dżinsów. Rzeczywiście nie miałem portfela.

– To pani za mną szła? – Połączenie wina, kawy i adrenaliny buzowało mi w głowie.

– Tak, ale pan bardzo przyspieszył, więc poszłam na skróty. Mieszkam niedaleko i codziennie wieczorem wychodzę tu na spacer. Biegacze mają wszystkich w dupie. Są królami ścieżek. – Mięśnie jej twarzy się napięły. – Królowie ścieżek, dobre. Ha, ha, ha, rozumie pan? – Wyciągnęła do mnie dłoń, w której trzymała mój brązowy portfel. Nawet w półmroku nie sposób było nie zauważyć jej poobgryzanych paznokci i skórek.

– Bardzo dziękuję. – Zwróciłem się niepewnie w jej stronę. Liczyłem, że nie zauważy, jak trzęsą mi się ręce.

– A będzie nagroda? – Zrobiła stanowczy krok do tyłu, nie oddając mi portfela. Jej szyderczy uśmiech zdradził brak piątek albo czwórek, albo nawet trójek. Sam nie wiedziałem.

Zachciało mi się spacerków, to teraz stałem w ciemnym zamglonym parku naprzeciwko jakiejś pojebanej dziewczuchy.

– Nie wiem, czy mam jakąś gotówkę – wydusiłem niskim głosem.

– Masz pan stówkę i dwie dwudziestki. – Kiedy znowu zbliżyła się do mnie, wyczułem zapach alkoholu. – Stówka styknie.

Przyszło mi do głowy, że może jest z nią jeszcze ktoś. Na przykład chłopak z szalikiem Legii. Może zaraz dostanę po łbie? Jeśli chciała mi zabrać kasę, to przecież nie musiała za mną iść. Mogła wziąć stówkę i dwie dwudziestki, a portfel wywalić. Czuję, że za chwilę nie będę już w stanie wypowiedzieć ani słowa. Rozejrzałem się po parku. Zawiał zimny wiatr.

– Oddaj mi to i mnie nie wkurwiał! – Wyrwałem jej portfel.

Przez moment staliśmy naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Jak w westernie. Nie wiedziałem, które z nas było bardziej zaskoczone moją reakcją. Wyjąłem telefon i zamówiłem Ubera.

– Jeszcze się spotkamy – syknęła przez zęby, które się uchowały, i cofnęła się o kilka kroków, nie odrywając ode mnie wzroku. – A teraz radzę ci zmienić park do spacerowania, frajerze.

– A ja ci radzę iść do dentysty, szmato.

„O Boże, skąd ja znam takie odzywki?” – pomyślałem zaskoczony. Oddalająca się dziewczyna energicznie pokazała mi środkowy palec, po czym pochłonęła ją mgła. Stałem przez chwilę nieruchomo. Nie pamiętam, jak znalazłem się w taksówce. Jak najszybciej chciałem wrócić do domu i napić się wina... „Jeszcze się spotkamy”. Co to, do cholery, miało być?

– Dlaczego już pijesz? – Sebastian spojrział na mnie z niesmakiem i odwiesił kurtkę do szafy.

– Tylko pół kieliszka. – Przytuliłem się do niego. – Musiałem.

– Czemu musiałeś? – Odsunął mnie delikatnie i zrobił znak cudzysłowu palcami w powietrzu. – Wiesz, jak to się nazywa, jak ktoś musi?

– Chodź, opowiem ci. – Usiadłem przy stole w jadalni, stawiając prawie pustą butelkę na bezwomym bieżniku. – Nalać ci trochę?

– Nie, dzięki. Zrobię sobie herbatę. – Sebastian zmarszczył czoło, zanurzając w kubku torebkę z miętą.

Dopiero kiedy usiadł koło mnie, wino rozluźniło mięśnie, a psy spokojnie zasnęły przy moich nogach, poczułem, jakim stresującym doświadczeniem była dla mnie konfrontacja z wariatką w parku. Przecież ona mogła wyjąć nóż. Albo pistolet.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłeś? – zapytał Sebastian, kiedy skończyłem opowiadać. W jego głosie dało się wyczuć rozczarowanie. Głupio, bo oczekiwałem trwogi i niepokoju.

Przez chwilę milczeliśmy. Ale nie to, że niezręcznie. Tak normalnie, jak czasami razem milczą bliscy sobie ludzie.

– Mam wrażenie, że moje życie się jakoś kurczy. Że robi się ciasno i duszno i zaraz nie będę mógł oddychać. Ciągłe myślę o Marcinie – odezwałem się w końcu lekko drżącym głosem. – Nie ogarniam pisania. Poza Beatą z nikim nie chce mi się spotykać. O Boże, a jakby Beata umarła? To dopiero byłoby coś strasznego!

– Paweł, nie uśmiercaj jeszcze Beatki. Ona i tak stoi nad grobem przez to, jak się odżywia. – Sebastian chwycił moją dłoń i uśmiechnął się. – Myślałem dzisiaj trochę o tym i coś mi przyszło do głowy.

– A co? – Podnosząc butelkę, zauważyłem bordowy odcisk, jaki zostawiła na obrusie.

– Zorganizujemy imprezę andrzejkową – odpowiedział Sebastian. Zabrzmiało to jakoś infantylnie.

– I od tego mają mi minąć jazdy? – Odstawiłem butelkę, celując dokładnie w to samo miejsce, żeby Sebastian nie zauważył plamy. Zrobiłby mi wykład z gapiostwa. Kolejny.

– Ale nie tu! – Dalej biła od niego niemal dziecinna energia. – Wyjedziemy na Podlasie. Mogę pracować zdalnie przez jakiś czas. Zaprosimy wszystkich tam, na prywatkę w lesie.

Parę lat temu dziadek Sebastiana zapisał mu w spadku drewnianą ruinę zamieszkaną przez korniki i myszy. Chata znajdowała się niedaleko Sokołowa Podlaskiego, miejscowości, z której pochodził Sebastian. Kiedyś rzadko tam jeździliśmy. Głównie przeze mnie. Bałem się nocować w środku lasu i ciężko przychodziło mi spędzanie czasu „na amisza”. W zeszłym roku jednak wpadliśmy na pomysł, jak trochę dorobić. Przez ostatnie kilka miesięcy zainwestowaliśmy w to miejsce dużo czasu i pieniędzy. Postanowiliśmy wynajmować chatę mieszczuchom na co dzień duszącym się w blokowiskach.

– A będę mógł już przystroić dom świątecznymi ozdobami, które kupiłem? – Wskazałem głową na nierozpakowane torby stojące w przedpokoju.

– Czyli jedziemy? – Jego wyprostowany aparatem ortodontycznym uśmiech dał mi na chwilę nadzieję, że w środku lasu odzyskam równowagę.

Sam nie miałem lepszego pomysłu. Od kilku dni nawet siedzenie w domu nie wydawało mi się bezpieczne. Wlałem resztę wina i przytaknąłem. Co ma być, to będzie.

ROZDZIAŁ 7

Posmarowałem razowe kromki humusem, położyłem plastry ogórka i przykryłem je kolejnymi kawałkami chleba.

– Melduję, że skibki na drogę zrobione! – krzyknąłem w stronę garażu, gdzie Sebastian coś grzebał przy aucie.

– Skąd ty wiesz, co to są skibki? – Wróciło natychmiast pytanie.

– Jeśli wejdiesz między wrony... W końcu mój partner pochodzi z Podlasia. – Zawinałem kanapki i schowałem do plecaka. Przy okazji zgarnąłem z lodówki inne resztki jedzenia, żeby się nie zmarnowały podczas naszej nieobecności. – Ale kawy to już mi się nie chce robić. Zajedziemy gdzieś po drodze.

– Okej, piętnaście minut i spadamy. – Sebastian zamknął drzwi do garażu i poszedł na górę.

Psy nerwowo sapają. Nauczyły się poznawać, że jak stoją walizki i pakujemy się do dwudziestoletniego land rovera, to zabieramy je ze sobą. Otworzyłem jeszcze komputer, żeby przypomnieć sobie, na czym stoję z przewodnikiem. Przez ostatnie dni nawet nie pamiętałem, co i czy w ogóle napisałem. „Opady śniegu są niezwykle rzadkim zjawiskiem w Sacramento, które położone jest zaledwie 8 metrów ponad poziomem morza...”. No dobra, czyli byłem w Sacramento. Strasznie kwadratowe te zdania. Mimo wszystko pomyślałem, że może jakimś cudem uda mi się to dokończyć. Tylko skąd wziąć doładowanie inspiracyjne? Byłem tam i potrafiłem pisać, a jednak kreatywność uleciała.

Na ekranie telefonu pojawiło się zdjęcie mojej matki w okularach przeciwsłonecznych, które zrobiłem kilka lat temu w Atenach. Przejechałem palcem, żeby odebrać.

– Cześć, kochany, jak się czujesz? – Znałem ten głos konającej z troski kobiety. – Na pewno się stresujesz śmiercią sąsiada. Myślisz, że to będzie miało dla ciebie jakieś konsekwencje? Że możesz pójść do więzienia za morderstwo? Chyba nie masz z tym nic wspólnego, kochanie?

„Oho, zaczyna się” – stwierdziłem. Ona z kreatywnością nigdy nie miała problemów.

– Mamo, proszę... Ledwo co przestałem o tym myśleć.

– Przecież ja tylko zapytałam, jak się czujesz. – W ułamku sekundy jej ton stał się anielsko ciepły i spokojny. Moja matka była nad wyraz inteligentną kobietą i zawsze wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. Nawet kosztem robienia z siebie idiotki.

– Wiesz, o co mi chodzi. Rozmawialiśmy o tym setki razy – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Po co dzwonicz i wymyślasz jakieś irracjonalne scenariusze? – W słuchawce panowała cisza, więc mówiłem dalej: – Opowiadasz mi o chorobach i wypadkach moich znajomych ze szkoły albo pytasz, czy nie mam przypadkiem za wysokiego cholesterolu. Bo powinienem

wiedzieć, czym to grozi. W zeszłym tygodniu przysłałaś mi link z Groupona z ofertą na kolonoskopię! – wyrzuciłem na jednym wydechu.

– Wydaje mi się, że przesadzasz. – Milczenie się skończyło. Wyobrażałem sobie, jak wzdycha, siedząc w tym swoim białym fotelu. – Jak każda matka martwiąc się o swoje dzieci. – Wytoczyła swój koronny argument.

– To cudowne, że się martwisz, ale ty wszystko eskalujesz. We mnie to później pracuje całymi dniami. – Znowu zacząłem podnosić głos. – Gdybyś za każdym razem, kiedy mnie straszysz, wysyłała mi dziesięć złotych, to byłbym milionerem.

– Pawełku... a macie problemy finansowe, potrzebujesz pieniędzy? – Wykorzystywała każde słowo. – Mówiłam, żebyś nie odchodził z pracy. To była taka ciepła posada. A teraz co? Nie masz nawet na wakacje.

– Mamo, muszę kończyć. Wszystko u nas gra. – Jeszcze parę chwil i mógłbym powiedzieć coś, czego bym później żałował.

– Pa, kotek, i jakby coś się działo złego, to dzwońcie – wyszczebiotała znowu tym swoim niewinnym głosikiem i się rozłączyła.

Kwiatek pod ścianą, kwiatek na regale, palma pod oknem... Żeby się uspokoić, zgodnie z instrukcją terapeutki zacząłem liczyć zielone przedmioty w swoim otoczeniu. Wtedy usłyszałem warkot silnika.

– Gotowy? – Nawet nie zauważyłem, kiedy Sebastian wrócił do garażu. – Czekamy tylko na ciebie.

Psie mordy dotykały szyb bagażnika, zostawiając mokre ślady. Kiedy otwierałem drzwi od strony pasażera, odruchowo spojrzałem jeszcze na dom Marcina. Nie był już ogrodzony taśmą policyjną. Z daleka dostrzegłem, że w kuchni pali się światło. Pewnie Agnieszka gotowała obiad dla dziewczynek. I co? To już? Tak po prostu – ktoś był i go nie ma, a życie wróciło do normy? Jemy, śpimy, wyjeżdżamy, zapominamy? Oby mnie nie spotkało takie zapomnienie. Kiedy wsiadłem do samochodu i zamknąłem drzwi, spojrzałem jeszcze na nasz dom. A jeśli już tu nie wróć? Jeśli w leśniczówce wydarzy się jakaś tragedia? Gdybym tylko wtedy wiedział, jak trafne to były pytania...

Mimo wszystko oddalanie się od Konstancina powodowało, że z każdą minutą czułem się coraz bardziej rozluźniony. Sebastian też to chyba zauważył.

– Zobacz, jak pada. Muszę się skupić na trasie – powiedział cicho. – Nie będę cię zamęczał gadaniem. Odpocznij.

Kiedy zjechaliśmy z głównej drogi na lokalną, owinięty brązowym szalikiem jak dziecko, wpatrywałem się w przesuwający się za szybą krajobraz. Listopad na dobre rozgościł się na Podlasiu. Przez drogę nie przebiegały żadne sarny ani bażanty. Wszystko w naturze, co miało umrzeć w tym roku, już z pewnością umarło. Reszta się gdzieś pochowała. Widziałem tylko dym wylatujący z kominów wiejskich chat. W radiu leciało *Englishman in New York* Stinga, a podgrzane powietrze z wentylatorów pieściło moją twarz.

Nagle znalazłem się w naszym domu. W letni wieczór przez otwarte tarasowe drzwi napływał do salonu ciepły wiatr. Rozejrzałem się wokół. Pomimo panującego porządku coś było nie tak. Niby wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a jednak czułem, że czegoś tam brakuje. Czegoś albo kogoś. Wyszedłem na zewnątrz z przekonaniem, że spotkam tam Sebastiana

bawiącego się z psami. W zaniedbanym i porośniętym chwastami ogrodzie panowała dusząca pustka i cisza. Z każdym moim oddechem powietrze gęstniało. Wróciłem do domu i kilkakrotnie zawołałem Sebastiana. I psy. I znowu Sebastiana, i znowu psy. Nikt do mnie nie przyszedł. Miałem wrażenie, jakby klatka piersiowa mi się zapadała. Na ołowianych nogach wszedłem na piętro. Nie zdążyłem jeszcze pchnąć drzwi do sypialni, kiedy pojawiła się w nich moja matka, ubrana cała na czarno. Nigdy nie widziałem jej tak chudej i wyniszczonej.

– Mamo, co się stało? – Zrobiłem krok w jej stronę. – Czemu tak wyglądasz?

Nic nie odpowiedziała.

– Mamo, czemu milczysz? – Ogarniała mnie panika. Oddychałem coraz szybciej. – Czy ktoś umarł?

Matka w milczeniu spojrzała w okno.

– Mamo, błagam! – Zbliżając się do niej, zobaczyłem, że na półkach w naszej garderobie nie ma ubrań Sebastiana, a z wielkich toreb wystają moje bluzy, swetry i koszulki. – Czemu moje ciuchy są w torbach? Gdzie jest Sebastian?

– Och, Pawełku, synu mój kochany... – wyszeptała mama, patrząc nieobecnym wzrokiem przed siebie. – Jak ja za tobą tęsknię. Tak mi ciebie brakuje.

Z jej oczu połały się łzy.

– Mamo! Ja tu jestem! Obok ciebie. Ja żyję – krzychałem coraz głośniejszym głosem. – Mamo! Mamo!

Poczułem podmuch zimnego powietrza.

– Paweł, hej. Obudź się. – Drzwi samochodu od mojej strony były otwarte. Sebastian przykucnął obok, trzymając mnie za rękę. – Jesteśmy na miejscu. Chyba coś ci się śniło.

Minęło kilka sekund, zanim się zorientowałem, gdzie jestem i który to rok. Silnik samochodu już nie pracował. Ogrzewanie również. Wzdrygnąłem się z zimna.

– Sebastian... – Zsunąłem jego dłoń ze swojej. – Wracajmy do domu. Ja tu umrę.

– Cokolwiek ci się śniło, to był tylko sen. – Widziałem, jak mój partner powstrzymuje uśmiech. – Jestem tu z tobą i nic ci się nie stanie.

Mimo że mu wierzyłem, to nadal miałem przed oczami zapłakaną matkę.

ROZDZIAŁ 8

Wysiadłem z auta, stanąłem na lekko wilgotnej ciemnozielonej trawie i licząc do czterech, wzięłem głęboki wdech. Zapach lasu powinno się sprzedawać w aptekach jako środek uspokajający. Zrobiłem kilka kroków do przodu. Powtórzyłem to ćwiczenie. Czułem się jak kołdra zapakowana próżniowo, którą ktoś uwolnił i mogła w końcu odzyskać swój naturalny kształt i rozmiar. Wdech, wydech, wdech, wydech...

Sebastian zaczął wnosić nasze bagaże do domu, a psy rozbiegły się po terenie w poszukiwaniu patyków. Na półtora hektara ogrodzonego lasu zawsze można było znaleźć jakieś ciekawe gałęzie, na przykład porośnięte mchem. Wzięłem resztę rzeczy z samochodu i pchnąłem nogą błękitne drzwi, żeby wejść do środka. Uderzyła mnie woń wilgotnego drewna. Zapach nieprzyjemny, a jednak przyjemny.

Sporą część minionego lata spędziliśmy na remontowaniu tej chaty. Tyle czasu i pieniędzy włożyliśmy w jej odnowienie, że plany rentierskie przełożyliśmy na kolejny rok. Sami chcieliśmy być autorami pierwszych szkód. Ja już nawet zarysowałem kawałek ściany w kuchni, przesuając stół.

Dom podzieliliśmy na trzy części. Część wiejska, czyli sypialnia z kolorową kuchnią, przeznaczona była tylko dla nas. Przeważały w niej pastelowe odcienie i dodatki retro, z których moim ulubionym był różowy designerski czajnik. Dla gości przygotowaliśmy dwa pokoje urządzone w stylu boho oraz łazienkę na poddaszu. Między pomieszczeniami na parterze znajdował się zaaranżowany po męsku salon z aneksem kuchennym. Dominowały w nim drewno i szarość, a całość dopełniały zgniłozielone dodatki. Idealne miejsce do gry w szachy. Pani Wolańska powiedziałaaby: „Marian, tu jest jakby luksusowo”. Niczego nie zmienialiśmy na zewnątrz domu, żeby nie kusić potencjalnych złodziei. Do najbliższych sąsiadów mieliśmy około kilometra.

– Ale teraz szybko robi się ciemno. – Sebastian wszedł do domu, niosąc niebieską torbę z Ikei wypchnięną szczapami drewna.

Na jej widok przypomniał mi się sen. Ciarki przeszły mi po plecach.

– Zrobię jakieś żarcie i możemy pogadać o tej ewentualnej imprezie. – Wzięłem od niego torbę i postawiłem przed drzwiami do kotłowni.

– No to git. – Sebastian pocałował mnie w usta. – To może pokażę ci jeszcze raz, jak napalić w piecu?

– E tam, zbędne. Nie zamierzam tu zostawać sam. – Wrzuciłem na patelnię cukinię i zacząłem kroić czerwoną paprykę.

– Nigdy nie wiesz, co się może wydarzyć. – Sebastian wzruszył ramionami i poszedł czynić honory kotłowniczego.

Akurat tego, że nie zostanę sam w domu w środku lasu, byłem pewien. Wytarłem z kurzu gramofon i położyłem na nim winylową płytę Evy Cassidy. Kochałem te cichutkie trzaski przy włączaniu urządzenia. Zapach jedzenia i drewna rozpalanego w piecu w połączeniu z trzeszczącą muzyką spowodował, że czułem, jakby leśniczówka mnie przytulała. Jakby chciała się zaprzyjaźnić.

Za oknem istny koncert. Drzewa szalały, tańcząc, jak im wiatr zagra, a połamane gałęzie i szyszki co chwila uderzały w drewniany dom. Mimo że znałem te dźwięki od dawna, nadal nie mogłem się do nich przyzwyczaić. Wzdrygałem się przy każdym większym hałasie.

Spora kropla caberneta spadła na odrestaurowany drewniany stół. Błyskawicznie wytarłem ją rękawem flanelowej koszuli. Wyjąłem ze szklanej gablotki dwa kieliszki bez nóżek i usiadłem obok Sebastiana na podłodze, podobnie jak on, po turecku. Położyłem głowę na jego ramieniu. Pachniał świeżo porąbanym drewnem i resztką tytoniowego olejku do zarostu.

– Ale mi dobrze. – Zanurzyłem się w ciepłe dochodzącym z kominka.

– Pamiętasz, jak siedzieliśmy owinięci kocami przy palenisku w okolicach Yosemite? – Jego oczy przez chwilę były tysiące kilometrów ode mnie. – Nie zapomnij o tym napomknąć w przewodniku.

– Jak mógłbym o tym zapomnieć. – Garść popcornu wylądowała w moich ustach. – O tym, co później robiliśmy w namiocie, też mam napisać?

– Możesz, ale wtedy zamiast trafić na półkę z przewodnikami, wylądujesz obok obłej szmyry. – Cmoknął ustami. – Dawaj ten popcorn na środek.

Po butelce wina i misce popcornu dotarliśmy do planowania imprezy.

– Wiemy, że w andrzejki. Kogo zapraszamy? – Sebastian wsunął pod głowę poduszkę i położył się przy kominku. Róża w mgnieniu oka znalazła się przy nim.

– Nie każdemu będzie się chciało tu przyjeżdżać taki kawał. – Poglaskałem psa po brzuchu.

– Ale komuś na pewno. Albo komuś z okolicy. – Twarz Sebastiana zaróżowiła się od ognia.

– Ja nie znam nikogo stąd. – Uniosłem brwi z zaciekawieniem. – Znasz sołtysa?

– Poza sklepową nie znam ludzi ze wsi. – Uśmiechnął się na samo wspomnienie uroczej pani Marysi. – A pamiętasz, jak kilka razy opowiadałem ci o przyjaciołach, którzy przeprowadzili się do Londynu?

– Tak, Bartek i... Andżelika? – zapytałem lekceważąco.

– Bartek i Karolina – poprawił mnie Sebastian, przewracając oczami.

– No tak, zapamiętałem, że dużo sylab ma w imieniu.

Zaczęło zasychać mi w ustach. Dolałem sobie wina. Kiedy Sebastian nie patrzył w moim kierunku, szybko wzięłem wielki łyk i jeszcze raz napełniłem kieliszek.

– Wrócili do Polski i mieszkają w Sokołowie. Byłaby okazja, żebyście się poznali. – Zauważyłem, że źrenice rozszerzyły mu się z ekscytacji. – Zanim spotkałem ciebie, w moim życiu byli głównie oni.

- No pewnie. Z przyjemnością wysłucham jakichś pikantnych szczegółów z twojej przeszłości. - To akurat była prawda. Uwielbiałem słuchać o tym, jak wyglądało życie Sebastiana przed relacją ze mną. - Nie wiedziałem tylko, że jesteście nadal tak blisko, żeby się zapraszać na imprezy - dodałem, czując lekkie napięcie na karku.

- Nie jesteśmy jakoś blisko, ale zobaczyłem na Facebooku, że są w kraju, to się odezwałem. Nie widzieliśmy się siedem lat. - Sebastian, zaskoczony, wrócił do pozycji siedzącej.

- Po co? - Znów sięgnąłem po kieliszek.

- Co po co? - Podniósł głos.

- Po co się odzywałeś? - Czulem, jak wino we mnie buzuje. - Szukasz atrakcji?

- Paweł, o czym ty mówisz? Mam ci się tłumaczyć, z kim piszę na Facebooku? - Sebastian energicznie wstał z podłogi. - Chyba coś ci się pomyliło.

Drewno w kominku zaczęło się dopalać. Atmosfera się ochłodziła. Niepotrzebnie zacząłem go prowokować. A może potrzebnie? Uderz w stół...?

- Idę się przejść z psami. - Spojrzenie Sebastiana mnie zmroziło. - A ty dolej sobie wina. Do codziennej porcji dwóch butelek jeszcze trochę ci brakuje.

Trzaskanie płyty winylowej było zdecydowanie przyjemniejsze niż trzaśnięcie drzwiami. Zostałem sam w pokoju. Ja, wygasający kominek i rozczarowanie, że znowu nie powstrzymałem swojej zazdrości. A już przez kilka miesięcy było tak dobrze. Nie wypytywałem go, z kim i po co się spotyka. Nie robiłem mu awantur o późniejsze powroty z pracy.

W zasadzie nie miałem już innego pomysłu na resztę wieczoru, jak tylko dopić wino. Skoro nawet Sebastian to zasugerował... Kieliszek był w tłustych śladach od popcornu. Wyglądał odpychająco. Nie chciało mi się wstawać po czysty. Przechyliłem butelkę. Z gwinta smakowało tak samo.

Obudziłem się, leżąc przykryty kocem na podłodze przy zimnym kominku. Na zewnątrz się rozjaśniało. Sebastian spał na łóżku, a na moim miejscu Różia rozkoszowała się możliwością korzystania z ciepłego posłania. Wiedziałem, że jej ciemna sierść na długo zostanie w kremowej pościeli.

W ustach czułem posmak przetrawionego wina i popcornu. Kapeć. Wypiłem jednym haustem pół butelki wody. Potrzebowałem świeżego powietrza. Włożyłem puchową kurtkę z kapturem, zielone kalosze i po cichu wyszedłem na zewnątrz. Przed chwilą przestał padać deszcz. W takich momentach wszystko w lesie pachniało inaczej, ale nadal miało posmak wolności i swobody - nawet jakby intensywniejszy. Na Podlasiu królowały szarość, wilgoć i niepokojąca cisza. Nie mógłbym tu spędzić więcej niż kilka dni.

Przeszedłem kilkanaście metrów w głąb lasu. Wiewiórka, skacząc z gałęzi na gałąź, straciła szyszkę. Poza tym nic się nie działo. Albo się działo, ale ja nie umiałem tego dostrzec. Gryzły mnie wyrzuty sumienia. Ludzie, których nie znałem, byli częścią życia Sebastiana i budzili we mnie zazdrość. Nie potrafiłem nad tym zapanować. Czy to w ogóle było możliwe?

Wracając do domu, zacząłem zbierać psie zabawki porozrzucane na działce. Wyglądała tak, jakbyśmy mieszkali na terenie przedszkola. Różowa gumowa świnią z odgryzioną nogą czekała pod oknem na dołączenie do reszty rekwizytów. Schylając się po nią, zobaczyłem jakieś ślady w błocie. Jakby rozmazane deszczem odciski butów. Przyjrzałem im się. Tak, to chyba były czyjeś ślady. Po ich rozstawie można było wywnioskować, że ktoś zaglądał do nas przez okno.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to Sebastian patrzył, co robię, kiedy wyszedł z psami. „O Boże, pewnie widział, jak piję wino prosto z butelki”. Tyle że on miał rozmiar buta czterdzieści pięć, a ślad był zdecydowanie mniejszy. A może to jakieś zwierzę? Gdybym miał ze sobą telefon, zrobiłbym zdjęcie.

Znowu zaczęło padać. Zabrałem świnię, wrzuciłem do kosza z zabawkami i wróciłem do domu. Chciałem od razu powiedzieć Sebastianowi o swoim odkryciu, jednak gdy tylko go zobaczyłem, przypomniało mi się, jak skończyliśmy poprzedni wieczór.

– Bardzo chcę poznać twoich przyjaciół. – Usiadłem na skraju łóżka. – Przepraszam.

– Spoko, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. – W jego tonie wyczułem dąs. – A dlaczego siedzisz na łóżku w mokrej kurtce?

– I tak będę musiał dzisiaj zmienić pościel. Zobacz, jaka jest brudna. – Wzrokiem wskazałem na zerkającą na nas Rózię. – Idę zrobić jajecznicę.

Nie do końca wiedziałem, czy między nami było już wszystko okej, ale skoro przeprosiłem, to chyba tak.

Zgniła zieleń salonu idealnie pasowała do pogody. Sebastian dorzucił drewna do pieca, a ja postawiłem kubki z kawą na okrągłym stole. Zacząłem wdrażać plan pod hasłem „Tylko nastroj święt nas uratuje”. Jeden kubek był z Mikołajem, drugi z reniferem. Centralne miejsce na kredensie zajęła ubrana świątecznie dwudziestocentymetrowa plastikowa Mariah Carey, którą kupiłem kiedyś w Las Vegas. W lipcu.

Hej, panowie, stęskniłam się za Wami. Jest ta impreza czy nie?

Przeczytałem Sebastianowi esemesa od Beaty.

– Może wrócimy do tematu? – zapytałem prosząco.

– Spoko, ale musisz w końcu zrozumieć, że twoje codzienne picie takich ilości wina nie służy ani tobie, ani nam. – Sebastian podniósł głowę znad telefonu.

– Co to znaczy, że nie służy nam? – zdziwiłem się.

– To znaczy tyle, że im więcej będziesz pił, tym gorzej będzie między nami. Przecież tego nie chcesz.

– To jest jakiś szantaż? – nieświadomie podniosłem głos.

– Nie, nie szantażuję cię, tylko puszczam sygnał, że źle się z tym czuję. – Sebastian był nad wyraz opanowany. – Dobra, wracamy do tematu imprezy. Jak myślisz, komu się będzie chciało tu wpaść?

– Nie wiem – odburknąłem obrażony. – Nie chce mi się gadać.

Krople deszczu regularnie stuknęły w szyby. W pokoju rozgościła się cisza. Mimo zamkniętych okien ponura aura dostała się do wnętrza. Nie doczekawszy się ode mnie żadnej odpowiedzi, Sebastian otworzył komputer, nalał wody do szklanki i zaczął stukać w klawiaturę.

„Za dużo piję? Ile to jest za dużo? Codziennie, ale niedużo, to już za dużo?” – rozmyślałem.

– Powinna przyjść Beata, skoro się tak dopytuje – zagadałem do Sebastiana. Chciałem, żeby już wszystko między nami wróciło do normy. – Trzeba jechać do wsi, żeby świniaka dla niej zabili.

– O proszę, odzyskałeś głos. – Seba odstawił laptop na fotel. – Pewnie przyjedzie Kacper z tą instruktorką.

– Karolina z Bartkiem. – W myślach kalkulowałem, jak wiele mnie to będzie kosztowało.

– I może niech wpadnie Janek z Sylwią.

Tak, zaproszenie mojego brata z żoną wydawało się dobrą równowagą dla starych znajomych Sebastiana.

ROZDZIAŁ 9

Według Sebastiana chatka zamieniała się w kiermasz z tandetnymi świątecznymi ozdobami. Ja widziałem to bardziej jak Biały Dom udekorowany na święta, a siebie jak Michelle Obamę leniwie snującą się po własnym bożonarodzeniowym festynie.

– Nawet mnie nie proś, żebym to później sprzątał razem z tobą – zaczął mnie Sebastian, jak tylko zauważył coś nowego.

– Jak dla mnie możemy tego nie usuwać przez cały rok – odpowiadałem.

Dom był gotowy na przyjęcie gości. Jedyne ubieranie choinki zostawiłem na kilka dni przed świętami. Nie pamiętałem, skąd się wzięła moja infantylna fascynacja okresem przedświątecznym. Po prostu kiedyś się pojawiła i została już na dobre. Tak jak alergica, wysuszona skóra na stopach, wino, zazdrość i ataki lękowe.

Na kilka dni przed imprezą było już prawie wystarczająco świątecznie. Prawie.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę odwiedzić fryzjera, zanim przyjadą goście. – Sebastian wyszedł spod prysznicy, przeczesując włosy. – Może skoczmy do pani Iwonki?

– A kim jest pani Iwonka? – Zaczynałem się czuć tak, jakbym go poznał tydzień temu. Od paru dni ciągle padały imiona osób, o których wcześniej nawet nie słyszałem.

– Fryzjerka, która mnie strzygła, gdy mieszkałem w Sokołowie. Możemy do niej jutro podjechać. Na pewno przyjmie nas bez kolejki – odpowiedział Sebastian, wycierając włosy ręcznikiem. Mówił to takim tonem, jakbyśmy i tak już byli tam umówieni.

– Ale jutro jest wtorek... – Spojrzałem na telefon.

Matka zawsze mi powtarzała, że w Indiach istnieje przesąd, zgodnie z którym strzyżenie we wtorek ściąga nieszczęście. Dopóki z nią mieszkaliśmy, pilnowała, żebyśmy z bratem nigdy nie chodzili do fryzjera we wtorki. Ten zabobon zakorzenił się we mnie na tyle głęboko, że robiłem wszystko, żeby nie strzyć włosów w drugi dzień tygodnia.

– Paweł, daj już spokój. To równie głupie jak to, że kiedyś zjadałeś codziennie pół kilo koziego sera, bo ci ciotka powiedziała, że w Ruandzie uważają, że rośnie od tego gęsty zarost na twarzy. Zarost ci nie urósł, a brzuch owszem. Ruszamy koło południa.

– Dobra, pójdziemy. Może nie spadnie na mnie żadne nieszczęście – poddałem się zrezygnowany.

Sebastian puknął się w czoło.

Zaparkowaliśmy naprzeciwko baru mlecznego Pierozek. Przez szybę zobaczyłem, że w środku nie ma żadnego wolnego stolika. Na większości talerzy spoczywały mielone z ziemniakami, a zapach tłuszczu królował w promieniu kilkunastu metrów. Pierozków nie widziałem.

Minęliśmy bar, punkt z chwilówkami i stanęliśmy przy witrynie z napisem „U Iwonki”. „To nie może być tutaj” – pomyślałam, ale Sebastian z podekscytowaniem nacisnął trzeszczącą aluminiową klamkę i pchnął drzwi. Usłyszałem dzwonek oznajmiający nasze przybycie i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazłem się na planie filmu z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Ściany pomalowane na żółty kolor i jasna boazeria doskonale pasowały do obitych czerwonym skajem foteli fryzjerskich. W rogu pomieszczenia kobieta około sześćdziesiątki, z głową zagłębioną do połowy w stojącej suszarce, rozwiązywała krzyżówki. Na ścianach królowały wyblakłe od promieni słonecznych plakaty z Cindy Crawford, Jane Fondą i innymi pięknościami z końcówki minionego wieku. W powietrzu unosił się zapach utleniaczy i lakieru do włosów. Dla klientów przygotowano trzy stanowiska. Dwa były wolne. Przy środkowym kobieta wyglądająca jak Dolly Parton lakierowała ciemne włosy młodej dziewczynie. Sądząc po stroju, miejscowej.

– Dzień dobry, siadajta przy stoliku. Kończę młodą damę i podejdę. Chociaż nie mam już wolnych miejsc – oznajmiła nonszalancko Dolly Parton, w ogóle nie patrząc w naszym kierunku. Głową wskazała szklany stolik z dwoma krzesłami, na którym leżały wysłużone egzemplarze „Burdy”.

– Dzień dobry, pani Iwonko. – Sebastian podszedł do fryzjerki i położył jej dłoń na ramieniu. – Możemy bez zapisu?

– Powiedziałam, że jak skończę, to podejdę. – Pani Iwonka zrzuciła jego dłoń, odwracając się od klientki w naszą stronę. – Proszę mnie nie... – Przez chwilę patrzyła jakby z niedowierzaniem. – O Boże, o Boże, o Boże! Bastuś kochany! – Rzuciła mu się na szyję.

– Dzień dobry jeszcze raz. – Dawno nie widziałem Sebastiana tak uśmiechniętego. Przy mnie nie był ostatnio zbyt zadowolony. – Przyjechałem z przyjacielem. Możemy?

– Oj, kochany mój, cudowny. Nie widziałam cię tyle czasu. Pewnie, że możecie. – Pani Iwonka nie powinna się tak szeroko uśmiechać, nie miała piątek. Kobieta zrobiła kilka kroków w moją stronę. – Witam u Iwonki. Jestem Iwonka. – Nawet nie zdążyłem do niej wyciągnąć dłoni. Sama ją chwyciła i potrząsnęła energicznie. – Miło pana poznać.

Uścisk miała mocny.

– Dzień dobry, jestem Paweł. Sebastian wiele razy o pani wspominał – skłamałem. – W końcu będę miał przyjemność skorzystać z pani usług.

– To bardzo miłe. Zapraszam, chłopcy. Już kończę z klientką i mogę się wami zająć.

Pani Iwonka wróciła do stanowiska. Chwyciła lakier do włosów i zaczęła nim pryskać wokół głowy dziewczyny. Trwało to grubo ponad minutę. Jakaś niekończąca się puszka. Kiedy kobieta z głową w suszarce kaszlnęła kilka razy, z oparów gazu wynurzyła się kilkunastolatka uczesana jak Rachel z *Przyjaciół*.

– Mam nadzieję, że o to pani chodziło. – Dumna z siebie fryzjerka poprawiała sztywny hełm, w który zmieniły się włosy klientki.

– Tak, oczywiście. Jest super. – Twarz dziewczyny promieniała ze szczęścia. Serio. – Mogę na zeszyt?

– Oczywiście, kochana, zapłacisz w przyszłym miesiącu. Udanej prywatki.

Iwonka odprowadziła dziewczynę do drzwi i podeszła do nas.

– Który pierwszy? Może Bastuś? Mamy tyle do przegadania. – Zamiatając włosy z podłogi, mrugnęła okiem do Sebastiana.

– Idź – szepnąłem mu do ucha. – Poczekam na efekt.

– Siadaj, kochanie. – Iwonka wskazała fotel. – A pani, pani Olu, pani jeszcze dwadzieścia minut! – krzyknęła w stronę kobiety z głową w suszarce.

Usiadłem obok pani Oli i obserwowałem przebieg usługi.

Przy użyciu różowego spryskiwacza do kwiatów Iwonka zwilżyła włosy Sebastiana. Woda ciekła mu po całej twarzy. Fryzjerka podeszła do odtwarzacza płyt CD, spojrzała na mnie, uśmiechając się szeroko, i włączyła głośno *Nic nie może przecież wiecznie trwać* Anny Jantar. Poglaskała Sebastiana po głowie i coś mu szepnęła do ucha. Oboje parsknęli śmiechem. Na obcym terenie umacniało się we mnie przekonanie, że każdy ścisza głos tylko po to, żeby mnie obgadawać.

Usługa zdawała się nie mieć końca. Wyglądało to tak, jakby każdy włos był obcinany oddzielnie. Składanka z piosenkami Jantar zaczynała drugie okrążenie, a wybuchy śmiechu dochodzące z fotela fryzjerskiego budowały we mnie wkurw. Nie byłbym sobą, gdybym nie próbował podsłuchiwać, ale jedyne wyrazy, które udało mi się rozpoznać, to „Bartek”, „Karolina”, „wtedy” i „szkoda”. Zawsze jarało mnie podsłuchiwanie. Jako nastolatek chodziłem do kościoła i siadałem jak najbliżej konfesjonau. Jakie to było ekscytujące. Mój zapach ostygł, gdy sąsiadka wyznała księdzu, że przespała się z moim ojcem. U nas w domu.

– Wie pan może, jak się nazywa stan w Ameryce na „n”, na sześć liter? – Starszy, ciepły kobiecy głos wyrwał mnie z festiwalu ponurych myśli.

– Słucham? – Od razu usłyszałem, o co pyta, ale wolałem się upewnić.

Kobieta wysunęła głowę z suszarki.

– Stan w Ameryce na „n”, sześcioliterowy. Ma pan może jakiś pomysł? – Pomachała krzyżówką, a na jej twarzy malowała się uroczą konsternacja.

– Proszę spróbować „Newada”. Ne-wa-da. – Otwierałem usta, jakbym krzyczał. – Pasuje?

– Tak! Dziękuję! – Cieszyła się, jakby wygrała kupę kasy w *Milionerach*. – Skąd pan to wie? Był pan tam?

ROZDZIAŁ 10

DAWNIEJ

Las Vegas

Kilka minut po trzeciej nad ranem. Nie chciało mi się już spać. Z naszego pokoju na trzydziestym drugim piętrze widziałem miasto jak na dłoni. Kolorowa fontanna i replika wieży Eiffla zapierały dech w piersi. Mimo że był środek nocy, miasto tętniło życiem. Ludzie jak mrówki przebiegali między jednym klubem nocnym a drugim. W ciemnej uliczce ktoś się z kimś szarpał, w innej ktoś uprawiał seks.

Nie usłyszałem, kiedy Sebastian wstał i podszedł do okna. Stał tuż za mną i mnie przytulił.

– Megawidok, nie? – Oparł głowę na moim barku i wtulił się mocniej.

– O tak. Zobacz, ile jest ludzi na dole. – Obróciłem się przodem do niego. – Ty też już nie jesteś śpiący?

– Śpiący nie, ale za to głodny. – Sebastian, poprawiając mi grzywkę, przełknął ślinę.

Ostatnie, co jedliśmy, to suche bajgle, i to kilkanaście godzin wcześniej.

Kwadrans później płynęliśmy z głośnym i pijanym tłumem po ulicach Las Vegas w kierunku knajpy Gordona Ramseya, którą reklamowali w gazetce hotelowej.

Kelnerka przyniosła ogromne kanapki z krewetkami i gigantyczne szklanki z colą zero. W Polsce było już około trzynastej, więc nasze żołądki nie powinny być zaskoczone tym, co do nich wpada. Pierwszy raz jadłem burgera z krewetek. Włożony do maślanej bułki i posmarowany majonezem wymieszanym z wasabi, był jednym z pyszniejszych dań, jakich w życiu przyszło mi próbować.

– Szkoda, że tu tak drogo. – Skończyłem pierwszego i przelkując ślinę, patrzyłem, jak Sebastian delektuje się jedzeniem. – Moglibyśmy tu codziennie jadać.

– E tam, po co? Nie wolisz zapamiętać tego momentu do końca życia jako czegoś wyjątkowego i niepowtarzalnego? – Językiem zgarnąłem z kącika ust resztkę jasnozielonego sosu. – Las Vegas, środek nocy, pyszne jedzenie, żadnych obowiązków. Ty i ja.

Tego mu bardzo zazdrościłem. Umiejętności zatrzymania się i chłonięcia chwili.

Przed powrotem do hotelu poszliśmy jeszcze na krótki spacer główną ulicą. Kiedy zrobiło się już jasno, zatrzymaliśmy się pod sklepem. Sebastian wszedł do środka, a ja zostałem na zewnątrz.

– Weź mi wodę! – krzyknąłem, kiedy zniknął w sklepie.

Stojąc przy Las Vegas Strip, podziwiałem reklamy koncertów mieniące się na ogromnych telebimach. Britney, Cher, Backstreet Boys. W zasadzie każdy dzień dawał okazję zobaczenia

na żywo jakiejś supergwiazdy. Nie mieliśmy niestety na to ani pieniędzy, ani czasu.

– *Every night in my dreams I see you, I feel you...* – zanuciłem, spoglądając na fragment występu Celine Dion.

„Ale super, że tu dotarliśmy” – pomyślałem i kiedy wyjąłem telefon, żeby nagrać filmik, poczułem przeszywający ból. Przez ułamek sekundy nie wiedziałem, co się dzieje. Kątem oka zobaczyłem, jak jakaś menda w niebieskiej czapce wykręca mi rękę.

– *Hey, let me go! What the fuck?* – Próbowałem się wyrwać i dosięgnąć go drugą ręką, ale mężczyzna obracał się równo ze mną.

– *Give me your fucking phone* – warknął mi do ucha przez zaciśnięte zęby. Kwaśny zapach z jego ust był prawie tak zabójczy jak narastający ból ramienia.

Przestałem się wyrwać.

– Sebastian! – krzyknąłem. Nie byłem już w stanie nic więcej zrobić. Stałem jak sparaliżowany.

Nikt z przechodzących obok nas ludzi nawet się nie obejrzał. Wszyscy nawaleni. Facet dalej usiłował wyrwać mi telefon. Klęknąłem, żeby bardziej zwrócić na siebie uwagę mijających nas przechodniów, ale podniósł mnie gwałtownie i drugą ręką zaczął podduszać. Czulem, że zaraz stracę przytomność. Nie chciałem tak po prostu pozbyć się wspomnień zapisanych na zdjęciach. Dalej nie puszczałem telefonu. Kręciło mi się w głowie. Coraz mocniej.

– Co jest, kurwa?! – Ze sklepu wybiegł Sebastian. Rzucił reklamówkę z zakupami na ziemię. Usłyszałem dźwięk pękającego szkła. – *Let him go!*

Mężczyzna cofnął rękę z mojej szyi, ale drugą nadal wykręcał mi ramię. W ułamku sekundy Sebastian był przy nas. Błyskawicznie odepchnął napastnika. Mężczyzna upadł na chodnik, a ja razem z nim. Szybko się podniosłem. On nadal leżał. Wyglądał na zdezorientowanego. Spojrzałem na jego twarz. Mógł mieć około pięćdziesięciu albo około dwudziestu lat. Zniszczona, zmęczona, pijana gęba.

Sebastian doskoczył do gościa i mocno kopnął go w brzuch. I kolejny raz. I kolejny. Mężczyzna krzyczał z bólu, a Seba nadepnął butem na jego głowę. „Co jest, kurwa? Gdzie on widział takie akcje?”. Kręciło mi się w głowie z nadmiaru emocji. Wokół zebrali się ludzie. Ciekawe, gdzie byli, jak mnie zaatakowano.

– Zostaw już! Nic mi nie zrobił. To jakiś śmierdzący żul. – Odciągnąłem Sebastiana od mężczyzny z krwawiącym nosem. – Chodź, wracamy do hotelu.

Sebastian splunął na niego.

– Na pewno nic ci nie jest? – zapytał przez zaciśnięte zęby. – Niczego ci nie ukradł?

– Na pewno. Tylko się wystraszyłem. Tak nagle się to wszystko wydarzyło. – Serce biło mi jak szalone. – Daj mi chwilę na ochłonięcie.

Szliśmy w milczeniu. Wtedy po raz pierwszy poczułem, że jest moim filarem bezpieczeństwa i nic złego mi się przy nim nie stanie. Jednocześnie nie mogłem wymazać z pamięci widoku zakrwawionego człowieka kopanego przez Sebastiana.

ROZDZIAŁ 11

– Pytałam, czy był pan w tej Newadzie... – Starsza pani wpatrywała się we mnie zielonymi oczami. – Nic nie słyszę w tej suszarce.

– Tak, tak, byłem. Przepraszam, zamyśliłem się. – Zerknąłem w stronę fotela fryzjerskiego, przy którym rozmowa wcale nie zmierzała ku końcowi.

„Dość już tego pierdolenia!!!” – wyrwał się ze mnie bezgłośny jęk niczym rzyg po za dużej ilości alkoholu. Zamiast tego tylko chrząknąłem głośno i nienaturalnie. Ale skutecznie.

– My już w zasadzie skończyliśmy, choć jeszcze długo moglibyśmy rozmawiać. – Śmiech fryzjerki, wykańczany czymś w stylu świńskiego chrumkania, irytował mnie coraz bardziej. – Mamy tyle wspomnień.

Sebastian chyba zauważył, że już mnie diabli biorą, i podszedł do stolika, przy którym siedziałem. Wyglądał prawie tak samo jak przed strzyżeniem. No, oprócz tego, że był w zdecydowanie lepszym humorze.

– O, wow! Zupełnie inny człowiek – mruknąłem sarkastycznie.

Usiadłem na fotelu, ale nadal nie byłem przekonany, czy to dobra decyzja. Pomyślałem jednak, że jeśli nie skorzystam z tego dobrodziejstwa, to tylko utwierdzę Sebastiana w przekonaniu, że mam problem z jego znajomymi z przeszłości. Miałem wrażenie, że cały fotel jest oblepiony tajemnicami z dawnych lat mojego partnera. Koledzy, koleżanki, imprezy, popijawy, plotki. Resztki opowieści nadal wisiły w powietrzu, drażniąc moje ego.

Iwonka zaczęła zawiązywać mi wokół szyi granatowy fartuch z przyklejonymi jeszcze włosami Sebastiana. Było to obrzydliwe, ale tylko trochę. Zapach wody kolońskiej, której używała do dezynfekcji nożyczek, nieprzyjemnie kręcił mnie w nosie. Wręcz podduszała. Fryzjerka spryskała moje włosy sporą ilością wody, która po chwili zaczęła spływać mi po twarzy. Nie pytając mnie o zdanie, szybko i mało ostrożnie machała nożyczkami z tyłu mojej głowy. Dźwięk strzyżenia mieszał się z tekstem *Tyle słońca w całym mieście* dochodzącym z odtwarzacza. Widziałem w lustrze, jak kilka metrów dalej Sebastian rozmawia z panią, która już wysunęła głowę z suszarki i raz po raz dotykała swoich włosów. Poczulem, że na mojej szyi zaciska się fartuch.

– Powiedz mi, Pawełku, co ty robisz w życiu? – Słodki głos fryzjerki nagle zrobił się pogardliwy. Dobrze, że słyszałem to tylko ja. Muzyka leciała głośno. – Masz bardzo dużo siwych włosów z rozdwojonymi końcówkami.

– Ale w jakim sensie „co robię”? – wymamrotałem, choć myślałem już głównie o siwych włosach. Nie wiedziałem, że mam ich „bardzo dużo”.

– Pytam, co robisz w życiu. – Przewróciła oczami, trzymając nożyczki przy mojej skroni. – Masz w ogóle jakiś cel czy tylko chodzisz za Sebastianem?

Co kurwa? Ton, którym do mnie mówiła, był prześmiewczy, a mimika wręcz prowokująca. Dźwięki ostrza nad moją głową i gęstniejąca atmosfera między mną a fryzjerką spowodowały, że krew zaczęła mi jeszcze szybciej krążyć. Widziałem w lustrze, jak twarz robi mi się czerwona, a po chwili biała. Oddychałem coraz ciężiej.

– Ja już chyba dziękuję! – Kręcąc się, próbowałem odwiązać fartuch. – Muszę wyjść!

Wstałem nerwowo z fotela i przyspieszonym krokiem pomaszerowałem na zewnątrz. Tam dopadły mnie zapachy z baru mlecznego i poczułem się jeszcze gorzej.

Usłyszałem, że drzwi salonu się otworzyły.

– Co ty odpieprzasz? – Sebastian stał za mną i podając mi kurtkę, poczęstował mnie zirytowanym spojrzeniem. – Co ci jest?

W końcu uwolniłem się z fartucha. Rzuciłem go w stronę Sebastiana.

– Ta baba jest walnięta. – Spojrzałem w kierunku okna salonu. Iwonka machała do mnie radośnie. Jak gdyby nigdy nic. „Co za jebnięte, podstępne czuczeło”. W myślach obrzucałem ją obelgami. – Zapytała mnie, czy robię coś w życiu poza chodzeniem za tobą. I chciała mnie jakby udusić – podniosłem głos. – Sugerowała, że bez ciebie nic nie jestem wart. – No, to akurat trochę podkolorowałem.

– Na pewno w ten sposób cię nie zapytała. – Sebastian patrzył na mnie jak na wariata. – Musiałeś coś źle usłyszeć. To o próbie uduszenia puszczyć w niepamięć.

– Otóż zapytała. Wyjątkowo dzisiaj nie nagrywałem wizyty u fryzjera, więc ci tego nie odtworzę – warknąłem. – Możemy już stąd jechać? Zaraz się porzygam.

– A co mam jej powiedzieć? – Seba wskazał wzrokiem na drzwi salonu.

– Powiedz, że źle się czuję. Nie ma opcji, żebym tam wrócił. Albo nie, powiedz, że nie chcę jej znać.

– Paweł, serio? – Sebastian uniósł brew do góry. – Ale wiesz, że masz pocięte włosy z tyłu głowy?

– Trudno, poprawisz mi to w domu. Ja tam już więcej nie wchodzę. – Spojrzałem Sebastianowi prosto w oczy.

Ciarki przeszły mi po plecach. Bynajmniej nie od listopadowego zimna. Na twarzy Sebastiana malowało się rozczarowanie, zniechęcenie i sam nie wiedziałem co jeszcze. Jakiś rodzaj złości? Poległem w pierwszym starciu z przeszłością partnera. Czy to była uczciwa walka? Nie wiem. Na pewno zostałem poturbowany.

ROZDZIAŁ 12

Smród gotowanego kalafiora rozniósł się po całym domu. Próbowałem go zneutralizować świeczką o zapachu pieczonej szarlotki, ale efekt był fatalny. Psy wyraźnie nie dawały rady z tą mieszkanką i kręciły się pod drzwiami, chcąc wyjść na dwór. Wypuściłem je i otworzyłem okno w kuchni.

– Zaraz będzie zimno i całe moje palenie w piecu na nic. – Sebastian podniósł głowę znad książki.

– Chwilę tylko. Przesadziłem z zapachami...

– I nie tylko z zapachami. – W końcu nawiązał do wizyty u fryzjera.

W drodze powrotnej nie zamieniliśmy ani słowa. Doskonale wiedziałem, o co chodzi, ale też miałem poczucie, że przeproszenie go po raz kolejny niczego nie zmieni. Wielokrotnie był świadkiem moich fanaberii, szczególnie po alkoholu. Byłem mało wiarygodny. Mogłem jedynie odczekać, aż mu przejdzie, i zacząć bardziej panować nad swoimi reakcjami. Po kilku godzinach nie byłem już nawet pewien, czy ta cała Iwonka mnie sprowokowała, czy to tylko moja głowa tak wszystko zinterpretowała.

Tak czy inaczej czekał mnie cichy wieczór. A impreza andrzejkowa miała się odbyć pojutrze.

– Smacznego. – Na stoliku kawowym postawiłem Sebastianowi talerz z kalafiolem i sałatką z pomidorów. Wróciłem do kuchni zjeść swoją porcję.

– Chodź tu do mnie, zjedzmy razem. – Sebastian pokręcił głową jak rodzic wybaczący dziecku zrobienie po raz kolejny czegoś chujowego. Dostrzegłem lekkie drgnięcie ust, jakby chciał się uśmiechnąć.

„Może jednak nie będzie tak niemiło?” – pomyślałem.

– Już idę, tylko wpuszczę psy i zamknę okno. – Niemalże w podskokach poszedłem otworzyć drzwi.

Staruszek Bado już czekał na wycieracze. Rózi nie było. Jak zwykle miała swoje sprawy w terenie.

– Róóóózia! Do mnie! – Mój głos rozszedł się po całym lesie. – Róóóóóózia!

Nic. Wyszedłem na ganek i krzyknąłem jeszcze kilka razy. W końcu usłyszałem jakieś ruchy w krzakach i dostrzegłem zbliżającą się w kierunku domu psią sylwetkę. Z czymś w pysku. Z jakąś szmatą. Kiedy suka weszła w krąg światła kinkieta, zauważyłem, że nie trzyma w gębie szmaty, tylko... lalkę. Lalkę ubraną w płaszczyk w czerwono-czarną kratkę. Jakby wyszykowaną na Boże Narodzenie.

Nie wiedziałem, co mam myśleć. Czy to fajnie, że Rózia znalazła sobie nową zabawkę? A może gdzieś niedaleko leżą zwłoki dziecka?

– Skąd to masz? – Nie licząc na odpowiedź, wyciągnąłem lalkę z psiego pyska. – Do domu! Już!

Różia posłusznie puściła zdobycz i poszła do miski z wodą. Trzasnąłem drzwiami i zaafierowany wszedłem do salonu.

– Patrz! – Wyciągnąłem w stronę Sebastiana zabawkę. – Bardzo dziwne, co?

Spojrzał na lalkę, później na mnie, jeszcze raz na lalkę i z powrotem na swój talerz.

– Co dziwne? – Kawalek kalafiora zniknął w jego ustach. – Pies znalazł zabawkę, to ci przyniósł. Teraz musisz się bawić lalką. Zresztą twoja mama mówiła, że jako dziecko chodziłeś do kuzynki tylko po to, żeby pożyczać od niej Barbie. – Zaśmiał się pod nosem.

– Mnie to jakoś specjalnie nie śmieszy. – Zdjąłem lalce czapkę i powąchałem włosy. Nic nie wskazywało na to, że długo leżała w błocie. Pachniała jakby mydłem. – Skąd się tu wzięła lalka?

Uśmiech nie zniknął z twarzy Sebastiana.

– Ludzie gubią w lesie różne rzeczy. Telefony, ubrania, lalki... – wyjaśnił cierpliwie. – Gdyby przyniosła ludzką stopę, to moglibyśmy się zastanawiać, skąd to ma. Zaczynj jeść kalafiora, bo wezmę twoją porcję.

– Jacy ludzie? Przecież nikt tu nie mieszka w okolicy. – Nie dawałem za wygraną i wypływałem z siebie kolejne zdania. – Ta lalka jest jakby... hmm... nowa. Zupełnie niezniszczona i prawie czysta, a pada deszcz. Jakby ktoś kiedyś zgubił ją w lesie, to byłaby ufajdana. Jest koniec listopada i cały czas pada.

– O rany, Paweł... – Sebastian teatralnie wznosił oczy do nieba. – Przecież to nie jest Annabelle ani Chucky. Ale jeśli tak cię niepokoi, to ją po prostu wyrzuc.

A może Sebastian miał rację? Jego beztroski brak zaangażowania w ten wielki problem skutecznie rozwiął moje natrętne myśli. Taka słodka laleczka nie mogła przecież mieć w sobie nic złego. Wytarłem psią zdobycz papierowym ręcznikiem. Zanurzyłem palce w miękkich blond włosach. Wąchając główkę lalki, upewniłem się, że pachnie mydłem.

Kiedy wszedłem do przystrojonego świątecznie salonu, od razu rzuciło mi się w oczy, że kratka na płaszczyku laleczki idealnie pasuje kolorem do wnętrza. Posadziłem ją na półce obok plastikowej Mariah Carey. Spora nobilitacja jak na nowego mieszkańca domu.

– Okej, możesz tu zostać na Boże Narodzenie – rzuciłem w jej stronę, wychodząc z pokoju. – Może jesteś symbolem nadchodzącej zmiany...

Była.

W dniu imprezy roznosiła mnie energia. Zamarynowałem kawalek indyka („Pan mi zaufa, wczoraj jeszcze latał po podwórku”). Zrobiłem humus i flaki z boczniaków. Lodówka była pełna żarcia i alkoholu. Umówiliśmy się, że nikt nie będzie przywoził niczego do jedzenia.

Ostatecznie swoją obecność potwierdzili: przyjaciel Sebastiana Kacper z nową partnerką, mój brat Janek z żoną Sylwią oraz Beatka. Krótką listę gości uzupełnili dawni przyjaciele Sebastiana: Karolina i Bartek. Ci, o których się pokłóciliśmy, zanim jeszcze ich poznałem.

Od samego rana w domu paliły się cynamonowe świece. Zapach był dla mnie na tyle ważny, że nawet rozważałem nierobienie „dwójeczki” przez całą dobę. Ostatecznie

wymięknę po kawie. Dokładnie jednak później przewietrzyłem. Sebastian również dostał ode mnie zakaz dłuższego korzystania z toalety na trzy godziny przed imprezą.

– A jak mi się jednak zachce? – zapytał, patrząc na mnie jak na kogoś, kto postradał zmysły.

– Jedz tak, żeby ci się nie zachciało – odpowiedziałem zajebiście poważnym tonem. – A już na pewno nie jak będą goście.

Impreza z klasą wymagała poświęceń. Niestety jeszcze wtedy nie wiedziałem jak wielkich.

Na środku salonu rozstawiliśmy stół i krzesła. Po cztery osoby z każdej strony i po jednej na szczycie stołu. Złote renifery, bałwanki, sanie, szopka, druga szopka, kolejne bałwanki, kolejna szopka, krasnale... Przesawiałem ozdoby z miejsca na miejsce. Psy cały czas mi coś zabierały. Psy albo Sebastian. Płyta ze świątecznymi piosenkami Mariah Carey zataczała milionowe okrążenie.

– No to poszedłeś na całość. – Sebastian, odpicowany na powitanie gości, wszedł do salonu i rozejrzał się dookoła. Czarna obcisła koszulka idealnie opinała jego ciało, a jasnoniebieskie dopasowane dżinsy podkreślały masywne nogi. – Tobie to się nigdy nie znudzi, co?

– Wiesz, że mógłbym jeszcze więcej tego tu upchać. – Sięgnąłem po miseczkę z nerkowcami i postawiłem ją na środku stołu. Zmierzyłem partnera wzrokiem od góry do dołu. – To dla mnie się tak wystroiłeś?

– Oczywiście, że dla ciebie. A dla kogo? – Mrugnął okiem i wrzucił do ust orzecha. – Tobie też proponuję iść się stroić, gwiazdo, bo już po siedemnastej. Zaraz zaczną się zjeżdżać goście.

– Zaprowadź psy do pokoju gościnnego, żeby nie skakały. – Włączyłem głośno *All I Want for Christmas Is You*. – Pa.

Wszedłem pod prysznic i przesunąłem zawór maksymalnie w lewo. Strumienie gorącej wody spływały po moim ciele. Liczyłem, że wrzątek spłucze ze mnie cały stres związany z wizytą Karoliny i Bartka. Znałem ich z kilku opowiadań Sebastiana. Wiedziałem, że tuż przed tym, jak się poznaliśmy, wylecieli do Londynu. Karolina zajmowała się czymś związanym z medycyną, a Bartek był księgowym. On miał w Londynie chłopaka, Dylana, a ona chyba chwilowo z nikim się nie spotykała. W Polsce spędzali dużo czasu z Sebastianem. Nie wiedziałem tylko, jak wyglądają.

Kiedy po wyjściu z kabiny spojrzałem w lustro, gwałtownie odskoczyłem. Wylaniająca się z pary, pulsująca od gorącej wody czerwona skóra wyglądała jak carpaccio.

Przebierałem się kilka razy. Chciałem wyglądać trochę poważnie, a trochę na luzie. Ostatecznie włożyłem czarne dżinsy i niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami.

Rozległo się szczekanie. Ktoś już przyjechał. Ułożyłem włosy, psiknąłem po szyi kilka razy Black Orchid i pobiegłem do salonu.

– Cześć, kochana. Jak zawsze na czas. Wspaniale, że jesteś. Super wyglądasz. – Nie mogłem się powstrzymać i zadziornie zapytałem: – Schudłaś?

– Już bardziej nie mogę. – Beatka pocałowała mnie w policzek, ignorując moją zaczepkę.
– Patrz, co przygotowałam! – Wskazała palcem na stół.

Aż bałem się zerknąć. I słusznie. Obok moich pięknych reniferów stała miska z sałatką jarzynową. Z drugiej strony stołu Beatka postawiła wielki półmisek tłustych wędlin. Mięsnego jeża.

– Skoro klimat świąteczny, to nie mogło zabraknąć królowej świąt. A wędliny własne, robione przez mojego wujka. Nie musisz dziękować. – Beatka wepchała do ust wielki kawałek podsuszanej kiełbasy. – Sebek wyszedł na dwór, bo ktoś podjechał. Co pijemy? Zrobić ci jakiegoś drinka?

– Nie, dzięki. Ja będę pił wino. – Chwyciłem butelkę shiraza i nalałem pół kieliszka. – Jako pan domu muszę trzymać fason.

– Chyba pani domu – odegrała się Beatka. – Widzę, że Mariah nieśmiertelnie, któryś już rok, stoi na posterunku. A co to za buba obok niej? Nie widziałam tego. – Wskazała na półkę.

– Buba? – Wziąłem łyk wina.

– Buba to po hebrajsku lalka. – Beatka spotykała się kiedyś z biznesmenem z Tel Awiwu. Dodatkowo była też skarbnicą bezużytecznych informacji. Uważała, że jeśli kiedyś będzie występowała w *Milionerach*, to na pewno jej się to wszystko przyda.

– A, to Różia przytargała z dworu, więc umyłem i adoptowałem. – Pogłaskałem lalkę po głowie.

– Skąd taka lalka znalazła się w głębi lasu? Przecież tu nikt nie chodzi. – Beata chwyciła zabawkę i oglądała ją uważnie z każdej strony. – Może ma podsłuch. Trochę to upiorne.

– Weź mnie już w nic nie wkręcaj. – Zabrałem jej lalkę i odłożyłem na półkę. – Dopiero co przestałem o tym myśleć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Sieeemandero! – Stanął w nich Kacper, piękny jak młody bóg, i uśmiechnął się szeroko. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, obcisły biały golf i klasyczne lewisy. Trudno było oderwać od niego wzrok. – Ale tu... świątecznie!

Nawet go lubiłem. Jego młoda i nieskalana intensywnym myśleniem twarz zawsze wprowadzała pozytywną energię. Jak większość dwudziestoparolatków nie myślał jeszcze o ustatkowaniu się, choć każdą dziewczynę określał mianem matki swoich dzieci, Amelki i Natanka.

– Super, że jesteś...cie. – Przybiłem z Kacprem piątkę i zauważyłem, że za nim stoi czarnoskóra dziewczyna. Ubrana w luźną kremową sukienkę w różowe kwiaty trzymała w dłoni torebkę prezentową na alkohol.

– Też się cieszę. Dawno się nie widzieliśmy. – Kacper podszedł przywitać się z Beatką.

Nieznajoma zrobiła krok w moją stronę. Kacper natychmiast do nas doskoczył.

– Pozwólcie, że was sobie przedstawię. – Wykonał nonszalancki ruch ręką. – Oto przyszła matka moich dzieci, Amelki i Natana, Monica, z „c” w środku.

Monica wyciągnęła dłoń w moją stronę, a gdy się uśmiechnęła, moim oczom ukazały się miliony pięknych białych zębów.

– Sześ, jestem Monica. Miło tu być – mówiła zupełnie jak Joanna Krupa. Bardzo słodko. – Mam nadzieję, że lubycie czerwone wino.

– Cześć, nam też miło, że przyjechałaś. Uroczą z was para. Chyba każdy lubi czerwone wino. Pod warunkiem że nie jest to Carlo Rossi. – Mrugnąłem okiem, pocałowałem ją na przywitanie i zabrałem od niej torebkę z winem.

Wyjąłem je z opakowania. Carlo Rossi California Red. „O kurde” – zbeształem się w myślach.

– Sześć, sześć, Monica. Jestem Beata. Czego się napijesz? – Beatka wbiła się między mnie a Monicę.

Będę musiał jej powiedzieć, żeby się nie ustawiała do zdjęć obok partnerki Kacpra, bo tego nie podciągnęlibyśmy żadnym programem korygującym.

– Paweł! – Głos Sebastiana dochodził z przedpokoju. – Goście!

– Beatko, obsłuż gości, jak się tak wyrywasz, a ja zaraz wracam.

– Jedziemy do ciebie setki kilometrów, a ty nawet drzwi nie otworzysz? – Janek zdjął buty i wziął mnie w ramiona. – Chodź tu.

– Cieszę się, że jesteś. – Przytuliłem się do brata. – Tęskniłem za tobą.

Janek był ode mnie młodszy, ale miałem wrażenie, że jest odwrotnie. Kiedy jako kilkunastolatek wracałem po zmierzchu z zajęć pływania, zaatakowała mnie grupa pijanych i agresywnych chłopczków. Janek akurat wyprowadzał w pobliżu naszego psa. Odciągnął napastników i wezwał pomoc. Czułem się przy nim bezpiecznie. Tak jak przy Sebastianie.

– Dobrze wyglądacie, chłopaki. – Moja wysoka bratowa Sylwia pocałowała mnie w policzek.

– No hej, a czemu masz takie krótkie włosy? – Poprawiłem jej opadającą na czoło grzywkę.

– Postanowiłam oddać włosy na fundację Rak'n Roll. – Sylwia przeczesła ręką coś w stylu niedokładnego boba.

– Zajebicie, świetna sprawa. – Klasnąłem kilka razy. – Śmigajcie do salonu. Pewnie jesteście głodni.

Janek i Sylwia weszli do pokoju. Za zamkniętymi drzwiami rozległy się powitalne okrzyki. Zostałem w ciemnym przedpokoju sam z Sebastianem.

– Sylwia ma rację. – Sebastian odpiął mi guzik i włożył rękę pod moją koszulę. Ciepła dłoń przejechała delikatnie po moim brzuchu. – Dobrze wyglądasz.

Na rękach pojawiła mi się gęsia skórka.

– Dziękuję. Ty też. – Przesunąłem go tak, że opierał się o drzwi, i namiętnie pocałowałem. – Smakujesz czekoladę. Dzisiaj będziemy się świetnie bawić. Obiecuję nie przesadzić z winem.

– Na to liczę. – Sebastian chwycił mnie za dłoń, a drugą otworzył drzwi do salonu.

Impreza zapowiadała się idealnie. Oczywiście do czasu...

Poziom znajomości języka polskiego Moniki przez dłuższą chwilę wybijał rytm wybuchów śmiechu. Dziewczyna od razu wpasowała się w rolę. Beatka nie posłuchała mojej rady – strzelała sobie z nią selfie i wrzucała je na Facebooka z hasztagiem „pięknaibestia”. Kiedy też chciałem uwiecznić spotkanie, nigdzie nie mogłem zlokalizować swojego telefonu. Zrobiłem

rundkę po pokojach i ostatecznie znalazłem go w łazience, tam gdzie brałem prysznic. Leżał na wiklinowym koszu z rzeczami do prania i nerwowo migotał. Matka dzwoniła jedenaście razy. Odczytałem też esemesa od niej o treści „Oddzwon”.

– Paweł, gdzie to się stało? – Głos jej drżał. – Masz więcej informacji?

– Mamo, a na jaki temat? – Czułem, jak fala gorąca przepływa przez moje ciało. Przenosiłem ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – To ty dzwoniłaś jedenaście razy, więc mi powiedz, co się stało. Coś z dziećmi?

– No, Jasiu i Sylwia – łkała. – Oni jechali do was i mieli być koło dziewiętnastej, i nie napisali, że są na miejscu. Nie odbierają. Na pewno zdarzył się wypadek!

„Ja pierdolę. Kocham swoją matkę, kocham swoją matkę, kocham swoją matkę... Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...”. Odchrząknąłem głośno.

– Mamo... Janek jest już po kilku drinkach, a Sylwia od godziny gada z Beatką. – Stanąłem przed lustrem i poprawiłem włosy. – Może poczytaj coś wnukom, to się uspokoisz?

– Ale dlaczego nie zadzwonili...? Daj mi Janka do telefonu. – Matka nadal nie potrafiła opuścić swojej bajki. – Chcę go usłyszeć.

– Muszę kończyć. Mamy gości. Przeszkadzasz nam. – Straciłem cierpliwość. – Zadzwonię do ciebie jutro i zamelduję ci, jak wyjadą, żebyś wiedziała, o której zacząć wpadać w paranoję. Pa.

– Paweł, ty nie masz dzieci. Nigdy nie zrozumiesz tego strachu...

Rozłączyłem się. Od razu. Mało co mnie gotowało bardziej niż argument: „nie zrozumiesz, bo nie masz dzieci”. Nie byłem też czarny ani niepełnosprawny, nie mieszkałem na terenie objętym wojną ani głodem, nie chorowałem na raka. Przemylem twarz zimną wodą, napiłem się wina i poszedłem na dół.

Szampan wylewa się, toast mogę wznieść

A ten gość mówi coś – o co mu chodzi?

Już na schodach odniosłem wrażenie, że w salonie jest inna impreza niż ta, którą przed chwilą opuściłem. Po mojej misternie dobieranej składance piosenek na ten wieczór słuch zaginął. Spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, że nie było mnie prawie pół godziny. Jak to możliwe? Wszyscy stali tyłem do wejścia, w półokręgu, twarzami zwróceni w stronę okna. Nawet nie zauważyli, że wróciłem. Czy to znaczyło również, że nie zwrócili uwagi na moją nieobecność? W pierwszym momencie pomyślałem, że może na coś patrzą. Kiedy się do nich zbliżałem, Sylwia odwróciła się do mnie.

– Gdzie byłeś? Dałam nam odetchnąć od świątecznej muzyki. – Uśmiechnęła się, ale ja już prawie nie słyszałem, co do mnie mówi.

Wbiłem wzrok w dwie osoby, których nie było, kiedy wychodziłem szukać telefonu. Brakujący goście, Karolina i Bartek. Zamurowało mnie. Nie tak sobie ich wyobrażałem. Czułem, że nieznaną fragment przeszłości Sebastiana za chwilę rozpląszczy mnie jak czołg. Karolina była naturalną blondynką po trzydziestce. No, może nawet po trzydziestcepiątce. Jej symetryczną twarz zdobił elegancki wieczorowy makijaż. Nie było w nim nic wyzywającego ani prowokującego. Idealną sylwetkę i piękny biust podkreślała czerwona

sukienka kończąca się za kolanem. Na nogach miała proste skórzane buty, a w ręce trzymała kieliszek z białym winem. Przypominała Blake Lively z *Wieku Adaline*. Karolina była piękna.

Po jej lewej stronie stał Bartek. Kiedyś zapytałem Sebastiana, jaki jest jego ideał faceta. Ostatecznie po kilkunastu nudnych odpowiedziach typu „Siedzi przede mną” wydusił z siebie: „Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt pięć, raczej brunet, mocny ciemny zarost, brązowe oczy, zadbane dłonie...”. Ubrałem go w dżinsową koszulę, białe dżinsy i klasyczne timberlandy i wyszedł mi stojący pod oknem Bartek. Bartek był piękny.

Patrząc na nich, poczułem się jak włościanin. Żałowałem, że nie zadałem sobie trudu, aby powęszyć trochę o nich w sieci. Na pewno lepiej bym się ubrał albo bardziej postarał, żeby... jednak ich nie zapraszać. Z drugiej strony nie przyszło mi do głowy, że ludzie spod Sokołowa Podlaskiego mogą tak dobrze wyglądać. Zazdrość.

– Halo, Ziemia do Pawła. Jesteś tu? – Nie zauważyłem, kiedy Sebastian stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu.

Karolina pierwsza wyciągnęła w moją stronę dłoń, ozdobioną klasycznym francuskim manikiurem.

– Cześć, super was w końcu poznać – powiedziałem beznamiętnym tonem. Jej uścisk był mocny, a skóra delikatna. – Sebastian dużo o was opowiadał.

– Na pewno nie wszystko, bo na bank byś się z nim nie związał. – Bartek, śmiejąc się, szturchnął Sebastiana, który natychmiast zauważył moją reakcję. – Nie, Bastuś?

Bartek wydawał się taki arogancki i pewny siebie.

– No na pewno coś jeszcze możecie mi dzisiaj poopowiadać. – Z wymuszonym uśmiechem chwyciłem dłoń Bartka.

Uścisk miał bardzo męski i silny. Patrzył mi głęboko w oczy. Przytrzymałem jego spojrzenie. Nawet Kacper wydawał się przy nim mniej atrakcyjny.

– Naprawdę się cieszę, że przyjechaliście do nas.

Kłamanie w sytuacjach, kiedy czułem się zagrożony, przychodziło mi łatwo. Mój mózg zawsze wtedy pytał: „Taśma profesjonalna czy z podkładem?”, a usta robiły już resztę.

– Bardzo się tutaj zmieniło. Jest pięknie. To pewnie twoja zasługa, Paweł. – Karolina zwróciła się do mnie i chyba zauważyła moją skonsternowaną minę. Skąd ona wiedziała, jak kiedyś wyglądała leśniczówka? – Aaaa, Sebastian ci nie mówił?

– Nie, a czego? – Spojrzałem na Sebastiana ze złośliwym uśmiechem. – Czego jeszcze mi nie mówiłeś, kochanie?

– Mój dziadek kupił ten dom od dziadka Karoliny, stąd ona go zna. Stara historia. Ale fakt, włożyliśmy w ten dom sporo czasu, energii i pieniędzy. – Sebastian odwrócił się do nas tyłem i zaczął robić drinka. – Chodźcie gdzieś usiąść. Stoimy cały wieczór.

Mistrz zmiany tematu.

„Mój dziadek kupił ten dom od dziadka Karoliny...”. Pierwszy raz o tym słyszałem.

Energia krążąca między Bartkiem a Sebastianem nie dawała mi spokoju. Cały czas szeptali między sobą. Ciężko było się pogodzić z tym, że przede mną Sebastian też miał życie, które wydawało się równie atrakcyjne jak to ze mną. „A może bardziej? Może Bartek przypomni mu o czymś, za czym tęskni? Może ja już mu nie będę wystarczał? Może mnie zostawi?”. Czarne myśli kotłowały mi się w głowie. Musiałem coś zrobić, żeby nie oszaleć.

– Słuchaj, Bartek jest tak cholernie atrakcyjny. Czemu mi tego nie powiedziałeś wcześniej? – Ścisnąłem Sebastiana za biceps i odciągnąłem na bok. – Brakowało ci go?

Bartek powędrował za nami wzrokiem.

– Paweł, ile można? Co to ma wspólnego z nami? Kiedyś spędzałem cały czas z nimi, a teraz oddaję go tobie. Oni są moją przeszłością, a ty przyszłością – Sebastian skorzystał ze swojej mocy, którą była cierpliwość. Pogłaskał mnie po policzku i skierował się w stronę gości. – Odpuść.

W ogóle mnie to nie uspokoiło. Nawet jeszcze podkreśliło. Szczególnie kiedy widziałem, jak stoją gdzieś we troje, wymieniają uśmiechy, szepczą i dotykają się, gestykując. Miałem ochotę zakończyć już imprezę.

– Halo, wszyscy, mam pomysł! – Beatka stanęła nagle przy stole i stuknęła łyżeczką w kieliszek z białym winem.

Co ona wymyśliła? Zamierzała iść na dietę czy co? Rozmowy się wyciszyły i każdy spojrzął w stronę pocącej się z podniecenia Beaty.

– W związku z tym, że jest z nami parę osób, które się nie znają... – zerknęła maślanymi oczami na Bartka – ...proponuję, żebyśmy usiedli do stołu i opowiedzieli, co najciekawszego nas spotkało w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Może to być cokolwiek: sukces, porażka, jakaś decyzja. Dzięki temu możemy się poznać. Co wy na to?

Rozejrzałem się wokół. Nikt się nie skrzywił na tę propozycję. Nie zorganizowaliśmy żadnych atrakcji, więc może to nie był najgorszy pomysł.

– Beti jak zawsze pierwsza, żeby z ludzi wyciągać informacje – zaśmiałem się sztucznie. – Przyniosę więcej jedzenia i jeśli nikt nie ma nic przeciwko, to możemy się pobawić.

Gdy tylko to powiedziałem, przypomniał mi się włoski film, który obejrzałem parę lat temu. *Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie*. Miałem nadzieję, że nasza zabawa nie skończy się podobnie. Czyli jak? Wszyscy się ze sobą pokłócą i niepotrzebnie na wierzch wyjdzie zbyt wiele tajemnic. Zanim usiadłem do stołu, dolałem gościom alkoholu i zapaliłem świeczki. Wyglądało to trochę tak, jakbyśmy zaraz mieli wywoływać duchy. Atmosfera była dość sztuczna, ale Beatka ponownie wzięła sprawę w swoje ręce.

– No dobra, to może ja zacznę.

Znowu pomyślałem, że ma pewnie jakieś info, którym chce się podzielić ze wszystkimi, i dlatego rozpozczęła tę zabawę.

– Dajesz, Beti. – Sylwia klepnęła ją po ramieniu.

Beatka wzięła głęboki wdech i zaczęła:

– Pół roku temu poznałam kogoś... – Zabrzmiało to wstydliwie i nieśmiało.

– Wiedziałem! – krzyknął Kacper. – To czemu jego albo... może jej... nie ma teraz tu z nami?

– Jego, Kacperku – westchnęła głośno Beatka i dodała ciszej: – Bo on nie istnieje.

„Boże, takie bzdury to serio tylko Beata może gadać” – jęknąłem w duchu.

– Jak to nie istnieje? – Janek z zainteresowaniem w głosie sięgnął po czipsy. Jakby był w kinie. – Zakochołaś się w bocie?

– No nie istnieje. Przez pół roku byłam w relacji z kimś, kto mnie oszukiwał i podawał się za kogoś, kim nie był. – Beata wzięła łyk wody. Wyglądało to tak, jakby jej zaschło w ustach. –

Wysyłaliśmy sobie zdjęcia i codziennie ze sobą rozmawialiśmy po kilka godzin.

– Czemu się nie spotkaliście albo chociaż nie porozmawialiście na wideo? – ożywił się Bartek. – Rozmowy wideo mogą być podniecające. – Mrugnął w stronę Sebastiana, który udał, że tego nie zauważył.

Ależ to mnie drażniło. Na szyi Beatki zaczęły się pojawiać czerwone plamy.

– Wierzyłam, kiedy mówił, że mu się zepsuła kamera w telefonie. Za każdym razem, gdy mieliśmy się spotkać, działo się coś niespodziewanego. A to choroba, a to burza, a to pies mu uciekł... Posługiwał się zdjęciami innego mężczyzny, a ja naiwna otworzyłam się przed nim. Kiedyś, przeglądając jakąś stronę poświęconą dietom, zobaczyłam mojego mężczyznę reklamującego post doktor Dąbrowskiej i jak poszperałam, to się okazało, że przez cały czas wysyłał mi zdjęcia modela. Wściekła zadzwoniłam do niego, a on mnie wysłuchał, rozłączył się i zablokował...

– Zniknął, czyli zrobił *ghosting* – wytłumaczyła Monica.

– Po co to wszystko? – Sylwia wyraźnie przejęła się historią Beatki. – Mam nadzieję, że nie wysłałaś mu żadnej kasy?

– Nie, pieniędzy nie. Gorzej. Bardzo mi zależało, żeby mieć atrakcyjnego mężczyznę. Byłam w stanie zrobić wszystko.

Miałem wrażenie, że Beatka zaraz się rozplacze.

– Parę tygodni temu zapytał mnie, czy mogłabym spełnić jego fantazję. Napisał, że zawsze chciał zobaczyć, jak jego dziewczyna robi sobie dobrze przebrana za Czarodziejkę z Księżyca.

Mimo powagi na twarzy Beatki salon wypełnił się głośnym śmiechem.

– Beata, ja pierdołę, tylko ty mogłaś coś takiego zrobić. – Sebastian zsunął się z krzesła.

– No serio, nie śmiejcie się z tego. Podzieliłam się tą żenującą informacją, żebyście mi coś doradzili.

Atmosfera w pokoju sprawiła, że Beatkę też zaczęła dopadać głupawka. Chyba zorientowała się, że cała sytuacja jest bardziej śmieszna niż straszna.

– Ja się naprawdę boję, że ten filmik może wylądować na jakimś kanale dla dorosłych.

– Nawet gdyby, to wyląduje w zakładce „animowane”, a on jest raczej mało popularny w Europie. – Janek ledwo mógł dokończyć zdanie ze śmiechu. – No, ale w Azji może już jesteś gwiazdą.

– Nic się nie przejmuj, kochana. Kim Kardashian to bardzo pomogło – dodała Sylwia, ledwo łapiąc oddech.

Szklanki i kieliszki z alkoholem opustoszały prawie natychmiast. Beatka i Bartek poszli po dolewki, a Kacper flirtującym tonem, cały czas spoglądając na Monicę, powiedział, że związek z nią to nie tylko najważniejsze, co go spotkało w ostatnim półroczu, ale i w całym życiu. No wiadomo.

Bartek i Beata wrócili do stołu. Nie mogłem przestać wyobrażać jej sobie w stroju Czarodziejki z Księżyca.

Monica powiedziała, że przyleciała niedawno do Polski, żeby odnaleźć swojego tatę, Polaka. Jej rodzice poznali się, kiedy ojciec był na dwuletnim kontrakcie menedżerskim w Kenii. Opowiedziała, jak trudno się wychowywać bez taty. A na koniec, widząc

rozczarowanie na twarzy Kacpra, że to nie on jest największym wydarzeniem w jej życiu, dodała:

– Kacpel baldzo mi pomaguje i jest super chopakiem.

Bardzo chciałem usłyszeć, co Bartek i Karolina robią teraz na Podlasiu, zamiast popijać Long Island Tea w Soho.

Przez cały wieczór czułem na sobie intensywny wzrok Bartka. Widziałem też, jak patrzy na Sebastiana. Karoliny zupełnie nie mogłem rozgryźć. Na pierwszy rzut oka miała w sobie dużo klasy. Na drugi i trzeci też. Widać, że mieszkała jakiś czas za granicą i zupełnie nie pasowała do Podlasia. Jednak z jakiegoś powodu była z nami. Żeby usłyszeć ich historię, musiałem się uzbroić w cierpliwość. Za to mój brat się rozochocił i wręcz wyrwał do mówienia.

– To może teraz ja, a w zasadzie my. – Głos Janka był już mocno rozluźniony alkoholem. Chwycił Sylwię za rękę, a ona spojrzała mu w oczy, nieśmiało się uśmiechając. – Nie zamierzaliśmy jeszcze się dzielić tą informacją, ale skoro nasza Czarodziejka z Księżycą wymyśliła taką formę spędzania wieczoru, to wam powiemy, że... kilka tygodni temu otrzymaliśmy pozytywną decyzję z ośrodka adopcyjnego i nasza rodzina się powiększy.

– O psa? – Przekręciłem pytająco głowę.

– Nie, o dziecko. To czteroletni Kubuś. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. – Sylwia patrzyła przed siebie zamyślona. – Nie planowaliśmy adopcji, ale po przeczytaniu jego historii nie mogliśmy spać przez kilka nocy.

Zrobiło się poważniej. Czułem jakiś rodzaj dyskomfortu, że dowiaduję się o tym w takich okolicznościach, a brat niczego wcześniej mi nie powiedział.

– Wow, gratulacje! – Sebastian przybił piątkę Jankowi i przytulił Sylwię. – Wznieśmy toast za tę wspaniałą wiadomość! – Znałem go i zauważyłem w jego wzroku jednak coś więcej; gdzieś głęboko w sercu bardzo im zazdrościł możliwości adopcji.

Janek podszedł i nachylił się w moją stronę.

– Sorry, Paweł, chcieliśmy wam powiedzieć w bardziej intymnej atmosferze – powiedział ściszym głosem.

– Spoko, gratulacje. – Uśmiechnąłem się najszczerzej, jak byłem w stanie udawać.

Po kilku minutach toastów i podśmiewania się z historii Beatki wróciliśmy do snucia opowieści.

– Słuchajcie, to może teraz ja – zacząłem. – Było już familijnie, romantycznie, a nawet erotycznie, to ja wrzucę wątek kryminalny.

Udało mi skupić wzrok wszystkich na sobie. Wziąłem łyk wina i mówiłem dalej:

– Większość z was słyszała, że kilka tygodni temu nasz sąsiad został znaleziony martwy. – Rozejrzałem się po salonie. Atmosfera zbudowana. – Tak się składa, że prawdopodobnie byłem ostatnią osobą, która chodziła pod jego domem w wieczór przed znalezieniem ciała. Wydaje mi się, że kogoś mogłem tam widzieć. Albo inaczej, ktoś mógł widzieć tam mnie.

O tak, cudownie było budować ten suspens i być w centrum uwagi.

– Przyczyna śmierci Marcina nie jest znana. Od tamtej pory ciągle mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Jak tu przyjechalśmy, to wydawało mi się, że znalazłem ślady butów pod oknem. Kiedy Różia przyniosła ostatnio z lasu lalkę, to mnie to jeszcze bardziej nakręciło. Ostatnio dosłownie wystraszyłem się własnego cienia i codziennie piję alkohol. Miewam

przez to problemy z pamięcią. – Złapałem głęboki oddech i wypłułem ostatnie zdanie: – Dodatkowo kilka miesięcy temu odszedłem z pracy, bo sobie nie poradziłem z presją.

Sebastian położył rękę na moim kolanie w geście wsparcia. Chyba nie spodziewał się takiego publicznego wyznania.

Rozejrzałem się po pokoju. Znowu zrobiło się posepnie. Miałem wrażenie, że akurat po mnie każdy się spodziewał czegoś zupełnie innego. Zadowolony, uśmiechnięty człowiek sukcesu opowiedział, że ma zaburzenia obsesyjno-lękowe i nie radzi sobie z życiem zawodowym.

– Chłopaki, a wy macie psy, nie? – Karolina przerwała dość długą, krępującą ciszę. – Gdzie one są?

– A właśnie, psy, wypuśćmy je na chwilę na dwór i rozprostujmy kości. – Sebastian wstał od stołu.

To był dobry moment na łyk świeżego powietrza. Goście zaczęli wkładać kurtki, a Sebastian wypuścił Rózię i Bado na zewnątrz. Dalej jednak nie wiedziałem, czemu Bartek wrócił do Polski.

Spędziliśmy na dworze około dziesięciu minut. Sebastian pokazał latarką, w którym miejscu łosie wychodzą na żer. Było zbyt zimno, żeby długo stać bez ruchu na podwórku. Karolina i Monica wróciły wcześniej, bo miały lekkie kurtki i od razu zmarzły.

Przerwa dobrze nam zrobiła. Moglibyśmy w zasadzie już zacząć tańczyć, ale musiałem się dowiedzieć, dlaczego Bartek przyjechał na dzisiejszą imprezę.

– Dobra, to ostatnia prosta. – Spojrzałem na Bartka. – Co się u was ostatnio działo?

– Może nie aż takie pasmo niepowodzeń jak u ciebie, ale też nie było różowo. – Bartek uśmiechnął się do mnie niby szczerze, a tak naprawdę złośliwie. *Sorry not sorry*. Debil.

– Kilka tygodni temu rozstałem się z partnerem, Dylanem. Kiedy Karolina powiedziała, że wraca do Polski, postanowiłem zabrać się z nią – kontynuował już normalnym tonem. – Oszczędziłem parę groszy. Myślę, żeby przeprowadzić się do Warszawy i tam znaleźć pracę.

„No to zajebicie. Dokładnie tego nie chciałem usłyszeć. Bartek na stałe w naszej okolicy” – pomyślałem podłamany.

– Ale czym chcesz się zajmować? Masz jakiś pomysł? – Opróżniłem kieliszek. – Jesteś w czymś dobry? Potrafisz coś? Co-kol-wiek?

– Nie sprowokujesz mnie, Pawełku – odpowiedział z kamienną twarzą. – Ostatnio pisałem sporo z Sebastianem i obiecał mi pomóc ogarnąć jakieś zlecenia w modelingu. – Bartek obliznął usta i spojrzał na Sebastiana.

Poczułem nienaturalne uderzenie ciepła. Musiałem wstać od stołu.

– A ty? Po co wróciłaś? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby w stronę Karoliny i dosunąłem krzesło. – Też się zatrudnisz u Sebastiana?

Karolina spojrzała w moją stronę i w zwolnionym tempie założyła za ucho kosmyk włosów, który opadał jej na twarz.

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – Uśmiechnęła się nienaturalnie lewą stroną ust. Na jej twarzy widać było napięcie.

– Dawaj, chociaż opowieść o pornosie Beaty jest nie do przebicia. – Kacper wpatrywał się w Karolinę, która nalewając sobie białego wina, przeleciała wzrokiem po wszystkich.

– *Well*, to posłuchajcie, czemu tu jestem. – Stanęła przy oknie i obciągnęła czerwoną sukienkę.

Było w niej coś, co przyciągało uwagę. Coś, co powodowało, że jeśli tego chciała, to nie można było przestać na nią patrzeć. Nikt z obecnych w salonie nie potrafił oderwać od niej wzroku. Była niesamowicie seksowna, ale jednocześnie delikatna. Otaczała ją aura pewności siebie, choć w ułamku sekundy potrafiła sprawić wrażenie skromnej i zagubionej. Chwilami patrzyła na mnie przenikliwie, a zaraz wydawała się błędzić myślami daleko stąd.

Przechyliła do ust kieliszek ze śladami karmazynowej szminki na brzegach. Dopija resztę wina i zaczęła opowiadać:

– Przez kilka lat pracowałam w średniej wielkości szpitalu w Londynie. Byłam pielęgniarką, ale miałam też uprawnienia, żeby asystować w mniej skomplikowanych operacjach. Spędzałam w pracy dużo czasu. Czasami mój dyżur trwał szesnaście godzin. Mimo poważnych zobowiązań w życiu prywatnym przez kilka lat ani razu nie wzięłam urlopu ani *sick leaves*. – Wzięła tyk wody i głośno przełknęła. – Ponad rok temu pojawiła się możliwość awansu. Szpital otworzył rekrutację na stanowisko szefowej pielęgniarek i położnych. Miałam najdłuższy staż ze wszystkich pracujących tam osób i byłam pewna, że jak złożę dokumenty, to reszta będzie formalnością. Bardzo chciałam tego stanowiska. Ono mi się należało. – Karolina zrobiła pauzę i spojrzała na mnie. – Paweł, wszystko okej? – zapytała. – Masz bardzo rozszerzone źrenice. W pracy widywałam codziennie takie przypadki.

Chciałem odpowiedzieć, że wszystko w porządku, ale odlatywałem. Coś rozbijało mi zdania w głowie. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Przecież nie wypilem aż tyle. Opowiadanie Karoliny mieszało mi się z rzeczywistością. Docierały do mnie jakieś pojedyncze wyrazy: „konkurencja”, „nie mogłam na to pozwolić”, „świeciło słońce”, „wypchnęłam go z okna”. Trzęsącą się ręką sięgnąłem po szklanekę z wodą i opróżniłem ją łapczywie. Skupiłem na maksa wzrok na Karolinie, która zdawała się kończyć swoją historię.

– Poszłam do Starbucksa po lodowe cappuccino i wróciłam do swoich pacjentów. Kilka dni później dostałam awans. Niestety śledztwo ciągnie się do tej pory. Okazało się, że jego żona kiedyś groziła mu śmiercią. Cały czas w szpitalu przebywała policja. Nigdy nie byłam łączona z tym wypadkiem, ale cały czas jednak siedziało mi to z tyłu głowy. Dlatego wróciłam na Podlasie.

W pokoju zapanowała cisza. Nawet czarnoskóra Monica jakby zbladła. Nikt nie chciał się odezwać pierwszy. Karolina przeszła się po salonie, stanęła pod drzwiami wyjściowymi i przekreśliła klucz w zamku. Spojrzała na nas i nie odrywając wzroku, chwyciła prawą ręką srebrny nóż. Wydawało mi się, że pokój zaczął się kołysać. Karolina patrzyła na wszystkich kilka sekund albo minut, albo godzin, po czym wybuchnęła śmiechem:

– *Oh, guys*, co wy macie takie miny? Postanowiłam przebić historię Beaty i opowiedziałam wam jeden z odcinków serialu, który ostatnio oglądałam. – Odłożyła nóż na stół i sięgnęła po kostkę sera.

Miałem wrażenie, jakbym usłyszał jedno wielkie, zsynchronizowane westchnienie ulgi.

– Ja pierdolę, dziewczyno, prawie się posikałem, jak po tej opowieści wzięłaś do ręki nóż. Aż chwyciłem Sylwię za rękę. Już się zastanawiałem, kto się zajmie naszymi dziećmi, jak nas zaciukasz. Ty powinnaś grać w filmach. W horrorach! – wydusił z siebie Janek na jednym wydechu i wstał od stołu. – Muszę się więcej napić.

– Bravo! – Kacper był zachwycony opowiadaniem Karoliny. – Przez chwilę nawet ci uwierzyłem. Ale się spociłem. – Podniósł ręce, żeby pokazać nam plamy pod pachami.

Sebastian nadal miał nietęgą minę. Znałem go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie lubił takiego rodzaju poczucia humoru.

Na czas tej popierdolonej opowieści moje krążenie prawie się zatrzymało. Kiedy historia dobiegła końca, znowu zrobiło mi się nad wyraz ciepło. Czułem, jak złość na nowo napływa mi do ciała. Na początku do opuszek palców u rąk, a później popęzła przez ramiona po szyi i niczym wąż oplotła moją głowę, żeby uszami i nosem dostać się do środka.

Kiedy Karolina przeżuła kawałek sera, jej twarz znowu nabrała łagodnego i niewinnego wyrazu. Po raz kolejny poprawiła ten wiecznie opadający kosmyk włosów i usiadła koło Moniki.

„Kurwa, doktor Jekyll i mister Hyde. Laska w kilka sekund z wulgarniej i agresywnej psychopatki zmieniła się w uosobienie delikatności. Może to od tego sera? Może sam powinienem zjeść kostkę, to zszedłby ze mnie ten buzujący nie wiadomo dlaczego megawkurw?” – gdybałem w myślach. Niestety czułem, że niczego nie przełknę.

Podszedłem do blatu i odruchowo schowałem do szafki nóż, którym Karolina nam dla żartu groziła. Zanim zamknąłem drzwiczki, jeszcze raz na niego spojrzałem i przeszło mi przez myśl pytanie, co by było, gdyby jedno z nas naprawdę postanowiło zabić resztę. Czy to rzeczywiście byłoby takie proste? Po jakim czasie komuś udałoby się nas znaleźć? Przecież byliśmy w środku lasu. Pomyślałem, że w życiu nie zostaną sam w tym domu. Jak się później okazało, los okazał się bardzo przekorny.

Wzięłem kawałek papierowego ręcznika, psiknąłem na niego kilka razy sprayem do drewna i zacząłem wycierać blat wokół zlewu. Krople potu skapywały mi z czoła na powierzchnię, którą cały czas wycierałem. Z moim ciałem działo się coś, czego wcześniej nie doświadczyłem. Obróciłem się w stronę gości i w zwolnionym tempie powiedziałem:

– Wiecie, że tak naprawdę nie miałem ochoty na to spotkanie i większości z was nie lubię?

W ogóle nie było mi głupio, gdy to powiedziałem. Kiedy oczy wszystkich zwróciły się na mnie, poczułem rozpieńającą dumę.

– Paweł, co ty gadasz? Za dużo wypiełeś. Odstaw już alkohol. – Sebastian podszedł do mnie i wyciągnął dłoń w stronę mojego kieliszka. Byłem szybszy, cofnąłem rękę. – Poza tym wycierasz czysty blat.

– Nie mów mi, co mam robić. – Dopilem wino. Kilka kropel skapnęło na podłogę.

– O, kłopoty w raj! Będzie drama. – Usłyszałem, jak Bartek zaciera dłonie, i dopadło mnie kolejne uderzenie gorąca. Czułem, że jeśli stąd nie wyjdę, to rzucę się na niego.

– Idę się przewietrzyć! – warknąłem, ciskając papierowym ręcznikiem o ścianę nad zlewem.

– Bardzo dobry pomysł! – Głos Janka za moimi plecami ciągnął się aż do wyjścia.

Objając się od ściany do ściany, wyszedłem na dwór. Miałem nadzieję, że ktoś za mną wybiegnie, ale było cicho. W zasadzie chyba nic takiego nie powiedziałem, choć byłem świadomy, że od kiedy wróciliśmy do pokoju, wysyłałem bardzo złą energię w stronę Bartka i Karoliny.

Zacząłem chodzić wokół domu. Powietrze zrobiło się gęste i miałem wrażenie, że zaraz będę mógł w nim pływać. Zapach lasu wydawał się wyjątkowo intensywny. Wszechogarniająca cisza drenowała mój mózg. Zawróciłem w stronę uchylonych drzwi. Lekko je pchnąłem i usłyszałem, jak Kacper mówi do Sebastiana:

– Musisz mu powiedzieć, że kiedyś do czegoś między wami doszło. Może na początku nie zareaguje dobrze, ale później to zrozumie.

– Ale ja już jestem zmęczony tymi ciągłymi atakami o byle co. – Sebastian ściszył głos. – Każda osoba związana z moją przeszłością powoduje u nas konflikt. Rozmawiamy, on przeprosza, a potem to samo. Nie warto mu niczego mówić, bo to zawsze obraca się przeciwko mnie.

W tym momencie ktoś chwycił za klamkę z drugiej strony, a ja nieomal wpadłem do środka. To była Beatka. Spojrzałem w lustro w przedpokoju. Moje odbicie było wręcz fioletowe ze złości. Zaciśnięte zęby i rozszerzone źrenice wskazywały na to, że chyba traciłem rozum. Fala nienawiści do wszystkich zalała moje ciało.

– Uważaj, grubasie! Nie mogę już na ciebie patrzeć. Jesteś wszędzie! Twój tłuszcz wypełnia cały dom! – wydarłem się na Beatkę, która odskoczyła jak oparzona. Popchnąłem ją i wszedłem do salonu.

Sebastian i Kacper natychmiast do nas przybiegli.

– Paweł, co się dzieje? Wyluzuj. – Janek wstał od stołu, z wyraźnym niepokojem patrząc w moją stronę. – Może napij się wody?

– Co, kurwa, wyluzuj?! Sam wyluzuj albo zaadoptuj jeszcze kilkoro dzieci. Bo przecież możesz! – Widziałem, jak kropelki mojej śliny lądują na jego twarzy. – Doskonale wiedziałeś, jak bardzo my chcemy adoptować dziecko, to musieliście zająbać nam to marzenie. Mało ci dzieci? Może tymi, co masz, zajmij się, jak należy?! – Mój nienaturalnie brzmiący głos wypełniał pokój.

– Mocno przesadzasz. Nasza decyzja nie ma nic wspólnego z wami. – Sylwia wiedziała, że gdyby się nie wtrąciła, między mną a Jankiem mogłoby się zrobić gorąco. – Janek, siadaj. On za dużo wypił.

Towarzystwo wyglądało na przestraszone moim zachowaniem. Tak bardzo miałem to w dupie. Nie wiedziałem, skąd we mnie tyle złości i nienawiści, ale czułem się tak, jakbym odgrywał rolę życia w Teatrze Narodowym. Publiczność, choć skromna, zdawała się doceniać moją pracę. Wziąłem kubek z reniferem i nalałem do niego wódki. Kacper wyciągnął rękę, by mi go zabrać.

– Wypierdalaj, lalusi! Weź te łapska! Połóż je na swojej czekoladce! – Duży łyk wódki wykrzywił mi twarz. – A właśnie, gratuluję! Udało ci się rzutem na taśmę przed końcem roku zaliczyć czarną laskę. Tak chyba brzmiało twoje ostatnie postanowienie noworoczne, nie?

Monica spojrzała na Kacpra, a ten usiadł przy niej i szepnął jej coś do ucha. Do pokoju wgramoliła się zalana łzami Beatka. Na jej widok chciałem przestać ich ranić. Chciałem, ale nie mogłem. Wszystko migotało mi przed oczami. Nosem wciągałem powietrze, które było

bardzo gęste i cynamonowe. Ludzie zaczęli mi się rozmywać. Poczulem, że ktoś mnie bierze za rękę. To Sebastian.

– Paweł, dzieje się z tobą coś złego. Za dużo wypiliśmy. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Energicznie wyrwałem dłoń z jego uścisku.

– Nie-do-ty-kaj-mnie! Teraz masz ochotę mnie dotykać? – Stałem przy nim, prawie stykając się z nim nosem. – Jak próbowałem się do ciebie zbliżyć przez kilka ostatnich tygodni, to jakoś nigdy nie miałeś ochoty. Ciągłe tylko siedzisz z nochalem w telefonie! – Dotknąłem palcem jego nosa. – Ale już wiem, co tak zaprzętało twoją głowę! A raczej kto!

Ruszyłem w stronę Bartka, który stał jakieś dwa metry ode mnie. Jego przerażony wzrok szukał pomocy na twarzach innych. Na jego nieszczęście byłem szybszy niż ktokolwiek. Dwa dynamiczne kroki i pchnąłem go na ścianę.

– Wiem, po co wróciłeś do Polski, frajerze! Widzę, jak na niego patrzysz. Możesz go sobie zabrać. Najlepiej jak najdalej ode mnie! – krzyknąłem.

Chwyciłem szklankę, która stała na stole, i oblałem Sebastiana czymś w kolorze coli.

– Ciebie też nienawidzę! Cały czas mnie okłamujesz! Wszystkich was nienawidzę! Żałuję, że się zgodziłem na to spotkanie! Wynocha!

Nikt już nic nie mówił. Wszyscy patrzyli na mnie. *Have yourself a merry little Christmas, let your heart be light...* Sinatra nie brzmiał w tej chwili jak Sinatra. Jego głos był ciężki i rozciągnięty, a melodia piosenki zaburzona. Wszystko wokół wirowało. Oparty o lodówkę, zacząłem się osuwać na ziemię. Poczulem, że dwie osoby przytrzymują mnie pod ręce. Przez chwilę próbowałem im się wyrwać, ale robiło się ciemno, coraz ciemniej.

– Jezu, co mu jest?

– Sebastian, czy on bierze jakieś leki? Od której godziny pił?

– Może wezwijmy karetkę?

Gęsta smoła paraliżowała mój wzrok i słuch. Nie mogłem się ruszyć. Wokół zapanował przerażający bezczas. Nie widziałem już nic. Nie słyszałem już nic. Tylko ciemność i cisza.

ROZDZIAŁ 13

DAWNIEJ

Honolulu

– Paweł, patrz! – Głos Sebastiana wyrwał mnie z nieplanowanej drzemki na lnianym hamaku.

Wiatr na Hawajach był niczym najdelikatniejsza tkanina na świecie. Przylegał subtelnie do ciała, otulał je i sprawiał, że unosiłem się nad ziemią w polinezyjskiej bańce, zapominając o całym wszechświecie.

– O! Skąd to masz? – Lekko śnięty spojrzałem na dwa kaski kołyszące się na dłoniach Sebastiana. Domyśliłem się, że to dla nas. – Ja biorę ten niebieski z brokatem!

– Specjalnie z myślą o tobie go wziąłem. – Sebastian podrzucił kask. – Kiedy przysnąłeś, podjechałem autobusem do Honolulu i wynająłem motocykl na dwa dni. Szykuj się, zaraz ruszamy podziwiać wyspę!

Od kilku dni wynajmowaliśmy biały domek w pobliżu stolicy Hawajów. Mała chata położona wśród egzotycznej zieleni, niedaleko oceanu, była naszym kolejnym przystankiem na trasie. Przed przylotem mieliśmy ambitne plany codziennego zwiedzania kawałka wyspy Oahu, ale ta miejscówka, znaleziona na Airbnb, przyciągała jak magnes, niełatwo nam było się z niej ruszyć.

Tuż obok tarasu rosła papaja, której owoce stały się podstawą naszych śniadań. Zdrowa odmiana po jajkach i tłustych tostach jedzonych na kontynencie. Nieopodal oceanu dojrzewały pomarańcze i awokado. Przepiękne wschody i zachody słońca w odcieniach czerwieni, niespotykane nigdzie indziej na świecie, stanowiły idylliczne tło dla pitych codziennie kolorowych koktajli. Utknęliśmy w raj.

– Daj mi kilka minut. – Zsunąłem się z leżaka i pobiegłem po plecak. Wskoczyłem w szare dresowe spodnie i wciągnąłem białą koszulkę bez rękawów. – A dokąd jedziemy?

– Czy to ważne? – Sebastian zapinał już kask. – Przed siebie, tam gdzie nas oczy poniosą. To nie jest duża wyspa. Nie powinniśmy się zgubić.

Był jedyną osobą, której mogłem zaufać w takiej sytuacji. Gdyby tylko matka to słyszała.

– No to w drogę! – Usiadłem za nim i objąłem go w pasie. – Odpalaj.

Rozległ się niski dźwięk tłumików. Przez pierwszych kilka minut Sebastian oswajał się z harleyem, który wydawał się nówką. Większość Hawajczyków jeździła dużymi samochodami. Tablice rejestracyjne wszystkich pojazdów zdobiła tęcza, co tutaj nie miało nic wspólnego ze społeczno-politycznymi dyskusjami. Tęcza to znak stanu Hawaje. Rowerów właściwie nie widziałem, a i motocykle były rzadkością.

Jakieś kilkanaście kilometrów od Honolulu wjechaliśmy na serpentynę ciągnącą się wzdłuż linii brzegowej. Widok oceanu z perspektywy harleya zapierał dech w piersi. Turkusowa woda rozbijała się o brzeg, a jej zapach i ciepło słońca sprawiały nierealne wrażenie, niczym wielokrotnie przefiltrowane zdjęcie z Instagrama. Włożyłem ręce pod koszulkę Sebastiana i przejechałem dłońią po odrastających włosach na umięśnionej klatce piersiowej. Przytuliłem się z całej siły do jego pleców.

Mimo kiepskiej orientacji w terenie zorientowałem się, że wjeżdżamy w głąb wyspy. Mijaliśmy coraz mniej domów, a coraz więcej kolorowych hibiskusów pod palmami. Całe ciało miałem pokryte gęsią skórką. Przepelniała mnie mieszanka radości, ciekawości i ekscytacji związana z nieznanym. Prawie dwanaście tysięcy kilometrów na zachód od naszego domu pojąłem prawdziwe znaczenie słowa *aloha*, czyli miłość, pokój, serdeczność, współczucie. Nie należałem do osób szczególnie uduchowionych, ale czułem, jak między mną a Sebastianem przepływa coś magicznego.

Zaparkowaliśmy w pobliżu parku kipiącego soczystą zielenią. Ilość nowych, egzotycznych barw, zapachów i dźwięków przyprawiała o zawroty głowy. Ruszyliśmy przed siebie. Na początku wędrówki chłonałem *aloha* każdym centymetrem ciała. Po kilkudziesięciu minutach spacerowania z kilkukilogramowym plecakiem moje nogi zaczęły robić się coraz cięższe. No wiadomo.

– Seb, usiądźmy gdzieś i zjedźmy część z tego, co noszę na plecach, żeby mi się łatwiej chodziło. – Wlokłem się już dobre trzy kroki za Sebastianem.

– Spoko. – Wyjął litrową butelkę wody i wziął duży łyk. – Już powinno być lżej.

Wyciągnąłem wystający z plecaka zielony koc i rozłożyłem go pod drzewem. Pod pięknym drzewem.

– Uwaga, zarządzam! – Rozpakowałem przygotowany w domu chleb tostowy z awokado. – Zjemy kanapkę i banany!

Niby nic takiego, a tam smakowało jak danie z najlepszej restauracji.

– Po odwiedzeniu szerokich plaż Malibu myślałem, że nie zobaczę już podczas tych wakacji nic piękniejszego. Ale tu jest naprawdę bosko. Czuję się tak, jakbyśmy grali w *Lost*. – Sebastian rozsiadł się wygodnie koło mnie i rozglądał się po okolicy. – A właśnie! Wiesz, że niedaleko kręcono większość scen z *Parku Jurajskiego*? Fajnie byłoby to zobaczyć, nie?

– Ja tam niekoniecznie. Nawet nie oglądałem żadnej części. – Ziewnąłem zupełnie niechcący. – A ci w *Lost* to chyba też nie skończyli najlepiej.

Sebastian westchnął i teatralnie wybałuszyl oczy.

– Jak to nie oglądałeś żadnej części *Parku Jurajskiego*?

– No jakoś nigdy nie było po drodze. – Nie rozumiałem, skąd u niego aż takie zaskoczenie. – Wolałem obejrzeć po raz kolejny *Uciekającą pannę młodą* niż dinozaury.

Sebastian położył się z głową na moich kolanach.

– A słyszałeś chociaż, że alfabet hawajski składa się tylko z dwunastu liter?

„O matko, a niby skąd?” – pomyślałem.

– Możemy się zabawić w taką grę. – Seba podniósł się i usiadł obok mnie. – Będziesz zgadywał, które to litery, a ja będę przytakiwał albo zaprzeczał. Jak zgadniesz, to dostajesz buzi. Co ty na to?

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Poglaskałem miękką trawę. – Jesteśmy w tak filmowej scenerii, że zgadzam się na wszystko.

Przez kilka minut wymieniałem litery i udało mi się zgadnąć „a”, „e”, „i”, „o”, „p”, „w”, „n” i chyba „m”. Zabawy alfabetem po kilkunastu minutach wprowadziły nas w leniwy nastrój. Wyjątkowo nawet pocałunki do niczego nas nie pobudziły. Leniwy dzień, leniwy my.

Położyłem głowę na plecaku i zacząłem się przyglądać drobnym listkom poruszającym się na wietrze. Czulem, jak spływa na mnie fala polinezyjskiego szczęścia. Upadający nieopodal na ziemię kokos wyrwał mnie z objęć Morfeusza. Gdy otworzyłem oczy, miałem wrażenie, że obudziłem się w przepięknym obrazie Henriego Rousseau *Tygrys podczas burzy tropikalnej*. Brakowało tylko burzy i tygrysa, i... Sebastiana. Zerwałem się na baczność, niestety zbyt gwałtownie. Oparłem się jedną ręką o drzewo.

– Sebastian! – Stanąłem na palcach i rozglądałem się wokół. – Sebastian! Już nie śpię!

Cisza.

– Sebastian, kurwa! To nie jest śmieszne!

Echo odpowiedziało leniwie.

„Stało się coś złego”. Pierwsza myśl po tym, jak zorientowałem się, że zostałem sam w parku, nie była dla mnie zaskoczeniem. Przyszło mi do głowy kilka scenariuszy, które musiałem rozważyć. Brałem pod uwagę łagodniejsze wersje wydarzeń, takie jak ta, że Sebastian mnie zostawił i wrócił do Polski albo gdzieś patrzy na mnie z boku i się śmieje. Tylko dlaczego?

W przeciwieństwie do niego, szukając informacji o miejscach, do których podróżowaliśmy, trafiałem głównie na wiadomości o przemocy i zbrodniach, których dokonano w okolicach, gdzie mieliśmy przebywać. Gdy tak stałem w parku, przypomniał mi się artykuł o dusicielu z Honolulu. Z tego, co pamiętałem, seria zbrodni miała miejsce w latach osiemdziesiątych i ofiary znajdowano w okolicach lotniska. W tym momencie wydawało mi się to jednak na tyle prawdopodobne, że nie mogłem przestać myśleć o tym, że już nigdy nie zobaczę Sebastiana.

Nie miałem ze sobą telefonu. Minuta połączenia wychodzącego kosztowała ponad dziesięć złotych, więc wyłączyłem go całkowicie. Do zdjęć używaliśmy iPhone'a Sebastiana, bo miał dużo lepszy aparat. Rozejrzałem się wokół i próbowałem się zorientować, z której strony tu dotarliśmy. Zanim zatrzymaliśmy się na przerwę, przez ostatnie kilka minut kolana bolały mnie już tak bardzo, że szedłem, patrząc tylko na trawę pod nogami. Byłem zdany na swoją intuicję, która jak zwykle mnie nie zawiodła i mówiła, a nawet krzyczała: „Sebastian nie żyje! Ty też zaraz umrzesz! Nawet nie próbuj się stąd ruszać!”. Mój wewnętrzny histeryk sabotażysta był w swoim żywiole. Poczulem ogromną potrzebę ucieczki i schowania się w bezpiecznym miejscu. Przeogromną. Serce zaczęło mi kołatać, a oddech był coraz płytszy i szybszy. Objąłem się, wsuwając ręce pod pachy.

Mimo że nie myślałem już racjonalnie, przypomniał mi się fragment wywiadu z psychologiem obejrzany kiedyś w *Dzień dobry TVN*. Gość śniadaniówki był przystojny, więc pewnie dlatego przykuł moją uwagę. W sytuacjach, w których odczuwamy strach i nie ma wokół nas nikogo, radził przykryć się od stóp do głów kocem. Jadłem wtedy owsiankę w swoim bezpiecznym domu i wydało mi się to głupie i infantylne. Gdy jednak wyłączyłem sam w środku tropikalnego parku, nie miałem innego pomysłu. Przez moment przeszło mi

jeszcze przez myśl, żeby wspiąć się na drzewo i wzywać pomoc. Wizualizacja tego planu była idiotyczna. Chwyciłem więc zielony koc, na którym wcześniej siedzieliśmy, narzuciłem na siebie i usiadłem z podkulonymi nogami. Koc okazał się za mały, żeby nakryć mnie całego, dlatego plecami dotykałem drzewa. Musiało wystarczyć. Wiedziałem, że aby w ogóle myśleć o wyjściu z tej sytuacji, muszę odzyskać trzeźwość umysłu. Żeby odzyskać trzeźwość umysłu, musiałem wyciszyć ciało. Żeby wyciszyć ciało, musiałem dać mu złudne poczucie bezpieczeństwa. Koc.

Po kilku minutach zacząłem odczuwać zbawienne właściwości zielonej płachty. Oddech odzyskał rytm, a jazgot w głowie ustępował miejsca śpiewowi kardynałków i szumowi wiatru. Wydawało mi się nawet, że gdzieś w oddali słyszę ludzkie głosy.

– Paweł, a co ty robisz? – Wyraźnie rozbawiony Sebastian zerwał ze mnie koc. – Myślisz, że cię nie widać?

Tętno znowu gwałtownie mi podskoczyło. Widok Sebastiana wywołał we mnie sprzeczne uczucia. Byłem szczęśliwy, że go widzę. Byłem wściekły, że mnie zostawił.

– Ej, stary, co się stało? – Pochylił się nade mną. – Czemu masz łzy w oczach?

Pęknęłam.

– Gdzie ty, kurwa, byłeś tyle czasu, debilu?! – Wstałem i odepchnąłem go od siebie. – Czemu mnie tu zostawiłeś?! Przecież nie mam ze sobą telefonu!

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że się wystraszysz. – Błękitne oczy Sebastiana straciły blask. Zauważyłem, że coś wystaje mu z dłoni.

– Co to jest? – powiedziałem przez zęby i wskazałem na zaciśniętą pięść.

– To triceratops, pamiątka dla ciebie. – Jego spojrzenie nadal było zgaszone. – Ranczo Kualoa, gdzie kręcili *Park Jurajski*, jest niespełna dziesięć minut stąd. Wykorzystałem to, że odpoczywasz, i podjechałem tam. Nie było mnie maksymalnie trzy kwadranse. Bardzo chciałem zobaczyć to miejsce chociaż przez chwilę.

– Aha, czyli sam sobie zasłużyłem na to, co mnie tu spotkało? – przerwałem mu, podnosząc głos.

– O czym ty w ogóle gadasz? – Sebastian również wracał do formy. – Co takiego cię tu mogło spotkać? Zostałeś sam sto metrów od parkingu pełnego ludzi!

– Nie zrozumiesz. – Moje emocje zaczęły już opadać.

Mimo że miałem wrażenie, jakby podczas jego nieobecności przeszła przeze mnie trąba powietrzna, to chciałem już o tym zapomnieć.

– Sorry jeszcze raz. – Sebastian otarł spływającą mi po policzku łzę. – Nie wiedziałem, że tak się przestraszysz.

– Dobra, już się ogarniam. Dzięki za dinozaura. – Uśmiechnąłem się i przytuliłem do Seby. – Sebastian...

– Co jest, młody? – Seba głaskał mnie po głowie.

– Obiecuj mi tylko, że już nigdy mnie nie zostawisz samego bez ostrzeżenia – chlipnąłem.

Objął moją głowę dłońmi.

– Obiecuję... – wyszeptał.

ROZDZIAŁ 14

– Po co się przebrałaś? – Przecierając oczy, spojrzałem na siedzącą koło mnie Sylwię, ubraną w szary dres. Ja miałem na sobie spodnie od piżamy i błękitny T-shirt Sebastiana. Obok łóżka stała plastikowa miska. – Czemu jestem w łóżku?

Wydawało mi się, że picie alkoholu miałem wczoraj pod kontrolą. Doskonale pamiętałem, co się działo. W każdym razie do pewnego momentu.

– Janek, chodź! – Sylwia krzyknęła w stronę kuchni. – Obudził się!

Janek wszedł do pokoju z ultrapoważną miną, taką, jaką miewał, kiedy dzieci mocno coś przeszkrobały. W ręce trzymał szklankę soku pomarańczowego. Też był ubrany inaczej, niż zapamiętałem.

– Pij do dna. – Wyciągnął dłoń w moją stronę. – Możesz wstać i przejść się po pokoju?

– O co ci chodzi? – Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. – Czuję się dobrze. Rozumiem, że złapałem zgoną na imprezie i położyliście mnie do łóżka. Już się ogarniam i wracam. A ty dlaczego tak siedzisz przy mnie jak matka? – Przysiadłem na skraju łóżka obok Sylwii.

– Pilnowałam, czy oddychasz. – Odwróciła wzrok i wstała.

– Głupie to. Co się tak wkręciliście? – Łyknąłem soku. – Reszta w salonie? Która jest godzina?

– Paweł, nikogo tu nie ma oprócz nas. – Janek usiadł koło mnie. – Dochodzi południe. Impreza się skończyła. A raczej ty ją skończyłeś. Nie pamiętasz?

– Jak to ja ją skończyłem? O której? Spałem tyle godzin? Gdzie Seba? – Nagle zaczął we mnie narastać niepokój. Poczułem pulsowanie w skroni.

„Czarodziejka z Księżycy adoptowała dziecko? Ktoś wypadł z okna? Bartek jest atrakcyjny?”. Jakieś niezrozumiałe wspomnienia kotłowały się w mojej głowie.

– Słuchaj, nie widzę sensu, żeby w tym momencie gadać o wszystkim, co się wczoraj wydarzyło. Nawet nie mam ochoty. Myślę, że z czasem zaczniesz sobie przypominać. – Janek pogłaskał mnie po głowie. – Teraz ważne, żebyś stanął na nogi i wziął prysznic. My musimy zaraz wracać do domu i chcę mieć pewność, że normalnie funkcjonujesz.

– Jak to, że normalnie funkcjonuję? – W moich ustach płonęła Sahara. – Pytałem, gdzie jest Sebastian. – Rozejrzałem się wokół. – Sebastian! – wydarłem się najgłośniejszym głosem, jak pozwolił na to mój zachrypnięty głos.

Sylwia i Janek spojrzeli na siebie.

– Wyjechał. – Sylwia poszła w stronę wyjścia. – My też już się będziemy zbierać.

– Pojechał do sklepu? – Coś mi nie grało.

– Nie, nie do sklepu. Sebastian wrócił do Konstancina – westchnął Janek. – Powiedział, żebyś przeczytał od niego wiadomość na Messengerze, jak się ockniesz.

Uderzenie gorąca. Musiało się stać coś złego. Próbowałem sobie przypomnieć cokolwiek z wczorajszego wieczoru. Przed oczami nie pojawiały się żadne logiczne ciągi wspomnień. Wciąż czułem za to towarzyszące mi wtedy emocje: pobudzenie, złość, zazdrość i strach. Chwyliłem telefon. Wiadomość o promocji w perfumerii i przypomnienie o płatności za abonament, nic istotnego. Drżącym palcem nacisnąłem ikonę Messengera.

Paweł, kiedyś obiecałem, że nigdy Cię nie opuszczę bez pożegnania. Dzisiaj muszę złamać to przyrzeczenie i wyjechać. Pamiętasz słowa Samantha z *Seksu w wielkim mieście*? Powiedziała do swojego partnera: „Kocham ciebie, ale siebie kocham bardziej”. Ten cytat dedykuję dzisiaj Tobie. Pół nocy pilnowaliśmy Cię na zmiany, trzymaliśmy Cię za rękę, baliśmy się o Ciebie. A to wszystko dlatego, że raz kolejny przesadziłeś z piciem. Że wino okazało się ważniejsze od nas wszystkich.

Pojawiły się też pewne okoliczności, obok których nie mogę przejść obojętnie. Muszę trochę pomyśleć.

Wracam do Konstancina. Zostawiam Ci Rózię, żebyś się nie bał sam mieszkać. Drap ją ode mnie przed snem. Jakbyś czegoś potrzebował, to pisz. Trzymaj się. Kocham Cię, S.

„Co jest, kurwa?”. Niczego z tego nie rozumiałem.

– Paweł, chodź się pożegnać! – Stanowczy głos Sylwii sprowadził mnie na ziemię.

Poszedłem do przedpokoju.

– Już jedziecie? – Nie wiedziałem, czy przemawia przeze mnie smutek, czy strach przed samotnością. – Może zostanieie do jutra?

– Naprawdę musimy wracać. – Janek z zatroską miną przyciągnął mnie do siebie i przytulił mocno. – Martwię się o ciebie, bracie. Masz takie fajne życie. Nie psuj tego. Dbaj o Sebastiana. I przede wszystkim dbaj o siebie.

– A może zabiorę się z wami i odwieziecie mnie do Sebastiana? – zapytałem niepewnym głosem. Znałem jednak Sebę wiele lat i wiedziałem, że jeśli prosi mnie o trochę czasu dla siebie, to najgorsze, co mógłbym zrobić, to mu to na siłę odebrać. – Albo nie... to bez sensu.

Poczułem się tak, jakbym wszedł do pomieszczenia, które zamiast powietrza wypełnia gęsty smutek. Z każdym oddechem było mi coraz trudniej.

– Przepraszam, jeśli was czymś wczoraj zraniłem. Naprawdę niewiele pamiętam z ostatniego wieczoru. Dałbym sobie rękę uciąć, że wypilem tylko dwa lub trzy kieliszki wina – wydukałem ze ściśniętym gardłem. – Tyle przynajmniej pamiętam.

– Wszystko się ułoży. Damy znać, jak dojedziemy do domu. – Sylwia pocałowała mnie w policzek. – Nakarmiłam Rózię już dwa razy, a dla ciebie ugotowałam rosół.

– A ja ci przyniosłem drewna przynajmniej na dwa dni. – Janek mrugnął, wskazując na kupkę pieńków.

– Dziękuję wam za wszystko! – krzyknąłem w stronę odjeżdżającego samochodu. – Bezpiecznej drogi!

Nie przyznałem się im, że nie potrafię rozpalić w piecu. Myślałem, że zawsze będzie to robił Sebastian. Zamknąłem drzwi do domu. Założyłem zabezpieczający je łańcuszek i usiadłem na ziemi. Różia polizała mnie w policzek i położyła głowę na moich nogach. Zostaliśmy we dwoje w środku lasu.

ROZDZIAŁ 15

Po wyjeździe Sylwii i Janka snułem się bez celu po domu. Zjadłem rosół i poszedłem z psem na spacer do lasu. Było szarawo, zimno, ponuro.

Gdzieś w oddali, na środku pola, dostrzegłem rodzinę łosi karmiących się tym, co jeszcze udawało im się znaleźć o tej porze roku. „Wiesz, że nogi łosia nazywają się badyle?” – powiedziałby pewnie teraz Sebastian, a ja udałbym, że mnie to nie interesuje. Sebastiana jednak nie było. Nie miałem nawet pewności, czy w ogóle był jeszcze w moim życiu. Czytałem wielokrotnie wiadomość od niego. Każde zdanie analizowałem kilka razy, doszukując się drugiego albo trzeciego dna, chociaż doskonale wiedziałem, że on nie porozumiewał się ze mną podtekstami.

Różia, mimo że niezapięta na smyczy, maszerowała w zasadzie równo ze mną. Widoczność była mocno ograniczona. W pewnym momencie suka się zatrzymała i zaczęła warczeć.

– Co tam jest? Ja nic nie widzę. – Musiałem zacząć się przyzwyczajając, że pozostało mi teraz tylko gadanie do psa. – Czemu warczysz?

Suka nadal była pobudzona.

Zatrzymałem się i włączyłem latarkę w telefonie. W oddali zauważyłem jakiś kształt, który przesuwiał się w moim kierunku. Stałem z boku ścieżki, przytrzymałem psa i czekałem. Po kilkunastu sekundach już widziałem, że zbliża się do mnie człowiek z czymś w ręce. Nie byłem w stanie określić ani jego płci, ani tego, co niósł.

– Dobry wieczór, kierowniku! – Facet. Mężczyzna po kilku głębszych w geście szacunku zdjął i włożył beret. – A kierownik to z tej chatki w lesie?

– Dobry wieczór. – Podniosłem latarkę tak, żeby widzieć jego oczy. – Tak, z tego domku. Z grupą znajomych spędzamy tam czas – skłamałem.

– A żona widziała, że wszystkie samochody już odjechały, to myślałem, że nikogo nie ma. – Jego ton nie wzbudzał podejrzeń. – I światła zgaszone.

– Nie, nie. Jest nas dużo – skłamałem ponownie.

– A to uszanowanko i miłego wieczoru. – Mężczyzna zaczął się oddalać. – A, i pan uważa na pieska, bo dużo tu dzikiej zwierzyny. No i myśliwych.

– Dziękuję. Do widzenia. – Dopiero kiedy odchodził, zauważyłem, że w ręce trzyma puste wiadro.

Głos matki niczym chmurka z komiksu pojawił się nad moją głową: „W Rosji istnieje przesąd, że jeśli zobaczysz osobę, która niesie puste wiadro, będziesz miał pecha. Przesąd narodził się po tym, jak cara Aleksandra II zabił człowiek z pustym wiadrem”. Zajebiście. W tył zwrot. Kamień spadł mi z serca, kiedy wróciłem do domu. Pusto, ale bezpiecznie. Chyba.

Za jednym podejściem zrobiłem prawie osiem tysięcy kroków. Zgłodniałem. Podszedłem do kuchenki gazowej, dotknąłem garnka i szybko cofnąłem dłoń. Zupa była gorąca. Teoretycznie niemożliwe, bo podgrzewałem ją ze cztery godziny wcześniej. Spojrzałem na palnik, był wyłączony. Zapalki leżały tam, gdzie je zostawiłem. „Dziwne” – pomyślałem, ale w piramidzie potrzeb głód był wyżej niż zastanawianie się nad tym, jak długo stygnie zupa, więc zabrałem się do jedzenia. W domu wszystko wyglądało tak, jakby poprzedniego wieczoru nie odbyła się żadna impreza. Pamiętałem, że Beata przyniosła zapasy wędlin i sałatki jarzynowej na kilka tygodni, ale kiedy zajrzałem do lodówki, niczego tam nie było. Dlaczego zabrała jedzenie z powrotem do domu?

Usiadłem na czerwonym fotelu w rogu pokoju i po raz kolejny próbowałem sobie przypomnieć, co takiego się stało. Pamiętałem, że opowiadaliśmy sobie, co się u nas ostatnio ciekawego wydarzyło. Pamiętam też, że kiedy robiłem komuś drinka, to podszedł do mnie Bartek i dał mi buziaka w policzek, mówiąc: „Pod jemiółą można”. Ostatnie zdarzenie, jakie mogłem sobie przypomnieć, to wyjście z psami na dwór.

Napisałem esemesa do Beatki:

Hej, trochę mnie odcięło wczoraj. Żałuję, że nie zdążyłem nawet spróbować Twojej przepysznej sałatki, a widzę, że cała zniknęła 😊

Różia wgramoliła się na fotel i położyła koło mnie. Zrobiło się ciasno. Jednak ciepło, które mi dawała, działało jak balsam na moją duszę. „Boże, dopomóż mi być takim człowiekiem, za jakiego uważa mnie mój pies” – przeczytałem kiedyś i dzisiaj wyjątkowo bliskie były mi te słowa. Dźwięk przychodzącej wiadomości od Beaty wyrwał mnie z zamyślenia nad moimi błędami z poprzedniego wieczoru.

Zabrałam wszystko, co zostało, do domu, żeby to zjeść i być jeszcze grubsza. Nie sądziłam, że potrafisz być taki podły.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Znałem ją wiele lat i wiedziałem, że wiadomość bez emotikonów oznacza: „Trzymaj się na razie ode mnie z daleka”. Uszanowałem to, będąc bardziej niż pewien, że za parę dni sama się do mnie odezwie. Dwie bliskie osoby nie chciały mieć ze mną kontaktu po imprezie. Wynik zacny, nawet jak na mnie.

W domu robiło się coraz zimniej. Nawet nie chciałem próbować z piecem. Wrzuciłem kilka małych kawałków drewna do kominka. Udało się rozpalić. Było cieplej, ale tylko w jednym pomieszczeniu. Palenie w kominku nie było rozwiązaniem na dłużej. Na pierwszą noc musiało jednak wystarczyć. Oczy same mi się zamykały. Wziąłem jeszcze do ręki komórkę, żeby sprawdzić, czy Sebastian się nie odezwał. Na Messengerze czekały na mnie trzy wiadomości.

Dojechaliśmy do domu. Zazwyczaj piszę „Dzięki za imprezę”, ale tym razem sobie daruję ;) Jak rosół wystygnie, to go schowaj do lodówki, żeby się nie zepsuł.

„Gorzej, jeśli w ogóle nie wystygnie” – pomyślałem po przeczytaniu wiadomości od Sylwii.

Mama wysłała mi link do artykułu o tytule *Odpowiedz na 10 pytań i dowiedz się, czy masz raka jelita*.

Nadawcą trzeciej wiadomości był Sebastian. Serce zabiło mi mocniej.

Farelka jest na poddaszu, za puszkami z farbami.

Nie wiedziałem, czy to troska o to, żebym nie marzył, czy podkreślenie mojego braku ogarnięcia w temacie ogrzewania.

Dzięki. Przepraszam. Kocham Cię. P.

Przy okazji zajrzałem na Facebooka. Niepotrzebnie. „Marcin Wróbel ma dziś urodziny. Pokaż mu, że o nim pamiętasz!”. Pokaż mu, że o nim pamiętasz... Pamiętałem cały czas. Były momenty, kiedy nie myślałem o śmierci Marcina, ale wspomnienia wracały jak bumerang. Na jego pogrzebie były tłumy. Zastanawiałem się, czy wśród tych wszystkich ludzi były osoby, które mogły chcieć jego śmierci. Czy pojawił się ktoś, kto mnie widział pod jego domem tamtej nocy.

Listopad nie rozpieszczał wyborem kwiatów, wszystkie wiązanki były do siebie podobne, jakby zrobione w jednej kwiaciarni. Różniły się tylko napisami na wstęgach: „Kochanemu mężowi”, „Najdroższemu synowi”, „Naszemu tatusiowi”, „Będziemy tęsknić, przyjacielu”...

Wspomnienie pogrzebu Marcina było jak wypełniona niepokojem strzykawka wbita w żyłę. Bez większego namysłu usunąłem Marcina ze znajomych na Facebooku. Od razu pożałowałem, bo już nigdy nie będę mógł zajrzeć do jego zdjęć. Wysłałem ponownie zaproszenie. „Co ja robię?” – pomyślałem zdumiony.

– Chodź ze mną do kuchni po wino. – Szturchnąłem Rózię, ale spała już jak zabita z nosem pod poduszką.

Tylko konkretna dawka cabernet sauvignon mogła zadziałać jak antidotum na wspomnienia z pogrzebu. Z wypełnionym po brzegi kieliszkiem usiadłem przy stole. Otworzyłem paczkę papyrkowych chipsów i podziwiałem bożonarodzeniowy wystrój pomieszczenia. Zapach świecy, odpowiednia ilość wina i świąteczne piosenki ze Spotify wystarczyły, żeby przygnębiające wspomnienia zostały zastąpione ciepłymi rozmyślaniami o zbliżającym się Bożym Narodzeniu. W miarę jak się rozluźniałem, wracały również pojedyncze scenki z minionego wieczoru. Jezu, ale czemu popchnąłem Bartka?

Spojrzałem w stronę figurki Mariah Carey, która sumiennie pełniła swój coroczny dyżur na regale. Spojrzałem jeszcze raz. Coś mi nie grało. Brakowało lalki przyniesionej przez psa z dworu. Pamiętałem, że Beatka pytała mnie o nią, ale skoro nie mogłem odtworzyć tego, co sam robiłem przez część imprezy, to tym bardziej mało realne wydawało mi się przypomnienie sobie, czy w przypływie pijackiej szczodrości nie oddałem komuś lalki. Albo w kogoś nią nie rzuciłem.

Było parę minut po dwudziestej drugiej. Od zmęczenia, przez pobudzenie, wróciłem do stanu, kiedy znowu zrobiłem się senny. Kończąc butelkę wina, leniwie przewijałem nagłówki na Pudelku. Przypomniało mi się, że zapomniałem pogratulować Kacprowi fajnej dziewczyny. Kiedyś wspominał Sebastianowi, że bardzo podobają mu się mulatki. Monica nie dość, że piękna, to jeszcze sprawiała wrażenie mądrej i wrażliwej (a przynajmniej do momentu, który pamiętałem). Wszedłem jeszcze raz na Facebooka, żeby napisać do Kacpra. Wstukałem jego imię i nazwisko, a tam... „Dodaj znajomego”. Co do cholery? Dlaczego usunął mnie z grona znajomych? Czy po wczorajszym wieczorze był ktoś, kto chciał jeszcze mieć ze mną kontakt?

Od początku wiedziałem, że ta impreza to zjebany pomysł.

ROZDZIAŁ 16

W samolotach powtarzają, że w sytuacjach awaryjnych najpierw należy nałożyć maskę sobie, a potem dziecku. Ma to sens. Trzeba w pierwszej kolejności pomóc sobie po to, żeby ratować resztę. Z taką błyskotliwą myślą obudziłem się następnego dnia. Właściwie to obudziło mnie zimno nieopalanego domu.

Aktywność fizyczna, prawidłowe odżywianie, odstawienie alkoholu, wyciszenie głowy i odpowiednia ilość snu. Wszystko, czego nie lubiłem, miało mi pozwolić odzyskać kontrolę nad sobą i swoim życiem. Ale przede wszystkim nad związkiem, który wisiał na włosku.

Zanim jednak mógł nastać „nowy dzień, nowy ja”, musiałem jeszcze usunąć mały kamyczek z bucika.

Za wygląd części domu odpowiadał Sebastian. W zasadzie wszystko mi się podobało. Wszystko z wyjątkiem dwóch lusterek umieszczonych w sypialni na przeciwległych ścianach. Nieskończone odbicia wyglądały efektownie, jednak w Meksyku istniał przesąd, że ustawiając lustra naprzeciw siebie, otwieramy drzwi diabłu. Skoro przez kilka dni ten dom miał być tylko dla mnie, to zdjąłem jedno z lusterek, w ratonowej oprawie, i ostrożnie postawiłem je w przedpokoju. Lustro od zawsze uchodziło za niezwykle silne magiczne narzędzie, a jego stłuczenie mogło przynieść siedem lat nieszczęścia. Nie chciałem ryzykować. I tak nie miałem za dużo farta, żeby nim tak szastać.

Po kawie ruszyłem sportowym krokiem na spacer po lesie z psem. Telefon pokazywał, że na dworze powinno być około siedmiu stopni na plusie. Kłamca. Jak zawiało, to było jakieś dziesięć, ale na minusie. Oddech parował mi białą mgiełką. Kiedy z zaplanowanych dziesięciu tysięcy kroków zrobiłem zaledwie cztery, musiałem zawrócić, żeby cieplej się ubrać. Nogi miałem zdrętwiałe z zimna.

Zbliżając się do domu, z daleka zobaczyłem, że coś leży pod płotem. Różia podbiegła i obszczekała, jak się okazało, karton zaadresowany na moje nazwisko. Poznałem ten sposób pakowania. Zabrałem przesyłkę do domu. Nie przypominałem sobie, żebym kupował wino. Może zamówił je dla mnie Sebastian? Nie, na pewno nie on. Przecież on był przeciwny mojemu picciu. Alkohol źle wpływał na nasz związek. A chyba mu na mnie zależało. To komu mogłoby być na rękę, żebym więcej pił? No, ale skoro już przyszło, to otworzyłem. W środku było dwanaście butelek caberneta. Tego samego, po którym butelki wystawiałem przed dom. Z jednej strony ucieszyłem się, że mam zapas alkoholu przynajmniej na kilka dni, a z drugiej zaledwie kilka godzin wcześniej podjąłem decyzję o abstynencji. „Najwyżej przesunę postanowienie o kilka dni” – zdecydowałem.

– Cześć, co słycać? – Mama zadzwoniła akurat wtedy, kiedy kończyłem jeść makaron z suszonymi pomidorami. – Słyszałam, że sam siedzisz na wsi. Nie boisz się?

– Cześć, mam. Nie, nie boję się. Co takiego mogłoby mi się stać? – Czemu ja nadal się dawałem łapać w te jej pułapki?

– Paweł, nie każ mi wymieniać – padła błyskawiczna odpowiedź. Czułem, że lista była już od dawna gotowa. – Wystarczy, że się poślizgniesz i stracisz przytomność.

– To samo mogłoby się stać w Konstancinie albo gdziekolwiek indziej – odpowiedziałem, próbując zakończyć wątek.

– No, ale tam by cię ktoś prędko znalazł, a teraz jesteś w środku lasu. – Nie dawała za wygraną. – A kiedy w ogóle wraca Sebastian? Albo kiedy ty wracasz do Konstancina? Byłoby dobrze, żebyś nie mieszkał tam sam.

– Komu? – syknąłem.

– Co komu, Pawełku?

Uf, połknęła haczyk.

– Komu byłoby dobrze, jakbym nie mieszkał sam? Chyba głównie tobie. Podjęliśmy z Sebastianem decyzję, że spędzimy kilka dni osobno, i nie mam z tym problemu. – Udawałem spokojnego. Ale chyba bezskutecznie.

– Nie musisz być taki biernie agresywny. – Znowu użyła swojej przewidywalnej broni „na ofiarę”. – To wasze życie, ale ja na waszym miejscu...

„Proszę się nauczyć z tym żyć... Proszę to zaakceptować... Ona taka jest... Ona się nie zmieni...”. Słowa mojej terapeutki galopujące w gąszczu myśli przypomniały mi się w ostatniej chwili.

– Mam, Kocham cię, ale makaron mi wystygł – odpowiedziałem słodziutko. – Zadzwoń jutro. Pa.

– Węglowodany o tej porze? No jak uważasz. Pamiętaj, żeby przed snem sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte. – Musiała skończyć po swoim. – No ja bym się bała. Paaa...

Oglądałem kiedyś odcinek durnego programu pod tytułem *Śmierć na 1000 sposobów*. Pokazywano w nim najdziwniejsze i najmniej prawdopodobne sytuacje, które miały tragiczny finał dla ich bohaterów. Na przykład mężczyznę, który zmarł po zrobieniu sobie lewatywy z wiśniówki. Moja matka mogłaby zarobić krocie, wymyślając dla nich scenariusze.

Zjadłem zdecydowanie za dużo. Położyłem się na kanapie i przykryłem kocem. Jeszcze kilka dni temu pospieszałem kupującą koszulę nocną Beatę, bo chciałem już wracać do domu, do czekającego na mnie Sebastiana. A teraz przez tę pieprzoną imprezę nie było przy mnie nikogo. Wydawało mi się, że nie przysypiam, ale gdy otworzyłem oczy, na dworze było już ciemno.

Kiedy podnosiłem się z zamiarem nalania sobie darowanego wina, Różia zaczęła szczekać, tak jak zawsze szczekała, kiedy ktoś obcy zbliżał się do domu. Po chwili usłyszałem, że jakiś samochód podjeżdża pod ogrodzenie. Pierwszą myślą, jaka przeszła mi przez głowę, było to, że Sebastian wrócił. Radość. Wyjrzałem przez okno, ale zobaczyłem tylko światła przed domem. Halogenowe. To nie Sebastian. Rozczarowanie. Na granatowy dres narzuciłem puchowy bezrękawnik i w kaloszach poczłapałem w kierunku auta.

– Cześć, pijaku! – zawołał z daleka zadowolony nie wiadomo z czego Bartek. – Wytrzeźwiałeś już?

– Cześć – mruknąłem niechętnie. – Sebastiana nie ma.

– Wiem, że go nie ma, bo niedawno się z nim widzieliśmy. – Nachylił głowę do otwierającego się okna od strony pasażera. – Chodź, jest w domu.

Z samochodu ostrożnie wyszła ubrana w beżowy płaszcz Karolina.

– Hej, przystojniaku! Możemy na kawę? – Pomachała prawą ręką. W lewej trzymała owinięte przezroczystą folią żółte tulipany. – Sebastian powiedział, że lubisz sernik. Zajechaliśmy po drodze do cukierni. Nie możesz nam odmówić.

„Oczywiście, że mogę” – pomyślałem. Ale niech wleżą. Może dowiem się o nich czegoś więcej.

– Jasne, chodźcie. – W sumie chciało mi się czegoś słodkiego. – Od razu ostrzegam, że będziecie musieli się przykryć kocami albo zostać w kurtkach. Nie potrafię palić w piecu i ogrzewam się farelką, kominkiem albo kuchenką gazową.

Po przyjeździe z zewnątrz wydawało się, że w domu jest ciepło.

– Szalu nie ma, rzeczywiście, ale kurtkę na razie zdejmę. – Bartek powiesił fioletową puchówkę na wieszaku. – Ty też się rozbieraj. – Pomógł Karolinie zdjąć płaszcz.

Różia podbiegła do nich, merdając ogonem. Musiała ich zapamiętać z imprezy. Nie sprzątałem od momentu, kiedy zostałem sam. W powietrzu unosił się zapach cebuli i czosnku po gotowaniu obiadu. Na stole leżało opakowanie po chipsach, a koło śmietnika stały puste butelki po winie. Po podłodze walały się brudne skarpetki. Kaloryfer ozdabiały suszące się czerwone reeboki.

– Może coś ci pomóc posprzątać? – Karolina rozejrzała się po salonie. – Albo wyprać?

– Nie, dzięki. Wasza wizyta zmotywowała mnie do porządków. Zajmę się tym jutro. – Rzeczywiście poczułem się zawstydzony. – Przygotuję napoje i pokroję sernik, a ty, jak możesz, to wóź kwiaty do wazonu. Dziękuję jeszcze raz. Czego się napijecie?

– Ja czarnej herbaty. – Karolina napełniała wodą przezroczysty wazon w kształcie walca. – Bez cukru.

– A ja poproszę dyniowe latte na sojowym – krzyknął Bartek, rzucając Rózi gumowego kurczaka.

Karolina wybuchnęła śmiechem.

– Zrób mu rozpuszczalną z dwóch łyżeczek. – Postawiła na stole wazon z tulipanami. – To nie Soho, królewiczu.

Chwilę później siedzieliśmy przy stole. Karolina w czarnej dzianinowej sukience do kolan, Bartek w białej bluzie z kapturem, a ja w poplamionym pomidorami, tanim granatowym dresie. Ich perfekcyjność ponownie mnie onieśmielała. Drażniła. Z tego, co mówili, nie wynikało, żebym podczas imprezy jakoś szczególnie szalał i wyrządził komuś krzywdę. Musiałem jednak wziąć pod uwagę, że przez ostatnie lata mieszkali w Londynie. Byłem kilka razy na Wyspach i pamiętam, że Brytyjczycy nie znają umiaru w piciu i awanturowaniu się. Latające po pubie krzesła były tam codziennością.

– A po co byliście u Sebastiana? – Przypomniało mi się, kiedy wrzuciłem w siebie trochę sernika.

– Nie pamiętasz? – Bartek mrugnął do Karoliny i znowu zwrócił się do mnie: – Znam ludzi ze świata fitnessu i mody, więc na pewno będę mógł mu pomóc w powiększaniu portfolio klientów. Nawet już umówiliśmy jednego modela na sesję.

– O, szybko działasz. – Wielka chmura z napisem „zazdrość” zbierała się nad moją głową.
– A co to za model?
– Najbardziej zarozumiwały na świecie – rzuciła Karolina, poprawiając włosy.
– A chcesz wracać na piechotę do tej swojej dobudówki? – Bartek pokazał jej środkowy palec i wrócił do mojego pytania. – Ja pójde na pierwszy ogień. Seba mówił, że szuka teraz modelu do sesji kąpielówek. – Bartek zawiesił głos, sprawdzając moją reakcję.
Z całej siły gryzłem policzek od wewnątrz.
– Kacper jest za młody, a inni w zimie robią masę. Teraz na nowo układam sobie życie i jestem cały czas gotowy na randki, więc wyglądam fantastycznie. Myślisz, że nie dam rady?
– Bartek wstał, podniósł bluzę i pokazał idealny opalony sześciopak.
Zaświszczało mi w uszach. Miałem wizję Sebastiana i rozebranego Bartka w studiu fotograficznym. Mój partner poprawiał mu obcisłe kąpielówki, a Bartek przytrzymywał jego dłoń na swoim kroczu.
– Słuszna decyzja. – Przełknąłem ślinę smakującą krwią. – Przy okazji zobaczysz, z czym to się je.
– On to akurat już z niejednego pieca chleb jadł. – Karolina ewidentnie miała ochotę podokuczać Bartkowi, który co chwila przewracał oczami.
– No dobra, a jakie ty masz plany? Między tobą a Sebastianem wszystko w porządku? – zapytał po krótkiej ciszy Bartek. – Seba mówił, że wrócił do Konstancina, bo potrzebujesz przestrzeni, żeby dokończyć pisanie czegoś tam...
Z jakiegoś powodu Sebastian nie powiedział Bartkowi, że przechodzimy kryzys. To chyba dobrze.
– Przewodnika. To coś to przewodnik. – Wypiłem trochę wody. – W Konstancinie po śmierci sąsiada nie bardzo mi szło. Tutaj odległość robi swoje i się powoli odblokowuję.
– A właśnie, coś wiadomo w tej sprawie? – Bartek wyraźnie się ożywił.
– Napisałem do jego żony na Facebooku. Jeszcze nie odczytała. Wiem tylko, że policja nadal się kręci po naszym osiedlu – wyjaśniłem.
„Co go w ogóle to obchodzi?” – zastanawiałem się.
– To Sebastian będzie teraz mieszkał sam, dopóki nie napiszesz? – Bartek zaczynał się robić wścibski.
– No, mam nadzieję, że sam. Zresztą pewnie na dniach skończę. – Sztucznie się zaśmiałem, dążąc do zakończenia męczącego tematu. – Chcecie się jeszcze czegoś napić?
– Ja może mały kieliszek wina, jeśli ta gwiazda się nie spieszy – zdecydowała Karolina i spojrzała na Bartka, do którego przyszło jakieś powiadomienie na telefon. – Z chęcią wypiję z tobą lampkę.
– Wiecie, że na Grindrze jest prawie trzydziestu facetów z Sokołowa i Siedlec? – Bartek odleciał w świat internetowego flirtu.
– A ty nadal szukasz? – Karolina przekręciła głowę w jego stronę. – A co z... – Zatrzymała się, spoglądając na mnie.
– Nie zapaszaj! – huknął na nią Bartek. – To jeszcze nic pewnego.
Fala gorączymna przebiegła przez moje ciało. O kim oni gadali? Chyba nie pozwoliliby sobie na taką wymianę zdań, gdyby to dotyczyło Sebastiana? A może tak sobie ze mną

pogrywali? Przecież prawie ich nie znałem. Nie chciałem dać po sobie poznać, jak bardzo wyprowadzają mnie z równowagi. „Dziesięć, dziewięć, osiem...” – odliczałem w myślach.

– Zamierzałem od dzisiaj nie pić, ale pod płótem czekał na mnie karton caberneta. – Wzruszyłem ramionami i wstałem po kieliszki. – Nie ma co walczyć z przeznaczeniem.

Wino leniwie spływało po brzegu szkła. Zawiesiłem wzrok na odcisku szminki na kieliszku Karoliny. Usta Beatki nigdy nie zostawiały takiego śladu. Może dlatego, że się nie malowała. I najczęściej piła piwo z puszki.

Spotkanie z Bartkiem i Karoliną przypominało pierwszą randkę. Odniosłem wrażenie, że wszyscy pilnujemy się, żeby nie powiedzieć zbyt wiele. Tylko o czym?

„Marian, no zrób coś. Zobacz, przecież on jest jakby bez spodni!”. Bartek co parę minut wtrącał jakieś cytaty z polskich komedii. Czy był infantylny, czy na takiego się kreował? Nie mogłem go rozgryźć. Czy ktoś taki mógłby się spodobać Sebastianowi?

– Rzeczywiście zrobiło się chłodno. Może zadzwoni do Sebastiana, żeby ci wytłumaczył, jak się pali w piecu? – Karolina podniosła się z fotela i zaczęła wkładać buty w przedpokoju. – To chyba niezbyt bezpieczne tak ogrzewać dom.

– Dam radę! – Ucieszyłem się, że już sobie idą. Byłem zmęczony. – Dzięki za odwiedzin.

Kiedy światła samochodu zniknęły za przeredzonym grudniowym lasem, wróciłem do pokoju, wlałem resztę wina z butelki i spojrzałem na tulipany. W Rosji wręczenie komuś żółtych kwiatów oznaczało, że go przeklinasz. „Żółte kwiaty oznaczają niewierność i skrcają relację z obdarowanym” – przypomniało mi się, co mówiła mama.

ROZDZIAŁ 17

Noc nie należała do tych, po których czułem się wypoczęty i gotowy zdobywać świat. Raz było mi za zimno, a raz za gorąco, nie mogłem wyregulować farelki. Różia cały czas się kręciła i warczała. Na zmianę wskakiwała na łóżko i z niego zeskakiwała, żeby węszyć pod oknem. Parę razy szczeknęła. „A ja wam mówię, że Bóg też ma noce bezsenne” – napisała gdzieś Maria Konopnicka. No skoro tak...

Zjadłem jajecnicę z czterech jajek, zaparzyłem kawę i usiadłem do komputera. Przewodnik błagał o dokończenie. Zdania nadal zupełnie się nie kleiły. Spod moich palców wychodził długi bepciuowy bełkot.

Nie widziałem Sebastiana od dwóch dni i tęskniłem. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie kreatywności. Bez niego w moim życiu było cicho i pusto. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie mogę niczego przyspieszać. Na przestrzeni lat nauczyłem się, że po każdym większym konflikcie mój partner sam decydował, ile czasu potrzebuje na powrót do normalności. Oby tym razem nie trwało to zbyt długo.

Zamknąłem plik i poszedłem do salonu po resztki sernika. Nałożyłem kawałek na talerz i usiadłem przy stole. Rozejrzałem się wokół i przeszły mnie ciarki. Coś mi tu nie grało. Mimo świątecznego nastroju pokój wydawał mi się jakiś monochromatyczny. Inny. Przełknąłem ostatni kawałek ciasta. Wytwornie beknąłem i wstałem od stołu.

– O kurwa! Gdzie są kwiaty?! – Pytanie wyleciało ze mnie niespodziewanie niczym pocisk z pistoletu.

Na stole brakowało wazonu z żółtymi tulipanami. Na stole brakowało wazonu z żółtymi tulipanami, które otrzymałem zeszłego wieczoru. Wstałem. Usiadłem. Wstałem. Obszedłem cały dom. Dwa razy. Trzy razy. Nie, nigdzie nie przestawiłem naczynia. Zajrzałem do szafy. Walcowaty wazon, do którego Karolina włożyła kwiaty, stał czysty na swoim miejscu, obok karafki na whisky. Zajrzałem do śmietnika. Kwiatów nie było. Wyszedłem na dwór. W koszu na odpady też nie było śladu po żółtych tulipanach. A może nie przyniosła? Może nikogo u mnie wczoraj nie było? To skąd sernik? Dałbym sobie uciąć obie ręce, że Karolina wkładała żółte tulipany do wazonu, i jeszcze dwie nogi za to, że jak kładłem się spać, wazon stał na stole. Nie, może tych dwóch nóg to jednak bym nie zaryzykował.

Piliśmy wino. Później ja jeszcze piłem, kiedy goście wyszli. Nie przypominałem sobie żadnego powodu, dla którego miałbym się pozbywać bukietu od Bartka i Karoliny. Nawet gdybym znowu miał zanik pamięci, to przecież gdzieś musiałyby te kwiaty wylądować. Czułem się tak, jakbym tracił kontakt z rzeczywistością. A może to wszystko mieszanka niewyspania i tęsknoty? Może jednak przynieśli tylko sernik? Przecież nie mogłem napisać do Karoliny z pytaniem, czy odwiedziła mnie z kwiatami. Od razu pomyślałaby, że postradałem zmysły. Może rzeczywiście zaczynałem wariować? A może ktoś był w nocy

w domu? Ale żeby ukraść kwiaty za dwadzieścia zeta? Chociaż w sumie nie znałem aż tak dobrze mieszkańców Podlasia...

Po kilku kubeczkach grzanego wina nabrałem spokoju i dystansu. Zapaliłem świąteczne lampki. Żeby było jeszcze bardziej jarmarcznie, ustawiłem je na tryb, który określiłbym jako dynamiczne, wkurwiające miganie. I tak lepsze to niż nostalgiczny nastrój tworzony przez wiklinowe żyrandole. Spojrzałem na czerwony kubek w białe gwiazdki. „Czemu siedzę tu sam? Przecież to mój ulubiony czas w roku. Nie tak powinienem go spędzać” – męczyły mnie myśli. Odpaliłem w głowie skrót odcinka życia pod tytułem *Ostatnie kilka miesięcy* i odpowiedź na to pytanie przyszła od razu: nadużywanie alkoholu, chorobliwa zazdrość, brak chęci do szukania pracy i jakaś bliżej nieokreślona drama rozpięta na imprezie.

Grzane wino piło się dużo szybciej niż to o temperaturze pokojowej. Nawet nie zauważyłem, kiedy opróżniłem całą butelkę. Pokroiłem mozzarellę i dodałem do niej ostatniego pomidora. Rozejrzałem się po lodówce. Zostało mi tylko małe opakowanie paprykowego humusu, serek wiejski i resztki mleka. Akurat do owsianki na jedno śniadanie. Nazajutrz czekała mnie wycieczka do lokalnego sklepu. „Jesteś ululany” – tak pewnie Beata określiłaby stan, w którym akurat się znajdowałem. Wszystko wokół wydawało mi się ciepłe i zycziwe. Tylko głód nie minął.

Podszedłem do – jak to z Sebastianem określaliśmy – „skrytki na sytuacje awaryjne”. Batoniki, wafelki, żelki i jeszcze kilka innych produktów, zawierających cukier jako pierwszy składnik, uśmiechało się do mnie z drugiej półki od dołu. Chwyciłem paczkę czekoladowych kulek, a zamykając szafkę, spojrzałem jeszcze odruchowo na wazon, w którym niedawno były nie były kwiaty. Przypomniał mi się pewien epizod z życia.

Kilka lat temu, kiedy zarządzana przeze mnie firma planowała wejście na giełdę, a ja dużo pracowałem, doświadczyłem lunatykowania. Po raz pierwszy obudziłem się w łazience na podłodze. Za drugim razem nie było już tak wesoło. Sebastian znalazł mnie śpiącego na posłaniu psa. Pamiętam, że przez parę dni nawet bałem się zasypiać. Siedziałem na skraju łóżka przez kilkanaście minut, drzemiąc. Kiedyś nawet poszedłem we śnie na dół do kuchni i usiadłem przy stole jadalnym. Przed pójściem spać usuwaliśmy wszystkie przedmioty, przez które mogłem się przewrócić, od psich zabawek po puffy. Nigdy jednak nie robiłem niczego więcej poza maszerowaniem po domu, a umycie wazonu wymagało przecież precyzji.

Skuszony logicznym wytłumaczeniem zagadki bukietu postanowiłem zobaczyć, czy tak skomplikowana czynność byłaby w ogóle do wykonania przez lunatyka. Po chwili szperania w internecie wiedziałem, że byłaby, i to bez większego wysiłku. W mroźną noc dwa tysiące trzeciego roku w Denver cicha, niepozorna pielęgniarka zażyła środek nasenny i poszła spać. Podczas snu wstała, wypłała pół butelki wina i wsiadła do samochodu, ubrana jedynie w koszulkę nocną. Następnie rozbiła auto na skrzyżowaniu i myśląc, że to łazienka, postanowiła oddać mocz na drodze. Chwilę po tym zaczęła wyzywać dwóch policjantów, którzy właśnie ją aresztowali.

Nie oddałem moczu na środku domu, więc poczułem się spokojniejszy. Przy okazji dowiedziałem się, że jeśli ilość wody w moim ciele zmniejszy się tylko o jeden procent, poczuję pragnienie. Jeśli zmniejszy się o dziesięć, umrę. Wypiłem duszkiem półtoralitrową

butelkę wody i pełen nadziei, że nie wstanę w nocy, żeby w lunatycznym transie myć okna, poszedłem do sypialni.

ROZDZIAŁ 18

Droga do jedynej we wsi sklepu prowadziła przez las. Jeżdżąc do leśniczówki, zawsze starałem się gdzie indziej robić zakupy. Tym razem nie miałem wyjścia.

Było około czternastej, a już robiło się szaro. Ponuro i mrocznie. Od momentu tamtej feralnej imprezy świat przyjął złowrogie barwy. Jakbym otworzył puszkę Pandory.

Mijałem nagie drzewa obrośnięte jemiołą. Nad głową czasem przelatowała mi sikorka lub jemiołuszka. Z oddali dochodziły odgłosy zarobionego dzięcioła. Obdarte z kory sosenki, ślady siekaczy na gładkiej korze świerka. W okolicy urzędowały jelenie. Niby jakieś ślady życia, a czułem się, jakbym szedł przez cmentarz. Żeby nadać tej podróży treningowy charakter, zamiast kaloszy włożyłem dopiero co wysuszone sportowe buty do biegania. I to był błąd. Bez przerwy się rozsznurowywały.

Nazwa „grudzien” pochodzi od „grudy”, czyli zamarznętej ziemi. Nie tamtego dnia. Człapałem po błocie i czułem, że mam mokre stopy. Lewa skarpeta zwinęła się w bucie do połowy. „Przeziębisz się albo dostaniesz grzybicy, a to już ciężko wyleczyć. Latami będzie wracała” – powiedziałaaby kochana mama, wsypując do swojego ulubionego earl greya trzecią łyżeczkę brązowego cukru. Było to całkiem możliwe. Nieprzyjemna wilgoć rozeszła się po butach.

Otynkowany na szaro stary budynek był już ozdobiony białymi świątecznymi lampkami. Zdecydowanie wyróżniał się na tle innych. Stojący pod drzwiami zaprzęg Świętego Mikołaja, z sześcioma reniferami, wystraszył Rózię na tyle, że bała się wejść do środka. W wiejskim sklepiku większość produktów występowała w jednej lub maksymalnie dwóch sztukach. Na środku lady stała waga z odważnikami, której właścicielka nadal używała, a koło niej zawsze obowiązkowo parzyła się herbata z fusami. W szklance w metalowym koszyczku. Na ścianach królowały niezniszczalne plakaty reklamujące produkty popularne w latach dziewięćdziesiątych: Pollenę 2000, gumę Turbo i piwo EB. Udało mi się kupić w zasadzie wszystko, czego potrzebowałem. Jajka, owsiankę, trochę warzyw, kilka mandarynek. Włożyłem zakupy do szmacianej torby, a w plecaku upchałem kilka butelek wody mineralnej.

– Proszę pozdrowić pana Sebastiana. – Ubrana w dzinsy i różowy golf właścicielka, pani Marysia, odprowadziła mnie do drzwi. – Lato za pasem i niedługo będę jeździła dla was po te drogie lody – zaśmiała się na pożegnanie.

Tak, za pasem... Na razie miałem przed sobą czterdziestominutowy powrót przez ciemny las.

Na początku plecak nie był ciężki. Po kilkunastu minutach sześć półtoralitrowych butelek wody zaczęło wyraźnie dawać mi się we znaki. Rózia biegła kilka metrów przede mną. Kiedy byłem w połowie drogi, z oddali zaczęły do mnie docierać odgłosy strzelania.

Kolejny powód, dla którego nie lubiłem lasu zimą – sezon łowiecki. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można czerpać przyjemność z zabijania zwierząt. Dodatkowo byłem przekonany, że taki pocisk może przypadkowo trafić mnie albo Rózię. Wziąłem ją na smycz. Sebastian nie lubił, kiedy spuszczałem psy w lesie.

„W lesie to my jesteśmy gośćmi. Zachowujmy się cicho i nie zostawiajmy po sobie śladu” – powtarzał.

Z nastaniem ciemności powietrze zmieniło zapach. Czułem, że przyroda emanuje inną energią, bardziej dziką. Do domu zostało nam kilkanaście minut. Rózia zaczęła niespokojnie rozglądać się na boki i powarkiwac. Przyspieszyłem kroku. Głośny strzał. Ruszyliśmy niemal biegiem. Usłyszałem, jak gdzieś w oddali gałęzie łamią się pod jakimś ciężarem. Martwa dziewczynka, duchy zabitych żołnierzy, a w najlepszym wypadku dzik. O ile na początku odgłosy dobiegały z odległości kilkudziesięciu metrów, to po chwili rozległy się kilkanaście kroków za mną. Polana chrupały coraz głośniejsze i częściej. Ktoś albo coś przyspieszało. Nie miałem odwagi się odwrócić. Strzał. Drugi, bliżej. Zaczęliśmy biec. Rózia silnie parła do przodu, a plecak ciągnął mnie w dół. Przyszło mi do głowy, żeby go wyrzucić, ale w środku miałem telefon i klucze do domu.

W gardle czułem bolesną suchość. Głośno kaszlałem. Miałem wrażenie, że pociski, niczym na filmie, latają tuż nad moją głową. Nogi co chwila grzęzły w błocie. Kilka razy się potknąłem, a raz nawet przewróciłem. Kurde, to było jak jakaś droga krzyżowa. Kiedy upadłem, strzały i dźwięk łamiących się gałęzi na chwilę ucichły. Tak jakby ktoś chciał mnie tylko nastraszyć. Zupełnie niepotrzebnie, bo i bez tego się bałem. „Jeszcze tylko kilka metrów i dobiegniemy do ogrodzenia” – pocieszałem się.

Zatrzymaliśmy się pod domem i trzaski ucichły. Mimo że ucieczka przed nie wiadomo czym trwała w sumie dość krótko, to tętno miałem jak po przeplnięciu kilometra kraulem. Rękawem wytarłem gluty zwisające z nosa i nerwowo przekręciłem klucz. Drzwi otworzyły się po jednym obrocie. Wydawało mi się, że zamykałem na dwa razy.

Weszliśmy do środka. Kamień spadł mi z serca, a plecak z ramion. Oparłem się plecami o drzwi, lewą ręką zapalając światło. Rózia dopadła do miski z wodą. Próbowałem wyrównać oddech. Wszedłem do salonu, a błoto z moich butów ściekało na podłogę, tworząc ciemnobrązowe plamy. Spojrzałem przed siebie i poczułem jeszcze silniejsze uderzenie gorąca. Jakby ktoś wylał na mnie wiadro wrzątku. Dwa wiadra.

Pomieszczenie wyglądało tak jak przed moim wyjściem. Prawie. Na środku stołu jak gdyby nigdy nic stał wazon z żółtymi tulipanami. Usiadłem na krześle i wpatrywałem się w kwiaty. Szybka inwentaryzacja wspomnień z ostatnich dwudziestu czterech godzin poskutkowała dygotem rąk. Przysunąłem wazon do siebie. Żadnych śladów. Tulipany pachniały strachem.

Wybrałem numer Sebastiana. „Abonent czasowo niedostępny” – usłyszałem w słuchawce.

Zadzwoń do mnie pilnie. Stało się coś złego.

Wysłałem mu wiadomość i z duszą na ramieniu ruszyłem na obchód domu. Wszędzie pachniało cynamonem i paczulą. Chyba przed wyjściem zapomniałem zgasić świeczki, choć nawet tego nie byłem pewien. Żarówka przy schodach przepaliła się kilka dni temu i nie

chciało mi się jej wymieniać, więc trasę na górę przemierzałem w półmroku. Przywołałem Rózię, która bez obaw szła krok przede mną. Kiedy ktoś obcy przebywa w domu, zazwyczaj psy dość dokładnie i nerwowo obwąchują pomieszczenia. Niczego takiego nie zaobserwowałem.

Ostrożnie uchyliłem nogą drzwi do sypialni. Pies pierwszy wbiegł do środka. Zapaliłem światło i moim oczom ukazał się znajomy widok – uschnięta paprotka i niepościelone łóżko. W drugim pokoju podobnie: okna zamknięte, żadnych śladów włamania czy choćby czyjejs obecności. Zszedłem po schodach i uważnie obejrzałem zamek w drzwiach wejściowych. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś przy nim majstrował. Zamknąłem dom na dwa zamki. Powiesiłem przy drzwiach klucze z brelokiem i kolorowym napisem „Hawaii” i wróciłem do salonu.

Otworzyłem butelkę wina, wlałem pełen kieliszek i wypilem jednym haustem. Wysłałem Sebastianowi zdjęcie kwiatów. Po chwili oddzwonił.

– Hej, co się dzieje? Treść esemesa była *creepy*, a wysłałeś mi fotę pięknych kwiatów. – Słyszałem w jego głosie mieszkankę niepokoju i zniecierpliwienia. – Z Rózią wszystko okej?

– Sebastian, ktoś był w domu. I to chyba dwa razy. Przyjedź po mnie. – Język już lekko mi się plątał. – Tak, z Rózią wszystko gra.

Spojrzałem na psa, który podniósł łeb na dźwięk swojego imienia.

– Piłeś? – Najwyraźniej Seba bardziej niż na to, co mówiłem, zwrócił uwagę na mój lekki bełkot.

– Tak, napiłem się wina, bo jestem zdenerwowany – odparłem pewnym siebie głosem.

– Co musi się stać, żebyś się opamiętał? – Sebastian momentalnie przybrał stanowczy ton.

– Słuchaj, nie o tym chcę teraz rozmawiać! Była tu Karolina z Bartkiem. Przywieźli mi żółte tulipany i wstawiliśmy je do wazonu. Kolejnego dnia ich nie było, a teraz, jak wróciłem ze sklepu, to znowu są na stole. Ktoś wchodzi do domu, kiedy śpię albo kiedy mnie nie ma! – wykrzyczałem na jednym wydechu. Krew buzowała mi jak szalona. Wyciszyłem na chwilę mikrofon i dolałem sobie wina.

– Kurde, o czym ty mówisz? Dlaczego w taki prymitywny sposób próbujesz zwrócić na siebie moją uwagę? – Znałem ten niski opanowany głos. Sebastian był zdenerwowany. – Po co ktoś miałby ci zabierać kwiaty i później je oddawać?

– Żeby mnie nastraszyć?! – Podniosłem głos. Ze złością kopnąłem leżące na podłodze buty. Poleciały w kąt pokoju. – Może ten ktoś, kto zabił Marcina, chce teraz mnie zabić i daje mi ostrzeżenia? A może to ten koleś z pustym wiadrem?!

– Jaki koleś z pustym wiadrem? Paweł, o czym ty gadasz? Weź się lepiej do pisania przewodnika, bo nie będziesz miał kasy na prezenty świąteczne. – Słyszałem w jego głosie drwinę. – Już zaczynałem za tobą tęsknić, a teraz dzwonicz pijany i mówisz, że się boisz tulipanów.

Dlaczego on mi nie wierzył i przekręcał to, co mówię? Przecież nigdy go nie okłamałem. Zrobiło mi się ciężko na sercu. Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza. Sebastian odezwał się pierwszy.

– Na razie nie dam rady przyjechać. Naprawdę muszę podgonić parę tematów. Nie zarabiasz, więc muszę więcej pracować. Będziemy się zdzwaniać. Tobie też dobrze zrobi

więcej przestrzeni – powiedział jakby z odrobiną troski. – Poza tym tak jak ci pisałem, muszę przemyśleć na osobności kilka kwestii.

„Muszę przemyśleć na osobności kilka kwestii...” – przedrzeźniłem go. Nie znosiłem takich ogólnikowych stwierdzeń. Lubiałem wiedzieć, na czym stoję. A właśnie...

– Seba... – Nie mogłem w nieskończoność unikać tematu imprezy. Chciałem się dowiedzieć, co się wydarzyło. – A co się stało tamtego wieczoru, że wyjechałeś? Bardzo cię skrzywdziłem?

Znowu cisza w słuchawce.

– Halo, jesteś tam? – Przyszło mi do głowy, że może coś z zasięgiem.

– Jestem.

Usłyszałem głębokie westchnienie.

– Paweł, to nie jest rozmowa na telefon. Zaufaj mi – zakończył tonem niedającym przestrzeni na kontynuowanie tematu.

W mojej głowie smutek zaprosił do tańca złość.

– Tęsknię za tobą – odpowiedziałem. Niestety zaraz po tym wszystkim ruszyłem na wycieczkę w mrocznym kierunku. – A właściwie to czemu byłeś poza zasięgiem? Czemu nie odebrałeś? Gdzie teraz jesteś?! – Ręka zacisnęła mi się na butelce wina.

– Ty serio nie odpuszczasz. Ale nie mam nic do ukrycia. Był u mnie Bartek. Obgadaliśmy, jak ma wyglądać sesja. Teraz jestem w domu.

Bardzo chciałem zapanować nad sobą.

– Sam? Nie mogliście tego przegadać przez telefon? – Mimo wszystko starałem się mówić swobodnym tonem. – Musiałeś się z nim spotkać, żeby obgadać, w jaki sposób ma zakładać gacie?

– Tak, jestem sam w domu. I nie mów mi, proszę, w jaki sposób mam pracować. Kończę. Miłego wieczoru. – Sebastian się rozłączył.

Pik, pik, pik... Sygnał telefonu kłuł mnie w uszy.

Gdybym tylko wiedział, co przyniesie przyszłość, inaczej poprowadziłbym tę rozmowę. Chciałbym, żeby ostatnim zdaniem, jakie ode mnie usłyszy, było „Kocham cię”. Dałbym sobie jednak rękę uciąć, że słyszałem w słuchawce w tle męski głos. Być może był to głos z telewizora. Być może nie. Czułem, że mój związek jest chory, a ja nie miałem pomysłu, jak go uzdrowić. Naklejanie plastrów na sączące się rany nic nie dawało.

Skoro i tak Sebastian zorientował się, że piję, to otworzyłem kolejną butelkę i trzęsącymi się rękoma napełniłem kieliszek do połowy. Kilka czerwonych kropli spadło na podłogę. Plamy skojarzyły mi się z lady Makbet. Obym nie skończył jak ona.

Włączyłem na Spotify składankę z utworami Adele, otworzyłem folder z przewodnikiem i siedziałem, wpatrując się tępym wzrokiem w ekran komputera. Nawet spora ilość alkoholu nie obudziła we mnie kreatywności. Ale na pewno spowodowała, że problem czyjegoes ewentualnego łożenia po domu wydał mi się mało ważny.

Wino było super. Wszedłem na Facebooka. Żadnych wiadomości. Nawet Beatka nadal milczała po imprezie. Uparta krowa. Odnalazłem Bartka i przypadkowo, albo i celowo, zaprosiłem go do znajomych. Bardzo mnie interesowało jego życie: co lubi, jak wygląda jego były partner i czy... Sebastian klika mu lajki pod zdjęciami. Po chwili przyjął zaproszenie.

Wszedłem w album „Majorka”, a tam masa zdjęć Bartka prężącego piękne ciało w białych kąpielówkach. A to na plaży, a to przy basenie, a to z watą cukrową w dłoni. Pod każdym zdjęciem był lajk albo serduszek od Sebastiana, a pod zdjęciem w samych jasnoniebieskich dzinsach nawet komentarz: „Top model ;)”. Szpiegowanie Bartka wydawało mi się frustrujące i bez klasy. A ja uważałem się za uosobienie klasy. Cały czas jednak w głowie kłębiły się myśli: „Co ich, kurwa, łączy? Dlaczego są rzeczy, o których Sebastian nie chce mi powiedzieć?”.

Z zamyślenia wyrwała mnie szorująca po oknie gałąź. Brzmiało to tak, jakby coś drapało pazurami w szybę. To coś to chyba moje utracone poczucie bezpieczeństwa, pragnące do mnie wrócić. Kiedy z głośnika poleciało złowrogie:

*Never mind, I'll find someone like you
I wish nothing but the best for you, too
Don't forget me, I beg...*

zadrzałem. Nawet nie zauważyłem, kiedy stopy zrobiły mi się lodowate. Chyba za mało wina wypilem i nie dotarło na dół. Spojrzałem na miejsce obok kominka, gdzie zazwyczaj Sebastian zostawiał trochę drewna. Nic nie było. Chcąc nie chcąc, musiałem się wybrać do szopy po jakieś pieńki. Od grzania się farelką cholernie zasychało mi w ustach i kaszlałem, a pies się cały czas drapał.

– Wstawaj, idziesz ze mną. – Nachyliłem się nad chrapiącą Rózią. Spała jak zabita po naszej ucieczce przez las.

Przed wyjściem wyjąłem tulipany z wazonu.

– Wypierdalać. – Tym razem nagrałem telefonem cały proces wyrzucania kwiatów do kosza na zewnątrz.

Spzopę dzieliło od domu mniej więcej pięćdziesiąt metrów. W piękne lipcowe popołudnie nie stanowiło to żadnego problemu. W ohydny późny grudniowy wieczór wydawało się sporym dystansem. Z latarką w dłoni ruszyłem szybkim krokiem po drewno. Zimny wilgotny wiatr co parę sekund zmieniał mi fryzurę. W drewnianym budynku obitym papą przechowywaliśmy głównie stare meble, których latem używaliśmy jako zestawu wypoczynkowego.

Wewnątrz nie było żadnego oświetlenia, więc musiałem polegać wyłącznie na świetle księżycy wpadającym przez drzwi i na latarce. Odłożyłem ją na wysoki pieńek i do dużej niebieskiej torby zacząłem wkładać suche polana. Staralem się brać te cieńsze, bo grube z trudem się rozpały w kominku. Tak przynajmniej zawsze powtarzał Sebastian. Nie wiedziałem, czy to kwestia wypitego wina, czy odurzenia zapachem żywicy, ale od momentu wejścia do szopy miałem wrażenie, że nie jestem w niej sam. Nikt nie sapał, nikt nie stękał, nie chodził, a mimo to jakaś obca energia unosiła się w powietrzu. Kuna? Lis? Złodziej tulipanów? Nabierałem badyle dwoma rękoma, żeby było szybciej, i kiedy wypełniłem torbę mniej więcej do połowy, usłyszałem ogromny huk.

Wiatr ostentacyjnie zatrzasnął wrota szopy. Nie pamiętałem, czy najpierw upuściłem latarkę, oblałem się potem, czy wydałem z siebie soczyste:

– Kurwa!!! Ja pierdołę!

Scena rodem z Wesa Cravena, a odzywki jak u Pasikowskiego.

Blask księżycy został za drzwiami, więc poza strumieniem światła z podniesionej latarki wokół panowała ciemność absolutna. Postanowiłem zabrać to, co ubierałem, i wrócić rano. W towarzystwie słońca. I psa.

Zrobiłem krok w kierunku wyjścia, kiedy za plecami usłyszałem wrzask. Jakby kogoś ze skóry obdzierano. W sekundę moje ciało pokryło się gęsią skórką.

– Kto tu jest?! – Tak naprawdę to wcale nie chciałem wiedzieć.

Mój głos odbił się od ściany budynku niczym piłeczka kauczukowa. Po chwili odpowiedział mi powtórny wrzask. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

Chwyciłem torbę i pobiegłem w stronę wyjścia. Zostało mi kilka kroków, gdy nagle poczułem dotkliwy ból z tyłu głowy. W pierwszej chwili pomyślałem, że może miałem jakiegoś tętniaka i pękł. Zaraz potem, że ktoś mnie uderzył gałęzią. Głowa pulsowała mi z bólu, a po karku spływała ciepła gęsta strużka. Krew. Do wyjścia miałem trzy kroki. „Oby nic tam się nie zatrzasnęło” – modliłem się w duchu. Miałem już drzwi na wyciągnięcie ręki. Pchnąłem je. Nic z tego. Spróbowałem kopnąć. Mocniej kopnąć. Ufff, udało się, byłem na zewnątrz.

Gdy poczułem zapach świeżego powietrza, odważyłem się spojrzeć za siebie. Przez moment patrzyłem, ale nie wiedziałem na co. Jasność umysłu w końcu powróciła. Ogromna sowa pikowała, szykując się do kolejnego ataku.

– Precz, kurwo nieczysta! – Chwyciłem jakiś patyk i machając rękoma, zacząłem odganiać ptaszysko. Nie chciała odpuścić i krążyła nade mną. – Won stąd!

Po kilkunastu intensywnych wymachach byłem już na wyczerpaniu. Dzięki Bogu sowa też. Odleciała. Miałem nadzieję, że nie po koleżanki. Uciekając do domu, potknąłem się i wylądowałem na kolanach. W błocie. A worek z drewnem został w szopie. W Egipcie uważano, że jeśli widzi się lub słyszy sowę, to należy się spodziewać najgorszych wieści. A we Włoszech – że jeśli ten ptak trafi do twojego domu, to ktoś z twoich bliskich umrze. Nikt nie pisał, co się wydarzy, gdy się sowę i widzi, i słyszy w swoim domu, a do tego ona jeszcze zaatakuje. Raczej nie wróżyło to zastrzyku gotówki.

Różia nadal spokojnie spała, pochrapując. Wytarłem krew z karku i włączyłem farelkę.

Dom należał do Sebastiana. To on zapłaci za prąd. Tym, co zarobi na sesji z Bartkiem.

Nie spałem do późnej nocy, przemywając i bandażując ranę na głowie. Opatrunek ciągle się rozlatywał i musiałem zaczynać od nowa. Smugi krwi zdobiły błękitną pościel niczym dzieło wybitnego malarza... albo pięciolatka.

Obudziłem się koło południa i długo leżałem, wpatrując się w sufit. Usiadłem na łóżku, żeby wyjrzeć przez okno. Na zewnątrz лыse drzewa i błoto. Dołująca plucha. Nigdy specjalnie nie lubiłem mikołajek. Zbędne wydatki przed nadchodzącym Bożym Narodzeniem. W tym roku marzyłem jednak, żeby znaleźć pod poduszką jakiegokolwiek prezent. Bardzo chciałem znów poczuć, że komuś na mnie zależy. Nic z tego. Tylko sztywna, osmarkana i zakrwawiona chustka. Było tak ponuro, że nawet światło telefonu kłuło mnie w oczy. Żadnych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń. W skrzynce mailowej czekało na mnie jedynie „uprzejme przypomnienie” o zbliżającym się „ostatecznym” terminie oddania przewodnika. Nie było sensu nawet próbować wmawiać sobie, że czeka mnie zajebisty dzień.

Po śniadaniu zajrzałem do szopy, żeby zabrać torbę z drewnem. Żadnych śladów po mojej wczorajszej oprawczyni. Wracając do domu, zauważyłem za to pod bramą paczkę i już z daleka widziałem, że to ponownie przesyłka ze sklepu z winami. Kremowe pudełko owinięte czerwoną wstążką, jak na dzień mikołajkowy przystało. Tym razem byłem pewien, że nie domawiałem więcej alkoholu. „Walić to, przyszło wino, to wypiję. Po co drażnić temat?” – przeszło mi przez głowę w pierwszym momencie. Nie dawało mi to jednak spokoju.

Zadzwoiłem pod numer, który znalazłem na kartonie. W czasach pilnie strzeżonych danych osobowych nie było jednak łatwo uzyskać informację o nadawcy. Dziewczyna, z którą rozmawiałem, wydawała się głupiutka, ale nie na tyle, żeby z czymś się wysypać. Mój darczyńca nadal pozostawał nieznany, choć możliwości nie było wiele. Sebastian? Beatka? Mamusia?

ROZDZIAŁ 19

DAWNIEJ

San Francisco

Kilkanaście miesięcy wcześniej, sześć godzin na północ od Los Angeles otworzyłem walizkę, wyciągnąłem z niej ubrania, położyłem na łóżku i krzyknąłem w stronę hotelowej łazienki, w której Sebastian trzymował zarost:

– Ja mam tylko jedną bluzę i jedno długie dzinsy. – Zataczałem nad głową koła granatową koszulką. – Czas na shopping!

Przed przylotem do San Francisco dużo czytaliśmy o tym mieście. No niby dużo, ale za mało. Skupieni na atrakcjach i kulturze miasta lewisów, zupełnie pominęliśmy fragmenty dotyczące pogody. Czy komuś przyszłoby do głowy, że gdziekolwiek w Kalifornii temperatura w lipcu może spadać poniżej piętnastu stopni Celsjusza? Nam nie. Zimno było o tyle bardziej odczuwalne, że przylecieliśmy prosto z ciepłego San Diego.

– Dobra, ale jestem w stanie spędzić w centrum handlowym maksymalnie godzinę. – Do połowy podgolona głowa Sebastiana wysunęła się z łazienki. – Nie po to tu przyjechaliśmy.

W galerii Seba poszedł od razu po kawę, a ja ruszyłem do sklepu z ciuchami. Uwinąłem się szybko i z kubkami wypełnionymi iced cappuccino ruszyliśmy wzdłuż portu. Ubrany w nową pomarańczową kurtkę, z parasolem w dłoni poganiałem Sebastiana, żebyśmy zdążyli zobaczyć most Golden Gate, zanim na dworze zrobi się ciemno. Było bardzo rześko, ale nawet romantycznie.

– W tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym San Francisco uchwaliło bardzo dziwne prawo. – Sebastian przerwał niewymuszoną ciszę towarzyszącą nam w drodze.

Odpowiedziałem, że w Stanach już mało co mnie zdziwi, a on kontynuował:

– Ludzie, którzy uważani byli za brzydkich, nie mogli pokazywać się publicznie. – Zaśmiał się na głos. – Serio, każda osoba, która była chora, okaleczona, poraniona lub w jakikolwiek sposób zdeformowana i której wygląd był nieestetyczny lub obrzydliwy, nie mogła pojawiać się w miejscach publicznych. Co ty na to? – Poczulem szturchnięcie i wybuchnąłem śmiechem.

– No weź, i co byłoby ze mną? – zapytałem, kokieteryjnie oblizując usta.

– Z tobą? Jak to co? Siedziałbyś w domu przez cały czas. – Sebastianowi wyraźnie dopisywał humor. – Jesteś najprzystojniejszym facetem na świecie. Przecież mówiłem ci to już tyle razy.

– Przystojniejszym niż Ryan Reynolds? – Zatrzymałem się i lewą ręką oparłem o parasol, a prawą przeczesalem włosy.

- No jak najprzystojniejszym, to najprzystojniejszym, nie? - Sebastian podszedł i namiętnie mnie pocałował. Całował długo i intensywnie.

Przeszedł mnie przyjemny dreszcz. Zapach perfum Diora, kalifornijski wiatr i szorstki zarost Sebastiana ocierający się o moją twarz podczas pocałunku... Zrobiłem zdjęcie. Zdjęcie sercem. Największy możliwy format.

Gdy dotarliśmy w okolice słynnego mostu, nasze pierwsze odczucie można było określić słowem „rozczarowanie” albo po angielsku „WTF?”. Wyglądało to tak, jakby tuż przed naszym przyjściem do punktu widokowego most powiedział do chmur: „Schowajcie mnie, bo idą”. Nie było widać absolutnie nic poza wielką czerwonawą stalową nogą zanurzoną w wodzie. Wyginaliśmy się na wszystkie strony, żeby na zdjęciu uchwycić chociaż skrawek tej słynnej budowli. Bezskutecznie, równie dobrze takie fotografie moglibyśmy zrobić we Wrocławiu.

- Hm, to ja też mam ciekawostkę, którą wyczytałem o moście - rzuciłem, by przerwać konsternację, w jaką wprowadził nas ten smętny widok.

- Dawaj, wszystko będzie ciekawsze niż te chmury.

- Prawie dwa tysiące osób popełniło samobójstwo, skacząc z Golden Gate - wyrecytowałem z dumą.

- Chryste, Paweł, weź wyczyść sobie pamięć w komputerze, bo ci internet podsyła sam dołujący syf. - Sebastian odwrócił się tyłem do mostu. - Spadamy stąd. Zamawiam Ubera.

Ruszyliśmy w okolice kolorowych domów, znanych z czołówki serialu *Pełna chata*.

- Co ty się tak wierzisz? - Sebastian zobaczył, że ocieram się plecami o siedzenie. - Jak pies.

Odpowiedziałem, że swędzą mnie plecy, i poprosiłem, żeby mnie podrapał, zamiast głupio komentować.

Jechaliśmy do Painted Ladies podziwiać wiktoriańskie i edwardiańskie domy odmalowane w kilku kolorach. W jednym z nich, przy Broderick Street, „mieszkała” w latach dziewięćdziesiątych słynna rodzina Tannerów z *Pełnej chaty*. Dotarliśmy tam prosto na zachód słońca. Na szczęście chmury chwilowo dały za wygraną. Jednorodzinne domy przepięknie mieniły się w świetle kończącego się dnia. One, w przeciwieństwie do mostu, robiły wszystko, żeby nam się przypodobać. Mrugały do nas oknami, a drzwi zupełnie jak w serialu krzyczały: „Zawsze otwarte!”. Pastelowe budynki, niczym natarczywe fotomodelki, wręcz błagały, żeby je fotografować.

Nie opieraliśmy się za bardzo. Zrobiliśmy po kilkadziesiąt zdjęć i usiedliśmy na schodkach jednego z budynków.

- Myślisz, że ktoś tu mieszka? - Spojrzałem na Sebastiana.

- Nie wiem, ale my byśmy mogli tu zamieszkać. Mieć córkę i kilka psów. Nie sądzisz? - Jego oczy były skierowane w stronę zachodzącego słońca. Czerwona kula majestatycznie, w swoim tempie, chowała się gdzieś za horyzontem.

- Albo syna! - Objąłem go ramieniem.

Siedzieliśmy, patrząc przed siebie, dopóki słońce całkiem nie zniknęło za miastem, by ruszyć w podróż do następnego miejsca na ziemi. Kiedy w innej części świata jakaś para równie przystojnych facetów siadała właśnie do śniadania, nasze brzuchy dość głośno domagały się już kolacji.

Postanowiliśmy podjechać na pizzę do słynącej z rozrywki dzielnicy Castro. Niewielka knajpka u zbiegu kilku ulic nie musiała długo kusić nas zapachem wypiekanego ciasta. Zajęliśmy jedyny wolny stolik w głębi lokalu wypełnionego sztucznymi roślinami. Sebastian zamówił vegetarianę, ja margheritę z rukolą. Do tego po kieliszku wina. Udało nam się podłączyć do wi-fi. Sprawdziłem pocztę, Facebooka i poszedłem do toalety.

Od czasu wizyty pod mostem czułem lekkie, lecz narastające swędzenie na plecach. Wykorzystałem to, że jestem sam w toalecie. Zdjąłem bluzę, potem koszulkę i poczułem, jak fala gorąca zalewa moje ciało. Wykręcając się w niewygodnej pozycji, intensywnie gapilem się na czerwone, podrażnione od wysypki plecy. Zacząłem się drapać tam, gdzie mogłem dosięgnąć. Potem kucając i wstając, ocierałem się o ceglana ścianę, żeby dotrzeć do miejsc, w których nie dałem rady sobie ulżyć. Nie mogłem się powstrzymać. Po chwili byłem jak w transie.

– Paweł, jest już pizza... – Najpierw doszły do mnie odgłosy z knajpy, później zapachy jedzenia i dopiero wtedy zobaczyłem mrużącego oczy Sebastiana w wejściu do toalety. – Puszczasz się ze ścianą? – Wyglądało na to, że mój widok bardzo go rozśmieszył.

– Zobacz moje plecy. – Odwróciłem się tyłem do niego. – Całe w jakimś paskudztwie. Coś się ze mną dzieje!

– Teraz są zaczerwienione od tarcia o ścianę. Nie mogłeś mnie zawołać, żebym cię podrapał? A jakby wszedł ktoś inny? – mówił bardzo spokojnym głosem. – Jezu, weź się, chłopie, ubierz i chodź jeść.

Kiedy wyszliśmy z toalety, nie myślałem już o niczym innym poza wysypką. Na siłę wcisnąłem w siebie dwa kawałki pizzy. Rukola stawała mi w gardle. Nie mogłem przełykać. Zrzuciłem ją na bok. Wypiłem cztery kieliszki wina jeden po drugim. Wytarłem tłuste od jedzenia ręce i wpisałem w Google: „Czego objawem może być wysypka?”. To był błąd. Szkarlatyna, borelioza, pólpasiec, rak... W zasadzie większość innych objawów tych chorób też u siebie zauważałem: suchość w ustach, zawroty głowy, zmęczenie. Od razu powiedziałem o tym Sebastianowi, który stwierdził, że to, co wymieniałem, to również objawy kaca, bo codziennie piłem wino.

Nie mogłem się uspokoić. Zjedzona pizza zdawała się mieć ochotę na powrót. Wyszedłem na zewnątrz łyknać świeżego powietrza. Był piątek wieczór i całą dzielnicę wypełniała muzyka, radość, przyjaźń. Szczęśliwi i wyperfumowani ludzie, ze szklankami w dłoniach, śmiali się coraz głośniejsze, popalając papierosy i jointy. Przed nimi tyle życia, a moje mogło za chwilę zakończyć się przez chorobę. „I co to w ogóle, do kurwy, jest posocznica? Albo jakoś tak” – przeżywałem w myślach.

Poczułem, że dłużej nie dam rady. Oparłem się o słup i narzygałem do czerwonego kosza na śmieci. Przechodzący obok dwaj umięśnieni Latynosi i szczupła blondynka bili mi brawo.

– Yeah, man! – dotarło do mnie jak przez mgłę.

Idioci. Wyprostowałem się i zobaczyłem, że podchodzi do mnie Sebastian z pudełkiem na pizzę.

– Zabrałem to, czego nie zjadłeś. Widzę, że cię konkretnie rozwalilo. Masz ze sobą swoje leki uspokajające? – zapytał, podając mi przezroczystą butelkę.

– Mam, ale nie będę niczego brał. To nie nerwy, tylko jakaś choroba. – Wytarłem twarz. – Wracajmy do hotelu.

Nie miałem najmniejszej ochoty na to, żeby otaczali mnie zadowoleni ludzie. Sebastian spojrzął z żalem w stronę tętniącej życiem ulicy.

– Jak chcesz, to tu zostań – syknąłem i zacząłem machać ręką, by złapać taksówkę. – Trafię do hotelu.

– Przecież nie zostawię cię samego – westchnął Sebastian, głaszcząc mnie po głowie.

Nie wychodziłem z łazienki przez długi czas. Robiłem zdjęcia pleców i powiększałem je na telefonie. Ludzka skóra w zoomie wydawała mi się ohydna. Nawet bez wysypki. Oglądałem ją z każdej strony i porównywałem ze zdjęciami w internecie.

– Jeśli do jutra ci nie przejdzie, to znajdziemy tu lekarza. – Kiedy wszedłem do pastelowej sypialni, Sebastian wręczył mi kubek z herbatą. – Okej?

– Albo możemy też wrócić do Polski, jak się pogorszy. – Napilem się herbaty i usiadłem na krawędzi wielkiego łóżka przykrytego satynową narzutą.

Badania krwi, wymazy, biopsje, leczenie... Chciałem, żeby to już się zaczęło i jak najszybciej skończyło.

Sebastian siedział w zielonym fotelu pod oknem. Założył nogę na nogę, wyjął z minibaru colę zero i zaczął przeglądać telefon.

– Pewnie, że możemy. Może od razu po śniadaniu? Albo teraz! Widzę lot z przesiadką w Amsterdamie, za sześć godzin. Powinniśmy zdążyć. – Nie patrząc w moją stronę, przewijał coś palcem w komórce. Nerwowo poruszał stopami.

– Ale czemu tak drwisz? – Dopilem herbatę i oparłem głowę o poduszkę. – Mama opowiadała mi kiedyś o znajomej, która zmarła kilka tygodni po tym, jak poczuła swędzenie w okolicach intymnych...

– To może ta znajoma powinna się częściej myć. – W głosie Sebastiana już wyraźnie pobrzmiwała irytacja. – Paweł, idź jeszcze raz do toalety, spójrz w lustro i powiedz mi, czy tak wygląda umierający człowiek. Daj już spokój.

Cisza. No ale co ja miałem dodać?

Wzrok zaczął mi się rozmywać, a powieki zrobiły się ciężkie jak ze stali. Łóżko obejmowało mnie czule. Odnosiłem wrażenie, jakbym wpadał w przyjemną otchłań. Czułem błogość i z rozkoszą się jej oddawałem. Sebastian położył się obok i głąskał mnie po głowie.

Obudziło mnie szybkie bicie serca. Byłem przykryty kołdrą i miałem na sobie tylko bokserki. Widocznie usnąłem w ubraniu i Sebastian mnie przebrał. Teraz spokojnie spał na boku, zwrócony twarzą w moją stronę. „Moje plecy!”. W środku cały krzyczałem, aż podskoczyłem na łóżku. Pobiegłem do łazienki. Zimna posadzka pod stopami jeszcze spotęgowała mój niepokój. Z duszą na ramieniu odwróciłem się w stronę lustra. Przetarłem jeszcze zaspane oczy i zobaczyłem, że plecy wyglądają normalnie. Wysypka zniknęła. Oglądałem się z każdej strony i nic.

W lustrzanym odbiciu zobaczyłem natomiast Sebastiana.

– Patrz, nic nie ma! Nie musimy jeszcze wracać do Polski. – Obróciłem się do niego, objąłem go w pasie i pocałowałem w policzek. Kamień spadł mi z serca.

– To oczywiste, że nic nie ma. Chodź do pokoju, muszę ci coś powiedzieć. – Seba wyprowadził mnie za rękę z łazienki.

Za oknem robiło się już jasno. Promienie słońca dyskretnie zaglądały przez okna i zatrzymywały się na naszych twarzach. Usiedliśmy na skraju łóżka, Sebastian ujął moją prawą dłoń.

– Kiedy poszedłeś wczoraj kupić kurtkę, to ja poszedłem po kawę... – Mówił o czymś, co było dla mnie oczywiste, ale jego głos brzmiał nad wyraz poważnie. – Dla siebie zamówiłem cappuccino na mleku migdałowym, a dla ciebie na owsianym. – Zrobił krótką pauzę, po czym oświadczył: – Baristka się pomyliła i oba napoje przygotowała na migdałowym. Zapytała, czy może tak zostać, a ja zauważyłem, że już wracasz, więc machnąłem na to ręką. Myślałem, że nic ci nie będzie od tak małej ilości – wyjaśnił.

Czyli miałem wysypkę po migdałowym, a myślałem, że umieram. Żenujące. Uwolniłem dłoń z uścisku Sebastiana.

– No kurwa, Sebastian, przecież wiesz, że nie mogę niczego z migdałami! – Odsunąłem się od niego. – Poza tym mogłeś mi powiedzieć od razu, jak zobaczyłeś, że mam wysypkę i mi odwala.

– Rzeczywiście, mogłem. Ale byłeś już tak nabuzowany i bliski ataku paniki, że wolałem, żebyśmy wrócili do hotelu i... – zawiesił głos.

„Co jeszcze?” – z niepokojem czekałem na dalszy ciąg.

– Chciałem, żebyś się uspokoił i wyciszył. Gdy szalałeś wczoraj w łazience, wkruszyłem ci do herbaty tabletkę uspokajającą i wapno... Przepraszam.

Odkroczyłem od niego gwałtownie.

– Ja pierdołę! To dlatego mnie tak odcięło! – Stojąc nad Sebastianem, nadal widziałem, że jest przekonany o słuszności swojego postępowania. – A poczytałeś coś o tych lekach? Przecież wypilem wcześniej sporo wina. A jakby coś naprawdę mi się stało?

Odwróciłem się w stronę szafy z lustrzanymi drzwiami. Moje czerwone odbicie zgrzytało ze złości zębami.

– Napisałem do znajomej, która jest lekarką. Odpisała, że najwyżej cię odetnie. Nigdy bym nie naraził twojego zdrowia i życia. – Sebastian stanął przy mnie.

Przez głowę przeleciały mi setki czarnych scen. Widziałem, jak doktor House siedzi przy moim szpitalnym łóżku i nawet on nie wie, jak mi pomóc. Widziałem, jak wywożą moje ciało; jak stół na kółkach, na którym leżą moje zwłoki, zostawia ślady na miękkim dywanie, a Sebastian dzwoni do mojej matki, by powiedzieć jej, że poszedłem spać i się nie obudziłem. Widziałem dzieci mojego brata ubrane w eleganckie czarne stroje na mój pogrzeb. Widziałem moją matkę, która nachyla się nad trumną i szepcze mi do ucha: „Wiedziałam, że coś ci się w końcu stanie. Ostrzegałam”. Jednocześnie czułem żal do matki, że latami sączyła we mnie i brata jad z lęków i przesądów. Wessał mi się pod skórę i tylko czekał na okazję, żeby o sobie przypomnieć.

– Spadaj – odpowiedziałem i odsunąłem się od Sebastiana.

Poszedłem do łazienki, jeszcze raz spojrzałem na plecy, przemyłem twarz lodowatą wodą i umyłem zęby. Wszedłem w milczeniu do słonecznego pokoju. Włożyłem bluzę z kapturem na gołe ciało, krótkie spodenki i zielone neonowe buty do biegania. Sebastian wciąż stał w tym samym miejscu.

– Idę na śniadanie – rzuciłem w jego stronę. – Wywal to pudełko z pizzą albo ją zjedz, bo czuć tym głównym w całym pokoju.

Chciałem mocno trzasnąć drzwiami, ale niestety w dwudziestym pierwszym wieku hotelowe drzwi zamykają się delikatnie niczym piórko opadające na poduszkę. Zjechałem kilka pięter do restauracji. Przy bufetach w większości stali Azjaci, pewnie jakaś wycieczka. Kiedy w końcu udało mi się dopchać do jedzenia, nałożyłem sobie ogromną porcję jajecznicy i przyozdobiłem ją kilkoma plasterkami bekonu. Uznałem, że raz mogę, w końcu rzadko jadłem mięso. Zaniósłem talerz do stołu. Wróciłem po sok pomarańczowy i parę kawałków melona.

Kiedy już usiadłem, emocje zaczęły lekko puszczać. „On naprawdę chciał dobrze” – pomyślałem, spoglądając na szczęśliwą parę siedzącą przy stoliku przede mną. Cieszyli się wakacjami, cieszyli się sobą.

– *Excuse me, can I join you handsome?* – usłyszałem głos Sebastiana za plecami.

Stał za mną, ubrany w białą koszulkę z napisem „Yale”. Tę, w której lubiłem go najbardziej. W ręce trzymał kwiatek zabrany z bufetu. Jego oczy mówiły „przepraszam”, a usta:

– Masz rację, to było nierozsądne z mojej strony. – Usiadł obok i pocałował moją dłoń. – Nie miałem innego pomysłu.

Też bym pewnie nie miał, patrząc na siebie ocierającego się o ścianę. Zachciało mi się śmiać, ale starałem się zachować powagę.

– Jeśli jeszcze raz kiedykolwiek podasz mi cokolwiek bez mojej wiedzy, to pożałujesz. Serio – odpowiedziałem, uśmiechając się lekko.

– Kocham cię i nie jedz tego. – Sebastian wskazał palcem na bekon. – Będziesz później żałował.

ROZDZIAŁ 20

Mikołajki dłużyły się cholernie. Pisanie zupełnie mi nie szło, więc nie było co się zmuszać. Żeby zabić czas, zacząłem sprzątać w łazience. Myjąc niedoszorowaną nigdy wcześniej kabinę prysznicową, usłyszałem dzwonek telefonu. Miałem nadzieję, że to Sebastian.

Z rękoma w pianie pobiegłem do salonu, spojrzałem na ekran iPhone'a, z którego uśmiechała się do mnie mama. Patrząc na to zdjęcie, można by odnieść wrażenie, że była największą optymistką na świecie. Taaa...

- Cześć, kochanie, jak się czujesz? - zaczęła rozmowę, tradycyjnie zakładając, że coś mi może być. - Wszystko u was w porządku?

- Czuję się świetnie, wszystko gra. - Wyobrażałem sobie, co by się działo, gdybym jej powiedział, że mam ranę po ataku sowy. Pewnie zaraz wmówiłaby mi w najlepszym razie gangrenę. - A ty jak się masz? Co u ciebie?

- Poczekaj, chcę cię zobaczyć. - Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, przełączyła się na video. Szybko przeczesalem ręką włosy, zerwałem bandaż z tyłu głowy i nacisnąłem „Odbierz”.

- Super cię widzieć, dziecko. O, a gdzie ty jesteś? - W ułamku sekundy zorientowała się, że nie ma mnie w Konstancinie. Wzięła łyk białego wina i zaczęła bombardować pytaniami. - Jesteście jeszcze w tym starym domku w lesie? Przecież jest wtorek. Sebastian nie pracuje? Czemu ty siedzisz w takiej rozciągniętej koszulce w ciągu dnia? Jezu, to piżama? Skończyłeś już ten przewodnik? A kiedy...

- Na miłość boską, mamo! - Nie miałem siły ani ochoty na kurtuazję. - Po co ty dzwonicz? Żeby mnie sprawdzać? Możesz wysłać listę pytań w wiadomości, to ci odpiszę.

Widziałem, jak sznuruje usta, co oznaczało zniesmaczenie. Zignorowałem to jednak. Wolałem zaatakować pierwszy, zamiast opowiadać, jak słabo ostatnio wygląda moje życie. Udało mi się odwrócić jej uwagę. Chyba się udało.

- No cóż... - odezwała się po chwili wymownego milczenia. Sączyła przez chwilę wino i przewróciła oczami. - Chcę do was przyjechać w weekend, żeby zrobić zakupy świąteczne. Mam nadzieję, że to nie problem. Bo jeśli problem, to nie muszę.

- Twój przyjazd nigdy nie jest problemem, ale chwilowo ja jestem na Podlasiu i staram się dokończyć przewodnik, a Sebastian ma projekty w Warszawie, więc jeśli nie kolejny tydzień, to następny, przed świętami. Pasuje ci? - zapytałem, licząc, że za kilka dni wszystko między mną a Sebastianem wróci do normy.

- Paweł, czy wy macie jakieś problemy między sobą? - Wyprostowała się niczym surykatka i przekreśliła głowę. - Wasz ojciec też spędzał dużo czasu oddzielnie i w końcu się wyprowadził.

To akurat była prawda. Zanim dowiedzieliśmy się z Jankiem, że rodzice się rozwodzą, tata bardzo często przebywał poza domem: coraz wcześniej wychodził do pracy, coraz później wracał, a w weekendy spotykał się z kolegami. Któregoś razu wyjechał w delegację i już nie wrócił. Mama spakowała ubrania ojca w worki na śmieci i zawiozła do jego rodziców. Z dnia na dzień z naszego domu zniknął zapach jego ulubionych papierosów i wody po goleniu. Zastąpił je zapach samotności i lęku naszej matki.

– Mamo, naprawdę mogłabyś sobie darować te porównania. Przyjedź przed Bożym Narodzeniem do Warszawy, to pójdziemy na zakupy.

– Przyjadę. Zarezerwuj stolik w Pelikanie, pójdziemy na kolację. – Znowu wzniosła oczy do nieba. Kiedyś tak jej zostanie, z tymi gałkami u góry. – I uczesz się, Paweł, nie bądź taki zaniedbany. Jeśli nie możesz zatroszczyć się o siebie, to jak zadbasz o partnera? Paaa...

– Pa, mamo. – Ufff, koniec rozmowy.

Jak zwykle głęboko wierzyłem, że niecelowo wrzuciła mi kamyczek do ogródka. Co będzie, jeśli mój związek skończy się jak jej małżeństwo? Niejednokrotnie widziałem, że związki moich znajomych wyglądały dokładnie jak relacje ich rodziców. Miałem nadzieję, że ja jednak pójde inną drogą niż mama.

„Cynamonowa chmura”, takiego zapachu potrzebowałem, żeby chociaż spróbować odgonić ponure myśli. Podpaliłem jedną zapalką wszystkie trzy knoty świeczki i świąteczny aromat leniwie zaczął wypełniać zimne powietrze. Wrzuciłem do kominka drewno zdobyte wczoraj kosztem ran szarpanych.

Do domu wkradła się melancholia. Krok za nią, niezauważalnie przydreptała również tęsknota za Sebastianem, która rosła szybciej niż ciasto drożdżowe. Spojrzałem w świeżo umyte lustro. Dramat. Matka miała rację, wyglądałem jak kłozard. Doprowadziłem do porządku zarost, podgoliłem włosy na klatce piersiowej i obciąłem paznokcie. Przy okazji zwróciłem uwagę na dłonie: przesuszona skóra i poobgryzane skórki. Odkręciłem wodę pod prysznicem, odczekałem, aż zacznie lecieć gorąca, i wszedłem do kabiny. Stałem przodem do ściany i oparłem się o nią rękoma. Woda spływała mi po głowie, karku i plecach. Mój związek? Siedziałem w łodzi, którą wzburzony ocean kołysał na wszystkie strony. Tak bardzo nie chciałem z niej wypaść. Tak bardzo nie chciałem utonąć.

Owinałem się ręcznikiem i zacząłem suszyć włosy. Stara suszarka pracowała głośno, jak glebogryzarka. Przeczesałem włosy na lewą stronę, spojrzałem w lustro, wzruszyłem ramionami i wyszedłem. Kominiek sprawnie rozprowadził ciepło po domu, a cynamonowy zapach pieścił nos. „Wszystko się ułoży” – pocieszyłem się i wszedłem pewnie do salonu.

– Kurwa, co ty tu robisz?! – W ostatniej chwili przytrzymałem spadający ręcznik.

ROZDZIAŁ 21

– Wypiję jeszcze jedną herbatę i spadam. Chcę się wyspać. – Bartek dołał mi do kieliszka wina i poszedł wstawić wodę. Czuł się bardzo swobodnie. Pojawił się w domu, kiedy się kąpałem, a gdy się ubierałem, o nic nie pytając, otworzył butelkę caberneta. – Jutro lecę na tydzień do Egiptu i muszę być z rana na lotnisku w Warszawie. Proszę, to dla ciebie.

Podał mi papierową torbę, uważnie obserwując moją reakcję.

– Skąd to masz? – zapytałem, choć doskonale znam odpowiedź. Wyciągnąłem ze środka swój biały sweter i spojrzałem na niego.

Nagle poczułem ścisk w gardle, jakby ktoś obwiązał mi szyję szalikiem. Zrobiło mi się gorąco.

– Jak u was byłem, to Sebastian dał mi kilka rzeczy, żebym ci podrzucił w drodze powrotnej do Sokołowa. – Bartek wlał wrzątek do kubka z herbatą.

Niewidzialny szalik zaciskał się na mojej szyi. Oddychałem coraz szybciej. Po co Bartek pojawił się w naszym domu w Konstancynie? Czemu Sebastian przekazał mu moje ubrania? Nie zamierzał do mnie przyjeżdżać?

– Dziękuję – wykrztusiłem z trudem, grzebiąc ręką głęboko w torbie. – Podaj mi, proszę, jeszcze jedną butelkę wina.

It's not right but it's okay... – zaśpiewała Whitney, a Bartek z uśmiechem otworzył drugie wino, obwiązał szyjkę serwetką, żeby nie kapało, i postawił butelkę na stole.

– Voilà! – Dopił herbatę. – Późno już, będę się zbierał. Muszę się jeszcze spakować.

„Tak, kurwa, w znakomitym momencie” – przeszło mi przez myśl.

– Dzięki za wizytę i ubrania. Baw się dobrze. – Język już mi się plątał od wina. – Z kim lecisz, jeśli mogę zapytać?

– Ze znajomym. – Bartek mrugnął, zakładając kurtkę. – Jeszcze raz dzięki za miły wieczór. Mam nadzieję, że trochę się rozerwałeś. Od jutra będę niedostępny.

– A znam tego „znajomego”? – Zrobiłem palcami znak cudzysłowu w powietrzu, doskonale zdając sobie sprawę, że nie ma opcji, żebym znał jakiegokolwiek znajomego Bartka, poza Sebastianem. – To ktoś z Londynu?

– Nie, to stary znajomy. – Schylił się, żeby pogłaskać Rózię na pożegnanie.

– Okej. Na pewno będzie zajebiście – odpowiedziałem niebezpiecznie rozdrażniony jego niedopowiedzeniami. Chciałem, żeby już zniknął.

Otworzyłem drzwi. Czułem, że z domu uleciała cała atmosfera, którą wyczarował ogień w kominku i zapach cynamonowej świeczki. Może wywiał ją mroźny wiatr, który wtargnął do środka?

– Pamiętaj, co mówi RuPaul: jeśli sam siebie nie kochasz, to jak masz kochać kogoś innego? – Bartek delikatnie przejechał dłonią po moim policzku i zniknął w gęstej ciemności

podwórka.

„A żeby cię coś wpierdoliło!” – miałem ochotę krzyknąć za nim. Stałem przez chwilę jak zahipnotyzowany i patrzyłem przed siebie, marząc, żeby nagle z tej powietrznej smoły wyłonił się Sebastian i powiedział: „Stęskniłem się za tobą”. Niestety zamiast tego niczym nietoperz przyleciało do mnie pytanie: „Czy Sebastiana łączy z Bartkiem coś więcej niż przyjaźń?”. Dlaczego takie wątpliwości pojawiały się zawsze, kiedy się ściemniało? „Pytania nietoperze” męczyły mnie całą noc, nie dawały spać.

Wlałem resztę wina do kieliszka i wyjąłem kolejną butelkę z kartonu. Trzecią. Ogień w kominku dogasał. Nie chciało mi się już dorzucać drewna. Rózia położyła się na fotelu, na którym wcześniej siedział Bartek. Oparłem głowę o zagłówek kanapy i dopiero wtedy poczułem, że wypilem już dwie butelki wina. Jakbym siedział na szybko kręcącej się karuzeli. To, co kłębiło się w mojej głowie, przypominało danie w restauracji: porcja strachu, kawał złości, odrobina smutku i żalu, a wszystko zalane czerwonym winem.

Zacząłem przeglądać zdjęcia w telefonie. Przez ponad pięć lat uzbierało się dużo fotek z Sebastianem. Bardzo chciałem, żeby ich przybywało i żeby co roku musiał kupować telefon z większą pamięcią. Znów napiłem się wina, już prosto z butelki. Jak żul pod sklepem. Piłem jak żul, wyglądałem jak żul, czułem się jak żul. Samotny żul. Opuszczony żul. To był mój ulubiony czas w roku, a ja siedziałem w środku zapyziałego lasu, sam. Wpierdalałem prawie wyłącznie humus z chrupkim pieczywem i gapiłem się tępo na świątecznie przystrojony dom. Kolejny łyk wina. Tylko ja i ten dumny pies.

– Rózia, wyjdź stąd! Won! – Straciłem ją z fotela i popchnąłem agresywnie w stronę wyjścia.

Zdezorientowana suka z podkulonym ogonem pokornie wyszła i położyła się na wycieraczkę przed drzwiami wejściowymi.

Wypilem trochę wody, a plastikową butelką cisnąłem o ścianę. Wyjąłem bluzę Sebastiana z szafy, chwyciłem nożyczki i zacząłem ją ciąć i rozrywać rękoma. „To twoja wina, to wszystko twoja wina! Przez ciebie wariuję!” – krzyczałem bezgłośnie. Splunąłem na leżące na podłodze strzępy ubrania. Wziąłem telefon i wybrałem jego numer. Nie odebrał. Pewnie pieprzył się z Bartkiem.

mam już dość tego twojego pomyślnego spędzania czasu osobno. masz pojęcie po mnie natychmiast. Wracam do domu i się wprowadzam. Nie chce cię znać.

Palce plątały mi się na ekranie telefonu. Klik i poszło. Nawet się nie zawahałem. Wysłałem i padłem na kanapę. Już nie byłem na karuzeli, jechałem najszybszym rollercoasterem na świecie i zacząłem z niego wypadać.

ROZDZIAŁ 22

„Jezu, jak zimno. Gdzie ja jestem?” – próbowałem odzyskać świadomość. Obudziłem się nad ranem. Farelka nie działała, wokół panowała kompletna ciemność. Potykając się o własne nogi, podszedłem do drzwi salonu i wymacałem włącznik światła. Nie działał. Pobiegłem do toalety i po ciemku zwymiotowałem galaretowatą mazią. I jeszcze raz. I ponownie. Kiedy wydawało mi się, że już nie mam niczego w środku, moje ciało nadal wyginało się jak podczas egzorcyzmów. Rzygałem już chyba samym powietrzem. Wymacałem lewą ręką papier toaletowy i przetarłem nim twarz. Po omacku wytarłem deskę klozetową i podłogę. Wysmarkałem się, pospacerowałem od ściany do ściany, a potem usiadłem na kanapie.

Na dworze się rozjaśniało, oczywiście na tyle, na ile może się rozjaśniać na początku grudnia. Dom budził się do życia i światło dnia minuta po minucie odsłaniało zmory wczorajszego wieczoru. Poszarpany na kawałki chleb i masło ze śladami wbijanego noża wskazywały na napad głodu. Pocięta bluza Sebastiana obnażała napad złości, a kilka pustych butelek po winie zdradzało moje nieumiarkowanie w picciu. Wyglądało na to, że popełniłem wczoraj kilka grzechów głównych.

Nasypałem Rózi karmy do miski. Nie przyszła. Leżała w przedpokoju i patrzyła na mnie wystraszonym wzrokiem.

– Chodź tu i się przytul, no chodź, Rózia...

W końcu, omijając mnie, niepewnie podeszła i zaczęła jeść psie kuleczki ze swojej różowej miski. Pogłaskałem ją delikatnie po karku. Wzdrygnęła się przy pierwszym dotyku.

Stojąc w kuchni, usłyszałem, że żurawie przyleciały już na śniadanie. Na samą myśl o jedzeniu miałem odruch wymiotny. Spojrzałem przez okno na pasące się na łące stado saren, narzuciłem kurtkę, włożyłem kalosze i wyszedłem na dwór.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy i mchu. Kilka głębszych wdechów tej rześkiej mieszanki pozwoliło mi nabrać energii na tyle, żeby obejść dom dookoła. Sebastian chciał mi kiedyś pokazać, gdzie się znajduje skrzynka z zasilaniem, ale nie miało to wtedy dla mnie znaczenia. A powinno mieć.

Zawsze żałowałem, że ojciec nie nauczył mnie majsterkowania. Potrafiłem pływać, jeździć na nartach, znałem dwa języki obce i jeszcze do niedawna wykonywałem prawidłowo salto, ale przybicie gwoźdźcia stanowiło dla mnie wyzwanie. W dzieciństwie, kiedy w domu coś się zepsuło, tata zawsze zapraszał „na wódkę” swojego brata i robił wszystko, żeby tamten zauważył usterkę. Raz nawet zawołał go do łazienki, bo rzekomo słabo mu się zrobiło, i usiadł na podłodze koło pękniętego wężyka. Wujek bardzo chętnie podejmował się takich zadań. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, myślę, że chciał zaimponować mojemu ojcu, który lepiej zarabiał, podróżował w ciekawsze miejsca i miał zdecydowanie ładniejszą żonę. Ciocia wyglądała jak babunia, a nie miała nawet czterdziestki.

Ciemnoszara skrzynka wisiała na wysokości okna, na tyłach domu. Zdziwiło mnie, że ma uchylone drzwiczki. Różia węszyła wokół, a ja stanąłem na chyboczącym się drewnianym taborecie i zajrzałem do środka. Pomyślałem, że cokolwiek tam zobaczę, i tak nic mi to nie powie. A jednak. Taboret zachwiał się pode mną. Nie trzeba było być magistrem inżynierem, żeby zauważyć, że kable zostały przecięte. Kurwa, pieprzony Bartek! Przyjechał pod pretekstem dostarczenia mi ubrań, a tak naprawdę robił wszystko, żeby mnie upić i pozbawić elektryczności. Po co? Po to, żeby mnie jeszcze bardziej upodlić i zrobić ze mnie wariata.

„Jak już musicie tam bywać, to pilnuj, żeby zawsze mieć naładowany powerbank. W środku las może zabraknąć prądu. Jak wtedy wezwiecie pogotowie?” – powtarzała mama. Oczywiście powerbank nie był naładowany. Sięgnąłem do kieszeni po na wpół rozładowaną komórkę. Miałem kilka godzin, żeby znaleźć elektryka.

Wracając do domu, zauważyłem zapisaną niebieską kartkę wetkniętą w płot. Co, kurwa, jeszcze? Rozwinąłem ją i zacząłem czytać, kiedy usłyszałem sygnał przychodzącego esemesa. Sebastian. Wróciłem wzrokiem do kartki i znowu do esemesa. Nie mogłem się skupić na czytaniu. Oczy poruszały się, jakbym oglądał mecz tenisowy na korcie: telefon, kartka, telefon, kartka.

Szanowny Panie,

bardzo prosimy o obecność na zebraniu mieszkańców w sali przy domu sołtysa w dniu 7 grudnia o godzinie 13.00.

Paweł, ciężko mi się jakoś odnieść do Twojej wiadomości. Po liczbie literówek wiem, że pisałeś ją w złości i po alkoholu. W sumie dobrze, że ją odczytałem, zanim wsiałem do samochodu, żeby do Ciebie przyjechać. Nie przyjadę.

Zebranie organizowane jest w celu omówienia protestu przeciwko budowie kurników w naszej wsi, w których jednorazowo ma być hodowanych 1 800 000 kurczaków, czyli 8 000 000 sztuk rocznie.

Nie pracujesz nad tym, żeby nie pić. Nie robisz nic, żeby naprawić nasz związek. Nie będę nosił swoich i Twoich problemów. Nie mam na to ani siły, ani ochoty. Ja też w tej chwili mam rozterki, z którymi muszę się zmierzyć. Muszę się od Ciebie odciąć na jakiś czas.

My, mieszkańcy, obawiamy się nieprzyjemnych zapachów, braku wody, spadku wartości okolicznych posesji. Przeraza nas wizja much, szcurków, złych zapachów, które będą docierać z fermy, zanim wyrośnie wokół kurników pas zieleni.

Nie dzwoń do mnie ani nie pisz. Będę niedostępny przez tydzień. Później pomyślimy, co dalej robić.

Pragniemy napomknąć, że inwestor w bardzo agresywny sposób skupuje wszystkie działki w okolicy. Prosimy o wsparcie.
Zaniepokojeni mieszkańcy

Jeśli rzeczywiście będziesz chciał się rozstać, wszystko zaplanujemy jak dorośli ludzie. Dbaj o siebie. Dbaj o Różię. Dbaj o dom. Dbaj, nie niszcz. Sebastian

Wróciłem do domu, wstawiłem wodę na kawę. Zalałem kubek do połowy, dolałem mleka owianego i stanąłem w oknie. Sikorki podlatywały do kulki z ziaren, którą Sebastian zawiesił ptakom na akacji jeszcze w zeszłym tygodniu. Wieczorem wiewiórka pozjada to, co wypadało im na ziemię. Zwierzęta niczego nie marnują. W przeciwieństwie do ludzi. Zmarnowałem swój związek.

„Będę niedostępny przez tydzień...”. Czytając esemesa od Sebastiana, widziałem Bartka puszczającego do mnie oko. „Jutro lecę na tydzień do Egiptu... Będę niedostępny. Ze znajomym...”. Połączyłem kropki. Serce zabiło jak szalone. Boże, jak mi było źle.

ROZDZIAŁ 23

Skacowany żołądek skurczył się jeszcze bardziej, ale wiedziałem, że muszę coś zjeść. Wyjąłem z lodówki jogurt naturalny, wrzuciłem do niego kilka orzechów włoskich i parę sflaczałych borówek. Z trudem, ale wpełchnąłem w siebie całość. Papka rosła mi w ustach. Różia wylizała kubek po jogurcie. Położyłem się na kanapie. Dom, chociaż ustrojony masą świątecznych ozdób, wydawał się szary. Szary i naburmuszony. Szary, naburmuszony i rozczarowany. „Egipt i Tunezja to ostatnie kraje, do których chciałbym polecieć” – powiedział kiedyś Sebastian. Okazało się, że prawdopodobnie jednak nie. Przez moją głowę przechodził huragan żalu i wątpliwości.

Co takiego się stało, że gdzieś zgubiliśmy naszą miłość? Mieliśmy tyle planów: podróż do Australii, jeszcze jeden pies, remont domu, a jeśli jakoś by nam się udało, to wspólnie wychowywanie dziecka. Co przeoczyłem? Co mogłem zrobić lepiej? Zawsze o wszystkim rozmawialiśmy szczerze. Od kiedy Sebastian miał romans z Bartkiem? Odpowiedzi były jak wyczekiwany list od przyjaciela, który umarł. Nie przychodziły.

Poszedłem z Rózią do lasu. Próbowałem uporządkować myśli, kac nie dawał za wygraną. Czulem, że to już moment, w którym muszę zacząć sam ogarniać to, co się wokół mnie dzieje. Kiedy wracaliśmy do domu, temperatura zaczęła rosnąć. Zrobiło się na tyle ciepło i sucho, że postanowiłem pojechać rowerem do wsi i poszukać kogoś do naprawy prądu. Dolałem Rózi wody, dosypałem karmy.

– Posiedź tu sama i popilnuj domu – szepnąłem jej do ucha.

Rower nie był mój. Należał do Sebastiana. Stał na końcu szopy, za stertą drewna. Seba przyczepiał go zazwyczaj na zimę plastikową opaską do kosiarki. Jak to kiedyś zobaczyła moja matka, nie omieszkała mi przesłać tutorialu: „Jak się uwolnić z trytytki”. „Bo nigdy nic nie wiadomo” – dopisała i wrzuciła jeszcze link do artykułu o tym, jak w domku w lesie uwięziono za pomocą takich opasek rodzinę z dwójką dzieci. Wszyscy zmarli z głodu, a ich szczątki zjadły koty. Instruktaż był po rosyjsku.

Odczepiłem zakurzony rower od kosiarki, wyciągnąłem go na zewnątrz i przetarłem. Grudniowe słońce dokładnie pokazywało niedoczyszczone miejsca. Obniżyłem lekko siodełko. Wsiadłem, przejechałem kawałek, zszedłem z roweru i wbiegłem do domu zmienić niewygodne dżinsy na spodnie dresowe. Ruszyłem w stronę wsi.

Nie miałem planu, jechałem przed siebie. Co chwila się zatrzymywałem i piłem wodę. Zasychało mi w ustach. Mimo że kac drenował moje wnętrze, oczy zrobiły się mokre. Serce biło coraz mocniej. Czulem się tak, jakbym oddychał przez słomkę. Coraz trudniej było mi pedałować, a leśna droga zaczęła się rozmywać. Straciłem panowanie nad kierownicą i się wypierdoliłem. Kiedy lądowałem na miękkim mchu, szyszka wbiła mi się w lewe udo i podrapałem sobie policzek. Rower nie ucierpiał.

Siedziałem na prawie pustym plecaku. Regularne stukanie dzięcioła w korę drzewa pomagało mi w regulowaniu oddechu. Przyroda działała cuda. Idąc tym tropem, przytuliłem się do sosny, przy której wylądowałem. Wstałem i obejmowałem ją przez kilka minut. Poczulem jej spokój i kojącą energię. Poczulem jej serce. Może ta Pocahontas wcale nie była taka popaprana, przychodząc po porady do starej wierzyby? Rosnące przede mną drzewo nie wyszeptало mi, jak mam załatwić sprawę z brakiem prądu. Musiałem z kimś pogadać. Z człowiekiem, nie z drzewem.

Hej, chcesz coś z Avonu?

Napisałem do Beatki. Kiedy mieliśmy ciche dni, zawsze to durne pytanie było jak wyciągnięcie ręki na zgodę. Liczyłem, że tym razem będzie tak samo.

Otrzeptałem się z ziemi i liści niczym pies i ruszyłem w dalszą drogę. Przez te czułości z sosną i wspomnienie Pocahontas cały czas nucilem pod nosem:

Czy wiesz, czemu wilk tak wyje w księżycową noc?

I czemu ryś tak zęby szczyrzy rad?

Czy powtórzysz te melodie, co z gór płyną,

Barwy, które kolorowy niesie wiatr...

Wyjątkowo żenujące. Ruszyłem prosto do sklepu pani Marysi. Ona na pewno będzie wiedziała, kto mógłby mi pomóc w kwestii zniszczonych kabli. Znała wszystkich we wsi.

„Karkówka wieprzowa bez kości. Tylko dzisiaj 8,99 zł/kg”. Przed sklepem dumnie prezentowała się metrowa tablica na reklamy. Wyglądało na to, że pani Marysia liźnęła trochę marketingu przez weekend. Oparłem rower o ścianę i wszedłem do środka. Przez moment zmysły szalały. Zamiast zapachu kiszzonej kapusty wydostającego się z beczki stojącej w rogu sklepu uderzyła mnie woń, która kojarzyła mi się z chodzeniem z babcią do kościoła w niedzielę. Koszmarnie słodkie damskie perfumy. Coś jakby zapach dżemu z róży z cukrem i jeszcze raz z cukrem.

Zamiast stojącej za ladą prząsnej wieśniaczki po sklepie krzątała się wystrojona królowa życia. Kitkę zastąpił blond tapir, a ciało zdobiła przylegająca bordowa sukienka w stylu lat siedemdziesiątych. Sklepowa sprawiała wrażenie, że się gdzieś spieszy. Od razu przyszło mi do głowy, że pewnie na jakiś pogrzeb. W końcu mnie zauważyła.

– Dzień dobry, kochany, już zamykam. Przyjdzie pan za godzinę. – Weszła na zaplecze. – Chyba że coś bardzo szybko, to podam – doleciało z oddali.

Nie chciało mi się krzyczeć i poczekałem, aż wyjdzie. No i wyszła. Jeszcze bardziej elegancka. Strój uzupełniła czarnymi koralami i płaszczem w panterkę. Zawsze myślałem, że kobieta na wsi wygląda jak snop siana. Na pewno nie Marysia. Po kreacji domyśliłem się, że jednak nie idzie na pogrzeb.

– Dzień dobry, ślicznie pani wygląda. – Uśmiechnąłem się, a sprzedawczyni jeszcze raz wróciła na zaplecze, żeby się ponownie przejrzeć w lustrze i chyba upewnić, czy nie kłamałem. – Potrzebuję pomocy.

– Wszystko zrobię, drogi panie Pawełku, ale teraz muszę lecieć na bardzo ważne spotkanie do sołtysa. – Chwyciła mnie za rękę, wyprowadziła ze sklepu, szybkim ruchem wepchnęła mój rower do środka, oparła go o zamrażarkę z lodami i zamknęła drzwi na

zardzewiałą kłódkę. – A pan to niech lepiej idzie ze mną. To nawet was bardziej dotyczy niż mnie. Ja mieszkam po drugiej stronie drogi.

Nie miałem zielonego pojęcia, o czym ona mówi. Chyba to zauważyła.

– Nie dostał pan zaproszenia na spotkanie w sprawie budowy kurników? – Przekrzywiła głowę na jedną stronę, teatralnie demonstrując zdziwienie.

– Tak, tak, oczywiście, że dostałem... – „...jednocześnie z esemesem od Sebastiana” – dokończyłem w myślach.

Błękitna kartka, kury, smród, zatrucia. Ktoś chciał całą wieś kurnikami zapęłnić. Tyle sobie przypomniałem. Ścisnęło mnie znowu w żołądku na myśl o treści wiadomości, którą przysłał mój partner.

Żeby wyciągnąć z Marysi kontakt do lokalnej złotej rączki, uznałem, że dobrze będzie najpierw pokazać zaangażowanie w sprawę, która dla niej i ponoć dla mnie była ważna. Jak się później okazało, Marysia miała rację.

Bez wahania ruszyłem za sklepową, znajdując kolejne plusy tej eskapady. Jednym z nich na pewno była okazja, żeby zobaczyć innych mieszkańców wsi. Kochałem swojego psa, ale jednak potrzebowałem choć trochę kontaktu z ludźmi. Już sama Marysia była na tyle intensywna, że zdarzało mi się zapominać, jak bardzo tęsknię za Sebastianem.

Szliśmy szybkim krokiem, a kiedy zaczął kropić drobny deszcz, Marysia rozłożyła tęczowy parasol. Fakt, gdyby wilgoć dobrała się do jej fryzury, mógłby się rozegrać prawdziwy dramat. Parasol był na tyle duży, że mieściliśmy się pod nim oboje. Gdyby kilka tygodni temu ktoś powiedział mi, że będę maszerował po wsi pod tęczową parasolką ze sklepową u boku, tobym go wyśmiał.

Moja towarzyszka wzięła mnie pod rękę i przyspieszyła. Cały czas nadawała rytm naszym krokom. Powiedziała, że bardzo jej zależy, żeby się nie spóźnić, by nic jej nie umknęło. Opowiedziała mi więcej o sprawcy całego zamieszania, niejakim Kędzierskim, który odziedziczył po ojcu sporo hektarów w okolicy i planował budowę wielkich, przemysłowych kurników. Od pewnego czasu regularnie nachodził mieszkańców wsi, żeby mu odsprzedali swoją ziemię, ale do tej pory nikt mu nie uległ. Tylko Lewandowska, stara szwaczka mieszkająca na wjeździe do wioski, wahała się, bo nie miała dzieci. Z nią niestety również się nie mógł dogadać. Cierpiała na zaniki pamięci i ciągle zapominała, po co do niej przychodzi.

Kędzierski nie był zadowolony z postawy mieszkańców i rzekomo, jak powiedziała stara Kowalska, odgrażał się, że nie cofnie się przed niczym, byle tylko skupić całą ziemię w okolicy.

– Wiem, że do pana Sebastiana też dzwonił. Chyba się nie zgodziliście? – Głos Marysi zabrzmiał bardzo poważnie. Poważnie jak na kobietę w blond tapirze pod tęczowym parasolem. – Nie kręcił się pod waszym domem?

– Nieee, raczej nie. – Skąd mogłem wiedzieć, skoro w zasadzie nie miałem z Sebastianem kontaktu?

O tym Kędzierskim też pierwszy raz słyszałem. Może Seba umówił się na sprzedaż, a mnie i Rózię dorzucił jako niewolników? Nawet mnie rozśmieszyła ta wizja. Mina jednak szybko mi wrzędła na myśl o tym, że ktoś kręci się pod naszym domem. Kabel sam się nie przeciął.

– Daleko jeszcze? – zapytałem, gdy mijaliśmy cmentarz.

Schowałem kciuki w dłoniach. Matka powiedziała mi kiedyś, że w Japonii ludzie tak robią, żeby chronić swoich rodziców. Japońskie słowo „kciuk” oznacza „palec rodzic”, więc ukrycie go chroni przed śmiercią. Nie mieszkaliśmy w Japonii, a mimo to od dzieciństwa matka z ciotką przypominały nam, żeby tego przestrzegać. I tak mi zostało.

– Nie, niedaleko, jakieś sto metrów. – Marysia spojrzała na swoje mokre buty i pokiwała głową z niezadowolaniem. – O, to tam! – Wskazała dom na początku wioski.

Dom jak dom, parter plus piętro, biały tynk, drewniany płot. Zadbany, choć trudno to było ocenić na początku grudnia. Na posesji stało kilka aut, a obok znajdował się mniejszy budynek, również biały. Okna miał tylko z jednej strony. Na moje oko miał jakieś siedemdziesiąt metrów kwadratowych. Przed budynkiem ułożono kostkę brukową.

– Wszyscy mieszkańcy dołożyli się do tej świetlicy – powiedziała Marysia z dumą, gdy zatrzymaliśmy się przed wejściem. Po tych słowach twarz jej stężała i zaczęły drgać szczęki. – O, już przyjechał, pewnie żeby zająć miejsce w pierwszym rzędzie, dziad jeden chiwy.

Domyśliłem się, że mówi o Kędzierskim. Wskazała na kilkuletnie czarne bmw piątkę stojące tuż przy wejściu do domku. Kiedy mijaliśmy samochód Kędzierskiego, przez chwilę myślałem, że pani Marysia opluje to auto. Albo porysuje. Na szczęście się powstrzymała. Weszliśmy do środka. W przedsionku suszyły się dwa czarne parasole. Marysia położyła obok swoją tęczową parasolkę.

– Pan poczeka chwilę. Szybko skorzystam z toalety. – Nacisnęła klamkę w białych drzwiach i zniknęła w środku.

Czekając na nią, spojrzałem na tablicę informacyjną wiszącą przy drzwiach. „Usuwanie wyrobów zawierających azbest z terenu gminy”, „Konkurs na stanowisko kierownika domu kultury” w sąsiedniej miejscowości, „Szczepienie ochronne przeciwko wścieklicznie lisów wolno żyjących”, „Zaproszenie na wystawę: Duchowość Podlasia” i na kiermasz wypieków świątecznych. Wszystkie informacje estetycznie napisane, na kartkach o wymiarach mniej więcej połowy A4. Na samym środku ogłoszenie o formacie prawie trzy razy większym od innych, czerwoną czcionką:

Skup działek za dobrą gotówkę!!!

Oferujemy skup działek za gotówkę w tej okolicy. Kupujemy działki budowlane oraz rolne objęte miejscowym planem zagospodarowania terenu lub z wydanymi warunkami zabudowy. Skupujemy również działki inwestycyjne. Interesują nas działki w każdym stanie prawnym, w szczególności: z komornikiem, bez drogi dojazdowej, bez służebności przejazdu, z pożyczką prywatną, z hipoteką, ze służebnością/dożywociem, z udziałami w działce, zadłużone. Propozycję kierujemy do osób, które potrzebują natychmiastowego dostępu do gotówki zamrożonej w działce. Jesteśmy w stanie przeprowadzić transakcję ekspresowo!

Wiesław Kędzierski, dom numer 12

Cwanie to sobie wymyślił. W tej części Polski natychmiastowy dostęp do gotówki był na wagę złota. Ale z jakiegoś powodu znaleźliśmy się tego dnia w świetlicy.

– Możemy wchodzić. – Marysia wyszła z toalety. Wyglądała inaczej. Jej usta były krwistoczerwone. W niczym nie przypominała kobiety sprzedającej kiszoną kapustę w małej podlaskiej wsi.

Chwyciłem za klamkę do świetlicy. Przepuściłem Marysię i zrobiłem krok za nią. Spodziewałem się woni papierosów i ubrań pachnących rosołem, ale nic z tych rzeczy. Widać było, że mieszkańcy dbają o to miejsce. W rogu sali w aneksie kuchennym stały ciasta

pokrojone na kawałki, obok kawa i herbata w termosach, szklanki w koszyczkach i papierowe tacki. Na ścianach wisały prace wykonane przez dzieci i jakieś dyplomy.

Większość miejsc była już zajęta. Usiedliśmy w ostatnim rzędzie. Marysia obok kobiety w beżowej sukience, a ja z brzegu. Spotkanie już się zaczęło, na mównicy stała niewysoka kobieta około czterdziestki, choć nie dałbym sobie ręki uciąć za jej wiek. Czas jakoś inaczej obchodził się z ludźmi na wsi niż z tymi w mieście.

Marysia nachyliła się do mnie i szepnęła:

– To Badachowa. Kędzierski już kupił parę działek wokół jej domu i pewnie tam zaczyna budować najpierw.

Moje spojrzenie powędrowało na mównicę. Rzeczona Badachowa miała w ręce karton z napisem „TWÓJ ZYSK, NASZ SMRÓD”.

– I dodam jeszcze na koniec, że bezpośrednio na obszarze przylegającym do terenu, gdzie mają być kurniki, są obecne gatunki ptaków wymienionych w załączniku dyrektywy ptasiej. Występują też gatunki cenne w skali europejskiej: zimorodek, gąsiorek, czapla biała i żurawie. Całe życie towarzyszą mi ptaki! Dlaczego nie możesz poszukać sobie ziemi gdzie indziej, człowieku? – Mówiła już podniesionym głosem, prawie krzyczała, a jej szyję pokryły czerwone plamy. – Pragniemy, żeby nasze rodziny nie chorowały i cieszyły się czystym powietrzem! I przestań nas straszyć! – krzyknęła w stronę mężczyzny siedzącego w pierwszym rzędzie i zeszła z mównicy.

Po kilku sekundach ciszy rozległy się huczne oklaski.

– O co chodzi z tym straszaniem? – Nachyliłem się lekko w stronę Marysi. Od kilku godzin nic nie jadłem, więc wolałem zanadto się do niej nie zbliżać, bo czułem, że mam nieświeży oddech.

– Ludzie znajdują w ogródkach cegły, martwe ptaki i podejrzewają, że to syn Kędzierskiego je podrzuca – odpowiedziała, sięgając do torebki po gumę do żucia, którą po chwili mnie poczęstowała. Przyszło mi do głowy, że to doskonała kandydatka na nową psia-siółkę. – No i sam Kędzierski ciągle łązi po domach. O, sołtys.

„Martwe ptaki? A żywe sowy też? Ktoś chodzi po domach? To by wyjaśniało wiele sytuacji również u mnie...” – przeszło mi przez myśl.

Sołtysa widziałem po raz drugi w życiu, ale z jego napiętych mięśni twarzy wyczytałem zdenerwowanie. Poprosił o spokój i oddał głos samemu Kędzierskiemu.

Mężczyzna w granatowym garniturze energicznie podniósł się ze środkowego krzesła w pierwszym rzędzie. Widziałem, jak siedząca obok kobieta o krótkich rudych włosach przytrzymuje dłużej jego dłoń, próbując okazać mu wsparcie przed wystąpieniem. Kędzierski podszedł do mównicy, stanął przodem do publiczności i czar prysł. Przepita czerwona twarz, zaciśnięte zęby, obleśne wąsy i przekrwione oczy. No właśnie, oczy. Oczy wydawały mi się znajome...

Mimo że typ miał odpychającą aparycję, moja wiara w ludzi podpowiadała mi, że przyjmie pokojową, pokorną postawę. Nic bardziej mylnego.

– Nie możecie mnie powstrzymać! – huknął, a na jego twarzy jak na zamówienie zaraz pojawił się szelmowski uśmiech. – Na terenie tej gminy nie obowiązują miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego ani nie zabrania się budowy kurników czy chlewni. Moi prawnicy dokładnie to sprawdzili!

W sali zapadła cisza. Zebrani spoglądali po sobie, a Kędziński perorował dalej:

– Mój świętej pamięci ojciec marzył, żeby nasza wieś była podlaskim królestwem drobiu. Niestety nie zdążył...

– Co będziecie robić z odpadami?! – przerwał mu starszy męski głos dobiegający z tyłu świetlicy.

Niewzruszony potentat drobiowy zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

– ...dlatego ja spełnię jego marzenie i zrobię z tej wioski punkt na mapie Polski rozpoznawalny tak samo jak Żywiec czy Piątnica. – Wykonał gest Kozakiewicza i zszedł z mównicy.

Moje pierwsze skojarzenie: „Te pieniądze im się po prostu należały!”.

– Bravo! Bravo! – wykrzykiwała ruda kobieta, towarzysza Kędzińskiego. Z jej twarzy biła satysfakcja granicząca z obłędem, a dziąłowy uśmiech był wyraźnie widoczny z ostatniego rzędu.

Kędziński pocałował ją w dłoń i usiedli na swoich miejscach.

Po sali rozchodziły się głosy oburzenia. „Jak tak można?!”, „Co za bezczelność!”. Chyba nawet usłyszałem „Jebany chuj!”. Zakłopotany sołtys zaprosił wszystkich na przerwę, z wymuszonym uśmiechem wskazując dłonią na aneks kuchenny.

– A teraz proponuję spróbować wypieków naszych cudownych gospodyń.

Nalałem sobie i Marysi kawy do połowy kubków. Głową wskazałem na mleko, kiwnęła przecząco. Nałożyłem po kawałku makowca. Był trochę suchy, ale od kilku godzin nic nie jadłem, a na dodatek dopadł mnie kacowy niedobór cukru. Nie miałem pewności, czy mi się w ogóle ten poczęstunek należy, ale w końcu przyszedłem z Marysią. Sięgnąłem jeszcze po sernik z rodzynkami, znacznie smaczniejszy. Hipoglikemia zniknęła.

– Ma pani pełno maku między zębami. – Spróbowałem po swojemu odwdziżyć się za poczęstowanie mnie gumą do żucia.

Marysia wyjęła z torebki telefon i przejrzała się w aparacie. Znowu mnie zaskoczyła swoją postępowością.

– Zaraz wracam. – Uśmiechnęła się z zamkniętymi ustami i wyszła ze świetlicy.

No i zostałem sam z rozjuszonymi wieśniakami. Po wystąpieniu Kędzińskiego do sali wkradła się agresja. Usiadłem na krześle i udając, że coś sprawdzam w prawie rozładowanym telefonie, obserwowałem zebranych. Sebastian powiedział mi kiedyś, że wioska liczy około stu mieszkańców. Liczba ta od lat się nie zmieniała, a może nawet ostatnio przez wybuch pandemii jeszcze zmalała.

Kobiety stanęły razem, mężczyźni oddzielnie. Klasyk. Widziałem, jak panowie, w większości o czerwonych twarzach, nalewają do szklaneczek wódkę. Tak ostentacyjnie. Panowało na to lokalne przyzwolenie. Nawet sołtys do nich dołączył. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Po prostu stali i pili. W rogu sali, tyłem do wszystkich, stanęli Kędzierscy. Sprawiali wrażenie, jakby mieli wszystko gdzieś. Kędzierska eksponowała nowe czarne kozaki. Tak nowe, że miały jeszcze naklejone na podeszwach zielone, neonowe ceny.

Pań było siedem. Na moje oko raczej starszych. Spódnice do kolan, skórzane kozaczki, sweterki i kolorowe chusty przerzucone przez ramiona. One zdecydowanie rozmawiały o czymś, a nawet o kimś. Nie da się ukryć, że co chwila zerkały w moją stronę. Co zrobiły

Sebastian? Na pewno nie siedziałby skulony na krześle. „Panowie czy panie? A może Kędzierscy? Do kogo podejść?” – zastanawiałem się.

– I tak chłop z chłopem, Marzenko. Ciekawe, który jest babą, ha, ha, ha, ha, ha... – Kobieta w fioletowym swetrze z angory przestała mówić, gdy koleżanka szturchnęła ją łokciem, widząc, że się do nich zbliżam. W zwolnionym tempie obróciła się w moją stronę i wybałuszyła oczy.

– Dzień dobry, mam na imię Paweł. Mieszkam zaraz za wsią, w lesie. Z chłopem i dwoma psami. – Od ciasta poprawił mi się humor. Odczułem satysfakcję, widząc ich zmieszane spojrzenia.

Patrzyły przez chwilę na zmianę to na siebie, to na mnie. Pierwsza odezwała się najgrubsza dama, w sweterku w cekiny.

– Nazywam się Irena. Jestem żoną sołtysa. – Nieśmiało wyciągnęła do mnie dłoń.

Ucisnąłem ją, uśmiechając się. Tłuściutka dłoń sołtysowej była bardzo spocona.

– Ma pani na imię Irena. Nazywa się pani z pewnością inaczej. – Moja spontaniczna próba edukowania kobiet chyba jednak nie miała sensu, bo nie wiedziały, o co mi chodzi.

Podąłem rękę pozostałym stojącym w kręgu. Były aż trzy Marzenki, Gosia, Kasia i chyba Ania. Przez chwilę panowała cisza. Niezręczna cisza.

– Jeśli będzie taka potrzeba, to na pewno razem z moim partnerem udzielimy wsparcia mieszkańcom. Też nie chcemy tutaj kurników ani chlewni. – Wziąłem łyk kawy. Starałem się robić wrażenie pewnego siebie, choć nie wiedziałem, czego się po nich spodziewać. Wypowiadałem się w imieniu swoim i Sebastiana, mimo że nie miałem pojęcia, czy w ogóle jeszcze jesteśmy razem.

– Mówiłam, że są w porządku... – powiedziała cicho chyba Ania.

I po tych słowach nagle zaczęliśmy rozmawiać tak, jakbym był częścią ich społeczności od dawna. Dowiedziałem się kto z kim i gdzie. Wyglądało na to, że w siedemdziesięciu procentach stali mieszkańcy rozmnażali się we własnym gronie. Przy tak małej liczbie ludzi to aż cud, że dzieci nie rodziły się z dwiema głowami. Kędzierscy mieli bardzo przystojnego syna, który jeszcze się nie ożenił. Jego rodzice, starzy Kędzierscy, to były leniwce, których rodziny dorobiły się za komuny. Obecnie mieszkańcy poszukiwali grupy młodzieży z sąsiedniej wsi. Nastolatki narysowali na ich remizie osiem gwiazdek. Ech, co za problemy.

Gęsta różana chmura otoczyła nas wszystkich. Marysia przywitała się z paniami z wymuszonym uśmiechem; nie dało się ukryć dystansu między nimi. Pewnie przez te różnice w postrzeganiu mody.

Sołtys zamachał, żebyśmy wracali na spotkanie.

– Miło było panie poznać. – Skinąłem głową na pożegnanie. – Do zobaczenia.

– A mogę pana jeszcze o coś zapytać? – Jedna z Marzenek podniosła rękę jak w szkole.

– Pewnie. – Czekałem, aż zapyta: „Kto jest babą w związku?”.

– A zna pan Gabriela? – Uśmiechnęła się od ucha do ucha niczym dziecko czekające na odpowiedź, czy może wyjść na plac zabaw.

– Nie wiem, o kogo pani chodzi. Obawiam się, że nie. – Rzeczywiście nie miałem pojęcia, o kogo pytała.

– O Gabriela z *Królowych życia* – dodała już z mniejszym entuzjazmem.

„O ja pierdole – przeleciało mi przez głowę. – Więc tak postrzegają geja na wsi. Jako kolorowego projektanta futer z Głogowa”. Kojarzyłem Gabriela tylko i wyłącznie z fragmentu programu. Ja wybrałbym pewnie innego reprezentanta naszej mniejszości, ale on był na tyle sympatyczny i niegroźny, że raczej nie robił dużej szkody całemu środowisku. A takim ludziom, przed jakimi właśnie stałem, pokazywał, że świat jest zróżnicowany. Widząc tyle par wpatrzonych we mnie oczu, czułem, że muszę skłamać, żeby ich nie rozczarować. Dla nich chyba było oczywiste, że wszyscy geje na kuli ziemskiej się znają.

– A, tego Gabriela. Oczywiście, bardzo się lubimy.

Błysk w oczach moich rozmówczyń prawie mnie oślepił, a pisk niemal ogłuszył. Marysia chwyciła mnie pod ramię.

– Wracamy na swoje miejsca. – Pomachała paniom.

– Proszę go pozdrowić od nas wszystkich. Uwielbiamy go i zapraszamy na serniczek.

Wódeczka zdecydowanie wpłynęła na intensywność dyskusji podczas drugiej części zebrania. Teraz bardziej aktywni byli panowie, którzy chwilami nawet grozili Kędzierskiemu, na przykład porwaniem syna albo psa. O nie! Porwanie Rózi byłoby dla mnie najgorsze! Sołtys bezskutecznie próbował zapanować nad nastrojami.

W pewnym momencie salę wypełniała już tylko głośna kakofonia, a Kędzierscy podnieśli się z krzeseł i szybkim krokiem ruszyli w stronę wyjścia. Patrzyli przed siebie, ignorując złowrogie spojrzenia i wyzwiska. Nagle Kędzierski potknął się o nogę, którą podstawił mu ktoś siedzący mniej więcej w połowie drogi do drzwi.

– Kurwa! – ryknął, wylatując w powietrze. Puścił żonę, która też straciła równowagę i klęknęła.

W świetlicy wybuchł gejzer śmiechu. Scenka pewnie rzeczywiście wyglądała z boku zabawnie, ale czułem, że jeśli Kędzierski upadnie i uderzy twarzą o ziemię, to może mu się stać krzywda.

– Wiesław! – krzyknęła przerażona Kędzierska.

Instynktownie wstałem i zrobiłem krok do przodu, by złapać lecącego faceta. Był ode mnie cięższy. Obaj upadliśmy na podłogę. Jedna z jego dłoni nadal tkwiła w czarnej kurtce. Kędzierski leżał na mnie, a mieszkańcy pokładali się ze śmiechu. Jego żona podbiegła do nas i zaczęła go ze mnie ściągać. Śmierdział papierosami i kawą.

– Nie dotykaj mnie, pedale! – Zaczął wstawać. Spojrzał na mnie z nienawiścią.

Serce zabiło mi mocniej. Gdzieś już widziałem te oczy i to spojrzenie. Nie miało w sobie tyle złości, ale pewnie nie spotkaliśmy się wzrokiem po raz pierwszy.

– Nie wiecie, z kim zadarliście! – wrzasnął purpurowy na twarzy Kędzierski, po czym podszedł do drzwi, kopnął je energicznie i zniknął.

– Wiesław, Wiesław, poczekaj! – Wierna małżonka zaczęła biec za nim. Zatrzymała się przed samym wyjściem i pokazała nam środkowy palec.

Cała sala zaczęła bić jej brawo.

Wstałem z podłogi; cholernie bolały mnie plecy. Żałowałem, że ruszyłem na ratunek temu spaślakowi.

– Nic się panu nie stało? – Marysia wzięła mnie pod rękę. – Co za cyrk! Chodźmy już stąd.

Wyszliśmy zaraz za Kędzierskimi. Opuszczałem świetlicę z przekonaniem, że dla kawałka ziemi człowiek byłby w stanie nawet zabić.

Kiedy już naśmiałyśmy się z upadku potentata drobiowego, powiedziałem Marysi, że nie mam prądu. Chociaż byłem przekonany, że to sprawa Bartka, zasugerowałem, że pewnie kuna przegryzła kable. Nie chciałem aż tak wtajemniczać sklepowej w kulisy swojego życia. Okazało się, że jej bratanek zajmuje się instalacjami elektrycznymi. W ciągu kilkunastu minut przyjechał do sklepu. Na dworze było już szaro. Stwierdziliśmy, że weźmiemy mój rower na tył jego auta i pojedziemy do domu. Przy okazji kupiłem trochę jedzenia i wymieniliśmy się z Marysią numerami telefonów. Wyglądało na to, że nawiązałem na wsi pierwszą bliższą znajomość.

Kiedy dojechaliśmy do domu, było już na tyle ciemno, że musiałem asystować bratanekowi Marysi w pracy. Świeciłem latarką na skrzynkę, a on w niej grzebał.

– To nie kuna. – Spojrzał w moją stronę, zasłaniając oczy przed światłem latarki, i pokazał mi kable. – Są przecięte nożem – oświadczył takim tonem, jakby w tej okolicy było to na porządku dziennym.

Spodziewałem się tej diagnozy, ale powiedziałem, że to bardzo tajemnicza sprawa i pójde z tym na policję.

– Jak pan chce – stwierdził, jakbym go w ogóle pytał o radę. – Proponuję założyć alarm, jeśli zamierza pan tu mieszkać. To nie jest najbardziej bezpieczne miejsce.

„Jak każde w środku lasu” – pomyślałem.

Chłopak uwinął się szybko. Skasował dwadzieścia złotych i pojechał. Przez chwilę nawet miałem ochotę zaprosić go do domu na piwo, żeby nie siedzieć samemu, ale zauważyłem na jego bluzie napis „Pogoń Siedlce królem” i doszedłem do wniosku, że niekoniecznie mielibyśmy wspólne tematy do rozmowy.

Elektryczność wróciła. Nie spodziewałem się, żeby miała ponownie zniknąć, skoro ten zęb Bartek polecał do Egiptu.

Kilka kawałków ciasta w świetlicy nie zaspokoilo mojego kacowego łaknienia. Zrobiłem się cholernie głodny. Wstawiłem wodę na makaron i zacząłem kroić pieczarki do sosu. Telefon dał znać, że dostałem esemesa. Spojrzałem na ekran i się uśmiechnąłem. Beatka!

Czego chcesz? ;)

W naszym kodzie komunikacyjnym znaczyło to, że już mi wybaczyła. Odpisałem od razu:

Zapraszam Cię jutro na jedzonko do Twojej ulubionej restauracji. Przyjedź po mnie po pracy.

Beatka lubiła wszystko, co chrupiące i smażone na głębokim tłuszczu. Nigdy długo nie trzeba było jej namawiać na wizytę w barach z fast foodem. Nawet jeśli to się wiązało z przejechaniem stu kilometrów z Warszawy. Stęskniłem się z nią.

Na Spotify dostępna była nowa płyta Adele. Włączyłem ją, napelnilem kieliszek winem i kończyłem przygotowywanie kolacji. Róża zrobiła się niespokojna, kilka razy szczeknęła. Wyjrzałem przez okno. Jakiś samochód zatrzymał się pod bramą. „Ja pierdolę, czy ten dzień się kiedyś skończy?”.

Zostawiłem psa w domu, żeby nie hałasował. Pomyślałem, że to pewnie bratanek Marysi wrócił po jakieś zapomniane narzędzie. Podchodząc do płotu, już wiedziałem, że to nie on. Przy ogrodzeniu stały dwie osoby. Poświeciłem na nie latarką z telefonu, kilka chaotycznych wspomnień przeleciało mi szybko przed oczami i wszystko było jasne. Policjant w swetrze w romby i policjantka z monobrowią. Nieprzyjemny duet, który przesłuchiwał mnie po śmierci Marcina. „Co oni tu robią?” – zachodziłem w głowę. Czułem, że mimo pary lecącej z ust po plecach płyną mi krople potu. Moją pierwszą myślą było: „Coś się stało Sebastianowi”.

ROZDZIAŁ 24

DAWNIEJ

Nowy Orlean

Dziesięć lat po przejściu huraganu Katrina historyczna Bourbon Street w Nowym Orleanie tętniła życiem niczym centrum Las Vegas. Kolorowe budynki utrzymane w mieszanym stylu francuskiego i hiszpańskiego już na pierwszy rzut oka robiły ogromne wrażenie. Kamienice i apartamenty miały werandy o wyszukanych formach i balkony z kutego żelaza rozciągające się na całe drugie piętro. Na niższych kondygnacjach najczęściej znajdowały się sklepy.

– Wiesz, że ta ulica nie została nazwana na cześć whisky, ale na cześć francuskiej dynastii Burbonów? – Sebastian jak zwykle przygotował się do zwiedzania.

– Napisz Beatce, może jej się to przyda, jak się kiedyś w końcu dostanie do *Milionerów*. – Popchnąłem go zaczepnie. – Ja tam wolę jednak poszukać whisky.

Tłumy turystów chłoniły ducha miasta, którego nie zdołała złamać nawet potężna Katrina. Balkony wypełnione po brzegi pijącymi, tańczącymi i śmiejącymi się ludźmi sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały runąć pod ich ciężarem. Chodniki były pokryte rzucanymi z pięter budynków plastikowymi koralikami. Nawleczone na sznurki zielone, złote i fioletowe kuleczki symbolizowały wiarę, władzę i sprawiedliwość. Wyglądało na to, że na potrzeby turystów tradycje z Mardi Gras, tłustego wtorku, czyli ostatniego dnia karnawału, rozciągnięto na cały rok. Zewsząd dobiegała różnorodna muzyka. Funk, swing, gospel, country, rock i soul, każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Grano na ulicach, na chodnikach, w restauracjach i w barach. Tam, gdzie ktoś występował, przechodnie od razu zatrzymywali się, żeby klaskać, śpiewać i tańczyć.

Na początku bardzo mnie to kręciło. Jednak po kilkadziesiąt minut spacerowania czułem się tak, jakby te wszystkie głośne dźwięki złośliwie atakowały mój układ nerwowy.

W uliczki francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu zaczął się wlewać półmrok. Sebastian chwycił mnie za rękę i wciągnął do bramy. Zgiełk miasta ucichł.

– To co? Szybki seks? – zapytałem, kładąc mu rękę na jędrnym pośladku. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Nie, coś dużo lepszego. – Pocałował mnie głęboko. – Chodź.

Przeszliśmy przez bramę i znaleźliśmy się w wypełnionej zielenią oficynie. Moją uwagę zwróciły drzwi po prawej stronie, a nad nimi kuty sztyl z napisem „All That Jazz”.

– Chodź na dobrego drinka. – Sebastian położył mi rękę na ramieniu.

Zaraz po wejściu otoczyły nas subtelne dźwięki kornetów, klarnetów, trąbek, puzonów i innych instrumentów, wybrzmiewające z płuc muzyków siedzących w rogu sali. Sebastian

gestem przywołał kelnerkę i szepnął jej coś na ucho. Usiedliśmy przy ostatnim wolnym stoliku na środku. Seba uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Jazz narodził się w Nowym Orleanie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Było to w Storyville, dzielnicy prostytutek.

Niby znowu wiedza bezużyteczna, ale w tamtych okolicznościach zabrzmiało to nadzwyczaj interesująco. W końcu byliśmy w luizjańskim klubie jazzowym. Aż mnie przeszedł dreszcz. Dreszcz podniecenia.

– Ty mądrało, a co to właściwie jest jazz? – zapytałem zaczepnie.

– Nie wiem. Po prostu jak usłyszysz, to już wiesz. – Sebastian nachylił się w moją stronę i ciszej dodał: – *When you hear it you know it.*

Kelnerka postawiła przed nami dwie kryształowe szklanki. Takie niskie, w jakich zazwyczaj podaje się whisky, wypełnione do połowy napojem w kolorze rozwodnionej coli.

– No i jednak Bourbon Street ma nazwę od whisky. – Wrzuciłem do środka cienką, spiralnie skręconą skórkę cytryny, która ozdabiała drinka. Stuknąłem lekko szklankę Sebastiana. Dźwięk szkła rozniósł się po klubie. Co za akustyka! – Na zdrowie. Za Nowy Orlean!

– Za nas. – Sebastian mrugnął do mnie.

Spróbowałem drinka.

– Wow! Co to? – Przechyliłem szklankę jeszcze raz, żeby potwierdzić swoje pierwsze wrażenie. – Jakie pyszne.

– To sazerac. Koktajl, z którego słynie Nowy Orlean. Podstawa to koniak i absynt. Francuski malarz, Henri coś tam, nazywał tę mieszankę „trzęsieniem ziemi”. Smakuje ci?

– Tak, bardzo. Zamów od razu po jeszcze jednym, bo jest tak smaczny, że zaraz go dokończę. O, będą chyba coś śpiewali na żywo. – Wskazałem głową na miejsce, gdzie grali muzycy. – Jakaś pani tam idzie.

Biała kobieta około pięćdziesiątki pewnym krokiem podeszła do zespołu. Jej zgrabne, pokryte tatuażami ciało zdobiła luźna czarna sukienka do kolan, do której dobrała białe buty i czerwone rękawiczki. Na jej szyi mieniły się perły, a kręcone czarne włosy opadały na ramiona. Już teraz, mimo że się nie ruszała, emanowała tak szczególnym rodzajem energii, że nie mogłem od niej oderwać wzroku. Uśmiechnęła się do mężczyzny siedzącego przy najbliższym stoliku i uniosła lewą rękę. Światła w klubie zgasły. Dopiero wtedy zauważyłem, że na wszystkich stolikach zapalono świeczki. Miejsce, gdzie stali muzycy, było dodatkowo oświetlone stojącymi lampami z bordowymi abażurami.

Autumn in New York

Why does it seem so inviting?

Autumn in New York

It spells the thrill of first-nighting...

Boże, rany, o matko, jakie to było piękne. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego utworu, a skądś znałem każdy jego fragment, każdy dźwięk, każde słowo. Niski głos kobiety rezonował w moim ciele, przepływał od głowy do stóp i z powrotem. Po kilkunastu minutach

koncertu i kilku drinkach czułem, że ta muzyka jest częścią mnie albo że to ja jestem częścią tej muzyki. Zatonąłem w atmosferze Luizjany.

– I co? Podoba ci się ten jazz? – Sebastian przesunął dłonią po mojej dłoni. Splotliśmy palce.

– Jestem w niebie. – Pocałowałem go. Jego usta smakowały whisky i haszyszem. – A ile można wypić tego absyntu?

– A ile się chce. Ja chcę jeszcze. A ty? – Nie czekając na odpowiedź, dał znać ręką kelnerce, żeby przyniosła następną kolejkę sazeraca.

Nie pamiętałem, ile piosenek tam wysłuchałem ani jak długo tam byłem. Czas nie istniał. Była tylko muzyka. Nie zataczałem się, nie byłem pijany. Czułem się piękny, wysoki, wysportowany, mądry, szybki, wrażliwy, ale i odważny. Byłem idealny. Byłem idealnie odurzony.

Na ścianie dostrzegłem namalowany białą farbą cytat z Oscara Wilde'a: „Po pierwszej szklance absyntu widzi się rzeczy, jakich byśmy sobie życzyli. Po drugiej widzi się rzeczy takie, jakimi nie są. W końcu widzi się rzeczy takimi, jakimi są naprawdę, i to najgorsze uczucie na świecie”. „A co się widzi po pięciu, sześciu, ośmiu?” – zastanawiałem się.

– Wracamy do hotelu? – zapytałem Sebastiana, kiedy wyszliśmy z klubu.

– Nie, pójdziemy w jeszcze jedno miejsce, o którym czytałem.

– Z tobą wszędzie.

Z nastaniem nocy miejscówki pod latarniami zostały zajęte przez prostytutki, a swing i gospel zastąpił pop grany przez didżejów. Było jeszcze głośniejsze niż kilka godzin temu. Tym razem zupełnie mi to nie przeszkadzało. Mój mózg miksował ze sobą piosenki, słyszałem nowe teksty i melodie. Miałem w głowie cudowny muzyczny koktajl.

– Uprzedzam cię, że to nie jest zwyczajne miejsce. Wiesz, co to jest śmierć wudu? – Sebastian zatrzymał się przy okienku, w którym sprzedawano drinki. – Wezmę nam jeszcze po jednym. Skorzystajmy z tego, że w Nowym Orleanie można pić na ulicy.

– Nie wiem nic o wudu, spodziewałem się raczej, że zaprowadzisz mnie do jakiegoś klubu ze striptizem. – Wziąłem od niego długie naczynie wypełnione napojem koloru neonowej zieleni. – Ale dzisiaj mam ochotę spróbować wszystkiego. No może poza śmiercią – zaśmiałem się, po czym dodałem: – Dobra, opowiadaj. Nie wiem, co to jest śmierć wudu.

– To zjawisko nagłego zgonu spowodowanego stresem wywołanym przez przekonanie, że wkrótce umrzesz. Rozumiesz? – Sebastian spojrzał na mnie, upewniając się, że go słucham. – Taka samospełniająca się przepowiednia.

Słuchałem, ale jego głos wydawał się dobiegać z daleka, gdzieś między wszystkimi pozostałymi dźwiękami z otoczenia. Mimo że Sebastian stał przy mnie i mówił głośno i wyraźnie, musiałem czytać z jego ust. Kontynuował:

– Kiedyś pewna kobieta przypadkowo zjadła jabłko z miejsca objętego religijnym tabu i rzucono na nią klątwę. Zaczęła być traktowana przez rodzinę jak umierająca, po czym faktycznie umarła w ciągu kilku godzin.

Spojrzałem w niebo. Wszystko wirowało, a mnie się wydawało, że mam gwiazdy na wyciągnięcie ręki.

– Aż się dziwię, że moja mama nigdy mnie o tym nie poinformowała. No dobra, ale co to ma wspólnego z miejscem, do którego idziemy? – Wróciłem na ziemię.

– Nic. Chciałem przykuć twoją uwagę. I mi się udało. Idziemy do muzeum wudu.

– To chodźmy. – Było mi cudownie wszystko jedno. Niczego się nie bałem.

Po drodze jeszcze kilka razy zatrzymaliśmy się na drinki, a Sebastian opowiedział mi wszystko, co pamiętał o religii wudu. Zapamiętałem jedynie to, że wśród jej wyznawców istnieje przekonanie, że dzięki magii można ożywić ciało zmarłego i spowodować, że będzie ono na przykład pracować na polu. Po prostu zombi. Przypomniało mi się, jak kuzynka zmusiła mnie kiedyś do wspólnego oglądania *Nocy żywych trupów*. Nie spałem potem blisko przez tydzień.

Tuż przed wejściem do muzeum miałem chwilę zawahania, a raczej strachu. Na widok mrocznego, czerwonego napisu „Wudu” ugięły się pode mną nogi, ale płynący we mnie zamiast krwi absynt szybko rozwiał wątpliwości. Sebastian zapłacił Afroamerykance w niebieskim turbanie czterdzieści dolarów i weszliśmy do środka.

W momencie przestąpienia progu muzeum zapomniałem o klubie jazzowym. Jedyne, co łączyło oba miejsca, to półmrok. Swingujące melodie zastąpiła jakaś przerażająca bębnowa polirytmia. Zapach kadzidel nachalnie penetrował mój nos. Chwyciłem Sebastiana za rękę. Ścisnął mocno moją dłoń.

Muzeum składało się zaledwie z czterech pomieszczeń, za to wypełnionych tak bardzo niepokojącymi rekwizytami, że obawiałem się, że już nigdy nie zasnę. Polaroidowe zdjęcia kobiet w białych strojach stojących nad zwłokami, domek dla lalek wypełniony trupami leżącymi w łóżkach, portrety martwych ludzi i włosy. Wszędzie kępki włosów.

– Działanie absyntu zaczyna skręcać u mnie w mroczną stronę – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Chodźmy stąd.

Sebastian od razu przytaknął. Przyspieszonym krokiem ruszyliśmy w stronę wyjścia. Kiedy już mieliśmy opuszczać budynek, stanęła przed nami czarna staruszka w fioletowej sukni. Podobnie jak kobieta przy wejściu na głowie miała turban.

– Nie możecie stąd wyjść, dopóki nie dokończymy – przemówiła niskim głosem i zapaliła świeczkę.

Mimo że wiedziałem, że to wszystko jest tylko komercyjna atrakcja przygotowana dla turystów, musiałem przyznać, że warsztat aktorski miała opanowany. Uwierzyłem, że za chwilę wezmę udział w prawdziwym rytuale spirytystycznym.

Staliśmy jak wryci. Kobieta chodziła wokół nas z kadzidłami i świeczką, cały czas wypowiadając jakieś słowa w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Nagle przed nami pojawiły się kilkuletnie afroamerykańskie dziewczynki trzymające jakieś zawiniątka. Były ubrane na biało, a przy oczach miały paski namalowane czerwoną farbą. Wpatrywały się w sufit. Scena jak z horroru. I to na własne życzenie i za własne pieniądze. Zamknąłem oczy i próbowałem wrócić myślami do koncertu jazzowego. Bezskutecznie.

W pewnym momencie poczułem, jak ktoś rozchyła moją dłoń. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że jedna z dziewczynek wręcza mi zawiniętą w czerwony papier laleczkę. Zrobiona ze skrawków materiału, miała na sobie niebieskie spodenki i czarną koszulkę. Zupełnie jak ja. Zamarłem z przerażenia. Dziewczynki wręczyły nam laleczki i wyszły z pomieszczenia. Tyłem, cały czas na nas patrząc.

Mistrzyni ceremonii zgasiła świeczkę i już po angielsku powiedziała, że użyła białej magii, żeby rzucić na nas zaklęcie szczęścia. Przekazała nam również, że wbijanie szpilek

nigdy nie miało służyć zadawaniu bólu w danym miejscu ciała wybranej osoby. Chodziło o wzmocnienie siły rzucanego zaklęcia. Na koniec wyszeptwała, że te laleczki wudu to my i dopóki będą całe, nic nam się nie stanie. Zaśmiała się i pomachała na do widzenia.

– Ja pierdolę, co to było?! – krzyknął Sebastian, jak tylko wyszliśmy. – Ale czad!

– O mało się nie zesrałem ze strachu, jak się pojawiły te dziewczynki. – Dopływ świeżego powietrza był jak prysznic dla mojego zmęczonego mózgu.

– Słuchaj, ja nie jestem przesądny, ale wiesz... – zawiesił głos – ...wymieńmy się tymi laleczkami i zapewnijmy im bezpieczeństwo. Ja twojej, a ty mojej. Co o tym sądzisz?

– Spoko, ale chodźmy jeszcze napić się absyntu.

Schowałem laleczkę Sebastiana do kieszeni w spodenkach. On mojej przez całą noc nie wypuścił z dłoni.

– Od teraz zawsze musimy o sobie dbać – szepnął mi do ucha, kiedy już leżeliśmy w hotelowym łóżku, wciąż mając oko na nasze laleczki.

ROZDZIAŁ 25

Ręka, w której trzymałem telefon, zaczęła się trząść. Drugą włożyłem do kieszeni kurtki. Chciałem sprawdzić, czy nic się nie stało z laleczką Sebastiana. Nie miało to za grosz sensu, bo wiedziałem, że pamiętka z Nowego Orleanu jest w naszym domu w Konstancynie.

Policjantka wyjęła latarkę i zaświeciła mi prosto w twarz.

– Panie Pawle, wskazano nam ten adres jako miejsce pana pobytu. Musimy porozmawiać. Chodzi o sprawę śmierci pańskiego sąsiada. Pojawiły się nowe informacje. Możemy wejść?

Kamień spadł mi z serca. Nie chodziło o Sebastiana.

– Zapraszam – odpowiedziałem niskim głosem, wciąż jeszcze ze ściśniętym gardłem.

– Proszę zamknąć psa. – Policjant zatrzymał się przed wejściem do domu.

I know there is hope in these waters

But I can't bring myself to swim

When I am drowning in this silence...

Zupełnie niewzruszona sytuacją Adele śpiewała, zdając się ignorować nieproszonych gości. Ja nie miałem tego luksusu.

– Podać państwu cukier? – Zalewałem właśnie kubki wrzątkiem. Z jednej torebki udało mi się zaparzyć dwie herbaty. Dałbym radę nawet cztery. Szkoła babci. Wkroiłem po plasterku cytryny.

– Poproszę. – Policjant chodził po salonie, rozglądając się uważnie. – Chyba lubi pan święta? – Wziął do ręki figurkę Mariah Carey i obejrzał ją z każdej strony. Uśmiechnął się pod nosem.

Odebrałem to bardziej jako wścibstwo niż wnikliwość.

– Tak, lubię. – Podałem im napoje.

Odłożył figurkę i usiadł na kanapie obok swojej Fridy. Kubki odstawili na stolik. Wyglądali prawie tak samo jak podczas pierwszego spotkania. On w granatowym swetrze w romby, ona w jakimś konserwatywnym brązowym żakiecie i w spódnicy złej długości, a do tego z krzywo założonym paskiem. To już moje znajome ze spotkania w świetlicy lepiej się prezentowały. O sklepowej Marysi nie wspominając.

Dolałem sobie wina, usiadłem na fotelu naprzeciwko nich i skinieniem głowy dałem znać, że jestem gotowy ich wysłuchać. Policjantka położyła na kolanach czarną wysłużoną torbę i wyciągnęła z niej topornego srebrnego laptopa.

– Gdzie mogę się podłączyć do prądu? Chcemy coś panu pokazać. – Rozejrzała się po pokoju.

Też się rozejrzałem. Byłem pełen podziwu dla samego siebie, że nie przeszkadza mi funkcjonowanie w takim syfie, ale jak to kiedyś powiedziała Beata: „Czysty dom jest oznaką zmarnowanego życia”.

– Za panią jest kontakt.

Wypięła tyłek w moją stronę, próbując sięgnąć za kanapę. Gdy podłączyła sprzęt do zasilania, aż podskoczyłem na fotelu. Komputer musiał mieć z piętnaście lat. Pracował głośniejszy niż wirująca pralka. Kiedy kobieta szukała czegoś w swoim zabytku, policjant zapytał o Sebastiana.

– Jest w Warszawie. Ma jeszcze kilka projektów do wypchnięcia przed Bożym Narodzeniem. A to nie on wskazał państwu, gdzie jestem? – zapytałem, skubiąc skórki przy paznokciach.

Policjant od razu to zauważył.

– On, ale to było parę dni temu. Byliśmy u panów przed kilkoma godzinami i pana Sebastiana nie było w domu. Nie widziałem też żadnych samochodów przed ogrodzeniem.

Potwierdzał się najczarniejszy scenariusz: najwyraźniej poleciał z Bartkiem do Egiptu. Uciekał ode mnie. Uciekał z naszego domu.

– Szeffie, mam! – Krzyk policjantki wyrwał mnie z ciemności, w której zanurzał się mój umysł. – Może pan usiąść obok nas? – Była aż czerwona z podniecenia.

– Jasne. – Wlałem resztę wina do kieliszka i przesiadłem się. Otworzyłem czekoladę z orzechami i połamałem na kawałki. – Proszę się częstować.

– Pokażemy panu nagranie z kamery umieszczonej na domu sąsiadów mieszkających między panem a zmarłym. – Policjant włożył do ust kostkę czekolady i wziął od funkcjonariuszki komputer. – O rany, Dagmara, jakie to jest gorące! Dlaczego w końcu nie zaczniesz używać nowego sprzętu, jak wszyscy? A ile tu jest resztek jedzenia w klawiaturze – zwrócił się do podekscytowanej policjantki, Fridy Dagmary.

Mina jej zrzedła. Obrócił brudny ekran w moją stronę.

– Czy poznaje pan tę kobietę?

Nie wiem, czego się spodziewałem. Na pewno obrazu lepszej jakości. Na czarno-białym nagraniu o koszmarnie niskiej rozdzielczości niewiele było widać. Jakby ktoś nagrał film maszynką do mięsa. Chwilę zajęło mi zorientowanie się, na co w ogóle patrzę. W końcu złapałem perspektywę. Poznałem róg ogrodzenia sąsiadów. Akurat zeskakiwał z niego kot. Zobaczyłem front naszego domu i dom stojący naprzeciwko, tak do połowy. Przejechała szambiarzka i sąsiadka wróciła z córką ze szkoły. W lewym rogu pokazała się postać.

– O, teraz! Tu! – zapiszczała Dagmara. – Pan patrzy na tę kobietę!

Kobieta jak kobieta. Nawet nie byłem pewien, czy to baba. Jakiś człowiek na pewno. W jasnym puchowym bezrękawniku i dzinsach, jak większość ludzi o tej porze roku. Szła spokojnie, oglądając zabudowania.

– Przez kilka dni codziennie bywała na waszym osiedlu. – Słyszałem, jak mężczyzna ssie kawałek czekolady, żeby się dostać do orzecha. – Spacerowała i zatrzymywała się pod domami. Nikt z mieszkańców jej nie zna. Po śmierci pańskiego sąsiada przestała bywać w tamtej okolicy.

– Bardzo mi przykro, ale ja nawet nie rozpoznaję, jakiej płci jest ta osoba. – Wziąłem spory łyk wina. Żałowałem, że nie mogę im pomóc. Wyjaśnienie sprawy śmierci Marcina na

pewno rozwiałoby choć część moich obaw.

– Teraz jest modne bycie niebinarną osobą. – Funkcjonariuszka Dagmara chyba usłyszała w telewizji nowy wyraz i w końcu znalazła kontekst, żeby go użyć.

Policjant skarcił ją wzrokiem. Był przygotowany na moją odpowiedź.

– A teraz? – Mocno przybliżył postać z nagrania.

Teraz już nie miałem wątpliwości, że to była kobieta. Blondynka średniego wzrostu, która zdecydowanie wiedziała, jak się ubrać, żeby wyglądać pospolicie. Płaskie buty. A fee.

– Proszę zbliżyć na twarz, na oczy – poprosiłem.

Powiększyli obraz, ale niestety czapka uszatka i maska zakrywająca większość twarzy uniemożliwiały przyjrzenie się tajemniczej osobie.

– Przykro mi, ale to maksymalne powiększenie. Proszę się skupić. – Trochę mnie już drażnił ten nauczycielski ton. – Może kogoś panu przypomina?

„Tak, każdego” – zadrwiłem w duchu.

Po chwili patrzenia na fragmenty twarzy kobiety w głowie zacząłem mieć jednak jakieś bardzo mgliste skojarzenia. Nie wiem, czy to połączenie siły sugestii z ich wielką potrzebą usłyszenia czegoś przydatnego, czy może buzujące we mnie czerwone wino, ale wydawało mi się, że gdzieś już spotkałem tę laskę. Zupełnie nie potrafiłem dokopać się do emocji, które mi wtedy towarzyszyły. Byłem szczęśliwy? Zły? A może zalękniony? Zawsze mi to ćwiczenie pomagało.

– Muszę przestać się w nią wpatrywać i zebrać myśli. Zaraz wracam.

Odszedłem od stołu. Chwyciłem kolejną butelkę wina, która stała na podłodze w kuchni, otworzyłem i wlałem do kieliszka. Trochę upiłem i jeszcze dolałem. Opuściłem pokój i zamknąłem za sobą drzwi. Wypuściłem Rózię z drugiego pokoju i wyszedłem z nią na dwór. Z radością popędziła oszczekiwać pusty samochód nieproszonych gości.

Wino prawie natychmiast zrobiło się zimne. Szybko chciałem wrócić do środka, więc od razu zacząłem odrabiać zadanie. Skąd mogłem kojarzyć kobietę z nagrania spacerującą po naszym osiedlu? Przypieszoną tempem zrobiłem kilka rundek wokół domu. Zatrzymałem się przy oknie w salonie, żeby zobaczyć, jak widać go z zewnątrz. Bardzo wyraźnie. Machnąłem ręką kilka razy, by sprawdzić, czy widzą mnie gliniarze. Nie widzieli. No chyba że pomyśleli, jaki straszny ze mnie świr. Stałem tak, przez moment ich obserwując. W zasadzie każdy mógłby i mnie tak obserwować... Gliniarz znowu zaczął chodzić po salonie i przyglądać się świątecznemu wystrojowi, a ona otworzyła Tindera na telefonie i machała łapą to w lewo, to w prawo. Pora wracać.

Ruszyłem w stronę drzwi. Telefon wypadł mi z kieszeni. Schyliłem się, żeby go podnieść. Coś mi przyszło do głowy.

Po czekoladzie zostało tylko opakowanie, a oboje mieli jej ślady w kącikach ust. Nie zostawili mi nawet kosteczek. Nalali sobie też wody do szklanek.

– Proszę jeszcze raz mi pokazać tę kobietę. – Stanąłem nad nimi i spojrzałem na ekran. – Chyba domyślam się, kto to może być.

Ich oczy błyszczały bardziej niż Rózi i Bado na widok mięsnych przekąsek. Śmiesznie wyglądali, jeszcze do tego ubrudzeni czekoladą jak dzieci. Miałem ochotę powiedzieć „Zartowałem” i zobaczyć ich reakcję, ale siedzieli już u mnie tyle czasu, że nie chciałem przedłużać tej wizyty.

– Kilka dni przed śmiercią Marcina spotkałem w parku dziewczynę. Próbowła ode mnie wyłudzić pieniądze. Miała dostęp do mojego portfela, więc pewnie wiedziała, gdzie mieszkam. To mogłaby być ona... – zacząłem poważnym tonem.

Nie miałem nigdy okazji oglądać na żywo operacji na otwartym sercu, ale myślę, że twarze lekarzy i asystentów osiągały stopień skupienia, jaki widziałem u siedzących na kanapie policjantów. Wino już porządnie we mnie buzowało. Opowiedziałem im całą historię ze wszystkimi zapamiętanymi detalami. Może nawet coś podkoloryzowałem.

– Brawo, w końcu jakiś trop! – Dagmara wzniosła szklankę z wodą.

– Proszę tak nie robić! – Zasłoniłem się dłonią.

– Nie rozumiem. – Zupełnie zbita z tropu, nieskażona myślą twarz gapiła się na mnie. Jak taka osoba mogła zostać zakwalifikowana do służby? – Czego mam nie robić?

Odpowiedziałem jej pijacko protekcyjnym tonem:

– Niemiecki przesąd mówi, że jeśli wznosi pani toast wodą, to w rzeczywistości chce pani śmierci ludzi, z którymi pije.

Speszona opuściła rękę i dopiła resztę wody ze szklanki. Jej kolega spojrzał na mnie zdziwiony. Wróciłem wzrokiem do komputera. Na początku nawet czułem ekscytację z powodu próby poukładania ciągu zdarzeń, ale później już się nudziłem ciągle zmieniającymi się wersjami. Raz oni coś miesza, raz ja. Kiedy niczego już nie byłem pewien, zacząłem odpływać myślami w stronę nadchodzących świąt. Nie wiedziałem, z kim je spędzę.

Policjant chyba zauważył mój brak skupienia i doskonale wiedział, jak przykuć moją uwagę.

– Czy ta kobieta może wiedzieć, gdzie pan teraz przebywa? – zapytał, zniżając głos.

Lodowato milczałem, a on mówił dalej:

– Czy w ostatnim czasie w pana otoczeniu miały miejsce jakieś niepokojące zdarzenia?

Patrzyłem na niego. Nie, nie na niego. On był przezroczysty. Patrzyłem na ścianę za nim, na której ukazywały się slajdy z ostatnich kilku dni mojego życia. Znikające kwiaty, niezamawiane paczki z winem, gorąca zupa, znaleziona lalka i celowo uszkodzona elektryczność...

– Panie Pawle, czy czuje się pan tu bezpieczny? – Tym pytaniem podsumował wszystkie wcześniejsze, dając mi do zrozumienia, że może mi coś grozić. – Możemy pana odwiedzić do domu.

„Oczywiście, że się nie czuję tu bezpieczny, upierdliwy zjebie! Tak się składa, że nie mam do kogo wracać, więc nigdzie się stąd nie ruszam! Powrót do pustego domu byłby jeszcze gorszy!” – miałem odpowiedzieć, ale wystarczyło, że wykrzyczałem to w myślach. Dziwiła mnie ich logika. Skoro ktoś się kręcił pod tamtym domem, to chyba lepiej było zostać w lesie.

Dolałem sobie wina i lekko się chwiejąc, usiadłem na fotelu. Opowiedziałem o sytuacjach, które przydarzyły mi się w ostatnim czasie i nie trzymały się kupy. Policjantka notowała wszystko skrupulatnie w komputerze, co chwila na mnie spoglądając. Policjant jak zahipnotyzowany gapił się na dłoń, w której trzymałem wino. Nie zauważyłem nawet, kiedy opróżniłem cały kieliszek. On na pewno zauważył.

– Tak że tego... tak to wygląda – skończyłem i bardzo już chciałem, żeby zniknęli z domu. Dopadło mnie cholerne zmęczenie niekończącym się dniem.

– Dziękujemy za te informacje. To dość subiektywne, co pan powiedział, i o niczym nie świadczy, ale jeśli coś jeszcze będzie się działo, to prosimy o kontakt. – Policjant wydawał się rozczarowany.

„No tak, zupa dla mnie mogła być gorąca, a dla niego chłodna. Chuj z nimi”.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki i wręczył mi wizytówkę. Radosław Antolak, Wydział Śledczy.

– Dziękuję. Bardzo przepraszam, ale jeśli to wszystko, to chciałbym, żeby państwo już pojechali. Miałem ciężki dzień i chcę odpocząć. – Wziąłem sprawy w swoje ręce.

Spojrzeni po sobie i wstali. Dagmara zaczęła składać swój antyczny komputer, ale kabel od ładowarki zablokował się i nie mogła go wyjąć. Szarpała tak, że myślałem, że wyrwie go ze ścianą. Zapaliłem światło w przedpokoju. Kończówka spotkania wyprowadziła mnie z równowagi. Wróciłem do kuchni, wyjąłem czekoladę i podałem policjantowi. Przy okazji łyknąłem trochę wina.

– Proszę, to na drogę. – Chciałem, żeby wyszło złośliwie, ale chyba tak tego nie odebrał.

Wziął czekoladę, podziękował i od razu otworzył, żeby ułamać kawałek.

Funkcjonariuszka w końcu uporała się ze swoim sprzętem. Stanęliśmy w przedpokoju.

– Proszę dawać znać, jeśli coś się panu jeszcze przypomni. – Policjant ucisnął mi dłoń i nacisnął klamkę. – I niech pan na siebie uważa. Warto byłoby tu założyć kraty w oknach. I jeszcze dobrze, gdyby pan Sebastian tu był z panem, dopóki nie wyjaśnimy sprawy.

„Dobre rady zawsze w cenie” – skomentowałem ironicznie w myślach.

– Ja bym również sugerowała, żeby pan pił mniej alkoholu. Lepiej zachować trzeźwy umysł w tej sytuacji – rzuciła już w drzwiach Dagmara, po czym dodała: – O, pełnia!

– A pani sobie wymieni komputer! – Wyjrzałem, żeby zobaczyć księżyc. Rzeczywiście pełnia. – Dobranoc!

Zatrzasnąłem drzwi. Oficjalnie znalazłem się w „tej sytuacji”. Wycieńczony rozmową padłem na fotel. Wypiłem resztę wina prosto z gwinta i potwierdziłem jutrzejsze spotkanie z Beatką.

ROZDZIAŁ 26

Obudziła mnie ogromna potrzeba sikania. Przeogromna. Musiałem wczoraj dużo wypić. Przypomniałem sobie, że rzeczywiście tak było. Przez pierwszą połowę dnia piłem dużo wody, bo miałem kaca, a wieczorem znowu nadużywałem wina. Byłem w łóżku, na swojej połowie, w piżamie. Nawet nie pamiętałem, jak się tam znalazłem.

W łazience spojrzałem w lustro. Zasznięte na ustach skrzepłe czerwone wino, ziemista cera i za długi zarost.

– Dzień dobry, żulu. – Odbicie spojrzało na mnie z politowaniem.

Chwyciłem szczoteczkę do zębów i coś sobie uświadomiłem. Nie mieszkalem już sam. Nawet nie zauważyłem, kiedy wprowadziła się do mnie samotność. W kilka dni urządziła się na tyle sprawnie i swobodnie, że była wszędzie: na nietkniętej poduszce Sebastiana, w jego cały czas suchej szczoteczce do zębów, w byle jakim jedzeniu przygotowywanym dla jednej osoby, w muzyce Adele. Najbardziej lubiła się przypominać o sobie poprzez to, co nazywałem „nietknięciem”. Kiedy wychodziłem z domu, chwilami zapomniałem o jej obecności. Wracalem i wszystko było nietknięte. Takie, jakie zostawiłem. Cholernie nietknięte. Nieumyte naczynia w zlewie, książka pozostawiona w tym samym miejscu, plama po kawie na stoliku i koc rzucony niechłujnie na fotel. Dobrze jej ze mną było. Mnie z nią nie. Chciałem jak najszybciej wydostać się z tej emocjonalnej kwarantanny.

Wyszedłem z kawą na dwór, żeby się nie męczyć w pustym domu. Wróciłem myślami do wydarzeń z poprzedniego dnia. Wcale nie byłem przekonany, że spotkałem wtedy w parku kobietę z nagrania. Oglądając film, byłem już po kilku kieliszkach wina. Natomiast utwierdziłem się w przekonaniu, że gdzieś już widziałem Kędzierskiego. Znałem jego oczy.

Kawa szybko wystygła. Opróżniłem kubek i postawiłem go na taborecie stojącym przy schodkach do domu.

– Chodź się przejść. – Podszedłem do furtki i wypuściłem psa.

Było jeszcze na tyle wcześnie, że w lesie sarny i łosie dopiero kończyły śniadanie. Trzymałem Rózię na smyczy, żeby jej nie przyszyło do głowy przeszkadzać zwierzętom w szamanii tego, co jeszcze się nadawało do konsumpcji. A wiele tego nie było. Trawa albo przymarznięta, albo zgniła. Na drzewach pustki. Dojrzała jesień walczyła z młodą zimą o władzę. Nic chciała ustąpić, choć w zasadzie nie musiała, miała jeszcze kilka dni dla siebie. Sytuacja rodem z przychodni lekarskiej.

Jesień: „Jestem tu już od wczesnego rana”.

Zima: „Ale wizyta była umówiona dopiero na dziewiątą”.

Szedłem przed siebie, patrząc na coraz to bardziej obklejone liśćmi kalosze. Wdepnąłem w wydalone przez ptaka owoce jemioli, które spadły na runo leśne. Gdyby nasiona trafiły na

drzewo, zaczęłyby na nim rosnąć jemioła. Wspominana w piosenkach i opowiadaniach bożonarodzeniowych, w rzeczywistości była szkodnikiem drzew.

Jeszcze kilka tygodni temu moim jedynym wyzwaniem było ukończenie przewodnika. Teraz znajdowałem się w absurdalnej sytuacji, z której nie widziałem wyjścia. Prawie każdy obszar mojego życia był czymś zainfekowany. Wszędzie rosła emocjonalna jemioła.

Usłyszałem dźwięk przychodzącego esemesa. Beatka.

Niedługo będę. Jestem supergłodna, pojedźmy od razu. Ty płacisz ?

Myślałem, że umówiliśmy się na popołudnie, ale odpisałem: „Ekstra!”. Dobrze, że w ogóle chciała się ze mną spotkać, choć połączenie „supergłodna” i „ty płacisz” nie wróżyło nic dobrego.

Podszedłem do garbatej sosny, której dotknięcie było dla mnie i Sebastiana punktem docelowym spacerów.

W drodze powrotnej suka bardzo ciągnęła smycz. Zawsze mnie ciekawiło, skąd psy mają tyle energii i siły, jedząc codziennie zaledwie po dwie porcje suchych kulek. Otworzyłem furtkę, a Rózia jak szalona pobiegła pod dom, szczekając. Już miałem wejść do środka, kiedy zauważyłem, że obok kubka, który zostawiłem na taborecie, stał drugi, wypełniony kawą z mlekiem, z którego leciała para. Dotknąłem go. Był gorący! Ktoś przed chwilą pojawił się przed domem albo nawet w środku. No w zasadzie to na pewno w środku. Gdzieś musiał zrobić tę kawę.

– Jest tu ktoś?! Sebastian?! Bartek?! – Przecież oni chyba wyjechali. Może to ta laska z nagrania?

Przebiegłem przez cały dom, zaglądając w każdy kąt. Żadnych śladów. Szczeka zacisnęła mi się tak, że przygryzłem sobie policzki.

– Kurwa, kto zrobił tę kawę?!

Nerwowe bieganie po domu stawało się już tradycją. Chorą tradycją. Wyszedłem na schody i kopnąłem kubek, który poleciał w stronę psa. Wystraszona Rózia usiadła z podkulonym ogonem pod drzewem. Czuję, jakbym w ustach miał pełno rdzy. Splunąłem krwią. Przejechałem językiem po wewnętrznej stronie policzków i wyczułem poodrywane zębami skrawki. Chwyciłem wiszącą w korytarzu lornetkę, wybiegłem przed ogrodzenie i rozglądając się na wszystkie strony, próbowałem wytropić kogoś albo coś. Nie zauważyłem niczego poza kilkoma sarnami wygryzającymi na środku pola resztki zielonego. Wpatrywałem się we wszystkie strony. Po chwili zrobiło mi się niedobrze. Nie wiedziałem, czy to od kręcenia się wokół własnej osi, czy z nerwów.

Nagle odniosłem wrażenie, że wszystko wokół mnie jest nieprawdziwe, i poczułem się tak, jakbym oglądał siebie na filmie. Tylko kto tę produkcję reżyserował? Czy już była pora, żeby zawiadomić kogoś? „Dzień dobry, policjo, chcę zgłosić, że ktoś mi zrobił kawę”. Nie, jeszcze nie. Nie chciałem zostać memem.

Pierwszą połowę kubałka pikantnych skrzydełek zazwyczaj wciągałem ekspresowo i prawie w milczeniu. Beatka pochłaniała nawet chrząstki i wysysała szpik kostny. Tak samo było tym razem.

– Gdyby na mnie czekała w domu ciepła kawa, to byłabym szczęśliwa. Na mnie czekają tylko rachunki. – Tłuszcz ze skrzydełek służył po jej świeżo zrobionym manikiurze hybrydowym. – Może odpuścić?

Jak miałem odpuścić, wiedząc, że ktoś regularnie bywa w moim domu?

– Nie odpuszczę, ale na razie nie powiem im o tym. Wczoraj zwrócili mi uwagę, że za dużo piję. – Chwyciłem frytkę i zamoczyłem ją w keczupie. – Pomyślałem, że mam jakieś alkozwidy. – Zrobiłem w powietrzu znak cudzysłowu.

– Ja ci od dawna mówię, że za dużo pijesz. – Chap! Kolejne skrzydełko pochłonięte przez Beatkę.

– A ty za dużo jesz.

– Powtarzałam ci milion razy, że w ogóle mi nie przeszkadza, że jestem puszysta. – Beatka wytarła tłuszcz z kącików ust.

– Beata, puszysty to jest kocyk. Ty jesteś gruba i pewnie masz superrozjechany cholesterol i całą resztę.

– A pudło, wyniki mam w normie, więc się odpieprz już. – Beatka wzięła wielki łyk coli (zero oczywiście). – I nie przypierdalaj mi tak, bo znowu przekroczysz granicę, jak na imprezie.

Trafił się idealny kontekst, żeby zapytać ją, co dokładnie się wydarzyło na tamtym spotkaniu i czemu większość osób nie chce ze mną rozmawiać. Beatka z reporterską dokładnością i wnikliwością opowiadała o moich wybrykach tamtej nocy.

– „Wypierdalaj! Weź te łapska! Połóż je na swojej nowej czekoladce...”.

Szybkie, nieprzyjemne wspomnienie przemknęło przez moją głowę.

– Serio coś takiego palnąłem?

– Szczerze ci powiem, że nawet ja cię takiego nie znałam. Spróbowaliśmy kilku substancji w klubach, ale po niczym ci tak nie odważyło. Jakby ci ktoś czegoś dołał albo dosypał. – Na papierowym talerzyku lądowały już niedokładnie poobgryzane kostki kurczaków. Beatka zaczęła się nasycać. – Może to ten cały Bartuś?

Zrobiło mi się gorąco. Dlaczego właśnie o nim pomyślała?

– A czemu akurat on miałby mi czegoś dosypać? – zapytałem, nie dając po sobie poznać, że jestem zdenerwowany.

– Halo! W jakim świecie ty żyjesz? – W związku z brakiem mojej reakcji Beata kontynuowała: – Ja to widzę tak: Bartek dosypuje ci czegoś, żebyś szalał i robił z siebie idiotę, aby Sebuś cię zostawił i żeby mogli być razem. Usłyszałam, jak Kacper mówi do Sebastiana: „Musisz mu powiedzieć, że do czegoś między wami kiedyś doszło”. Czy coś takiego. Miałam ci powiedzieć, ale mnie zaatakowałaś. To jeszcze nie koniec...

Jednak ta Beatka nie była taka wiecznie rozkojarzona. Akurat wspomniane przez nią słowa Kacpra zupełnie mnie nie zaskoczyły, ale byłem bardzo ciekaw, co usłyszała tamtego wieczoru.

– Chcesz coś jeszcze? – zapytałem grzecznościowo, spoglądając na pusty kubek i piramidkę kości.

– Weź mi lody czekoladowe i cappuccino z mlekiem odtłuszczonym. – Beata zrobiła proszącą minę.

Tak, odtłuszczone mleko było najważniejsze. Poszedłem zamówić deser.

Po kilku minutach postawiłem kawy na stoliku. Dla towarzystwa też sobie wziąłem lody. Krówkowe.

– Karolina opowiedziała mi, dlaczego Bartek rozstał się z tym swoim partnerem z Londynu. – Beatka ściszyła głos i nachyliła się w moją stronę. Trochę się zdziwiłem, bo w restauracji prawie nikogo nie było. Wsyłała do kawy torebkę cukru. – On go pobił.

– Kto kogo pobił? – Przemocy akurat się nie spodziewałem. Stawiałem bardziej na zdradę. To dlatego Bartek nabrał wody w usta, gdy go zapytałem, dlaczego się rozstali.

– No Bartek swojego kolesia. Ponoć tamten chciał go zostawić i doszło do awantury. – Beatka dorzuciła do kawy kolejną porcję cukru. – To na pewno jest mleko odtłuszczone?

– Tak, na pewno. Nie martw się, nie przytyjesz. Wiesz coś więcej o tym pobiciu? – Wyprostowałem się na krześle z podniecenia. Odsunąłem lody.

– Nie wiem zbyt wiele, tylko tyle że interweniowała policja i była karetka, i chyba dlatego musiał opuścić Londyn. Nie mieliśmy czasu pogadać, bo że tak powiem, skupiłeś na sobie całą uwagę. – Beatka oblizwała łyżeczkę od lodów i popiła cappuccino. Rozerwała kolejną torebkę cukru. – Więc podsumowując, może to on ci tę kawę dzisiaj zrobił, żebyś wariował?

Spojrzałem przez okno na samochody zatrzymujące się pod drive'em. Para kupująca dwie torby jedzenia, z tyłu roześmiane dzieci. Wszyscy z nadwagą. Umrą przedwcześnie, ale za to razem... Wróciłem myślami do Bartka i odezwałem się do Beaty:

– Podejrzewam go o te wcześniejsze akcje, ale teraz chyba go nie ma w Polsce. Powiedział, że leci na kilka dni do Egiptu.

Beatka zupełnie nie reagowała na to, co mówię.

– Wiesz, ty tak tego nie bagatelizuj. Teraz jest spoko, ale rano to ja prawie postradałem zmysły, jak zobaczyłem tę kawę. – Przejechałem językiem po ranach w ustach. Bolały.

– No może i to by się składało... – Beata przytakiwała głową sama sobie. Pewnie myślała: „Ale jestem błyskotliwa po tych kurczakach”.

– Co by się składało?

Zaczęła szperać w torebce, wyjęła telefon i czegoś w nim szukała.

– No, że Seba z nim polecał. Widziałam na Facebooku u Kacpra psa podobnego do waszego Bado, ale nie byłam pewna. – Pokazała zdjęcie. – To on?

Na telefonie zobaczyłem naszego kochanego Bado leżącego na kanapie obok kota Kacpra. Spał spokojny i zrelaksowany. Pod spodem podpis: #najlepszypsihotel i #catdogbestfriends. Już zapomniałem, jak można się stęsknić za psem.

Beata zabrała mi ekran sprzed nosa.

Oddech mi przyspieszył. Łza zakręciła się w oku. Niepostrzeżenie wytarłem ją rękawem. Wziąłem łyk wody. Zawsze oddawaliśmy psy Kacprowi, kiedy musieliśmy wybyć. Byłem już prawie pewien, że Sebastian wyjechał, a w zasadzie wyleciał do Egiptu z Bartkiem. Poczulem ucisk w gardle. Siedziałem w barze szybkiej obsługi na trasie między Siedlcami a Sokołowem Podlaskim, a mój partner, moja miłość, zaczął już układać sobie na nowo życie z kimś innym. I jeśli Karolina mówiła prawdę, to z kimś nie do końca bezpiecznym i zrównoważonym. (Nie żebym ja był ostatnio wzorem stabilności). No i przede wszystkim niczym wielki neon przed oczami pojawiło mi się pytanie: „Kto mi rano zrobił kawę?”

– Paweł! – Beatka wpatrywała się we mnie zdenerwowana. – Pytam już trzeci raz, czy mogę zjeść twoje lody, bo się roztopiają. A ty patrzysz na mnie i nic nie odpowiadasz. Co ty w ogóle masz takie rozszerzone źrenice? Ćpałeś coś, jak poszedłeś po te lody?

Przypomniał mi się fragment artykułu, który kiedyś czytałem: „Rozszerzone źrenice mogą sugerować, że twój mózg znajduje się w trybie nieustannego czuwania, jakby spodziewał się nadchodzącego niebezpieczeństwa...”.

„Samotne święta to trudny czas. W końcu Boże Narodzenie to najbardziej rodzinne święta ze wszystkich. Brak drugiej połowy boli wtedy najmocniej. Co zrobić, żeby samotne święta były mimo wszystko udane? Nasza psycholożka da najlepsze rady na Boże Narodzenie dla samotnych i singli...” – usłyszałem w radiu, kiedy wracaliśmy już autem do domu w lesie.

Wszystko wskazywało na to, że i ja będę sam. Na pewno nie chciałem jechać do matki. Zarzęłaby mnie swoimi komentarzami. „A mówiłam, żebyś dał mu więcej swobody”, „To na pewno dlatego, że przytyłeś”, „Teraz już pewnie zawsze będziesz sam, w twoim wieku ciężko kogoś znaleźć, a takiego dobrego człowieka jak Sebastian to już na pewno nie ma drugiego”. I tak, kurwa, byłoby przez całe święta.

– Nie chcę już tego słuchać. Przełączę, okej? – Nie czekając na odpowiedź Beatki, zmieniłem stację w jej aucie. – Z tym focusem to ja bym chyba mógł wejść do klubu na drinka, nie? – Pociągnąłem ją lekko za ucho, żeby na mnie spojrzała. Od wyjazdu z baru była jakaś zamyślona. – Beata, czemu nie skrzyłaś?!

Samochód niczym na autopilocie mknął po trasie, a ona jak manekin trzymała nieruchomo kierownicę na za piętnaście trzecia.

– Jezu, przepraszam, już zawracam. – Zjechała na stację benzynową i wybrała zjazd w drugą stronę. – Nie rozumiem. Jak to do klubu na drinka?

– No w sensie, że ten twój grat już ma ukończone osiemnaście lat, więc by nas wypuścili, co? – Odsunąłem siedzenie lekko do tyłu i chyba zgmiotłem paczkę po cipsach. Bang!

– Kup mi lepszego. A, sorry, zapomniałam, że nie masz pracy. – Beatka wydeła usta w geście zwycięstwa. – Wiesz, tak myślę o tym wszystkim, co mi opowiadałeś. Może policja ma rację? Może wróć do Konstancina i poczekaj tam na Sebastiana? Trochę się martwię o ciebie.

Matka numer dwa. Przeskoczyłem myślami do Konstancina. Widziałem, jak siedzę na kanapie w piżamie i wpada opalony i szczęśliwy Sebastian, a za nim Bartek. W moim wyobrażeniu Sebastian był bardzo rozczarowany moją obecnością. Bardzo. Mieli wziąć wspólną kąpiel po podróży i iść do łóżka, a tymczasem będzie trzeba zarządzać rozstaniem.

W domku w lesie przynajmniej nie groził mi taki bolesny scenariusz. Ale może coś innego na mnie czyhało? Tak czy inaczej uznałem, że widok pary zakochanych może nieodwracalnie zapisać się w mojej pamięci, a nawet złać mi życie. Wolałem zostać w lesie. Wybrałem ryzyko złamanego karku zamiast złamanego serca.

– Nie. Dzięki. Poza tym Różia na mnie czeka. No i przypomniałaś mi znowu o tym przewodniku. Wziąłem już za niego zaliczkę i wydałem na świece i jakieś inne badziewie. Tyle się ostatnio dzieje. Ale spróbuję jutro. – Uśmiechnąłem się z przymusem. – O, zrób głośniej!

Last Christmas I gave you my heart... Kilka żwawych podskoków, krążeń ramion i bioder, skrętów tułowia i skłonów i ruszyłem przed siebie. Oddychałem przez nos, zakryłem usta czarną chustą do biegania. Bezżyteczny prezent od nie pamiętam kogo okazał się jednak bardziej przydatny, niż myślałem.

Poprzedniego wieczoru udało mi się skończyć zaledwie na jednej butelce wina. Obudziłem się prawie bez kaca, zjadłem jajecznicę i postanowiłem pobiegać. Bez psa. Pomyślałem, że jak zgubię parę kilogramów, to stanę się w oczach Sebastiana bardziej atrakcyjny. Bardziej niż Bartek? Nie, po prostu bardziej niż ja sam.

Noc podarowała porankowi garść śniegu, temperatura spadła poniżej zera. Promienie słońca rozkosznym ciepłem muskały moją twarz. Czułem, jak się na niej roztopiają. Skóra zachłannie chłonęła witaminę D. Uwielbiałem trzeszczenie świeżego śniegu pod moimi starymi czerwonymi reebokami. Mieliśmy po imprezie wracać do domu, więc wszystkie buty zostały w Konstancinie. Musiałem korzystać z tego, co miałem. Nie było to idealne obuwie.

„Przeżybisz się i nigdzie nie pójdziesz” – mawiała kiedyś mama. „Halo, matko, i tak nie mam dokąd iść. Nikt nigdzie na mnie nie czeka” – odpowiedziałem jej w myślach.

Poczułem zapach kompotu z suszu i cebuli podsmażanej do pierogów. Rześkie powietrze, niczym wasabi jedzone między kawałkami sushi, oczyściło i odświeżyło mój umysł. Wszystkie syfy z teraźniejszości schowały się do skrzyneczek z napisem „Na później”. Na pierwszym planie ukazał się mój rodzinny dom. Boże Narodzenie. Dopóki rodzice się nie rozwiedli, co roku w Wigilię każdy odgrywał swoje role według tego samego scenariusza. Dzień wcześniej przyjeżdżali z Katowic rodzice ojca. Dziadek, dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Śląskiego. Od zawsze obsługiwany przez wszystkich wokół, od sekretarek, przez żonę, przyjaciół, swojego syna, na nas i na naszej mamie kończąc. Podaj, wynieś, zrób, przynieś ze szkoły piątkę (jak pojawiły się szóstki, piątki stały się porażką), przepłynij szybciej, skocz wyżej, wyrecytuj ładniej. Życie all inclusive. Na święta dziadek przywoził po kopercie z pieniędzmi, dla syna, dla synowej, dla mnie i dla Janka. W zależności od tego, co się wydarzyło lub czego się dowiedział na dobę przed wręczaniem kopert, wyjmował i przekładał pieniądze z jednej do drugiej. Jeśli zdenerwował go syn, to wyjmował mu stówkę z koperty. Kiedy Janek pokazał dyplom z zawodów pływackich, to jego koperta robiła się grubsza. A ponoć miłości nie można kupić.

Żona dziadka, nasza babcia, doskonale czuła się w roli służącej. Ona w zasadzie oddychała poczuciem obowiązku. Żyła według planu, jaki ustalał jej mąż. Wyznaczał jej nawet, kiedy może pójść do fryzjera. Nie znała zapachu prawdziwego życia, ale z perspektywy czasu chyba była z nas wszystkich najbardziej szczęśliwa. „Nie ma rozpusty gorszej niż myślenie”, napisała Wisława Szymborska. Babcia nie miała przyzwolenia na żadne rozpusty.

Mój ojciec, na co dzień samiec alfa, a nawet alfa do kwadratu, przy swoim ojcu zachowywał się jak kilkuletni chłopiec. Cała jego męskość i hiperego mogły się zmieścić w pudełeczku po zabawce z jajka niespodzianki. „Nie mów dziadkowi, że się z mamą kłócimy” albo „Nie wspominaj, że już nie chodzisz na niemiecki, dziadek będzie zły”. Ciągle znaki oczami, subtelną gestykulacją i kopnięciami pod stołem. Ojciec stawał się mimem, który mnie i Jankowi dawał do zrozumienia, o czym możemy rozmawiać z dziadkiem.

Moja mama. Im byłem starszy, tym coraz wyraźniej dostrzegałem, jak bardzo nie służył jej ten cały patriachat, który dziadek przywoził ze Śląska. Zupełnie jakby przyjeżdżał dzień przed świętami tylko po, żeby bez pytania przemalować jej cały dom farbami, które przywiózł. A czemu? Bo mu było wolno. A dlaczego? Bo nikt mu się nie sprzeciwiał.

Życie długo nie weryfikowało postawy dziadka. Ale i na niego przyszedł czas. Jego nemezis okazała się druga żona naszego ojca. Znacznie młodsza od mojej mamy, należąca do innego pokolenia i pochodząca z rodziny, w której dominowały kobiety. Szybko pokazała dziadkowi, że czas jego dyktatury dobiegł końca. Po kilku kłótniach przestała się z nim widywać, później ograniczyła jego spotkania z bliźniakami, moim przyrodnim rodzeństwem, a z czasem syn również przestał go odwiedzać. Staruszek do końca swoich dni nie chciał się z tym pogodzić. Toksyczna mieszanka frustracji, złości, bezradności i smutku po śmierci służącej żony wpędziła go w ogromną samotność.

Ostatni raz widziałem dziadka kilka lat przed jego śmiercią. Janek zerwał z nim kontakt jeszcze wcześniej, po tym jak dziadek mu powiedział, że źle wychowuje dzieci.

Tamtego wigilijnego dnia wszedłem do naszej malutkiej przytulnej kuchni. Babcia zmywała naczynia, a mama wrzucała do wrzątku pierogi ruskie. Całe dłonie miała czerwone od pryskającej z garnka gorącej wody. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się ciepło.

– Pawełku, pomóż bratu ubrać koszulę, którą położyłam na łóżku. I odejdz stąd, bo ci prysnie do oka i będziesz miał oparzenie. – Spojrzała w dół. – Włóż też papcie, bo od podłogi ciągnie chłód.

– Dobrze. – Miała rację. Coraz zimniej robiło mi się w stopy.

Wyszedłem z kuchni, ubrałem Janka i siedzieliśmy na jego łóżku, czekając, aż zegar wybije siedemnastą. Dziadek zarządził, że o tej porze ma się zacząć kolacja wigilijna. Nie o szesnastej pięćdziesiąt dziewięć ani nie o siedemnastej zero jeden, tylko właśnie o siedemnastej. Zadaniem babci i mamy było skoordynowanie przygotowania wszystkich dań dokładnie na tę godzinę.

Janusz Korczak pisał, że dziecko jest pełnowartościowym człowiekiem od samego początku. Miałem wrażenie, że ja jakoś za szybko zacząłem obserwować dorosłych i przejmować ich sposób postrzegania świata. Kilkuletnie brzdące zazwyczaj nie miały tylu trosk, żyły tu i teraz. Ja, Pawełek w wieku lat niewielu, bałem się, że się przeziębnię, przewrócę, że dom spłonie, że mamę potrąci samochód, że ojciec straci pracę, że umrę we śnie. Ja, Pawełek w wieku lat więcej niż niewiele, byłem przekonany, że wszystko można mieć za pieniądze.

Mając ponad trzydzieści lat, mały Pawełek we mnie miał się bardzo dobrze, ale niestety zbyt często dominował. Próbowalem nie dopuszczać go do Sebastiana, ale nie zawsze mi się udawało. Pawełek kontrolował mojego partnera, był o niego zazdrosny i ciągle mówił mi o czarnych scenariuszach, które mogą nas spotkać. Wmawiał choroby i wypadki. Przez wiele lat w obawie o życie Sebastiana zabraniał mu jeździć na motocyklu. Kochałem Pawełka i nie chciałem mu robić krzywdy, nie chciałem go uśmiercać lekami. Prawda jednak była taka, że czasami zupełnie nie dawałem sobie z nim rady. Na szczęście było coś, czego ten dzieciak nie znosił i po czym ustępował. Alkohol. Tak, po alkoholu byłem dorosłym odważnym mężczyzną. Problemem było jednak to, że Sebastian nie lubił nadmiaru alkoholu.

Do tu i teraz sprowadził mnie huk.

– Stój!!! – Za dźwiękiem podążył męski głos.

W ułamku sekundy znalazłem się znowu w środku lasu. Było zimno, ale promienie słońca niczym reflektor w teatrze oświetlały zatrważający widok.

Kilka metrów przede mną leżał koziołek sarny. Z jego smukłej szyi sączyła się krew, a z pyska wystawał niedojedzony listek. Wokół zapanowała ogłuszająca cisza.

„No dobrze, Pawełku, było ci miło wrócić do domu rodzinnego i wspominać dziecięce czasy, to teraz musisz obejrzeć podlaską wersję jednej z najsmutniejszych scen z bajek Disneya – skonstatowałem. – Nie odwracaj wzroku!”

Zmarnięte stopy przyczepiły się do lodowatej ziemi, były ciężkie jak z ołowiu. Stałem jak wryty, patrząc na trzęsące się ze strachu, konające zwierzę. Nawet nie zauważyłem, kiedy ktoś do mnie podbiegł.

– Nic panu nie jest? – zapytał męski, skądś znany mi głos. – Mamy teraz sezon polowań na sarny i koźlęta, więc lepiej nie kręcić się po lesie. A, to pan...

Mężczyzna patrzył na mnie, a ja nie mogłem oderwać wzroku od zwierzęcia, którego chudziutkie szare nogi trzęsły się coraz mocniej. W końcu uniosłem swoją ważącą z tonę głowę. Spojrzałem na mężczyznę i próbowałem dopasować jego twarz do okoliczności, w których się już na pewno kiedyś spotkaliśmy. Przypomniał mi się zapach waniliowej świeczki, świetlica, kurniki... Kędzierski! Przede mną stał ubrany w łowiecki strój Kędzierski.

„Mojej świętej pamięci ojciec marzył, aby nasza wieś była podlaskim królestwem drobiu...!” – przeleciało mi przez głowę wspomnienie. Nie dość, że dziad chciał zamienić całą wioskę w śmierdzący kurnik, to jeszcze o mało mnie nie zabił. Przez ramię miał przewieszoną jednorurkę. Zza paska wylewał się piwny brzuch. Wyglądał tak, jakby ktoś przebrał Świętego Mikołaja za gajowego z *Czerwonego Kapturka*.

– To pan strzelał? – wydukałem, znając odpowiedź.

– Nie widać? – Jego ton zaczął nabierać niepokojącej pewności siebie. Podszedł do koziołka, szturchnął go nogą. – Jeszcze kilka minut i będzie finał.

„Co on, kurwa, gada? Jaki finał?” – próbowałem pozbierać myśli.

– Nie znam się na zasadach, jakie rządzą kłusowaniem... – Słowa więzły mi w gardle. Litera pływały w ustach jak w kisielu, ledwo składałem z nich wyrazy, a z wyrazów zdania – ...ale z etycznego punktu widzenia chyba trzeba to zwierzę dobić, żeby nie cierpiało. I wydaje mi się...

– Panie, gównu mnie obchodzi, co się panu wydaje. Przede wszystkim to nie jest kłusownictwo, tylko legalne myślistwo. Taki pan jesteś z wielkiego miasta, to powinieneś znać różnicę. – Stanowczym krokiem obszedł sarnę, stanął koło mnie, naprzeciwko pyska zwierzęcia. – A poza tym zaraz będzie najpiękniejsza chwila. Ostatni oddech.

„Umieranie jest straszne tylko wtedy, kiedy trwa długo i jest tak bolesne, że upokarza człowieka” – napisał Hemingway w *Komu bije dzwon*. Zawsze traktowałem emocje zwierząt na równi z ludzkimi. Szczerze wierzyłem, że tak samo jak my odczuwają radość, smutek, strach. Obserwowanie, jak chory oszołom dla własnej przyjemności czeka, żeby zobaczyć ostatnie tchnienie młodej sarny, było dla mnie prawie tym samym co obserwowanie konającego człowieka.

Bałem się. Nigdy nie widziałem umierającego stworzenia. Naprawdę się bałem. Nigdy nie stałem twarzą w twarz z uzbrojonym człowiekiem, który dyszał nieznaną mi dotąd żądzą krwi. Wyobraziłem sobie, jak przecina w moim domu kable od prądu. Jak robi najgorsze rzeczy, żeby być bliżej zakupu kolejnego kawałka ziemi. Spojrzałem ponownie na jego broń. „Przypadkowo postrzelony mężczyzna zginął na miejscu” – tak mógłby brzmieć jutrzejszy nagłówek na portalu Podlasie24. Odpuścić i odejść czy zawalczyć o spokój dla zwierzęcia?

– Proszę natychmiast ulżyć cierpieniu tej sarny, bo to gdzieś zgłoszę! – Kiedy moja pewność siebie szorowała brzuchem po zmarzniętej ziemi, podjąłem ostatnią próbę „dialogu”.

Trząsałem się z zimna. Wystraszyłem się, że po mojej spontanicznej groźbie Kędzierski wyceluje we mnie z broni. Słońce padło na jego twarz. Uśmiechnął się zuchwale.

– Panie miastowy, jest sezon polowań na sarny, ja jestem na swoim rewirze i wpisałem się rano do rejestru, więc może se pan zgłaszać nawet do samego prezesa Kaczyńskiego.

Spojrzałem mu głęboko w oczy i olśniło mnie niczym detektywa w bajce o Scooby-Doo. Już w świetlicy wiedziałem, że nie po raz pierwszy nasze spojrzenia się zetknęły.

– Czy pan łąził kilka dni temu koło mojego domu? – Nachyliłem się w jego stronę. – Ja spacerowałem z psem, a pan niósł ze sobą jakieś wiadra. Czemu pan cały czas się tu kręci?

Kędzierski założył prostokątne czarne okulary przeciwsłoneczne.

– Bo tu wszystko jest moje. A to, co jeszcze nie jest moje, to moje będzie. – Zatoczył ręką koło, wskazując na otaczające nas lasy i łąki. – Wy też prędzej czy później się stąd wyniesiecie. Myślę, że nawet prędzej niż później. – Zarechotał niczym napalona żaba w okresie godowym.

– Pan mi grozi?

Wyjął z kieszeni paczkę marlboro, wziął papierosa do ręki, odpalił go, rzucił zapałkę na ziemię i stanął tuż przy mnie. Zaciągnął się i wypuścił dym prosto w moje oczy.

– Nie, w życiu nikomu nie groziłem. Kilka dni temu pański kochaś odmówił mi sprzedaży waszej części, ale myślę, że już niedługo będziecie błagać, żebym od was odkupił ziemię. To nie jest miejsce dla takich mieszcuchów – mówił coraz głośniej.

Poszedł po łańcuch i kontynuował, zaciągając się długimi wdechami. Staliśmy twarzą w twarz. Czulem zapach jego rozkładających się szóstek. Zrobiłem krok w tył, a on śmiało do mnie dostąpił. Ponownie na mnie chuchnął.

Tysiące myśli przebiegało przez moją głowę. Po raz pierwszy znajdowałem się w sytuacji, w której czulem realne zagrożenie życia ze strony człowieka. Jak pokazały kolejne dni, po raz pierwszy, ale nie ostatni.

– Więc albo pan teraz pijesz ze mną piweczko, delektujesz się pan, patrząc, jak ten niewinny koziołek wydaje swoje ostatnie tchnienie, i przechodzisz pan na moją stronę... – Siegnął ręką do plecaka, wyjął puszkę piwa i prawie wcisnął mi je w dłoń. – ...albo pan spierdalasz i będziesz ze mną wojował, dopóki panu prądu nie zabraknie. A z tego, co słyszałem na wsi, to ostatnio szanownemu panu zabrakło. – I znowu ten rechot.

Oczywiście wybrałem spierdalanie. Bez słowa obróciłem się i zacząłem iść. Obolałe z zimna stopy niepewnie stąpały po roztopiającym się śniegu. Po plecach spływały mi strużki zimnego potu. Byłem przygotowany, że zaraz mogę usłyszeć kolejny strzał. Tym razem wycelowany we mnie.

– Na pewno się jeszcze spotkamy! – wygrzmiało zamiast strzału za moimi plecami. – I to prędzej, niż pan myślisz!

Zamknąłem oczy, przyspieszyłem kroku. Skupiony na każdym oddechu i na każdym ruchu, oddalałem się od tego pojeba. Centymetr po centymetrze. Chciałem się znaleźć w centrum handlowym pełnym uśmiechniętych ludzi. Myślałem o choinkach na wystawach i o dziewczynkach w strojach aniołków sprzedających opłatki. Myślałem o Mariah Carey, która z pewnością już opanowała wszystkie galerie. Czułem zapach goździkowo-pomarańczowych kaw roztańczający się z kawiarni. Zacząłem biec. Serce kurczyło się coraz szybciej.

Zatrzymałem się kilkanaście metrów od sklepu pani Marysi. Zegarek wskazywał, że tego dnia zrobiłem ponad dwanaście tysięcy kroków, a tętno skakało w okolicy stu trzydziestu uderzeń na minutę. Zamiast dopaminy, która powinna wydzielać się podczas biegu, w moim organizmie zaczynał się prawdziwy pokaz możliwości adrenaliny i kortyzolu. Mięśnie na całym ciele miałem tak napięte, że gdyby mnie ktoś popchnął, upadłbym jak kłoda na ziemię. Obróciłem kamerkę w telefonie w tryb selfie. Moja twarz była białozielona. Miałem wrażenie, że w powietrzu brakuje tlenu. Nie, w powietrzu brakowało powietrza. Wydałem z siebie kilka pojękiwań. Musiałem jak najszybciej gdzieś usiąść, czegoś się napić, ale nie chciałem się pokazać w takim stanie w sklepie.

– Panie Pawle, mandarynki dzisiaj przyjechały! – Było za późno. Marysia musiała mnie wypatrzeć przez okno. – Pan przyjdzie! – Machała przyjaźnie, zapraszając na zakupy.

Wziąłem kilka oddechów z przepony. Brzuch nappełnił się powietrzem, oddech zaczął się wydłużać i spowalniać. Odzyskiwałem kontrolę nad własnym ciałem. Przypomniały mi się pouczające słowa Sebastiana: „Kiedy jesteś zgarbiony, barki i głowę masz wysunięte do przodu i zapada ci się klatka piersiowa, to twój oddech staje się płytszy. Cierpi wtedy cały organizm. Dochodzi do niedotlenienia narządów wewnętrznych”. Wyprostowałem się i zrobiłem krok do przodu. Nie rozglądając się na boki, przebiegłem przez ulicę i zatrzymałem się pod sklepem.

– Dzień dobry – wyrzuciłem z siebie na wydechu.

– A dzień dobry. Pan się tak nie przetrenowuje, bo wygląda pan, jakby mu śmierć stanęła przed oczami. – Sklepowa spojrzała na mnie z troską. – I tak poza wami nie ma tu już żadnych przystojniaków. No może oprócz syna Kędzierskiego, ale o nim to szkoda gadać.

Nie mogłem nie skorzystać z kontekstu, który mi podsunęła. Ale żeby w ogóle móc z nią rozmawiać, musiałem odzyskać jakikolwiek poślizg w ustach. Było tam sucho jak na dnie pustej studni. Wargi lepiły się do siebie. Oblizywałem się jak naćpany nastolatek na Sunrise w Kołobrzegu.

Weszliśmy do sklepu. Marysia bez pytania nalała mi wody. Opróżniłem kilka plastikowych kubeczków. Spojrzałem w małe prostokątne lustro zawieszony przy półce z gazetami. Moja twarz odzyskiwała naturalne barwy. W końcu zacząłem mówić.

– A tak przy okazji. Spotkałem Kędzierskiego w lesie. – Udawałem, że z grzeczności nawiązuję do wątku, który poruszyła.

– Chodźmy lepiej na zaplecze posiedzieć – odpowiedziała, rozglądając się wokół.

Przeszliśmy przez zasłonkę z brązowych koralików. Pierwszy raz miałem sposobność być na tyłach sklepu. Już w wejściu poczułem cytrusową woń. Później zauważyłem, że do kontaktu podłączone jest urządzenie, które regularnie, co kilka chwil, głośno wyrzucało z siebie coś jakby chmurę zapachową. Wzdłuż szarych ścian na metalowych regałach leżały towary. Najbliżej przejścia pieczywo, warzywa, owoce. Obok stała szafa chłodnicza z nabiałem i napojami. Jeszcze głębiej była toaleta i naprzeciwko niej pomieszczenie, chyba biurowe, przy którym wisiała ramka ze zdjęciem. Do tego kilka plakatów z leśnymi zwierzętami, reklama dropsów i kalendarz jako uzupełnienie wystroju. Sanepid nie miałby się do czego doczepić.

– Zawsze muszę sama wszystko nosić. Mój dostawca to jaśniepan, którego ciągle bolą plecy. Czasami przydałaby mi się pomoc. Proszę siadać. – Marysia wskazała ręką na miejsce przy kwadratowym stoliku pokrytym ceratą w biało-niebieską kratkę.

Jak dobrze było usiąść w ciepłym i bezpiecznym miejscu. Na stole leżało „100 najlepszych krzyżówek panoramicznych” z włożonym do środka długopisem. Na krzyżówkach białe okulary.

Z wizyt u dziadków zapamiętałem, że rozwiązywanie krzyżówek było jedyną czynnością, na której wykonywanie babcia nie musiała mieć zgody dziadka. Oczywiście mogła to robić, jeśli wcześniej wypełniła swoje obowiązki. To była jej największa radość w życiu. Mówiła nam: „Pamiętajcie, chłopcy, krzyżówki rozwijają intelektualnie, pobudzają wyobraźnię, poprawiają pamięć, uczą logicznego myślenia i poszerzają wiedzę”. Fakt, urodzona przed drugą wojną światową na kaszubskiej wsi babcia miała ukończoną zaledwie podstawówkę, a niejednokrotnie zaginała dziadka podczas oglądania *Wielkiej gry*. Zazwyczaj po takiej porażce dziadek przełączał na Jedynekę i Stanisława Ryster znikala z ekranu. Babcia mrugała do nas wtedy okiem, a my śmialiśmy się po cichu, żeby dziadek nie widział.

Marysia też miała w sobie pewną mądrość. Czułem, że mogę jej zaufać. Sprzedawczyni wyjęła foliowe woreczki i zaczęła porcjować suszone owoce. Wszędzie po równo. Podniosła głowę i zapytała:

– Polował czy szpiegował?

– Zdecydowanie polował. – Usiadłem przy stole, wziąłem kawałek suszonego jabłka, którym mnie poczęstowała. – Bardzo dobre. Dziękuję. W ogóle to prawie mnie ustrześlił...

Z przejściem opowiedziałem jej o sytuacji, która spotkała mnie w lesie. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Słyszałam już takie historie. Kiedyś ponoć zabrał jeszcze oddychającego małego warchlaczka do domu. Nic z tym nie zrobimy. On ma wszelkie pozwolenia, a przede wszystkim pieniądze i znajomości. – Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Ale po jakiego grzyba on tak się znęca nad tymi zwierzętami?

– Moim zdaniem dla zabawy, choć oficjalnie się mówi, że zdobyte mięso bierze tylko na własny użytek, chce mieć swoje wyroby z dziczyzny.

– A myśli pani, że stać by go było, żeby przychodzić pod nasz dom i mnie straszyć? – Chwyciłem kolejny kawałek suszonego jabłka, ale przed oczami stanął mi konający koziołek i odechciało mi się jeść.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Widział pan, jaki był wściekły, jak wychodził ze świetlicy? Cała jego rodzina jest zaszczuta i chciwa. Napijmy się kawy.

Marysia przesunęła zasłonę, za którą niespodziewanie pojawił się mały aneks kuchenny. Na blacie stał ekspres na kapsułki.

– To na specjalne okazje. – Mrugnęła do mnie okiem. Włożyła pastylkę do środka, podstawiła kubek i uruchomiła urządzenie.

Usłyszałem dźwięk dzwonka dochodzący ze sklepu.

– Zaraz wracam. Jak kubeczek się napełni, proszę zabrać kawę. Mleczko jest w lodówce! – Wskazała na chłodziarkę i wyszła.

Spojrzałem na telefon. Esemes od mamy:

Paweł, nie przyjadę do Was na te zakupy. Muszę pomagać Jankowi i Sylwii z dziećmi. To nowa sytuacja dla nas wszystkich. Mam nadzieję, że zobaczymy się na święta. Uważaj na siebie.

No tak, adopcja. Zupełnie o tym zapomniałem. Powinniśmy ich odwiedzić. Powinniśmy czy powinienem? Byłem jeszcze liczbą mnogą czy już pojedynczą? Z tym uważaniem na siebie też ostatnio było tak sobie. Ulżyło mi, że mama odwołała wizytę.

– A ma pani może soczki? – Dotarł do mnie ze sklepu głos klientki.

– Mam, a jakie smaki? – Słyszałem, jak Marysia przemieszcza się po sklepie. – Mam malinę, marchew jabłko i marchew banan. Niestety na wiosce nie ma dużo dzieci i taki towar się nie sprzedaje.

– Poproszę ten z maliną. I jeszcze kilka mandarynek. – Klientka mówiła głośniej, żeby znajdującą się z drugiej strony sklepu ekspedientka mogła ją usłyszeć.

– A ile to jest kilka? – Po głośności domyśliłem się, że Marysia wróciła do kobiety.

– Pani próbuje być złośliwa teraz? – Przedświąteczny nastrój widocznie nie wszystkim się udzielał. – Poprosiłam kilka. Pięć, sześć. Ile pani włoży, tyle wezmę.

Chwila, skądś znałem ten głos. „Zapytaj ją jeszcze o coś, zapytaj” – prosiłem w myślach. Marysia jakby usłyszała moje telepatyczne wezwanie i zaproponowała kobiecie mango, które jak mi wcześniej wspomniała, wzięła na próbę od dostawcy. Chciała zobaczyć, czy na wsi ktoś się zainteresuje takim egzotycznym rarytasem. Zbliżyłem się, jak najbardziej mogłem, do koralików oddzielających część dla klientów od zaplecza. Nie chciałem, żeby w sklepie było widać moją sylwetkę, więc głosy docierały do mnie już lekko stłumione.

– Dziękuję bardzo. Mam uczulenie na mango. Ale jeśli ma pani suszone ananasy, to wezmę. – Byłem pewien na sto procent, że gdzieś słyszałem ten głos.

– Suszone mam tylko owoce na kompot. – W głosie Marysi wybrzmiało rozczarowanie brakiem zainteresowania mango. Postanowiłem, że później kupię ten owoc.

– Do widzenia. – Drzwi zamknęły się za klientką.

Marysia wróciła na zaplecze i usiadła przy stole.

– Czemu pan nie dokończył kawy?

– Bo podsłuchiwałem. – Wstałem do ekspresu.

– Ha, ha, ha, ha! – Sklepowa wybuchnęła śmiechem. – Uwielbiam pana za tę szczerość!

– A kto to był? – Wyjąłem mleko z chłodziarki i dolałem do kawy.

– A nie wiem, jakaś paniusia z miasta. Zaczęła się ostatnio pojawiać. Chyba ma tu gdzieś rodzinę. – Wyciągnęła rękę w moją stronę. – Niech pan nie chowa mleka.

– Miła to ona nie była. – Wziąłem łyk kawy.

– Jak każdy z miasta... a przepraszam. – Spojrzała na mnie, jakby popełniła największe faux pas w swoim życiu. – Nie jak każdy.

Tym razem ja się zaśmiałem.

Woda, woda, woda, woda, woda, kawa, woda... Musiałem się oddalić w ustronne miejsce. Wychodząc z ubikacji na zapleczu, spojrzałem na fotografię wiszącą naprzeciwko drzwi do toalety. Z daleka zdjęcie wydawało się większe, ale gdy stanąłem naprzeciwko niego, okazało się, że to chyba najbardziej popularny kiedyś format dziesięć na piętnaście centymetrów. Stara zielona drewniana ramka musiała już kilka razy skonfrontować się z podłogą. Farba podpadała ze ścianek, a szybka w lewym dolnym rogu była ukruszona. Na moje oko fotografię zrobiono w latach dziewięćdziesiątych. Na zdjęciu kobieta i mężczyzna, oboje po trzydziestce. On wysoki, szatyn, włosy zaczesane na jedną stronę, lekki zarost, ubrany w koszulę w zieloną kratę i poprzecierane dżinsy. Ona niższa od niego, włosy w kolorze czekolady, długie do połowy pleców, ubrana w jasnozieloną sukienkę. Mężczyzna obejmuje ją ramionami, ona ma głowę opartą na wysokości jego klatki piersiowej. Nie potrafiłem nawet ocenić, czy ktoś ich tak upozował, czy to miłość dała im wskazówki, jak się ustawić. Krótkie spojrzenie w oczy kobiety i od razu rozpoznałem w niej Marysię. W tle las, słońce, cały świat. A na pierwszym planie oni. Pod zdjęciem biały pasek i czarnymi literami napisane: „Kochać to zgadzać się na to, by się starzec z drugim człowiekiem (Albert Camus)”.

Ścisnęło mi się serce. Tak miało być, chciałem się starzec z Sebastianem, a on chciał się starzec ze mną. Dwóch starszków prowadzących powolne życie, niewiedzących nawet, jaki jest dzień tygodnia. „Hej, dziadku, może pojedziemy do Ciechocinka na weekend, popatrzeć na młodych siedemdziesięciolatków w jacuzzi?”. Mieliśmy mnóstwo pomysłów na jesień życia. Kto nam zabrał nasze marzenia i wizje? Bartek? Sebastian? Ja? Alkohol...?

– Nie udało się nam. – Westchnienie Marysi wyrwało mnie z zamyślenia.

Nie zauważyłem, kiedy stanęła obok mnie. W jej oczach zakręciły się łzy. Wpatrywała się w fotografię, jakby ją widziała po raz pierwszy i chciała zapamiętać każdy szczegół. Jakby poprzez intensywne patrzenie mogła się przenieść do czasów, kiedy zrobiono to zdjęcie.

– Słucham? – Wciąż byłem pod wrażeniem zdjęcia.

– Nie udało się nam zestarzeć. Mąż zginął w wypadku samochodowym dwadzieścia lat temu. Tuż przed Bożym Narodzeniem.

Jezu, co za fatalna sytuacja. Obróciłem się twarzą w stronę Marysi. Jej wzrok wciąż był utkwiony w fotografii. Miałem wrażenie, że zdjęcie wysyła energię, która w jakiś sposób koi bolesne wspomnienia właścicielki sklepu.

– Przygotowywałam dania wigilijne, kiedy zorientowałam się, że nie kupiłam suszonych owoców na kompot. – Spojrzała na spakowany do woreczków susz leżący na stole. – Mąż powiedział, że możemy zjeść kolację bez kompotu i że nawet nie za bardzo go lubi. Uparłam się. Włożył kurtkę i pojechał do sklepu w Sokołowie po te cholerne owoce. Już nie wrócił.

– Bardzo mi przykro. – Pojechałem najgorszym banałem, ale naprawdę zrobiło mi się smutno. Nie było już miłości, która uchwycona na fotografii przeniosła nas ze sklepowego zapleczka na plan filmu o nieszczęśliwym uczuciu. Młodą Marysię mogłaby zagrać Anne Hathaway.

– Za pieniądze z ubezpieczenia otworzyłam ten sklepik. Żeby już nikt nie musiał w pośpiechu jechać po nic do Sokołowa – dokończyła i chyba zauważyła, że również w moich

oczach pojawiły się łzy. – Już swoje wypłakałam. – Położyła mi rękę na ramieniu. – Pan dba o pana Sebastiana. My nie mieliśmy dzieci, to może wam zostawię sklep, jak umrę.

„Co za idiotycznie urocza wizja” – pomyślałem, przełykając resztki wzruszenia.

– Ale na razie się nigdzie nie wybieram – dokończyła ze śmiechem.

Ja za to musiałem się jednak wybrać. Siedziałem na ruinach związku i czekałem, aż się sam odbuduje. A takie cuda się nie działy. Nie miałem dziewięciu żyć jak kot, czas upływał. Przyszła pora, żeby się wziąć do roboty. Natychmiast. Czy Sebastian wyleciał z Bartkiem, czy nie, moje miejsce było w Konstancinie. Tam miałem dużo więcej możliwości zadbania o nasz związek.

Z mango w rękę ruszyłem do chatki. Po Rózię. „Wracamy do domu!” – zdecydowałem.

Udało mi się przedrzeć na skróty, przez pole, do głównej drogi. W ubłoconych reebokach szedłem z duszą na ramieniu. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w niektórych polskich wsiach autobusy kursują raz w tygodniu. Dzięki Bogu autobus do Sokołowa odjeżdżał co pół godziny, najbliższy za trzy minuty. Przyjechał punktualnie. Dawno nie poruszałem się transportem zbiorowym. Zaskoczyło mnie, że biletów nie kupuje się już u kierowcy. Usiadłem na samym końcu. W czasach wycieczek szkolnych były to najbardziej pożądane miejsca. Można było z kolegami dzielić się słodyczami i śpiewać piosenki. Przyciągnąłem Rózię do siebie. Podkuiliła ogon i położyła się na moich mokrych butach. Czulem, jak się trzęsie.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Z plecakami, torbami, zakupami. W większości gapili się w ekrany telefonów i mieli w uszach słuchawki. Raczej byli skupieni. Niczym nie różnili się od tych z Warszawy czy z Los Angeles. Takie same oczy, uszy i kończyny. Ludzie jak ludzie. No dobra, na pewno gorzej ubrani od tych z wielkich miast. Jechali dwa, maksymalnie trzy przystanki. Z wiochy do wiochy. Ja musiałem dojechać do końca trasy, do dworca autobusowego w Sokołowie Podlaskim.

Włączyłem muzykę w telefonie, włożyłem słuchawki i oparłem się o zagłówek. Nacisnąłem „Wybrane dla ciebie” na Spotify. Adele, Sade, Lana Del Rey. Kiedy stałem się takim smutasem? Jeszcze kilka dni temu aplikacja dobrałaby mi same świąteczne utwory. Przełączyłem na składankę „Idą święta” i zacząłem sobie w głowie układać, co zrobię, jak wrócę do domu. Zamierzałem ubrać choinkę i powiesić girlandy, które Sebastian wykonał parę lat temu. Chciałem ugotować zupę rybną i upiec lasagne ze szpinakiem. Wyobrażałem sobie, że Sebastian wraca do domu i wszystko jest jak dawniej. Że włączamy Netfliksa, pijemy wino i się przytulamy. Gdzieś na samym dnie serca nadal tliła się nadzieja, że to nie on był „starym znajomym”, z którym Bartek wybrał się do Egiptu.

Nawet nie zauważyłem, kiedy w autobusie zrobiło się niemal pusto. Rózia była już zmęczona i pobudzona. Próbowwała wejść mi na kolana.

– Nie, nie możesz. Siad – szepnąłem do psa. Położyła się.

Siedząca na przodzie autobusu starsza pani, w brązowym wełnianym płaszczu i niebieskim moherowym berecie, przesiadła się dwa rzędy bliżej mnie. Machając rękoma, zaczęła coś mówić w moją stronę. Wyjąłem słuchawki z uszu.

– Przepraszam, nie słyszałem – zwróciłem się do niej z należnym dla jej wieku szacunkiem.

– Kaganiec. Powiedziała, żeby pan założył temu psu kaganiec – odpowiedziała tonem nauczycielki, wskazując na Rózię.

– Nie mam kagańca. – Nawet nie wiedziałem, że trzeba go mieć. – Nie ma powodu, żeby się bać, ten pies nie jest agresywny. Czemu pani się w ogóle przesiadła tak blisko mnie? Przecież prawie nikogo tu nie ma.

– Agresywny czy nieagresywny, powinien pan wysiąść na najbliższym przystanku. – Jej twarz wykrzywiła się, nabierając stanowczości. Przesiadła się jeszcze rząd bliżej i wtedy ja się skrzywiłem, bo babcia śmierdziała naftaliną albo czymś podobnym. Z każdym słowem mówiła coraz głośniej.

Zniecierpliwiona Różia wyszczerzyła do niej zęby.

– Ten pies chce mnie zaatakować! – Babcia wydarła się do jedyne go poza nami pasażera autobusu, chyba jeszcze starszego od niej mężczyzny w szarym prochowcu, siedzącego kilka rzędów od nas.

Nie zareagował. Tymczasem mój czworonóg zaczął nerwowo szczekać, a kobieta zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy:

– Dzwonię na straż miejską!

– Proszę się uspokoić i wrócić na przód autobusu. Pies się boi i szczeka. Jak pani sobie pójdzie, to wtedy przestanie. – Uklęknąłem i przytuliłem Rózię. – Zostały nam dwa przystanki i wysiadamy.

Babcia jednak wydawała się głucha na moje sugestie. Albo po prostu głucha. Kierowca mocniej wszedł w zakręt, kobieta zachwiała się i upadła, a jej twarz zatrzymała się tuż przed pyskiem Rózi. Gdybym mocno nie trzymał psa, mogłoby się skończyć ostrzegawczym chapnięciem panikującej wariatki. Wystraszona kobieta podbiegła do kierowcy.

– Niech pan natychmiast zatrzyma autobus. Zwierzę mnie pogryzło!

Kłęczałem z psem na podłodze i nawet nie zauważyłem, kiedy obok mnie stanął wyraźnie zainteresowany całym tym spektaklem trzeci pasażer autobusu. Podniosłem wzrok. Przede mną stał dziadek. Na moje oko miał ponad dziewięćdziesiąt lat. Jego zapadnięta twarz wskazywała na całkowity brak uzębienia. Milcząc, spojrział na mnie i sięgnął po coś do kieszeni. Chwila grozy i moim oczom ukazała się mocno nadgryziona przez czas książeczka. Ledwie udało mi się dostrzec, co to jest. Legitymacja Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dziadek gapił się na mnie natarczywie. Wyglądał tak, jakby oczekiwał ode mnie jakiejś reakcji na ten dokument. Rozejrzałem się wokół, czy nie jestem w ukrytej kamerze. Poczułem, że pojazd się zatrzymuje.

– Proszę pana, proszę opuścić autobus, jeśli nie ma pan kagańca dla psa. Nie chcę mieć problemów – powiedział kierowca uprzejmym i bezradnym tonem.

Babcia stała tuż przy nim. Nie wyglądała już na wystraszoną. Wyglądała na zaspokojoną. Jej okropnie pomalowane oczy wyłaziły na wierzch z radości.

Drzwi się otworzyły. Mimo że kipiałem ze złości, minąłem dziadka weterana i pokornie wyszedłem z autobusu. Poczułem zimny powiew grudniowego wiatru. Drzwi się zamknęły. Czarna smuga trujących gazów, które zostawiał po sobie autobus, otoczyła mnie i Rózię. Pierdolnięta babcia podeszła do ostatniego okna i oddalając się, z uśmiechem zaczęła do mnie machać. „Kurwa, kurwa, kurwa! Obyś się poślizgnęła i skreśliła kostkę, złośliwa małpo!” – wybrzmiało w mojej głowie. Pokazałem jej środkowy palec i posłałem najbardziej

nienawistną minę, jaką umiałem zrobić. W ostatniej chwili zrobiłem jej zdjęcie. Chciałem ją pokazywać każdemu, komu w przyszłości opowiem tę historię.

Kierowca był łaskawy i wysadził mnie na przystanku, a właściwie przy wymalowanej graffiti budce z powybijanymi szybami. Tuż przy rozkładzie jazdy widniało niebieskie „***** ***” i czerwone „Stop LGBT”. Ta mikroprzestrzeń, w której się przypadkowo znalazłem, doskonale obrazowała nastroje panujące również w dużych miastach. Na jedynej ocalałej szybie resztki plakatu reklamującego milionową część *Listów do M.* nieskutecznie próbowały odwrócić uwagę od wymazanego żółtym sprayem „Jagiellonia Białystok krule”.

Sprawdziłem na mapie, że od dworca w Sokołowie dzieli mnie trzy kilometry. W lipcu uznałbym rysującą się przede mną wycieczkę za czystą inspirującą przyjemność. Kupiłbym schłodzone piwko i w okularach przeciwsłonecznych w rytm przebojów Shakiry dreptałbym z uśmiechem na ustach do celu. W połowie grudnia mniej optymistycznie patrzyłem na ten spacer. Niestety za bardzo nie miałem wyjścia. Różia się ożywiła. Wyraźnie odczuła ulgę, że opuściła autobus. Wiedziałem, że na czekającej nas trasie nie mamy szans na znalezienie sklepu z kagańcami, co wykluczało możliwość jakiegokolwiek podwózki.

Czarna puchówka ledwo mi sięgała za plecy, czapka z daszkiem nie chroniła przed zimnem, a wysłużone buty zaczęły przemakać. W późne zimowe popołudnie pogoda, nawet jeśli znośna, to i tak była chujowa – jak to w późne zimowe popołudnie. Zrobiło się już ciemno. Było kilka stopni powyżej zera, a zimne powiewy wiatru regularnie przypominały mi, że znajduję się na wschodzie kraju. Z każdą kałużą, w którą wdeptywałem, robiło mi się coraz zimniej. Nie miałem ze sobą rękawiczek, a nie mogłem schować obu rąk do kieszeni, bo smycz, na której trzymałem Rózię, była zbyt krótka.

„Pamiętaj, nie trzymaj go na krótkiej smyczy, bo się zerwie i nie wróci” – przypomniało mi się, co powiedziała mi matka, kiedy poznałem Sebastiana. Była zaraz po rozwodzie i nadmierne kontrolowanie jej przez ojca uważała za jeden z głównych błędów ich zakończonego rozstaniem małżeństwa.

Nie miałem poczucia, że jakoś bardzo kontroluję Sebastiana. Na pewno nie teraz. Początki rzeczywiście były trudne. Wyniosłem z domu model związku zbudowany zgodnie z zasadą, że podstawą zaufania jest kontrola. Na początku naszej relacji nie obydawało się więc bez awantur i cichych dni. Kiedyś w przypiływie zazdrości rzuciłem kieliszkiem z winem o ścianę. Nazajutrz po raz pierwszy zapisałem się na spotkanie z psychologiem. Po kilku sesjach dzięki zrozumieniu kierujących mną mechanizmów udało mi się uwolnić od wielu niepotrzebnych emocji. Między mną a Sebastianem zapanowała harmonia. Przez tych kilka wspólnych lat uważałem spokój, lojalność i całkowite zaufanie za fundamenty naszej relacji. Oczywiście ostatnio już tego nie czułem.

Siedząc w ciepłym autobusie, byłem pełen wiary w to, że uda mi się to wszystko odzyskać. Przemierzając po zmroku Podlasie w przemokniętych butach, widziałem swój związek w coraz ciemniejszych barwach. „Na pewno wciera teraz krem do opalania w idealne ciało Bartka” – pomyślałem, wdeptując w kałużę. Każdy samochód, który koło nas przejeżdżał, przyprawiał mnie o palpacje. Zapaliłem latarkę w telefonie, żeby być lepiej widoczny, i modliłem się, aby tylko nie mijała nas jakaś pijana gwiazda jadąca w kierunku Lublina.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio było mi tak źle jak w momencie, gdy w końcu dotarłem na dworzec autobusowy w Sokołowie. Zmęczenie, przemarznięcie, pragnienie, smutek, bezradność zostały wrzucone do miski, wymieszane z widokiem ludzi stojących na peronach i podstawione mi pod nos do zeżarcia. Podróżujących było tak wielu. I nie wiem, czy to przez halucynacje z zimna, ale każda kobieta przypominała mi babsztyla, przez którego wyrzucono mnie z psem z autobusu.

- Coś czuję, że nie uda się nam pojechać. - Usiadłem przy Rózi i ją pogłaskałem. Wyczuwałem jej zdenerwowanie w otoczeniu tyłu ludzi. - Nie mam dla ciebie kagańca, kochana. Ale nic się nie martw, zaraz coś wymyślę.

ROZDZIAŁ 27

Jeszcze parę lat temu byłem przekonany, że za pieniądze można mieć wszystko. Wszystko poza miłością. Bo nawet przyjaciele pojawiali się i znikali w zależności od szeroko pojętej wobec nich hojności. Próbę czasu i grubości naszych portfeli przetrwali tylko Beata i Kacper. Wprawdzie Kacper dostawał od Sebastiana zlecenia, a Beatę porządnie dokarmialiśmy. Tak czy inaczej na nich zawsze mogliśmy liczyć. Przez ostatnich kilkanaście miesięcy finansowo nie układało nam się tak jak kiedyś. Nie ucierpiał na tym nasz standard życia, ale na pewno byliśmy zmuszeni ograniczyć podróżowanie i inne większe wydatki, na przykład wymianę samochodu.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Umówiliśmy się, że nie będziemy wydawać na prezenty dla siebie tyle co poprzednio; na przykład dwa lata temu dostałem od Sebastiana nowego macbooka. Zgodnie z naszymi ustaleniami w tym roku chciałem mu kupić nowe rękawiczki do jazdy na motocyklu. To i tak wiązało się z wydaniem kilkuset złotych, ale już miałem je odłożone na oddzielnym koncie. Nie ukończyłem przewodnika, więc na bieżącym rachunku prawie nie było pieniędzy. Mój pomysł, jak się dostać do Konstancina, oznaczał wydanie niemal wszystkiego, czym dysponowałem.

– Pięćset złotych, ale pan idzie najpierw umyć psa i siebie. – Siwy taksówkarz około sześćdziesiątki zmierzył mnie wzrokiem, poczynając od brudnych butów, przez ubłocone spodnie, na czapeczce z literami „LA” skończywszy. Wskazał oznaczone kółeczkiem i trójkącikiem drzwi koło kiosku z prasą. – I pan pokaże gotóweczkę, zanim ruszymy – dodał.

No a jak! Bez gotóweczki nie pojedziesz. W bankomacie znajdującym się przy kasie biletowej wyczyściłem konto do zera i poszedłem się przygotować do trasy. Miałem wrażenie, że po wizycie w dworcowej toalecie będę jeszcze bardziej brudny i śmierdzący. Koszmarnie obsrany kibel, kosz wypełniony zużyтыми podpaskami, oszczane ściany. Jakby w środku wybuchło szambo.

– Nie siadaj tu.

Pies chyba zrozumiał. Szybko go wytarłem resztkami papieru toaletowego i wyszliśmy.

Kierowca czekał na mnie, przecierając przednią szybę swojej srebrnej hondy civic. Ku mojemu zdumieniu rozłożył na tylnym siedzeniu koc dla psa. Różia od razu wskoczyła na pled w czerwoną kratkę i niemal momentalnie zasnęła.

– Dziękuję. – Uśmiechnąłem się do niego i położyłem plecak na podłodze. Podałem mu adres.

Odwzajemnił uśmiech.

– Tak koło półtorej godziny będziemy jechać. Kupiłem panu wodę na podróż. – Siadając za kierownicą, wręczył mi półtoralitrową butelkę niegazowanej naleśczowianki.

– Jeszcze raz dziękuję. – Zaskoczony serdecznością niepewnie wziąłem od niego butelkę.

Kiedy już znalazłem się w ciepłym aucie, poczułem, jak bardzo chce mi się pić. Połowa wody zniknęła z pierwszym łykiem. Kierowca odpalił silnik, a ja rozsiadłem się na siedzeniu i zapiąłem pasy. Ruszyliśmy. Z radia dobiegał głos Anny Marii Jopek: „A kto wie, czy za rogiem nie stoją anioł z Bogiem...”

Jadąc ulicami zamieszkanego przez blisko dwudziestotysięczną społeczność Sokołowa, znowu poczułem, że zbliża się Boże Narodzenie. Przesadnie udekorowane domy zdawały się emanować szczęściem. Okna śmiały się światłem z telewizorów i choinek, a na ulicach panowała niespotykana jak na tę porę roku czystość. Po tylu dniach w lesie czułem, jakbym przejeżdżał w sylwestra przez centrum Nowego Jorku. Nigdy nie miałem okazji pomyśleć o Sokołowie jak o miejscu, w którym można czuć się dobrze. Nie przeszło mi przez myśl, że jego mieszkańcy mogą być mili i tak dbać o swoje miasto. Przyjeżdżaliśmy tu rzadko, chyba dwa razy byliśmy w aptece i raz szukaliśmy sklepu, w którym można by kupić pendrive'a.

Patrząc na miasto zza szyb taksówki, nabrałem ochoty, żeby pójść do kawiarni, którą zobaczyłem, gdy kierowca zatrzymał się na czerwonym świetle. Przystrojone białymi lampkami i gwiazdami betlejemskimi Słodkie Pasje wypełnione były uśmiechniętymi ludźmi popijającymi napoje z błękitnych kubków i filiżanek. Na ladzie stało jakieś ciasto w kształcie tortu. Z daleka wyglądało jak beza. Chciałem zająć ostatni wolny stolik w rogu, zamówić kawę, kawałek chyba bezy i czytać książkę. Niestety nie miałem na to ani czasu, ani pieniędzy. Obiecałem sobie, że tu wrócę. Z Sebastianem.

Róża całkiem odleciała. Chrapała tak głośno, że prawie zagłuszyła muzykę. Podniosłem jej łapę. Opadła bezwładnie. Czułem, jak moje ciało odzyskuje właściwą temperaturę i równowagę. Rozpiąłem kurtkę. Choineczka o świerkowym zapachu została chyba dopiero przed chwilą powieszona na lusterku, bo aż kręciło w nosie od jej intensywności. Kiedy siedziałem w samochodzie, zaledwie kilkadziesiąt minut drogi od swojego ukochanego i bezpiecznego domu, historia z szaloną babcią z autobusu zaczęła mi się wydawać nawet zabawna.

Przypatrz się tej twarzy. Wyobraź sobie, że baba jest bardziej szurnięta niż Ty i ja. Wracam do Konstancina, bo nie odbuduję związku z Sebastianem, siedząc w środku lasu. Może jutro kawka na Sadybie, to Ci wszystko opowiem?

Napisałem do Beatki wiadomość i chciałem dodać zdjęcie. Telefon automatycznie podsunął do dołączenia ostatnio zrobione foty. Pierwsza w albumie pojawiła się ta z kobietą z autobusu i już miałem ją wrzucić do esemesa, kiedy odruchowo zerknąłem na pozostałe miniatury. Kilka zdjęć Rózi ze spaceru, moje selfie, zdjęcie płatków owsianych zrobione dzisiaj rano i... O kurwa!

Czułem, jak moje czoło pokrywa warstwa potu, a całe ciało oblewa fala gorąca. Czyli jak ostatnio kilka razy dziennie. Nerwowo zdjąłem kurtkę. Kierowca spojrzął na mnie w lusterku i zmniejszył ogrzewanie. Przerwałem wysyłanie wiadomości. Drżącym palcem nacisnąłem kolorowy kwiatek, ikonkę „Album”, przesunąłem palcem kilka zdjęć i zatrzymałem się na jednym z nich. Telefon wypadł mi z ręki. Oddychałem szybko, zdecydowanie za szybko. Nie pytając taksówkarza o zgodę, otworzyłem okno.

– Panie, zamknij pan to. Jest przymrozek. Jak za gorąco, to obniżę temperaturę w samochodzie. – Kierowca nie odrywał wzroku od drogi. – Wyglądałeś pan na kogoś, kto jest przemarznięty, to podkręciłem mocniej.

- Już zamykam - wykrztusiłem z trudem. - Potrzebuję tylko kilku łyków świeżego powietrza.

- Dobrze się pan czuje? - W głosie kierowcy pojawił się niepokój. - Mam się zatrzymać? Chce pan do toalety? - Przekręcił głowę w moją stronę, próbując na mnie spojrzeć. - Mam też aviomarin.

- Wszystko okej. - Nie chciałem przedłużać powrotu do domu. - Nic mi nie jest.

Próbowałem na zapas nałykać się rześkiego i kojącego świeżego powietrza. Oczywiście tak się nie dało. Zrobiłem kilka głębokich oddechów z przepony i zasunąłem szybę. Trzymając głowę prosto, podniosłem telefon. Odblokowałem ekran i z niedowierzaniem wpatrywałem się w... zdjęcie zrobione mi podczas snu.

Leżałem na boku, na lekko rozchyłonych suchych ustach widać było ślady po czerwonym winie, a lewa dłoń znajdowała się w okolicy twarzy. Dopiero na zdjęciu zobaczyłem, że paznokcie mam poobgryzane prawie do krwi, a po koszulce z podobizną Micka Jaggera poznałem, że było zrobione poprzedniej nocy. Ktoś był w domu, kiedy spałem. Kiedy spałem, ktoś był w moim domu!

Spojrzałem na psa. Można było używać wiertarki udarowej, a ona i tak by się nie obudziła, więc to, że komuś udało się niepostrzeżenie wejść w nocy do mojej sypialni i zrobić mi zdjęcia, nie wydawało się aż tak nieprawdopodobne. Ale komu? I po co? Tylko po to, żeby mnie sfotografować? Jeżeli celem było to, żebym się bał, to został osiągnięty. Ręce tak mi się trzęsły, że ledwo trzymałem telefon.

Codziennie przed pójściem do łóżka szedłem do drzwi wejściowych, żeby się upewnić, czy są zamknięte. Co prawda zawsze po kilku kieliszkach albo butelkach wina, ale to był dla mnie najważniejszy rytuał w domu w lesie. Chwytałem za klamkę i dociskałem pokrętko w zamku, ile się da, mimo że drzwi zamykały się maksymalnie na dwa razy. Z tego, co wiedziałem, istniały tylko dwa komplety kluczy. Jeden należał do mnie, a drugi do Sebastiana.

ROZDZIAŁ 28

DAWNIEJ

Miami

Kiedy tylko słońce zniknęło za horyzontem lazurowego oceanu, plaża w dzielnicy South Beach zaczynała pustoszeć, a nasyceni romantycznym zachodem słońca turyści wlewali się do restauracji i barów na Ocean Drive. Ta słynna część Miami z minuty na minutę stawała się wesołym miasteczkiem w wersji dla dorosłych. Rozneglizowane hostessy wręcz kładły się przed ludźmi, żeby ci weszli akurat do ich klubu. Knajpy prześcigały się w promocjach na dania z homarem, a gdy tylko klienci wybrali miejsce na spędzenie wieczoru, natychmiast przy ich stoliku pojawiał się handlarz narkotyków i pytał, na co mają ochotę. Zawsządobiegała twarda klubowa muzyka. Największa metropolia na Florydzie współczynnikiem imprezowości niczym nie ustępowała Las Vegas czy Nowemu Orleanowi.

Kobiety ze wszystkich kategorii wagowych zupełnie nie przejmowały się swoimi rozmiarami i dumnie nosiły ledwo zakrywające tyłki spódnice i sukienki. Jedno z ferrari w wersji cabrio, w którym oczywiście były się bardzo młode dziewczyny, zostało zatrzymane przez samochód, który wyglądał zupełnie jak ten z serialu *Policjanci z Miami*. Po krótkiej rozmowie z funkcjonariuszami kobiety usiadły pokornie w aucie, a kierowca z piskiem opon włączył się do ruchu po to tylko, żeby odjechać kilkanaście metrów i jeszcze głośniejszą włączył muzykę.

– O kurde, ale to jest wielkie! Przecież tego nie wypijemy! – Sebastian zareagował śmiechem na widok kelnerki stawiającej przed nami wysokie, na moje oko dwulitrowe kieliszki z mrożoną strawberry margaritą.

– Chyba ty!

Drink był ozdobiony koszmarem ekologa. Kilka plastikowych słomek w różnych kolorach wyginało się na wszystkie strony. Złapałem je i pociągnąłem łąpczywie.

– Auaaa!

Poczułem okropne ukłucie w płacie czołowym i niczym dżin z butelki nad stołem pojawiła się twarz mojej matki. „Pawelku, nie pij zimnego. Po wypiciu szklanki zimnej wody możesz poczuć kłujący ból zatok. To pierwszy sygnał, że napój jest za zimny. Możesz też mieć nieprzyjemne uczucie w żołądku i gęsią skórę. Jeśli zignorujesz te sygnały ostrzegawcze, może dojść do krwotoku z nosa, zwężenia naczyń krwionośnych, a nawet do zaburzeń rytmu serca, co w konsekwencji może prowadzić do zawału i śmierci”. Wygłosiła ten wykładzik rok wcześniej, gdy byliśmy z Sebastianem w Atenach i zamówiłem mojito.

– Naprawdę jesteś szalony. – Sebastian ziewnął, po czym wypił trochę margarity i przegryzł czipssem krabowym.

– Tylko mnie nie połknij – rzuciłem, widząc jego szeroko otwarte usta. – Jesteś śpiący czy nudzisz się ze mną?

Liczyłem na szaloną noc w mieście.

– Ja się z tobą nigdy nie nudzę. – Mrugnął przy tym znacząco. – Jestem zmęczony. Trochę kilometrów dzisiaj przejechaliśmy.

Fakt, droga z Atlanty zajęła nam ponad osiem godzin, a ja ani razu nie usiadłem z kierownicą.

– Ale chcesz już iść spać? – Wziąłem kolejny łyk drinka, ale już mniej łapczywie. – Jesteśmy przecież w Miami. *Welcome to Miami, Bienvenidos a Miami!* – zafalszowałem na nutę klasyka Willa Smitha.

– Jeszcze nie. Ale na pewno dzisiaj nie poszaleję. – Podnosząc rękę, wskazał kelnerce, żeby dolała mu wody do szklanki. Podróżując po Stanach Zjednoczonych, przyzwyczailiśmy się do tego, że w restauracjach i barach nie płaci się za wodę do picia. – Ale widzę, że ciebie roznosi energia. Nie dziwię się, prawie całą drogę spałeś.

– Nie zaczynaj znowu. – Przewróciłem oczami. – Nie lubię prowadzić samochodu i jeśli nie muszę, to tego nie robię, ale widzę, że nadal mamy z tym problem.

– Nie mamy problemu, tylko ci tłumaczę, że wolę dzisiaj odpocząć, żeby mieć jutro energię na zwiedzanie. I obaj wiemy, że gdybyś kawałek poprowadził, to ja nie byłbym teraz aż tak śnięty – wyjaśnił łagodnie.

– A tam, pieprzys – warknąłem. – Jak prowadzę auto, to siedzisz sztywno jak manekin i bez przerwy zwracasz mi uwagę: zwolnij, za blisko, nie zdążysz, uważaj, dziura... – przedrzeźniałem go.

– Darujmy sobie ten temat dzisiaj. Margarita uderza ci do głowy. – Sebastian z rezygnacją pokręcił głową. Zmęczenie było coraz bardziej widoczne na jego twarzy. – Skończyłeś już pić? Z tego, co widzę, na dnie zostały ci same kostki lodu. Mogę ci oddać mojego drinka, a jak nie chcesz, to zapłaćmy i chodźmy się kawałek przejść. Może mi wróci energia.

Miałem ochotę na jego drinka, ale jeszcze bardziej chciałem, żeby ten wieczór na mieście udało się przemienić w noc na mieście. Zdecydowanie za szybko wstałem od stolika. Zakręciło mi się w głowie i usiadłem. Sebastian położył rękę na moim ramieniu.

– Od początku ten drink wyglądał podejrzanie. – Uśmiechnął się i pomógł mi wstać.

Zrobiłem kilka kroków, zawirowania minęły. Zawiązałem but i ruszyliśmy wzdłuż Ocean Drive. Miami Beach to miejsce z największą na świecie kolekcją architektury art déco. Żywa i jasna kolorystyka budynków nawet w wieczornej scenerii robiła na mnie duże wrażenie. Oczywiście nie tak duże jak rozmiar drinka.

– Wiesz, co to jest? – Sebastian zatrzymał się przed jedną z białych bram, której wejścia pilnowało dwóch przystojnych ochroniarzy w klasycznych czarnych garniturach. Stali przy małej ambonce i jednych wpuszczali do środka, a innych odsyłali z kwitkiem. Zapewne panował tam ściśle określony dress code. Albo trzeba było znać hasło. Panowie w hawajskich koszulach i panie w stroju prosto z plaży nie mieli szans, żeby się dostać do środka.

Fragment między bramą a budynkiem wyłożony był czerwonym dywanem, wzdłuż którego paliły się świece. Ich ogień delikatnie tańczył w rytmie wiatru wiejącego od oceanu. Było to hipnotyzujące.

Sebastian uznał, zresztą słusznie, że nie wiem, co się tam znajduje. Pewnie gdyby powtórzył pytanie, to odruchowo powiedziałbym, że to jakaś kolejna restauracja.

– To Casa Casuarina. Mówi ci to coś? – zapytał.

Udało mi się oderwać wzrok od świeczek i spojrziałem na niego, kręcąc przecząco głową.

– Taki znawca mody nie wie? Casa Casuarina to dawny dom Versacego. W wyposażeniu wnętrza dominuje wszystko, co najdroższe i co lubił: marmury, złoto, rzadkie gatunki drewna. I wszędzie są głowy meduz. A teraz jest tam też hotel i restauracja. – W Sebastianie doszedł do głosu przewodnik. – Pamiętasz, że został kilkanaście lat temu zastrzelony przez zazdrosnego kochanka? I to dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoimy.

Oczami wyobraźni zobaczyłem swoje stopy w kałuży krwi. Od razu przypomniała mi się historia z serialu opartego na faktach, który kiedyś oglądaliśmy. Tyle tylko że Versacego zastrzelił seryjny morderca. Byłem o tym przekonany w stu procentach.

– Przyczyną jego śmierci nie była zazdrość kochanka – odpowiedziałem.

Zaskoczyło mnie, że Sebastian zapomniał, jak skończył się serial. Może przysnął? A może zapamiętał tę historię inaczej? Patrzyłem na niego zdziwiony.

– Pamiętam, że w tej historii było dużo złości. Może coś mi się pomyliło. Herkules Poirot twierdził, że dwa główne powody popełniania morderstw to pieniądze i miłość. – Sebastian uniósł palcem wskazującym mój podbródek i wbił we mnie przesywające spojrzenie. – Ja mógłbym zabić. Żeby bronić swojej miłości, mógłbym nawet zabić. Każdego.

Poczułem, jak pod wpływem jego słów uginają się pode mną kolana. W oczach Sebastiana odbijał się blask świeczek, a bryza znad oceanu rozwiewała jego czarne włosy. Widziałem, jak pulsują mu mięśnie na policzkach, a mocno zaciśnięte zęby jeszcze bardziej podkreślały idealny kształt twarzy. Był piękny. Był piękny i niepokojący. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówił takim tonem. Nie mogłem się ruszyć. Na ulicy panował gwar, dzielnicą tętniła muzyką, a ja słyszałem tylko ciężki oddech Sebastiana i czułem, że coraz szybciej bije mi serce. Świat zewnętrzny zniknął gdzieś w jego oczach. Bałem się oderwać od niego wzrok. Poczułem narastający ból.

– Au, puść! Nienormalny jesteś? – Zorientowałem się, że Sebastian chwycił mnie za nadgarstki i mocno je ścisnął. Wyrwałem się. – Co ty robisz?!

Trzymał mnie jeszcze przez ułamek sekundy, po czym jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jego zwierzęce spojrzenie zniknęło, a na twarzy pojawił się uśmiech, który kochałem.

– Sorry, przypomniały mi się sceny z tego serialu, doszła energia tego domu i chyba zmęczenie... – Powiedział to w taki sposób, że nie miałem powodu mu nie wierzyć, choć wiedziałem, że tych kilku sekund nieprędko uda mi się zapomnieć.

– Wyglądałaś jak nie ty. Jak jakiś psychol. – Poczułem się lepiej, gdy już odeszliśmy kawałek od tego domu. – Pamiętasz w ogóle, co powiedziałeś?

– A czemu mam nie pamiętać? Powiedziałem, że w mojej rodzinie ludzie się łączą w pary na zawsze i chcę, żeby tak samo było z nami. A ty co usłyszałeś? – Sebastian sprawiał wrażenie przekonanego co do swoich słów.

W zasadzie to właśnie powiedział. Tylko inaczej to ujął. Nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi serio, ale nie chciało mi się już ciągnąć tego tematu.

- To co, dalej chcesz iść w miasto? Spacer dobrze mi zrobił i mogę jeszcze gdzieś usiąść na drinka.

- Nie, ja też jestem już zmęczony. - Jakoś minęła mi chęć na Miami nocą. - Wracajmy do hotelu.

- To w prawo czy w lewo? - Sebastian zatrzymał się na skrzyżowaniu.

Robiło mi się coraz cieplej. Poczulem zapach świerku, a twarz Sebastiana rozplywała się w powietrzu.

- W prawo czy w lewo? Proszę pana, dojeżdżamy, ale nawigacja się zawiesiła. Może mi pan pomóc? - Ochryply głos taksówkarza wyrwał mnie ze wspomnień.

ROZDZIAŁ 29

– Tu w lewo. Zaraz pan wjedzie na osiedle i tam już będzie numeracja. – Cieszyłem się jak dziecko, widząc, że już prawie jestem w moim ukochanym domu w Konstancinie.

Mimo że matka nadal pytała, kiedy przyjadę „do domu”, to rodzinna miejscowość już od dawna nim nie była. Kiedyś, próbując jej to wytłumaczyć, przytoczyłem fragment z *Dallas* '63, mojej ulubionej książki Stephena Kinga: „Dom to oglądanie księżycy wschodzącego nad szafnią i towarzystwo kogoś, kogo można przywołać do okna, żebyście obejrzel i razem. Dom jest tam, gdzie tańczysz z innymi, a taniec to życie”. Odpowiedziała, że powątpiewa w moją trzeźwość. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy.

Mój dom był tam gdzie Sebastian, gdzie nasze psy, gdzie co rano jedliśmy owsiankę, gdzie nigdy nie brakowało rozmów i schłodzonej coli zero, gdzie przed snem zawsze mówiliśmy sobie „Dobranoc”. Mój dom właśnie powoli wyłaniał się zza innych budynków. Kierowca dostrzegł odblaskowy znak „Uwaga, dzieci”, zwolnił i wjechał w uliczkę, przy której mieszkaliśmy.

Wszystkie domy były już bogato ozdobione świątecznymi dekoracjami. U sąsiadów, którzy minionego lata kupili ostatni z nich, białe ledowe renifery ciągnęły ledowy wóz z ledowym Mikołajem.

Doskonale pamiętam nasze pierwsze spędzone tu Boże Narodzenie. Podobnie jak nowi sąsiedzi, urządziliśmy przed domem prawdziwy festyn. Użyliśmy kilkunastu tysięcy lampek do ozdobienia budynku z zewnątrz i pewnie byliśmy widoczni z kosmosu. Różia była jeszcze szczeniakiem i sikała na nowe podłogi, co doprowadzało nas do szału. Okres świąteczny spędzaliśmy sami. Nie wiedzieliśmy, czy zaprosić rodzinę Sebastiana, czy moją. Obie by się nie zmieściły, więc ostatecznie nie zaprosiliśmy nikogo. Po kolacji wigilijnej Sebastian rozpałił w kominku i położyliśmy się na kanapie, żeby delektować się ciepłem ognia. Zjedliśmy mnóstwo mandarynek i oglądaliśmy *Kevina*. Zasnęliśmy, a około drugiej obudził nas ciepły, duszny smród. Cała podłoga była zasrana i zaszczana przez Rózię.

W tym roku tylko dwie posiadłości nie były ozdobione: nasza i zmarłego sąsiada, Marcina. Na samą myśl o tym, jaka atmosfera musi teraz panować w jego domu, poczułem mrowienie na plecach. Kilka tygodni od śmierci taty małe jasnowłose dziewczynki zapewne nadal liczyły, że ich ukochany ojciec wróci do domu na święta. Jego żona nie miała nawet czasu na żalobę, musiała zadbać o córki. Ciekawe, czy ktoś ją wspierał.

Taksówka zatrzymała się pod bramą wjazdową. Zaspana Różia wyjrzała przez okno i natychmiast zaczęła merdać ogonem. „Tak, kochana, jesteśmy u siebie” – pomyślałem i mimo że nasz dom prezentował się ponuro na tle większości zabudowań, to w kilka sekund ułożyłem plan, jak to zmienić. Pamiętałem, gdzie są świąteczne lampki, reszta to kwestia wyobraźni. No, jeszcze pozostało wyzwanie w postaci ich rozplątania. Zawsze robił to

Sebastian, więc pakując lampki do pudeł po ostatnich świętach, nie przypuszczałem, że w kolejnym roku to ja się będę mierzył z tym zadaniem.

– Bardzo dziękuję, poszło sprawnie. – Wręczyłem kierowcy pięć banknotów po sto złotych. Zazwyczaj zostawiałem napiwki za każdą usługę. Niestety chwilowo nie było mnie na to stać.

– To ja dziękuję za konkretny kurs. Będzie na prezenty dla wnuków. – Mężczyzna przeliczył pieniądze i schował je do czarnego portfela. – Ma pan bardzo grzecznego psa. Wesołych świąt!

– Wesołych! – Tak bardzo chciałem już znaleźć się w domu, że aż mnie roznosiło.

Otworzyłem drzwi samochodu. Różia wyskoczyła, a ja chwyciłem plecak i wybiegłem zaraz za nią.

Poszedłem z psem na skwerek, żeby po podróży rozprostować kości. Kierowca zawrócił, zatrafił dwa razy na pożegnanie i zniknął za skrzyżowaniem. Chłonałem zimne podmiejskie powietrze. Bezsprzecznie było bardziej zanieczyszczone od tego w lesie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Cały się w nim zanurzyłem. Wróciłem tam gdzie moje miejsce. Z dala od Kędzierskiego, od Bartka, od przeciętych kabli i żółtych kwiatów w wazonie. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego wcześniej nie podjąłem decyzji o powrocie. Nie znalazłem odpowiedzi. Może się bałem?

Stanąłem pod naszą furtką i sięgnąłem w głąb plecaka, próbując wymacać klucze do domu. „Pewnie się gdzieś zaplątały w ubraniach” – pomyślałem i potrząsałem pakunkiem. Głucha cisza. Zapaliłem latarkę, żeby spojrzeć do środka. Serce podskoczyło mi do gardła, bo to niemożliwe, że nie wziąłem pieprzonych kluczy. Co prawda spieszyłem się i nie sprawdzałem, czy są w środku, ale też ich nigdy nie wyciągałem z plecaka. Nie mogłem sobie przypomnieć, którymi kluczami zamykaliśmy dom przed wyjazdem do leśniczówki. Mogło być tak, że mieliśmy ze sobą tylko jeden komplet, który zabrał Sebastian, wracając do Konstancina. Położyłem plecak na ziemi i ponownie, tylko bardziej nerwowo, przeszukałem każdą jego kieszeń.

– Ja pierdolę!

Przeszył mnie ból. Wyszarpnąłem rękę i spojrzałem na prawą dłoń. Pod paznokieć palca wskazującego wbiła mi się wykałaczka. Musiałem ją kiedyś wrzucić do plecaka. Z pewnością była stara jak świat, bo potrzebowałem tego patyczka tylko podczas jedzenia kaczki, a mięsa nie tykałem od dawna.

„I ty mi mówisz, że mam sprzątnąć pierdolino w torebce?” – zaśmiałyby się Beatka. Beatka sratka. Wyjąłem szybkim ruchem wykałaczkę spod paznokcia. Ból się zmniejszył, ale nie ustąpił. Zniknęła natomiast nadzieja, że mam ze sobą klucze z brelokiem z piłką tenisową.

W taksówce wymyśliłem kilka czarnych scenariuszy związanych z powrotem do domu. Zakładałem, że mogę zastać Sebastiana w łóżku z Bartkiem, że nie będzie Sebastiana ani jego rzeczy, bo się wyprowadził, albo że znajdę jego zwłoki, bo podczas kąpieli wpadła mu do wanny włączona suszarka do włosów.

W dzieciństwie, kiedy w soboty braliśmy kąpiel (Janek najczęściej w wodzie po mnie, słodkie lata osiemdziesiąte), matka wyносиła z łazienki absolutnie każdą rzecz, którą dałoby się się podłączyć do prądu: ojca maszynkę do golenia, suszarkę do włosów, farelkę i radyjko,

którego słuchała, leżąc w wannie. Najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że wytaczała również na zewnątrz pralkę Franię. Kiedyś się zastanawialiśmy z Jankiem, czy bardziej bała się tego, że siedmiolatek podłączy do prądu pralkę i używając jakichś nadprzyrodzonych mocy, wrzuci ją sobie do wanny, czy może tego, że czterolatek będzie wolał odpalić pralkę i umyć się w niej zamiast w wodzie po starszym rodzeństwie.

Postanowiłem zawiadomić Sebastiana, że wróciłem. I tak nie miałem nic do stracenia. Nikt inny nie miał kluczy do naszego podwarszawskiego domu. Sięgnąłem po telefon i dopadły mnie emocje jak przed egzaminem: ekscytacja, strach, niepewność. Jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie, bo „abonent był czasowo niedostępny”.

„Co robić?” – zastanawiałem się. Stałem jak zahipnotyzowany przed furtką, kiedy oślepiły mnie światła jadącego SUV-a. Poza nami wszyscy na osiedlu mieli SUV-y, więc to mógł być każdy. Kiedy auto zwolniło i zatrzymało się koło mnie, rozpoznałem je od razu. Szyba od strony pasażera opuściła się do połowy.

– Hej, Paweł. Już wróciliście? – Agnieszka, żona Marcina, zapaliła światło w samochodzie. Wyglądała tak, jakby postarzała się o dziesięć lat. Jasne włosy niedbale spięte w kitkę, podpuchnięte oczy, czarna wełniana czapka. Mimo to jakoś udało jej się do mnie uśmiechnąć.

Nie miałem ochoty na spotkanie z wdową. Ja też czułem się opuszczony.

– Cześć, no taki miałem plan, żeby się już tu zalogować. – Odwzajemniłem jej wymuszony uśmiech. – Byłem w leśniczówce. Znajomy mnie podrzucił do domu i okazało się, że nie zabrałem ze sobą kluczy, więc muszę tam wracać.

Troszkę skłamałem. Troszkę.

– Chodź do mnie, zrobię ci herbatę. Zamknę kota, to Różia będzie mogła swobodnie biegać po domu. – Agnieszka pomachała do psa.

Marzyłem o herbacie i czymś do jedzenia, ale miałem opory, żeby iść do domu sąsiada nieboszczyka.

– Nie chcę ci robić problemu – odpowiedziałem jak automat i raczej nie zabrzmiało to wiarygodnie. Najchętniej poprosiłbym ją, żeby mi wyniosła herbatę i kanapkę na zewnątrz, żebym nie musiał tam siedzieć.

– Paweł, bardzo chciałabym mieć teraz takie problemy jak wizyta niezapowiedzianego gościa. – Odwróciła wzrok. Gdy spojrzała na mnie ponownie, po jej twarzy płynęły łzy, rozmazując i tak niechlujnie pomalowane oczy. – Chodź nas odwiedzić.

Spojrzałem ukradkiem na wielki nieoświetlony dom z zasłoniętymi roletami. Kilka tygodni temu znaleziono w nim trupa. Trup. Samo to słowo było *creepy*, choć „po moim trupie” nie brzmiało jakoś szczególnie groźnie. Tak czy inaczej współczułem Agnieszce, że musi tam wracać. Sam jednak też powinienem już wracać tam, gdzie nie chciałem być. Za późno.

– Różia! Różia! Może Różia przyjdź do nas? Cześć, wujek! Możemy się pobawić z Rózią? – Siedzące z tyłu dziewczynki zauważyły psa.

Nawet twardziel by im uległ, a mnie daleko było do twardziela.

– Szczerze mówiąc, to bardzo potrzebowałem tej herbaty. I dzięki za kanapkę. – Postawiłem na stoliku talerzyk po ciemnym chlebie z żółtym serem i pomidorem. Zostało na nim parę okruszków. Chętnie bym przejechał palcem i je zjadł, ale spasowałem.

Dziewczynki ganiały się z Rózią po całym parterze. Nie wiedziałem, kto ma więcej radości z tej zabawy: dzieci, których dom ostatnio wypełniała żaloba, czy pies, który od kilku tygodni spędzał czas ze swoim nadużywającym alkoholu opiekunem.

– Dawno się tyle nie śmiały. – Agnieszka postawiła na stole miseczkę z orzeszkami i zawiesiła wzrok na córkach.

Rzeczywiście, zrobiło się gwarno. Spróbowałem dyskretnie się rozejrzeć po jej wychuchanym salonie. Gospodyni od razu to zauważyła.

– Sprzątam, dużo sprzątam – powiedziała. – Cały czas mam wrażenie, że dom jest ubrudzony... – zawiesiła głos – ...ubrudzony śmiercią.

– Ubrudzony śmiercią? – Doskonale wiedziałem, co ma na myśli, ale nie umiałem inaczej zareagować.

– Wszystko mi przypomina mojego męża. – Jej oczy znowu wypełniały się łzami. – Ubrania nadal leżą tam, gdzie je zostawił. Niczego jeszcze nie wyrzuciłam ani nawet nie wyprałam.

Przypomniał mi się cytat z *Miłości w czasach zarazy* Márqueza: „Ludzie, których kochamy, powinni umierać razem ze swoimi rzeczami”. Agnieszka wyjęła spod stolika jakiś magazyn i pokazała mi zdjęcie błękitnej plaży.

– Patrz, foldery z biura podróży. Mieliliśmy lecieć na Zanzibar w ferie. A w lodówce jest jeszcze jedzenie, które kupił Marcin. Na przykład ten ser, który jadłeś.

„Po co mi gadasz o tym serze?” – pomyślałem. Jej słowa dały mi jednak przyzwolenie na swobodne rozglądanie się po salonie, a ja zawsze korzystałem z takich możliwości. Pokój wyglądał tak, jakby nadal mieszkał tu mężczyzna. Brązowy rozpinany męski sweter wisiał na oparciu jednego z krzeseł przy stole jadalnym, a na szafce pod telewizorem leżał sportowy zegarek Marcina.

– A może zostaniesz z Rózią na noc i jutro rano pojedziecie po klucze? – Niespodziewanie zmieniła temat. – Może nawet cię zawiozę. Dziewczynki byłyby szczęśliwe, gdyby mogły spać z psem.

Wolałbym spać na dworze niż w domu „ubrudzonym śmiercią”. Musiałem jednak wybrnąć z tego tak, żeby nie sprawić jej przykrości.

– Oj, już się umówiłem z Beatką, że zaraz po mnie przyjedzie...

„Kłamca, kłamca” – skarciłem sam siebie w myślach.

– ...ale jak już jutro wrócimy, to możemy was odwiedzać. Nawet codziennie – dokończyłem.

– To może chociaż Różia zostanie do jutra? – Agnieszka nie dawała za wygraną.

Perspektywa przemierzania drogi powrotnej bez psa i spędzenia w lesie samotnej nocy zdecydowanie odpadała.

– Jesteśmy nierozłączni – odpowiedziałem miłym, lecz chyba wyczuwalnie asertywnym tonem.

Przez moment zrobiło się niezręcznie.

– Chcesz wina? – Agnieszka podeszła do barku, naląła sobie jedną trzecią szklaneczki whisky i wypła duszkiem. – Czy pijasz teraz coś innego?

Napełniła szklanę do połowy i postawiła na stoliku, przy którym siedzieliśmy. Nie czekając na odpowiedź, otworzyła butelkę Primitivo di Manduria, którą stanowczym ruchem postawiła przede mną. Poszła do kuchni po kieliszek, który po chwili stanął obok wina. Wyglądała jak w transie.

– Nalej sobie. – Jej głos zrobił się niski, napięty i szorstki, a oczy jakby ściemniały.

Zrobiłem to, o co prosiła, jednocześnie nie odrywając od niej wzroku. Agnieszka spojrzała nerwowo na dzieci. Włączyła telewizor i ustawiła na kanał, na którym George i Peppa szykowali Mamie Śwince przyjęcie urodzinowe. Podkreśliła głośność. Dziewczynki zainteresowały się bajką.

– Okej, nie będą nas słyszeć. Nie mogą nas słyszeć. – Jej głos stał się jeszcze bardziej spięty, a twarz była biała, wręcz przezroczysta. Wyglądała tak obco, że obawiałem się, czy nie ma pod ręką noża, żeby mnie nim dźgnąć.

Wzięła kolejny spory łyk whisky, nachyliła się w moją stronę i wyszeptiała:

– Zabił się. On się zabił. Zostawił nas same. Policja wczoraj ostatecznie to potwierdziła. Zabił się. On się zabił... Do cholery, czemu ja niczego nie zauważyłam?

Osunęła się na fotelu i zalała łzami. Nigdy nie przypuszczałem, że człowiek może płakać tak intensywnie, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Zapewne nie mogła na co dzień pozwolić sobie na głośne sceny ze względu na dzieci. Jej twarz pokryła się czerwieńią, a mięśnie napinały się i rozluźniały jak w szalonym tańcu. Do perfekcji opanowała niemy płacz. Było w tym coś tak bardzo niepokojącego, że aż przyciągającego.

Skoncentrowałem się wyłącznie na niej. Moje emocje i to, co mi powiedziała o śmierci męża, wszystkie te sprawy zeszyły w tym momencie na dalszy plan. Jakiś trybik w mojej głowie zdecydował, żeby poświęcić jej czas, a sobą zająć się później. Kiedy podszedłem, żeby przysiąc na oparciu jej fotela, osunęła się na podłogę. Usiadłem obok i przytuliłem ją.

– Tak mi źle, Paweł, tak mi źle... Nie mam zupełnie planu ani nawet pomysłu na życie bez Marcina – wyszlochała.

– Dziwne byłoby, gdybyś już miała. A nawet podejrzone. – Szturchnąłem ją, żartując. Kąciki jej ust lekko się uniosły. – Daj sobie czas na żałobę.

Dolałem jej whisky, a sobie wina. Po kilku chwilach Agnieszka się uspokoiła i zaczęło docierać do mnie to, co powiedziała. W głowie szalał rollercoaster myśli. Nigdy wcześniej nikt z moich znajomych nie odebrał sobie życia. Marcin wyglądał na szczęśliwego człowieka. Nic z tego nie rozumiałem, choć wiedziałem, że większość osób, które popełniają samobójstwa, nie jest szalona. W takiej chwili nawet najbardziej zdesperowani ludzie pewnie mieli mieszane uczucia, wahając się do końca między wolą życia a wolą śmierci.

Byłem pod jego domem w wieczór, kiedy się zabił, i wydawało mi, że ktoś się w środku poruszał. Może to był kot? Może jeszcze żywy Marcin? A może policja się pomyliła i jednak ktoś mu pomógł odejść z tego świata? Nie, uznałem, że to jednak niemożliwe.

Nadal siedzieliśmy na podłodze. Agnieszka opowiedziała mi, że od kilku miesięcy jej mąż narzekał na obniżenie nastroju, mało jadł. Prawie nic go nie interesowało, a ich życie intymne umarło. Ona to bagatelizowała i ciągle mu doradzała, żeby wziął się w garść i cieszył się tym, co ma. Powiedziała, że czuje się winna jego śmierci.

– Nie powinnaś tak myśleć. Tamtego wieczoru umówił się też ze mną. Może gdybym przyszedł wcześniej, to nie odebrałby sobie życia. – Przytuliłem ją jeszcze mocniej i to poczucie winy jakby przepłynęło z niej na mnie. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem. – Nie możemy obarczać się wyrzutami.

– Jak nie wtedy, to kiedy indziej. Prędeziej czy później by to zrobił. Nie przejmuj się. – Tym razem ona, bełkocząc już od nadmiaru alkoholu, zaczęła mnie pocieszać. – Historia jego wyszukiwarki była pełna artykułów o myślach samobójczych i linków do blogów ludzi z depresją.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Myślałem, że to chwila refleksji, ale moja gospodyni wykorzystwała ten czas, by zasnąć. Podniosłem ją z podłogi, położyłem na narożniku i przykryłem kocem. Zauważyłem, że opróżniła litrową karafkę whisky. I to w niecałą godzinę.

Dziewczynki siedziały na kanapie, a Różia leżała zmęczona koło nich. Dowiedziawszy się, że Marcin odebrał sobie życie w tym domu, tym bardziej nie miałem zamiaru tu zostawać. Agnieszka spała jak kamień, na nic nie reagowała.

– Elo, laseczki, zrobić wam coś do jedzenia? – Wiedziałem, że mama raczej im niczego teraz nie przygotowuje.

– Wujek, a umiesz pizzę?

No tak, co innego mogą chcieć dzieci na kolację.

– Nie umiem, ale mogę wam zrobić pyszne grzanki z szynką, serem i kukurydzą. Co wy na to?

– Dla mnie bez kukurydzy – powiedziała starsza i obie wróciły do oglądania bajek.

Szybko uwinąłem się z kolacją, a przy okazji sam się najadłem przed podróżą do lasu.

Szczebiotki zjadły po dwa tosty z toną keczupu i wypily herbatę. Rózi nasypałem trochę kocięj karmy. Nie chciała. Widziałem, że dostawała pod stołem kawałki szynki od dzieci.

W domu zapanowała cisza, a ja niespodziewanie straciłem kontrolę nad własnym ciałem. Niczym złodziej zacząłem obchodzić cały dom w poszukiwaniu miejsca, gdzie znalazł martwego sąsiada. Mimo że mój mózg był stanowczo przeciwny temu pomysłowi, mówiąc: „Przecież to było kilka tygodni temu, a ona ciągle sprząta”, to i tak zaglądałem w każde podejrzane miejsce. Lampy i żyrandole wyglądały na nienaruszone, więc się raczej nie powiesił. Może podobnie jak Dominique Venner w dwa tysiące trzynastym roku na oczach tysięcy widzów w katedrze Notre Dame albo jak Kurt Cobain strzelił sobie w łeb? Zostałyby ślady krwi na ścianach. A może po prostu połknął tabletki?

Wszedłem na górę i chwyciłem klamkę drzwi gabinetu Marcina. Zamknięte. Bingo! To na pewno tam go znalazł. Z jakiegoś powodu czułem, że kiedy zobaczę miejsce, w którym odebrał sobie życie, będzie mi łatwiej pogodzić się z jego tragiczną decyzją. Zacząłem szarpać klamkę. Jeszcze mocniej. Drzwi ani drgnęły.

– Kurwa, otwierajcie się – syknąłem i zacząłem w nie kopać.

– Wujek, co robisz? – Za plecami usłyszałem niewinny głos dziecka, który wyrwał mnie z tego opętania.

Puściłem klamkę i z ledwością rozprostowałem zaciśnięte na niej dłonie.

– Tam nie wolno wchodzić. Mama zabroniła.

- Kiedyś tam coś zostawiłem. - Z trudem łapałem oddech po gimnastyce z kławką. - Chyba już pora spać, co?

Powiedziałem dziewczynkom, że nie muszą się kąpać, a nawet myć zębów. Były przeszcześliwie. Zaprowadziłem je do ich pokoi, ale wolały spać razem. Włączyłem im bajkę na tablecie i przybiłem piątki na dobranoc. W międzyczasie próbowałem się dodzwonić do Beaty, żeby jakoś pomogła mi się wydostać z Konstancina, ale jej telefon był poza zasięgiem. Przed wyjściem zapytałem dzieciaki, czy może zanieść ich mamę do sypialni.

- Nie trzeba, ona tu śpi cały czas, albo na kanapie, albo na podłodze. Obudzi się rano i pójdzie do łóżka - padło w odpowiedzi.

Przed wyjściem obiecałem, że jak tylko wrócę do domu, zaproszę je na pizzę. Zgasilem wszystkie świece, postawiłem Agnieszce szklankę wody na stoliku. Poprosiłem jej starszą córkę, żeby jeszcze zeszła na dół i zamknęła za mną drzwi i by nikomu nie otwierała, dopóki mama się nie obudzi.

Furtka się zatrzasnęła. Zaczęła się przymusowa podróż powrotna do zniechęconego miejsca.

ROZDZIAŁ 30

Ja pierdole, gdzie jesteś? Tak bardzo Cię potrzebuję. Wróciłem do Konstancina, ale zapomniałem kluczy od domu. Muszę po nie wrócić. Znam przyczynę śmierci sąsiada. Ktoś był w nocy w leśniczówce, kiedy spałem, i zrobił mi zdjęcia.

Zaraz po wyjściu wysłałem wiadomość do Beaty. Jej telefon nadal był poza zasięgiem. Podszedłem jeszcze raz pod nasz dom. Nie liczyłem, że klucze nagle jakimś cudem znajdą się pod furtką ani że przywita mnie uśmiechnięty Sebastian z szarlotką. Nie. Chciałem jeszcze raz spojrzeć na miejsce, które kochałem, żeby dodatkowo zmotywować się przed podróżą. Tęsknota za normalnością rosła z godziny na godzinę. Tęsknota za partnerem rosła z sekundy na sekundę.

Kiedy tak stałem, zaczął ogarniać mnie lęk. Znowu przypomniało mi się, jak czekałem, aż Marcin wpuścił mnie do swojego domu w dniu, kiedy odebrał sobie życie. Wtedy też było tak zimno. Ponownie wybrałem na klawiaturze numer Sebastiana. Po wizycie u Marcina najbardziej się bałem, że usłyszę komórkę swojego partnera dzwoniącą w domu. Wyobrażałem sobie, jak wybijam szybę, wskakuję do środka i obejmuję jego martwe ciało. „Abonent czasowo niedostępny, abonent czasowo niedostępny”.

Uff.

W głowie miałem chaos. Skrawki myśli związanych z wizytą u żony Marcina mieszały się z potrzebą jak najszybszego zdobycia kluczy. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby nostalgiczny Paweł zaczął dominować. On nie doprowadziłby nas do celu. Włączyłem tryb „sprawny ogarniacz” i ruszyłem przed siebie. Sportowym krokiem opuściłem nasze osiedle i poszedłem w stronę przystanku autobusowego. Chciałem się dostać do Warszawy. Stamtąd do Sokołowa było już wiele połączeń. Nie miałem pomysłu na trasę Sokołów–Niewiadoma.

Miałem za to zrobiony własnym sumptem kaganiec. Dziewczynki dały mi kilka sznurków i kawałek materiału, z których udało mi się sklecić prowizoryczne zabezpieczenie dla psa. Postanowiłem jednak nie męczyć Rózi, dopóki ktoś nie zwróci mi uwagi. Przed wyjściem od Agnieszki z szafy w korytarzu zabrałem skórzane rękawiczki należące do Marcina. Zrobiłem to odruchowo, jako że temperatura na dworze spadła, a miałem przed sobą kawał drogi. Zamierzałem je zwrócić podczas kolejnej wizyty.

Do centrum miasta dostałem się w niespełna godzinę. W internecie znalazłem przystanek, z którego odjeżdżały busy do Sokołowa. Miałem wyjątkowe szczęście, wpadłem na parking, kiedy kierowca zamykał już drzwi. Zauważył mnie w ostatnim momencie.

– Ma pan bilet? – Przystojny chłopak około trzydziestki, mówiący ze wschodnim akcentem, ostantacyjnie zmierzył wzrokiem mnie i psa.

– Nie mam, ale chcę kupić. – W moim głosie pojawiła się nadzieja, że podróż pójdzie sprawnie. – Są jeszcze wolne miejsca?

– Tak. Trzydzieścia siedem złotych. – Gestem zaprosił mnie do środka. – Pan masjeczka, a pes morda.

W piątki przychodziła do nas sprzątać pani Switłana. Pracowała u nas już wiele lat. Kochała nasze psy, a psy kochały ją. Znałem sporo ukraińskich wyrazów i skojarzyłem, że kierowca prosi, żeby założyć psu kaganiec. Zapłaciłem za bilet, owinałem pysk Rózi swoim materiałowym dziełem i usiadłem na miejscu pod oknem. Fotel obok pozostał wolny, pies położył się w nogach. Kierowca zgasił światło, ruszyliśmy.

Prawie wszyscy pasażerowie mieli nosy w telefonach, reszta spała. W takim małym pojeździe, przy panującej wokół ciemności, bardzo łatwo było zobaczyć, co kto robi. Większość ekraników odbijała się w szybach busa. Facet przede mną przeglądał Tindera, dopasowywał sobie cycate brunetki przed trzydziestką. Pani po skosie oglądała na Netflixie jakiś serial o lekarzach, a dziewczyna dwa rzędy przede mną szukała sukienki na Allegro. Kiedyś, żeby się z kimś umówić, trzeba było tę osobę spotkać, zagadać do niej i coś zbudować, żeby się umówić na kolejne spotkanie. Żeby oglądać filmy, chodziliśmy do wypożyczalni, a po ubrania do sklepów. Teraz machnięcie ręką i już, randka jutro. Ale ten świat się zmienił.

Mysł o samobójstwie Marcina krążyła w mojej głowie jak natrętna mucha. Starałem się robić wszystko, żeby ją odgonić. To przez jego śmierć wyjechaliśmy z domu i zaczęły się moje problemy. To przez jego śmierć siedziałem właśnie w śmierdzącym busie jadącym na Podlasie. To przez jego śmierć rany po pourywanych skórkach przy paznokciach ciągle krwawiły.

Kiedy już zinwigilowałem współtowarzyszy podróży, sam wziąłem do ręki telefon. Od kilku dni nie zaglądałem do skrzynki mailowej. Postanowiłem wykorzystać wolny czas na zaległą korespondencję. Mój folder „Wiadomości przychodzące” wypełniały głównie oferty prezentów świątecznych, kupony rabatowe i trochę spamu. W stercie tego niczego znajdował się mail od redaktorki, która zleciła mi napisanie przewodnika. Przyszedł dwa dni temu. Wiedziałem, że będzie gorzko, ale musiałem go otworzyć.

Paweł, położyłam swoją głowę, że do końca roku oddasz nam gotowy tekst. Znamy się tyle lat i nigdy nie odwaliłeś takiego numeru. Nie odpisujesz, nie oddzwoniasz. Co z Tobą? Przypominam Ci, że pobrałeś już zaliczkę. Odpisz, jak stoisz z tą pracą. Pamiętaj, że trochę czasu nam zejdzie z poprawkami redakcyjnymi.

Magda

PS Jeśli mnie przez Ciebie wypieprzą, to pociągnę Cię za sobą. Ściskam

Nie no, fajnie. Jeśli zadarłbym z nią, to mógłbym spokojnie pożegnać się z jakimikolwiek zleceniami pisarskimi. Magdę znali wszyscy. Plotkowała bardziej niż ja i Beata po czterech butelkach wina. Zawiesiłem się na chwilę, patrząc przez okno na mijające nas auta. Co prawda sporo już napisałem, ale jeszcze kawałek pozostał do uzupełnienia, a ja nie miałem do tego głowy. Kierowca zahamował gwałtownie, a ja wpadłem na pewien pomysł. Nacisnąłem „Odpowiedz”.

Hej, Magda, bardzo Cię przepraszam za ten słaby kontakt. Spędzam ostatnio większość czasu na Podlasiu. Liczyłem, że okolica natchnie mnie do pisania, ale... się przeliczyłem i narobiłem sobie jeszcze więcej problemów. Opowiem, jak się spotkamy. Nie jestem i nie będę gotowy z tym przewodnikiem, ale mam pewien pomysł. Jak wiesz, razem z Sebastianem podróżowaliśmy trochę po Stanach. Ja po powrocie spisywałem niektóre wspomnienia w formie jakby pamiętnika. Trochę

podróżniczo, trochę intymnie, ale wydaje mi się, że dość ciekawie. To nie wymagałoby wielkiej korekty, bo czasami do tego zaglądałem i poprawiałem. Los Angeles, Miami, Nowy Orlean i jeszcze kilka miast. Takie zwiędzanie z perspektywy dwóch facetów. Może chciałabyś to zobaczyć?

Paweł

PS Nie chcę iść na dno ☺

„Wyślij”. Ryzyk-fizyk, innego pomysłu nie miałem. Sebastian nie będzie zadowolony ze sprzedawania naszych wspomnień, ale planowałem zmianę imion bohaterów przed ewentualną publikacją.

Wyjrzałem przez okno i od razu się zorientowałem, gdzie jestem. Podszedłem do kierowcy.

– Może pan nas tu wysadzić? – Miałem Rózię na smyczy, a plecak na ramionach.

Chłopak przewrócił oczami i zjechał na pobocze.

– Bardzo, bardzo dziękuję! Dobranoc. – Opuściłem autobus.

Nie było sensu dojeżdżać aż do dworca, skoro stamtąd, gdzie mnie wysadził, miałem bliżej, a szanse na to, że coś jechałoby o tej godzinie do wioski, były znikome. I tak oto po kilku godzinach znowu szedłem ciemną trasą między Sokołowem a leśniczówką, tym razem w stronę lasu.

Myslałem o Sebastianie. Gdzie był, z kim był i co robił. Czy było mu dobrze i czy tęsknił za moim penne ze szpinakiem. Czy rzeczywiście, jak podejrzewałem, wyjechał z Bartkiem? Policzyłem szybko dni i wyszło mi, że już minął tydzień od wylotu Bartka do Egiptu, więc według tej teorii Sebastian powinien być już w domu. Ale go nie było. Tęskniłem za naszym drugim psem.

Podczas wizyty u Agnieszki podładowałem baterię w telefonie. Włożyłem rękawiczki po jej mężu, zapaliłem latarkę i podążyłem w stronę domu. Mapa pokazywała, że za dwie i pół godziny będę na miejscu. Niby nie aż tak długo, a jednak po dniu pełnym przygód miałem spore wątpliwości co do swojej formy. Do tego cholernie leżały mi na żołądku tosty, które zjadłem z dziewczynkami na kolację. Nie miałem nigdy takich frykasów w menu kolacyjnym. Chciałem włożyć słuchawki i dodać sobie mocy jakąś energetyczną muzyką, ale jednak uznałem, że lepiej słyszeć, co się dzieje dookoła, i nie marnować baterii.

Ruch odbywał się raczej do Sokołowa, więc mijaly mnie samochody zjeżdżające do miasta. Było znacznie spokojniej niż w tamtą stronę, a kierunek wiatru ułatwiał mi spacer. Z mechanicznego marszu wyrwał mnie dźwięk telefonu. Wyjąłem komórkę z kieszeni kurtki. Beata. Włożyłem słuchawki do uszu i zupełnie bez emocji odebrałem połączenie. Pogodziłem się z tym, że muszę tupać.

– Hej, gdzie ty się podziewałaś?

– Chryste, co ty mi napisałeś? Jakie zdjęcia? Co z tym sąsiadem? – Jej skrzekliwy, podekscytowany głos drażnił mnie. Jakby ktoś przejeżdżał długimi paznokciami po szkolnej tablicy. – Gdzie jesteś? Mam przyjechać?

– Już nic. Poradziłem sobie sam. – Nadąsany ton wdarł się w wypowiedź zupełnie bez mojej intencji. – Miałem bardzo ciężki dzień. Wiesz, że siedzę sam w lesie. Prosiłem cię, żebyś na wszelki wypadek nie wyłączała telefonu.

– Ale ja nie wyłączyłam telefonu, tylko nie miałam zasięgu. Mówiłam ci, że mam w tym tygodniu kurs świecowania uszu. To bite pięć godzin w jakimś podziemiu.

Jak dobrze, że mój mózg jednak automatycznie nie zapamiętywał pewnych idiotycznie głupich wiadomości.

– A no tak, pamiętam – skłamałem.

– No, opowiadaj wszystko! – Beata nadal piszczała jak dziecko. Temat jej szkolenia wydał mi się jednak na tyle zabawny, że chwilowa złość, którą w nią wycelowałem, minęła.

Zostało mi jeszcze półtorej godziny do przejścia, więc mogłem Beacie opowiedzieć cały dzień, którym rządziły prawa Murphy'ego. Zszedłem z głównej drogi i ruszyłem wzdłuż lasu. Kiedy przerobiliśmy ciężkie tematy związane z moimi dramatycznymi przeżyciami, Beata zaczęła mi opowiadać, co robiła na kursie. Co chwila wybuchaliśmy śmiechem i, o dziwo, ciemny las, w którym się znajdowałem, przestał budzić mój niepokój. Różia maszerowała spokojnie. Do celu zostały nam trzy kwadransy.

Z daleka zobaczyłem auto jadące na długich światłach. Podniosłem rękę z telefonem, żeby kierowca mnie zauważył.

– Idiota, nawet nie zmienił oświetlenia – wtrąciłem do rozmowy.

– Kto? Do mnie mówisz? – zapytała Beata.

– Tak, jakiś idiota jedzie na długich, a ja nic nie widzę. – Przyciągnąłem Rózię jak najbliższej siebie. – Zaraz wpadnę z psem do rowu.

Samochód zbliżył się do mnie. Dzieliło mnie od niego jakieś sto pięćdziesiąt metrów. W ogóle nie zwalniał ani nie zjeżdżał na środek jezdni, tylko kierował się prosto na mnie. Serce podskoczyło mi do gardła.

– Beata, zaraz do ciebie oddzwonię, bo coś tu się dzieje dziwnego. – Słyszałem, że Beatka coś tam jeszcze krzyczy, ale rozłączyłem się i schowałem słuchawki do kieszeni.

Auto było około stu metrów ode mnie, jego światła całkowicie mnie oślepiły. Kierowca zwolnił. „Dlaczego on mnie nie omija? Co się, kurwa, dzieje?” – wystraszyłem się nie na żarty.

Samochód dzieliło ode mnie pięćdziesiąt metrów, czterdzieści... Wystarczyłoby jedno mocniejsze dociśnięcie pedału i byłoby po mnie. Obląłem się potem. Pies opierał się, nie chciał iść dalej. Kiedy pojazd, jadąc z minimalną prędkością, był dwadzieścia metrów ode mnie, przystanąłem.

– Zaraz dzwonię na policję! – krzyknąłem w jego stronę, podnosząc wysoko telefon.

Samochód podjechał na odległość kilku metrów i również się zatrzymał.

Kiedy prawie sparaliżowany ze strachu zrobiłem krok w tył, auto zbliżyło się. Zrobiłem kolejny krok, samochód też podjechał. „Już po mnie. Nie zdążyłem pogodzić się z Sebastianem” – to jedyne, czego żałowałem.

Nagle, wbrew logice, obróciłem się, szarpnąłem Rózię za smycz i zamiast uciekać do lasu, zacząłem biec drogą. Słyszałem, że auto ruszyło za mną. Kierowca przyspieszył. Był tuż-tuż. Puściłem smycz i odepchnąłem Rózię do rowu. Uznałem, że nawet jeśli jest głęboki, to sobie poradzi, w końcu to zwierzę. Temu zwyrodnialcowi na pewno nie chodziło o psa.

– Różia, uciekaj!

Przed oczami miałem ciemność. Byłem zaspany i ledwo oddychałem. Czuję, że uderzenie nastąpi za trzy... dwa... jeden... Samochód mnie wyminął i zatrzymał się przede mną w poprzek drogi. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, a światło padające z auta oświetliło znajomą sylwetkę.

- No kurwa, co to miało być?! - krzyknąłem na widok wysiadającej osoby. - Pojechało cię?

ROZDZIAŁ 31

Przetarłem zażawione z wysiłku oczy, żeby się upewnić, czy dobrze widzę. Przede mną stała wyglądająca na zdezorientowaną Karolina. Jak zawsze piękna i idealnie uczesana. Przyjaciółka z młodości Sebastiana i Bartka zawiązała czerwony kardigan i zrobiła krok w moją stronę.

– Jezu, co wy wyprawiacie? Poznałam Rózię z daleka i zatrzymałam się, żeby zapytać, czy was nie podwieźć, a wy mi uciekacie.

Miałem wrażenie, że chyba dostaliśmy do ręki inne scenariusze akcji na drodze. Ona zagrała postać z komedii sytuacyjnej, a ja ofiarę z horroru.

Usłyszałem za plecami odgłos smyczy ciągniętej po drodze. Odetchnąłem z ulgą. Pies samodzielnie wykaraskał się z rowu i jak gdyby nigdy nic, merdając ogonem, podbiegł przywitać się z Karoliną.

Nie do końca wierzyłem tej kobiecie. Skoro na imprezie nastraszyła nas swoją opowieścią o wypchnięciu kolesia z okna i inscenizacją z nożem, to równie dobrze mogła chcieć, żebym robił w gacie ze strachu, by potem mogła opowiadać o tym Bartkowi i Sebastianowi. Może była ponuraczką, a może zwykłą debilką, ale w tym momencie potrzebowałem jej i jej samochodu. Temperatura spadła prawie do zera.

– Mam *water* w samochodzie. Wsiadajcie. – Karolina otworzyła tylne drzwi i wpuściła psa do środka.

– No, cześć. Daj mi chwilę, muszę złapać oddech – powiedziałem zadyszany.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. W niezręcznym milczeniu. Serce nadal mi biło szybciej, niż powinno. Od kilku tygodni wszystko było nie tak. Komin cisnął mnie w szyję. Chciałem go zdjąć, ale okazało się, że przecież nie mam na szyi żadnego kolina. Nie chciało mi się gadać z Karoliną i nawet przeszło mi przez myśl, żeby udawać, że zasnąłem, ale wolałem nie ryzykować kolejnego „psikusa”.

– Poison Diora? – Wziąłem łyk wody. Czułem, jak panujące w samochodzie ciepło rozchodzi mi się po całym ciele. W powietrzu unosił się intensywny zapach damskich perfum.

– Nie. *Try again*. – Karolina z uśmiechem podstawiła mi prawy nadgarstek do powąchania. Lewą ręką mocno trzymała kierownicę.

Chwyciłem jej dłoń i wziąłem głęboki wdech.

– Nie wiem. Zjebany już dzisiaj jestem. Ale ładnie pachnie. – Przesunąłem jej palce na kierownicę i mocno na niej zacisnąłem.

– To Gucci, Guilty. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając piękne zęby.

Mimo wątego oświetlenia zwróciłem uwagę, że jej duże idealne usta pomalowane były szminką w tym samym odcieniu czerwieni co podczas naszego ostatniego spotkania. Może

ona nigdy nie zmywała makijażu? Rzęsy miała tak długie, że przez chwilę wydawało mi się, że kiedy mruga, to zapach samochodowy w kształcie złamanego serca, przyczepiony do lusterka, delikatnie się porusza.

Jakim cudem taka piękna kobieta nie była z nikim związana? Przecież faceci na pewno się za nią uganiali. Choć w sumie nigdy nie powiedziała, że nie ma w jej życiu mężczyzny. Takie było tylko moje założenie.

Cisza, część druga... Obróciłem się do tyłu, suka spała. Nie zapewniałem jej ostatnio zbyt wiele ruchu, więc po dzisiejszych przeżyciach padła wykończona.

- Dzięki za pożyczenie kocyka. Bez niego Różia ubrudziłyby całe auto i musiałbym ci wyprać tapicerkę, a nie tylko koc. Upiorę i oddam. Powinno się wszystko doczyścić. - Pogląskałem śpiącego psa, próbując wymyślić jakikolwiek temat do rozmowy. Mogłaby to nawet być dyskusja o sposobach usuwania psiej sierści z kocyków.

- Nie ma sprawy. Rozumiem, że jedziemy do *cottage*?

- Tak, właśnie tam. Niestety - westchnąłem, zastawiając się, czemu ona nawet nie zapytała, skąd wracam.

Cisza, część trzecia... Spojrzałem na esemesa od Beatki.

Żyjesz czy Cię wpierdoliła martwa dziewczynka z lasu? ;)

Odpisałem, że patrząc na jej nawyki żywieniowe, to bardziej się boję, że to ona mnie kiedyś „wpierdoli”. Dodałem, żeby nazajutrz po pracy wpadła do mnie do Konstancina.

Postanowiłem opowiedzieć Karolinie, jak wyglądał mój dzień.

- No tak, i jeszcze na koniec ja próbująca cię zabić - zażartowała, gdy skończyłem mówić. Przynajmniej tyle. - A w ogóle to skąd taki strach, że ktoś mógłby chcieć cię zamordować? Ktoś ma jakiś cel?

- Jeszcze do dzisiaj myślałem, że może mnie przesładować morderca mojego sąsiada, ale okazało się, że on popełnił samobójstwo. To znaczy sąsiad, a nie morderca. To znaczy mordercy nie było. Mordercą był sąsiad... Jezu, słyszysz, jak mi się już płacze język?

Zadała mi pytanie i przestała słuchać. Patrzyła przed siebie. Przyglądając się, jak trwa zamrożona w jakimś wspomnieniu, dostrzegłem na środku jej szyi fragment czarnego zygzaka zasłonięty włosami. Zauważyła to i się ocknęła.

- *Memento mori* - szepnęła. Szepnęła wyraźnie. Wyraźnie i tak stanowczo, że aż zadrzałem.

- Co? - Odsunąłem się od niej. Intensywność jej perfum powodowała, że znowu miałem zawroty głowy. A może to nie zapach? Może to ten łaciński zwrot?

- Pamiętaj o śmierci. - Zgarnęła włosy dłonią na lewą stronę, odsłaniając szyję. - To mam wytatuowane. Zauważyłam, że wpatrujesz się w mój tatuaż.

„Jak mogła cokolwiek zauważyć, skoro gapiała się jak zaklęta przed siebie?” - zastanawiałem się. Nie widziałem dokładnie całego tatuażu, ale zrobiło mi się nieswojo.

- Wiem, co to znaczy. - Próbowałem utrzymać gawędziarski ton, żeby się nie zorientowała, że znowu dopadają mnie jakieś demony. - To bardzo uroczy tatuaż. A nie myślałaś może, żeby zamiast tego wytatuować sobie, no nie wiem... motylka?

- To nic innego jak przypomnienie, że śmierci nie da się uniknąć - powiedziała to tak naturalnie, jakby pytała mnie, czy słodzę kawę. - Paweł, nie odpowiedziałeś mi na pytanie,

czy twoim zdaniem ktoś mógłby chcieć cię zabić.

Mogłem iść piechotą.

– W sumie to nie wiem. – Nie miałem wyjścia, musiałem grać w jej grę. Byłem pasażerem w samochodzie, który prowadziła przez ciemne i bezludne Podlasie. – Pieniądzy nie mam. Nikomu raczej też nie wyrządziłem krzywdy...

– Może wyrządziłeś, tylko nie pamiętasz albo nie wiesz.

Zupełnie nie zauważyłem, w którym momencie spięła włosy w malutką kitkę. Malutką jak pędzel do golenia.

– No może coś komuś zrobiłem. Może zarysowałem samochód, bo jestem kiepskim kierowcą. A może zwolniłem kogoś z pracy. Ale to chyba nie są powody, żeby mnie zabijać, nie? – Tym razem zaśmiałem się nerwowo.

– Mogłeś też coś komuś popsuć albo ukraść. – Karolina nie dawała za wygraną. Była męcząco konsekwentna.

– Tak, podkładałem dziadkom drobne i teraz pewnie się mszczą z zaświatów. – Już nawet nie patrzyłem w jej stronę. – Ty tak długo możesz?

Cisza, część... nawet nie wiedziałem która. Tym razem chciałem już, żeby milczenie trwało do końca podróży.

– Ale co? – dobiegł mnie niewinny głos.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, siedząca obok mnie kobieta zamieniła się w subtelną piękność. Po pędzlu do golenia nie było śladu. Rozpuszczone włosy znowu delikatnie opadały na czerwony kardigan.

– Nic, Karolina, zupełnie nic. – Gdyby z tyłu nie leżał pies, to otworzyłbym drzwi na jakimś łuku drogi i spierdolił. Dopiero co wydostałem się domu roztrzęsionej żony Marcina, a już siedziałem w samochodzie dziwnej Karoliny.

W radiu poleciały pierwsze nuty *All I Want for Christmas Is You*. Dziewczyna przełączyła na inną stację. Na pewno nie będziemy przyjaciółmi.

– A właśnie. Gdzie właściwie jest Seba? Jego telefon jest od kilku dni wyłączony – zapytała mnie tonem Ojca Mateusza.

„A w dupie, w Sandomierzu” – odpowiedziałem jej w myślach.

– Nie układało nam się ostatnio najlepiej i szczerze powiem, że nie wiem, gdzie on teraz jest. – W ogóle nie czułem się w obowiązku, żeby jej o tym mówić, ale wolałem nie ryzykować, że zaraz znowu zepnie włosy.

– No, on zawsze taki był. Potrzebował czasu tylko dla siebie. Za to Bartek... – urwała.

– Co Bartek? – zaciekawilem się.

– A nic, nieważne.

– A ty masz kogoś? Kochasz kogoś? Ktoś cię kocha? – Ona pytała mnie o wszystko. Przyznałem sobie takie samo prawo.

Po sekundzie poczułem, jak moje ciało wylatuje do przodu, szarpnięcie pasa i głowa znalazła się przy szybie. Natychmiast instynktownie zablokowałem przerwę między przednimi fotelami i przytrzymałem Rózię, żeby nie wyleciała z tylnego siedzenia.

Ta wariatka zahamowała, jakbyśmy mieli uderzyć w wielką ścianę zbudowaną z cegieł mojej niedyskrecji i tupetu. Mogła zwyczajnie nie odpowiadać.

– Jezu, ty naprawdę chcesz mnie zabić! – Byłem skrajnie zmęczony i wkurwiony. – Zasnęłaś czy co?

– *So sorry*, Paweł, zamyśliłam się i wcisnęłam hamulec. – Nie wyglądała na zamysloną. Wręcz na bardzo skupioną. – Różia okej?

Posłałem jej piorunujące spojrzenie, wyjąłem telefon z kieszeni i udawałem, że komuś odpisuję. W rzeczywistości kilka razy napisałem *memento mori* i wysłałem sam do siebie w wiadomości mailowej. Spojrzałem na Karolinę. Wyglądała znowu na zrelaksowaną, nuciła pod nosem jakąś piosenkę Roxette. Może to ja źle interpretowałem jej zachowanie i wypowiedzi? Ostatnio odchodziłem już od zmysłów.

– Jeszcze raz przepraszam, że ci dzisiaj napędziłam stracha. – Karolina położyła rękę na moim kolanie. – I to dwa razy.

– Spoko. Ja żyję, pies żyje. Dam radę. Dopóki żyję, wszystko da się naprawić. – Uśmiechnąłem się do niej i westchnąłem. – Jutro wracam do Konstancina i zaczynam akcję odbudowywania swojego związku.

– Dopóki żyjesz, to tak. O, paczka. – Dojechaliśmy na miejsce i światła auta padły prosto na karton z winem, a ja udałem, że nie słyszałem pierwszej części jej wypowiedzi. – Co zamówiłeś?

– Nic, ale wiem, co jest w środku. – Kiwnąłem głową, demonstrując niezadowolenie. – Ktoś cały czas przysyła mi wino.

– Ktoś? To chyba się powinieneś cieszyć, a nie marudzić, co? – Karolina zaśmiała się tak, jak damy się nie śmieją. Głośno i perliście.

– Tak, tak... bardzo się cieszę. – Nie chciało mi się już jej niczego tłumaczyć, a ona nadal patrzyła mi prosto w oczy. Jakby zapomniała mrugać. – Okej, bardzo ci dziękuję.

– Do zobaczenia. – Wyrwana z transu uśmiechnęła się i cmoknęła mnie w policzek. – Uważaj na siebie, pa.

Otworzyłem tylne drzwi auta, żeby wypuścić psa. Na ziemię wypadła tablica do malowania światłem. Zabawka podobna do tej, którą kiedyś kupiliśmy dzieciakom Janka i Sylwii. Za nią wyturlała się mała butelka po soku. Jednak Karolina nie była taka idealna. Syf w samochodzie miała taki sam jak Beatka. Po co jej była tablica do malowania światłem? W zasadzie nie moja brocha.

Z wielką radością patrzyłem, jak odjeżdża. Kolejna wariatka z okolicy. Choć trzeba przyznać, że piękna i pachnąca. Pachnąca Guilty Gucciego. Zapamiętałem. Poza kochaną panią Marysią ze sklepu wszyscy wydawali się jacyś tacy nie dla mnie.

Mimo że nie miałem w planie wracać, to jednak po wejściu do domu i zamknięciu drzwi poczułem ulgę, że tam jestem. Sam. Mogłem się rozebrać, czuć swobodnie, napić się wina, skoro już ktoś je przysłał. Oby ten darczyńca nie zapomniał od jutra zmieniać adresu wysyłki.

ROZDZIAŁ 32

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po powrocie, było sprawdzenie, czy w ogóle mam klucze do domu w Konstancinie. Miałem. Wisały na swoim miejscu, w szafce w korytarzyku. Musiałem być bardzo podekscytowany, wyruszając w podróż. W salonie panował bałagan, tak jakby ktoś w pośpiechu się pakował. Ktoś, czyli ja. Najbardziej zaskoczyły mnie jednak moje granatowe półkaloszki (nie znalazłem nigdy lepszego określenia na buty, które wyglądały jak kalosze, ale kończyły się za kostką, obszyte futerkiem) na stole w kuchni.

Kiedyś położyłem na stole worek z trampkami i zdenerwowana matka wskazała na niego, mówiąc, że w Wielkiej Brytanii buty na stole symbolizują śmierć bliskiej osoby, a jeszcze dawniej stawiano czyjeś buty na stole, żeby poinformować rodzinę, że ta osoba zmarła. Zdjąłem wtedy pospiesznie trampki z blatu, ale kiedy kilka miesięcy później dziadek zmarł na zawał serca, matka wielokrotnie dawała mi do zrozumienia, że mogło się to stać przeze mnie. No bo na pewno nie przez to, że wypalał dziennie trzy paczki mocnych.

Mijający dzień zafundował mi tak ogromną ilość emocji, że kiedy usiadłem na kanapie, cały pokój wirował. Ale nie żeby się obracał niczym baletnica w *Jeziorze łabędzim*. On zapieprzał niczym blender kruszący lód na mojito. Zupełnie jakby ciało już odpoczywało, a mózg był jeszcze w trybie intensywnej pracy. W ogóle mu się zresztą nie dziwiłem. Będę miał anegdot na kilka imprez.

Nalałem kieliszek wina, ale niechcący opróżniłem całą butelkę za jednym zamachem. No cóż, nikt mnie nie obserwował. Chyba. Mój sponsor wykazał się tym razem wyobraźnią i przysłał mi karton porto. Co prawda nie przepadałem za słodkimi winami, ale porto to porto. Pyszne wzmocnione wino, wytwarzane z winogron zbieranych w dolinie rzeki Duero na północy Portugalii, wlewało się we mnie brunatnym strumieniem i niczym panaceum leczyło po kolei ze wszystkich porażek, które zaliczyłem tego dnia.

Otwierając drugą butelkę, zwróciłem uwagę, że ten trunek ma dwadzieścia dwa procent alkoholu. Podczas picia zupełnie tego nie czułem. Odczuwałem za to błogość. Ale taką gorzką błogość, pomieszaną z żalem i tęsknotą za Sebastianem. Uczucie porównywalne z jedzeniem czekolady z dziewięćdziesięcioprocentową zawartością kakao. Jarasz się, że zjesz czekoladę, ale kiedy weźmiesz do ust, to smakuje paskudnie.

Różia dopadła do swojej miski, zjadła i poszła chyba obejść dom po całym dniu nieobecności. Kiedy zaburczało mi w brzuchu, zapragnąłem zostać koneserem porto. Sprawdziłem w internecie, z czym najlepiej łączyć ten rodzaj alkoholu, i ku mojemu zaskoczeniu wszystko miałem w domu. Wrzuciłem do miski kilka nerkowców, orzechy włoskie, trzy kostki gorzkiej czekolady i kawałek gorgonzoli, który gdzieś się ukrył po imprezie. No, niech żyje bał! Ciepło płynące z kominka z powodzeniem zastępowało szlafrok

uszyty z najdroższego materiału świata, a soulowa muzyka lecąca z komórki tworzyła romantyczny klimat. Pierwszy raz byłem na randce sam ze sobą.

Mimo że z finansami było u mnie kiepsko, to jednak bardzo chciałem wysłać jakiś prezent dla chłopca adoptowanego przez mojego brata i jego żonę. Wszedłem na Allegro. Ile tam było badziewia. Popijałem wino i scrollowałem ekran w poszukiwaniu jakiejś inspiracji. Pod wpływem alkoholu telefon wciąż wysuwał mi się z dłoni. Różia weszła na kanapę, oparłem na niej głowę...

Nie wiedziałem, co się dzieje i gdzie jestem. Czy jeszcze śpię, czy już nie. Czy umarłem, czy jeszcze żyję. Otworzyłem oczy, ale niczego nie widziałem. Krzyknąłem, teoretycznie więc żyłem. Nie mogłem wyczuć, czy moje serce bije za szybko, czy za wolno. Czy w ogóle bije. Wydawało mi się, że jestem pod wodą. Pod gęstą tłustą wodą, w której ledwo się poruszałem. Rozsadzało mi głowę. To mnie upewniło w przekonaniu, że nie umarłem.

Po omacku podszedłem do jaśniejszego punktu, który udało mi się dostrzec, do okna. Drżącymi rękoma otworzyłem je i wystawiłem głowę na zewnątrz. Łapczywie wciągałem świeże mroźne powietrze. Po chwili tlen zaczął docierać do mózgu, a ten łaskawie odblokowywał mi widzenie. Było już jasno, znajdowałem się w salonie, tam gdzie zasnąłem. Widziałem coraz wyraźniej. Coraz wyraźniej też czułem. Powoli docierało do mnie, że w domu ulatnia się gaz.

Objając się od ściany do ściany, pobiegłem do kuchni. Pomyślałem, że butla się rozszczelniła i doszło do wycieku. To, co zobaczyłem, okazało się jednak wręcz przerażające. Butla była w jak najlepszym stanie i zgodnie ze swoim przeznaczeniem dostarczała gaz do odkręconych na full czterech palników. Ktoś był w domu i odkręcił kurki, żebym się zatruł! Dосkoczyłem do kuchenki, zakręciłem dopływ gazu i otworzyłem na oścież wszystkie okna. Zwymiotowałem czerwonym porto do zlewu w kuchni i otworzyłem drzwi wejściowe. Zaczynałem myśleć racjonalnie, jeżeli w moim przypadku w ogóle było to możliwe. „Gdzie jest Różia?!“ – to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, gdy tylko w pełni odzyskałem kontrolę nad ciałem i umysłem.

Drzwi domu w nocy były przecież zamknięte, więc musiała być gdzieś w środku. Poczułem ból w klatce piersiowej. Moje oczy w sekundę wypełniły się piekącymi łzami.

– Różia! O Boże! – Stałem teraz na środku salonu. Pies nie przychodził, a ja wpadałem w coraz większą panikę. – Różia!

Przebiegłem cały dom: łazienka, sypialnie, kuchnia i salon. Zajrzałem pod każdy mebel. Wchodziłem do kolejnych pomieszczeń, wstrzymując oddech, tak bardzo bałem się zobaczyć martwą, otrutą Rózię. Wyszedłem na dwór i zacząłem rozpaczliwie ją wołać. Nie wiedziałem, że potrafię wydobywać z siebie tak dramatyczne, nieludzkie dźwięki. Po kilku minutach zaczęło mnie drapać w gardle. Upadłem na kolana, krzychałem coraz ciszej, coraz rzadziej.

Cisza i pustka, tylko żurawie w oddali oddawały się porannym rytuałom. Mojej ukochanej Rózi nigdzie nie było. Rozpłynęła się w powietrzu. Po raz pierwszy w życiu nie przybiegła na moje wołanie. Gdy jako mała czarna kulka zamieszkała z nami, miała zaledwie kilka tygodni. Nigdy nie odstępowała mnie na krok. Czy ktoś ją zabrał i zabił? Ale po co? Jednego byłem pewien. To nie był pies, który chciałby uciec z domu.

W pierwszej chwili miałem pokusę oddania się dramatycznym refleksjom i żalowi po stracie psa. To byłoby takie w stylu mojej matki. Chciałem wrócić do domu, położyć się na pustym psim posłaniu i płakać. Chciałem poczuć zapach swojego przyjaciela. Wiedziałem, że muszę też natychmiast poinformować o tym Sebastiana. Byłem pewien, że oskarży mnie o niedopilnowanie Rózi. I to znowu przez nadużywanie alkoholu. I miałby rację.

Przypomniały mi się słowa Alphonsa Toussenela: „Na początku Bóg stworzył człowieka, ale widząc go tak słabym, dał mu psa”. Poczulem wielką gulę w gardle, nie mogłem przełykać śliny. Rózia darzyła mnie taką miłością i zaufaniem, że nie mogłem się egoistycznie skupiać na rozpaczaniu. Musiałem wziąć się w garść (nienawidziłem tego określenia) i ruszyć na poszukiwania. Nie wiedziałem jednak, co robić. Czy samemu iść do lasu, czy udać się do wioski po pomoc. Musiałem też na pewno zgłosić włamanie i próbę otrucia. Tylko komu? Jak takie rzeczy się załatwiało na wsi?

Czułem potrzebę, żeby to z kimś omówić. Najlepiej z Sebastianem. Jeszcze do niedawna nie istniały sprawy, których bym z nim nie omawiał. Jemu pierwszemu opowiadałem o wszystkich ważnych i mniej ważnych wydarzeniach, a on mnie. O tych wesołych i o tych smutnych. W obecnej sytuacji bardzo liczyłem na jego wyrozumiałość. Na samą myśl, że mogę stracić i partnera, i psa, znowu zwymiotowałem. Nawet nie pamiętałem, że poprzedniego wieczoru jadłem jakieś pieczywo.

Podmuch nieprzyjemnego grudniowego wiatru spowodował, że zrobiło mi się okropnie zimno. W zasadzie pewnie zimno mi było cały czas, ale dopiero teraz zauważyłem, że mam na sobie jedynie bokserki i koszulkę bez rękawów. Moje nagie, ubrudzone błotem stopy były lodowate. W tym stanie na pewno nie działałbym wiele ani w lesie, ani w wiosce.

Zaryzykowałem powrót i okazało się, że smród gazu spadł do dwóch w mojej subiektywnej skali. Kiedy się ocknąłem, oceniałem go na dziesięć, więc raczej nic mi już w domu nie groziło. Nie zamierzałem w nim spędzać za dużo czasu. Chciałem jak najszybciej ruszyć na poszukiwanie Rózi i każda chwila wydawała mi się cenna. Zmusiłem się do wypicia półtora litra wody i z obrzydzeniem spojrzałem na puste butelki po winie. Zgodnie z zasadami obowiązującymi na dłuższych wyprawach ubrałem się na cebulkę. Na wierzch włożyłem puchówkę moro. Do plecaka schowałem smycz, obrożę, wodę i ładowarkę do telefonu. Indiana Jones i zaginiony pies na Podlasiu.

Zacząłem od wsi. Kiedy zza drzew ukazał się sklep Marysi, poczułem rodzaj ulgi i nadzieję na wsparcie. Liczyłem, że podpowie mi, co robić dalej.

Tuż przed sklepem, na ulicy, stała na awaryjnych bordowa skoda fabia. Przed samochodem mężczyzna koło siedemdziesiątki w szarym kaszkiecie i okularach żywo gestykulował do stojących obok niego kobiet. Przypominał stewardesę informującą o zasadach bezpieczeństwa przed startem samolotu. Wszyscy stali w kółku i patrzyli na coś znajdującego się na ziemi.

Pierwszą z kobiet, którą rozpoznałem, była oczywiście Marysia. Trudno było już z daleka nie dostrzec jej blond tapira na głowie. Przy okazji zorientowałem się, że musi być sobota, bo sklepowa tylko w ten dzień tygodnia wcielala się w Dolly Parton. Wydawało mi się, że dwie z tych babeczek widziałem w świetlicy, na spotkaniu zorganizowanym przeciwko ekspansji ferm na terenie wsi.

Kędzierski, wiejski biznesem stojący za budową kurników, a jednocześnie myśliwy, który mnie straszyl przy konającej sarnie, był pierwszą osobą, o której pomyślałem, że mogłaby stać za odkręceniem gazu i próbą otrucia. Wiedział, gdzie mieszkam, widziałem go już kilka razy pod domem, no i przede wszystkim miał solidny motyw. Bardzo mu zależało na naszym kawałku ziemi. Byłem przekonany, że taki ktoś bez problemu poradziłby sobie ze starymi, niewymienianymi od lat zamkami w drzwiach.

W miarę zbliżania się do żywołowo dyskutującej grupki zacząłem się zastanawiać, co ich tak emocjonowało. Mężczyzna złapał gumę? Jakaś gałąź spadła na drogę i taranowała przejazd? Ktoś zemdlał? Ktoś potrącił lisa? Nagle, niczym piorun z jasnego nieba, pojawiła się koszmarna wizja. Znowu mnie zemdliło. Wziąłem głęboki oddech i przyspieszyłem kroku. Byłem już od nich jakieś dwadzieścia metrów, kiedy zauważyła mnie Marysia.

– Panie Pawle, z tej strony pan podejdzie. – Wskazała ręką, żeby obejść auto od prawej strony i wejść prosto do sklepu. – Lepiej tu nie patrzeć.

Poczułem ciepłą strużkę cieknącą mi z nosa. Wytarłem ją rękawem i dokładnie wbrew sugestii Marysi ruszyłem w stronę zebranych ludzi. Kiedy byłem zaledwie kilka metrów od nich, w szczelinie pomiędzy ich nogami dostrzegłem coś czarnego otoczonego kałużą krwi.

– Rózia! – wykrzyczałem i gwałtownym ruchem odsunąłem jedną z kobiet.

Zachwiała się i jej jedna noga zanurzyła się w kałużę. Ostatecznie nie utrzymała równowagi i wywinęła orła.

Stałem niczym zahipnotyzowany przez Kaszpirowskiego i gapiłem się na zwłoki zwierzęcia. W głowie słyszałem głośnie piski. Nic poza tym. Po chwili zaczęły ustępować.

– To pana pies? – Kobieta, którą potrąciłem, zbierała z ziemi jabłka. Druga jej pomagała.

Spojrzałem na rozjechanego owczarka. Chyba niemieckiego. Znowu leciało mi z nosa.

– Nie, to nie moje zwierzę. Bardzo panią przepraszam. – Podałem kobiecie rękę. – Szukam swojego psa. Również czarnego.

– To się pan musiał przestraszyć – powiedziała. Myślałem, że będzie może zła albo wręcz agresywna z powodu mojego zachowania, a tymczasem jej głos był ciepły, łagodny i pełen współczucia. – Nic się nie stało. Może pan wywiesi na tablicy ogłoszenie, że zaginął panu pies? – Wskazała ręką na miejsce, gdzie wisiały klepsydry. – My tu na wsi bardzo kochamy wszystkie zwierzęta. Zwierzęta są lepsze od ludzi.

Ech, ile racji było w tym ostatnim zdaniu.

– Panie Pawelku, to co się stało z Rózią? Dobrze się pan czuje? – Marysia wzięła mnie pod rękę i poszliśmy w stronę wejścia do sklepu. – Żle pan wygląda. Jadł pan coś? Krew panu z nosa leci.

Spojrzałem na rękaw kurtki, cały w bordowych mazajach, i wszedłem za Marysią do środka. Gdyby kilka tygodni temu ktoś mi powiedział, że w pachnącym kiszoną kapustą i pomarańczami wiejskim sklepie pani Marysi znajdę bezpieczną przystań, tobym go wyśmiał. Wcześniej to miejsce było dla mnie symbolem zacofania. Bywałem tu tylko wtedy, kiedy naprawdę musiałem. Zawsze potem głośno komentowałem stroje właścicielki i drwiłem z asortymentu takiego jak kalosze lub podpaski wielkości pieluch dla dzieci. Patrząc teraz, jak Marysia z troską kroi dwie pszenne kajzerki, smaruje je masłem i dżemem truskawkowym, a to wszystko dla mnie, wiedziałem, że się pomyliłem. Zresztą nie pierwszy raz. Często oceniałem ludzi po pozorach. Tak było najłatwiej.

Znowu siedziałem na zapleczu sklepu i nadal nie mogłem się uspokoić. Zawroty głowy cały czas wracały. Ściany pomieszczenia wydawały mi się pochyłe i wykrzywione.

– Zanim woda na herbatę się zagotuje, pan pójdzie do łazienki się umyć. – Marysia postawiła przede mną talerz z bułkami. – A ja panu przetrę kurtkę.

Przeraziło mnie własne odbicie. Na całej twarzy miałem porozmazywaną krew. Białka oczu również przekrwione, wory pod oczami, trupio blada skóra. Plus rosnąca wielka opryszczka. Jeszcze nie zacząłem poszukiwać psa, a już wyglądałem tak, jakbym przez tydzień błąkał się po lesie. Wymieszana z wodą krew spływała po ściankach umywalki jak w kadrze z taniego amerykańskiego horroru, w którym zwyrol z piłą mechaniczną goni grupę znajomych. W takich produkcjach zazwyczaj sekwencja zgonów jest powtarzalna. Najczęściej najpierw umiera ktoś czarnoskóry, następnie blondynka, a po niej gej. Nie zauważyłem, żeby wśród kilkudziesięciu mieszkańców naszej wioski ktokolwiek miał ciemny kolor skóry. Przynajmniej nie w grudniu. Latem, owszem, robotniczo-rolnicza opalenizna królowała w okolicy. Tak czy inaczej, jeśli na miejscu nie było Afroamerykanów, to jeszcze miałem trochę czasu, zanim śmierć przyjdzie po mnie. Na razie kolej na blondynkę.

– Pan zje te bułki. Może nic specjalnego, ale mówił pan, że mięsa nie je, a ser żółty to sprzed tygodnia jest. Dżem za to świeży. – Marysia włożyła kurtkę, chwyciła szczotkę i niebieskie wiadro wypełnione wodą z pianą. – Idę sprzątnąć tego czarnego nieszczęśnika sprzed sklepu. Zaraz ludzie, wracając z targu, będą przychodzili po inne rzeczy, więc nie chcę, żeby wzięło ich na wymioty przed wejściem do mnie. Zresztą i tak nikt inny by go stąd nie zabrał.

Kiedy wyszła, zostałem sam w sklepie. Moje bliższe obcowanie z tym miejscem było stosunkowo nowym doświadczeniem, ale odniosłem wrażenie, że panuje tutaj niewytłumaczalna harmonia. Stojąc na środku niewielkiego wiejskiego sklepiku, wziąłem kilka głębokich oddechów. Zniknął zapach mięsa, kiszzonek i cytrusów. Czułem teraz zapachy życia. Zapach szczęścia kobiety, która właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży, a sklepowa była pierwszą osobą, której o tym powiedziała. Zapach ekscytacji mężczyzny, któremu po wielu latach udało się w tajemnicy przed żoną kupić wymarzony motocykl. Zapach niepokoju babci sześciorga wnucząt, która czekała na wyniki biopsji i tylko Marysi się z tego zwierzyła. Zapach emocji nastolatki, która po raz pierwszy pocałowała chłopaka. Energia całej wsi zbierała się w tym właśnie miejscu.

Poczułem pod mostkiem coś, co określiłbym przyjemnym uciskiem rozchodzącym się po całym ciele. Dzięki znajomości z Beatą, która była moim dyskiem zewnętrznym służącym do przechowywania bezużytecznych na co dzień informacji, zinterpretowałem to jako otwarcie czakry splotu słonecznego. Z tego, co pamiętałem, powinno mi to dać równowagę emocjonalną i odwagę. Nigdy specjalnie nie wierzyłem w to całe zarządzanie energią ciała, ale w tym momencie poza swoją siłą nie miałem niczego innego. Kobieta o wielkim sercu w małym sklepiku w środku małej wsi dała mi więcej energii i wiary w lepsze jutro niż ktokolwiek inny przez ostatnie tygodnie.

Z zamyślenia wyrwało mnie trzaśnięcie drzwiami. Marysia wylała wodę do toalety na zapleczu, umyła ręce, a torbę z martwym psem położyła przy tylnym wyjściu.

– Pochowam go wieczorem za swoim domem. – Wzięła łyk herbaty. Na jej czole widać było kropelki potu. – Przecież nie wyrzucę zwierzęcia do śmietnika.

Usiadłem naprzeciwko niej, ugryzłem bułkę, popiłem herbatą i opowiedziałem o próbie otrucia i o zaginięciu Rózi. Przy okazji dorzuciłem kilka innych sytuacji z ostatnich tygodni, a na końcu wskazałem Kędzierskiego jako głównego podejrzanego.

– Jak dobrze, że pan się w porę obudził. – Marysia wyglądała na szczerze przejętą. – Dopiero co pochowaliśmy tu na wsi taką młodą dziewczynę. Gonił ją gąsior. Wpadła pod traktor i zmarła na miejscu.

Spojrzałem na poważną twarz sklepowej i wybuchnąłem śmiechem.

– Przepraszam, nie ma w tym nic śmiesznego. – Trząsałem się jak galareta. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio coś mnie tak szczerze rozbawiło. – Naprawdę to okropne, ale nigdy nie słyszałem, żeby kogoś wykończył gąsior.

Widziałem, jak Marysia próbuje się powstrzymać, ale po chwili również kwiczała ze śmiechu i dodała przez łzy:

– A najgorzej było, jak jej matka tu wpadła w nerwach i we łzach. Tak jej się płątał język, że wyszłochała mi, że „Hanka nie żyje, bo ją potracił gąsior”. Wbiłam w palec pinezkę leżącą obok kalkulatora, żeby nie zarzęć jak głupia. – Marysia była cała czerwona na twarzy. – O, jak dobrze, że mogę się w końcu z tego zaśmiać i nie mieć wyrzutów sumienia. Jestem złym człowiekiem?

– Jest pani cudownym i dobrym człowiekiem. Widocznie oboje potrzebowaliśmy dawki czarnego humoru. – Wstałem i włożyłem kurtkę. – Dziękuję za wyczyszczenie ubrania. Komu w drogę, temu czas.

– Panie Pawle, ja chcę iść z panem i pomóc w szukaniu Rózi. – Marysia również wstała od stołu. – Muszę tylko poczekać na dostawcę pieczarek. Zawsze przyjeżdża w sobotę do południa. Wdowiec. – Mrugnęła do mnie okiem i poprawiła włosy.

No tak. Sobota, dzień pięknie ułożonych włosów.

Tuż przed wyjściem Marysia wytłumaczyła mi, że policja ma dyżur w urzędzie gminy tylko raz w tygodniu, i to przez trzy godziny. Oczywiście nie w soboty. Wszystkie wymagające interwencji sytuacje zgłaszało się do sołtysa, a on wzywał odpowiednie służby. Pamiętałem go z zebrania w świetlicy, ale nie wiedziałem, w którym domu mieszka. Tak naprawdę wioska składała się z jednej ulicy przeciętej w trzech miejscach, więc gdy Marysia podała mi numer budynku, od razu zapamiętałem, gdzie mam iść.

Kiedy byłem już przy drzwiach, Marysia podeszła do mnie ze szklanką do połowy wypełnioną czymś, co wyglądało jak czerwone wino.

– Proszę, to da panu sił potrzebnych do poszukiwania psa. – Wyciągnęła do mnie dłoń z kryształową szklaneczką. – Oczywiście ja też pomogę, jak odbiorę dostawę pieczarek.

– Dziękuję, ale wczoraj znowu wypilem za dużo. – Pokręciłem przecząco głową. – Chcę być dzisiaj trzeźwy.

– Och, wy mieszczychy. Tylko alkohol wam w głowie. To zakwas z buraków. Sama zrobiłam. Wzmacnia krew i podnosi odporność. – Jej dłoń była już prawie przy mojej twarzy.

Wziąłem od niej szklankę i powąchałem. „O feee, co za smród” – skrzywiłem się. Ale skoro miało pomóc? Wypilem jednym haustem. Smak nie był lepszy od zapachu, ale rzeczywiście od razu poczułem się, hmmm... rzeško?

– Bardzo pani dziękuję. Mam nadzieję, że już następnym razem przyjdę tu z Rózią. – Odruchowo przytuliłem się do sklepowej.

Kiedy ona również przyciągnęła mnie do siebie, przez chwilę poczułem się bezpiecznie. Jak dziecko w objęciach matki. Przez chwilę, bo na myśl o tym, że czeka mnie szukanie psa w lesie, serce znowu zaczęło kołatać jak szalone. Gdy ją wypuściłem z objęć, rozejrzała się, czy nikt nie wchodzi do sklepu, i powiedziała:

– Nie jestem do końca pewna, czy to, co pan opowiada, pasuje do Kędzierskiego. Ja drania nienawidzę, ale on tu wszystkich trzyma w kieszeni, więc nie wiem, czyby ryzykował. Sama już nie wiem. Nie zna pan żadnych innych osób, które życzą panu źle? – mówiła tak cicho, że prawie jej nie słyszałem, szczególnie że zamrażarka z lodami cholernie buczała.

Skąd ja miałem wiedzieć, czy ktoś życzy mi śmierci? Nigdy nie należałem do ulubieńców publiczności, ale chyba aż tak nie zalażłem nikomu za skórę. Przyszedł mi do głowy jeszcze Bartek, którego uważałem za jeden z głównych powodów utraty kontaktu z Sebastianem.

– Może i ma inne metody, żeby dostać nasz kawałek ziemi, ale może tępi takich jak my i chce nam zrobić krzywdę? – Podniosłem brwi. Zaskoczyła mnie myśl, że moglibyśmy komuś przeszkadzać tylko dlatego, że łączy nas coś więcej niż dwóch przeciętnych chłopów ze wsi.

Marysia uśmiechnęła się szeroko.

– Oj, raczej na pewno nie. Byłaby to z jego strony wyjątkowa hipokryzja. – (Skąd ona знаła taki wyraz?). – Jego syn właśnie wrócił z tygodniowego pobytu w Egipcie z jakimś przyjacielem. – Poglaskała mnie po policzku. – Ludzie od dawna plotkują, że młody Kędzierski goli nogi i jeździ do solarium do Sokołowa.

No tak, goli nogi, to jest pedałem. Prawie wszyscy moi znajomi, hetero do szpiku kości, nawiedzeni triatloniści, mieli ogolone nogi. W głowie rezonowało mi jednak coś innego: „Wrócił z tygodniowego pobytu w Egipcie z jakimś przyjacielem”. Czyżby z Bartkiem? Może Bartek nie chciał powiedzieć, z kim leci na wakacje, ze względu na starego Kędzierskiego? Odrobina nadziei wkradła mi się do serca. Zupełnie zapomniałem, że pomieszkuję na Podlasiu, którego stolicą jest Białystok i gdzie posiadanie syna geja może się skończyć w najlepszym wypadku podśmiejchukami, a w najgorszym nawet ostracyzmem. Życzliwość, która mnie spotkała w wiejskiej świetlicy, i wielkie serce Marysi spowodowały, że moja czujność została całkowicie uszpona. W zasadzie nawet nie uszpona. Miałem w życiu dużo szczęścia i nigdy nie spotkałem się z homofobią czy jakąkolwiek inną dyskryminacją.

No dobrze, ale jeśli Bartek rzeczywiście spędził upojny afrykański tydzień z młodym Kędzierskim, to gdzie w takim razie był Sebastian? A przede wszystkim gdzie była Rózia?

ROZDZIAŁ 33

Ostatni raz słyszałem, jak ktoś tak głośno mieszał herbatę, kiedy przejazdem wpadliśmy do ukochanej babci Sebastiana. Upiekła nam na poczekaniu jagodzianki i zaserwowała herbatę z fusami, a mieszając ją, wprowadzała w drganie całą swoją drewnianą chatkę. Wtedy myślałem, że głośniej się nie da. Byłem w błędzie. Sołtys napierdział łyżeczką o szklankę niczym ministrant dzwonekami w kościele. Nawet jego tłuste kocury tego nie zniosły i opuściły kuchnię, już na pierwszy rzut oka było widać, że dawno nieremontowaną. Wystrój pomieszczenia, do którego zaprosił mnie gospodarz, nazwałbym „eklektycznym”, zachowując przy tym poprawność polityczną. Ponieważ nigdy poprawny politycznie nie byłem, to pomyślałem, że ma najebane wszystkiego w chuj i bez sensu.

Pod oknem stała rozłożona suszarka, na której dumnie wisały biustonosze, jak sądzę, należące do sołtysowej. Dwa białe, dwa kremowe, jeden pożółkły (z białego), jeden czerwony i jeden czarny. Czarny to bardotka. Było ich siedem. Nasunęła mi się niechciana refleksja, że dzisiaj piersi sołtysowej były wolne i nieskrępowane niczym delfiny u wybrzeży Portugalii. W całej kuchni nie było centymetra, na którym nie znajdowałby się jakiś bibelot lub magnes, lub kubek, lub roślina w doniczce. W rogu stał stary beżowy piec kaflowy. Nie dało się również nie zauważyć, a raczej wyczuć, że do świąt zostało już tylko kilka dni. Na kuchence gotował się bigos i czułem, że lada chwila przesiąknę jego zapachem.

– A pan nie słodzi? – Sołtys wziął łyk herbaty.

– Nie, bardzo dziękuję. – Nie mogłem oderwać wzroku od łyżeczki tkwiącej w jego szklance. Tylko czekałem, aż włoży ją sobie w oko.

– A może chce pan coś mocniejszego? Widzę, że pan już zaczął sobotę – zaśmiał się rubasznie, a ja nie wiedziałem, o co mu chodzi. – Ma pan całe usta ubrudzone jakąś nalewką albo winem.

„Okej, wszystko jasne” – uspokoiłem siebie w myślach.

– Piłem zakwas z buraków. – Przetarłem usta rękawem bluzy.

– A ja się napiję, jak małżonka nie widzi. – Wyjął małą butelkę ze szklanej gabloty wiszącej na ścianie nad zlewem i dołał przezroczystego płynu do szklanki z herbatą.

„Oby znowu nie mieszał, bo nie pogadamy” – pomyślałem. Nie pomieszał, ale aluminiowa łyżeczka nadal próbowała wydłubać mu gałkę oczną.

Po wysłuchaniu mojej historii i oficjalnym przyjęciu zgłoszenia sołtys dołał sobie resztę z butelki do fusów znajdujących się na dnie szklanki, zaczął kiwać głową i powtarzać pod nosem fragmenty mojej opowieści. „Butla z gazem była nienaruszona... aha... nienaruszona... no tak, tak... i pies wyszedł na dwór... na dwór...”. Nie przerywałem mu, licząc, że ten cały uzewnętrzniony proces myślowy wniesie jakąś konstruktywną wskazówkę do rozwiązania moich problemów.

– Na pewno nie gotował pan nic ani nie zapomniał wyłączyć gazu? – zapytał w końcu.

„Tak, gotowałem na czterech palnikach rosół, w wielkich garach, dla siebie samego, po czym zdjąłem garnki z palników, rosół wylałem, garnki umyłem, zdmuchnąłem ogień w palnikach, nie zakręcając dopływu gazu, wypuściłem psa na zewnątrz, żeby tam spędził noc, i poszedłem spać” – miałem ochotę mu odpowiedzieć, ale pewnie usłyszałbym: „No właśnie tak myślałem”.

– Na pewno, panie sołtysie, niczego nie gotowałem. – Jego niefrasobliwa postawa zaczęła mnie irytować.

– A o psa to proszę się nie martwić. U nas psy ciągle uciekają i wracają. – Po tych słowach już wiedziałem, że nie uzyskam od niego żadnego wsparcia. Nawet nie chciało mi się tłumaczyć, że mój pies zazwyczaj śpi w łóżku albo przy kominku, więc z pewnością sam nie narażałby się na wędrowni po lesie, szczególnie w grudniu.

– A to, co panu powiedziałem o Kędzierskim, że mi groził, też nie wzbudza w panu żadnych podejrzeń? – podjąłem jeszcze ostatnią próbę dialogu.

– Wiesiek... to znaczy pan Kędzierski to dobry człowiek, zaangażowany w życie wioski, bardzo pomocny i hojny. – Sołtys dostał jakichś czerwonych plam na skórze.

Słowo klucz: „hojny”. Poczujęm, że nasza rozmowa nie ma żadnego sensu. Wstałem, włożyłem kurtkę i poszedłem w stronę wyjścia.

– Co tak szybko pan idzie? – Sołtysowa z koszem pełnym mokrego prania schodziła właśnie ze schodów. Zatrzymała się przy mnie w nieoświetlonej sieni. Postawiła kosz na komódce pełnej schnących kwiatowych cebulek. – Mąż pomógł?

– Niestety nie zrozumieliśmy się. – Uśmiechnąłem się. Z bezsilności.

– No ja też go czasami nie rozumiem, ale mam swoje sposoby, żeby mnie słuchał. – Kobieta ściszyła głos i nachyliła się do mnie. – Pan wie, że gdy kobieta czegoś chce, to nawet Bóg drży? – Sołtysowa zaśmiała się sama do siebie.

Kiedy tak się trzęsła, potwierdziła się moja stanikowa teoria. Ogólnie to była serdeczną i zacną kobietą, ale podobnie jak jej mąż w tej chwili zupełnie niepomocną dla mnie. Miałem poczucie zmarnowanych dwóch kwadransów. Musiałem sam ruszyć na poszukiwanie Rózi.

Drzwi za mną trzasnęły bardzo głośno. Nie zrobiłem tego celowo, choć nawet dobrze to wyszło. Przynajmniej pomyślał, że jestem zły z powodu zbagatelizowania mojego zgłoszenia. Ale nie byłem zły. Byłem rozczarowany i bezradny. Czułem się samotny i opuszczony. Nieobecność mojego psa zaczęła mnie wprawiać w mocno lękowy stan. Czułem mrowienie na całym ciele. Powłócząc nogami, ze wzrokiem wbitym w szarą kostkę brukową zbliżałem się do wyjścia z posesji sołtysa.

– Dzień dobry panu. Jakiś pan niewyraźny. Źle się spało?

Szyderczy ton i wredny uśmiech Kędzierskiego zadziałały na mnie jak potrójne espresso. Od razu się wyprostowałem. Byłem gotowy do konfrontacji.

– Może już pora wrócić do miasta? Wieś nie służy takim jak pan – dodał.

– Wiem, co pan zrobił. Gdzie jest mój pies?! – Zrobiłem krok w jego stronę.

– Panie, co mnie obchodzi pański pies? – Kędzierski udawał zdziwionego. – Mnie interesują tylko moje kurniki. No i sarenki. Małe umierające kozłátka. Nie pamiętasz pan?

Może taką podrzucić do tej waszej sodomki? Zjesz pan kawałek porządnego mięsa, to od razu będziesz wyglądać jak mężczyzna.

„Co to, kurwa, za buci!” – krzyczałem w myślach. Już chciałem ruszyć do niego z łapami, kiedy przypomniały mi się słowa Mahatmy Gandhiego: „Nieustraszonosc zakłada pokój i spokój ducha”. Nie miałem żadnych dowodów, że to on próbował mnie otruci i że miał coś wspólnego z zaginięciem Rózi. Sołtys ewidentnie uważał go za osobę o czystych intencjach i nikt nie uwierzyłby w to, że typ mnie sprowokował.

Wzięłem głęboki oddech. Kędzierski chyba zauważył moje ofensywnie zaciśnięte dłonie i zrobił krok do tyłu. Zwróciłem uwagę, że w ręce trzymał, jak to się na wsi mówiło, „flaszeczkę”, z którą szedł do sołtysa. Niósł mu pół litra „hojności” na sobotnie popołudnie. Rozluźniając spocone dłonie, złapałem kilka łyków świeżego powietrza. Minałem Kędzierskiego i będąc już przy furtce, obróciłem się do niego, spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem:

– Proszę pozdrowić syna. Uwielbiam jego ogolone nogi.

Saldo emocjonalne było na poziomie mojego aktualnego salda rachunku w banku, wyszedłem na zero. Cała pozytywna energia i nadzieja, którą wraz z ostatnim łykiem zakwasu wyniosłem ze sklepu Marysi, została mi odebrana przez sołtysa i Kędzierskiego. Pomyślałem, że może mieszkańcy celowo wybrali na przywódcę alkoholika właśnie po to, żeby nim manipulować i czasami móc go wódeczką przekonywać do swoich pomysłów. Samorządowa polityka niewiele różniła się od tej dużej.

Korzystając z przyływu adrenaliny, jaki poczułem podczas konfrontacji z Kędzierskim, żwawym krokiem ruszyłem do lasu. Największym wyzwaniem – lata przepracowane w korporacji nauczyły mnie tym wyrazem zastępować słowo „problem” – było poruszanie się prawie bez zasięgu telefonicznego. Próbowałem odtworzyć z pamięci wszystkie charakterystyczne punkty na trasie i ułożyć je w głowie w swego rodzaju mapę 3D. „Nie idź tam, bo się zgubisz, spocisz, przeziębisz, spadniesz, wyrócisz, połamiesz i umrzesz...”. „Dziękuję, mam, ale nie mam wyjścia” – prowadziłem wewnętrzny dialog z matką. Pamiętałem, że przy jednej z dróg prowadzących z wioski do lasu jest jakiś dom. Tam chyba mieszkała ta stara Lewandowska, co ma problemy z pamięcią krótkotrwałą. Ta, z którą Kędzierski nie mógł dobić targu, bo jak już ją namówił, to zaraz zapomniała, co mu obiecała. (Swoją drogą uroczę to musiało być. Przypomniał mi się jeden z rozweselających mnie filmów, *50 pierwszych randek* z Drew Barrymore). Przed wejściem do lasu postanowiłem tam zajrzeć.

„I ten skurwysyn chce kupić to чудо, żeby je wyburzyć i postawić zamiast niego obrzydliwe kurze fermy?” – to była moja pierwsza myśl, gdy ujrzałem dom Lewandowskiej, który z daleka wydawał się po prostu niebieski. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem przepiękne zdobienia rzeźbione w drewnie. Naroża domu, krawędzie dachów oraz miejsca nad oknami obite były białymi deskami, w których gospodarze powycinali ozdoby. Miejsca jak z bajki. Tyle tylko że nie mojej. W mojej, tej o dwóch książętach, tkwiłem chwilowo po uszy w „wyzwaniach”.

Przed lawendowym płotem siedział czarny kot i gapił się na mnie, sugerując spojrzeniem, żebym się nie zbliżał do jego posesji. Znowu kot! Ale nie zrobiło to na mnie

wrażenia i pewnym krokiem wszedłem na podwórko.

– Halo, dzień dobry, pani Lewandowska! – Mimo nieustannie ściśniętego gardła udało mi się wydobyć z siebie nawet całkiem donośny głos.

Nikt nie odpowiadał, ale zamiast tego zaczęły się schodzić koty. Nie żeby dwa albo trzy, albo nawet cztery. Solidnie powyżej dziesięciu. Sadały na werandzie, na parapecie, podchodziły do mnie. Pomyślałem, że w takim miejscu na pewno nie ma mojego psa. Zawolałem jeszcze raz właścicielkę i wobec braku odzewu poszedłem w stronę furtki.

Usłyszałem hałas w drugiej części działki. Obejrzałem się i zobaczyłem coś najdziwniejszego w całym moim życiu. Zza domu wybiegł kurczak. Zza domu wybiegł kurczak bez głowy. Zza domu wybiegł kurczak bez głowy i biegł w moją stronę. Za zwierzęciem biegła ubabrana krwią Lewandowska, trzymając w jednej ręce niewielką siekiere, a w drugiej... główkę kurczaka. Stałem i patrzyłem, co się dalej wydarzy. Moja wyobraźnia nie była w stanie mi podsunąć żadnego wyjaśnienia. Wiedziałem, na co patrzę, a jednocześnie nie wiedziałem. Nie umiałbym określić, co w tym obrazie było dla mnie najmniej realne. Czy to, że ten kurczak żył, ale nie żył, czy to, że koty w ogóle nie zwróciły uwagi na drobiowe zombi. A może to, że ubrudzona Lewandowska krzyczała:

– O nie, o nie!

„Ale co «O nie!»? Niechcący urnęła ptakowi łeb?” – zachodziłem w głowę. Kurczak uderzył o schody werandy i padł. Wtedy dopiero koty zwróciły na niego uwagę i zaczęły się schodzić, pewnie na wyżerkę. Kobieta odgoniła koty, podniosła ptaka z ziemi i włożyła go do reklamówki z Biedronki. Wówczas zauważyła, że ktoś wszedł na jej teren.

– Czego pan tu szuka? – Podeszła do mnie z reklamówką w jednej, a z siekiere w drugiej ręce. – Znowu pan chce kupić mój dom? Mówiłam już chyba panu, że nie sprzedam!

– Ale to nie ja... – Emocje po tym, co zobaczyłem, jeszcze nie opadły. Mimo że stałem w miejscu, dostałem zadyszki. – Ja nic od pani nie chcę kupić. Chciałem tylko zapytać, czy nie widziała pani mojego psa. Taki czarny mieszaniec, do kolan – wyjaśniłem, chociaż już wcześniej stwierdziłem, że Różia nie podeszłaby do domu, gdzie mieszka tyle kotów.

– Nie widziałam. Nie wiem, może widziałam. Nie pamiętam. – Mrugała oczami i przekreślała głowę z lewej strony na prawą niczym postać z jakiejś kreskówki.

– To bardzo przepraszam, że tu wszedłem. Wołałem panią, ale pani nie słyszała.

– Kurę na rosół tłukłam, a jak ją urąbałam, to se przypomniałam, że jutro wyjeżdżam do sanatorium i rosółu nie potrzebuję. – Wskazała ręką na miejsce, z którego wybiegł martwy drób. – Chce pan kurę? Po co pan tu w ogóle przyszedł?

– Szukam psa... za kurczaka dziękuję. – Czas uciekał, musiałem znaleźć Rózię przed zmierzchem. – Będę już szedł. Przepraszam za najście, pani Lewandowska.

– To kura, nie kurczak. Słońca w ogóle nie ma. Zimno. – Lewandowska spojrzała w niebo. – Co za lato.

Fakt, bardzo mało słoneczne lato tego grudnia mieliśmy. Kobieta wyjęła z reklamówki ptaka i rzuciła kotom. Futrzaki natychmiast doskoczyły do kury i zaczęły ją rozszarpywać. Właśnie dlatego nigdy nie chciałem mieć kota.

– Zostawcie to! To na rosół na jutro! – Lewandowska po chwili wydarła się w stronę rzeźni rozgrywającej się parę metrów od nas i pobiegła w tamtym kierunku.

Korzystając z chwili zamieszania, opuściłem jej podwórko. Jeszcze ze dwa razy zapytałaby, po co do niej przyszedłem, i sam bym zwątpił.

Nie dowiedziałem się niczego, co mogłoby mi pomóc w odnalezieniu psa. Jednak skreślając dom Lewandowskiej z mapy poszukiwań, nie mogłem powiedzieć, że tak zupełnie niczego się tam nie dowiedziałem. Na własne oczy przekonałem się, że kura bez głowy potrafi biegać. Jeszcze kilka tygodni temu od razu zadzwoniłbym do Sebastiana, żeby mu opowiedzieć o tym przedstawieniu. Tamtego grudniowego popołudnia nic jednak nie było normalne. Może z wyjątkiem tego, że jak zwykle w okolicach piętnastej zaczęło się robić szaro. Jak mawiał zimą Sebastian, zbliżała się „piętnasta w nocy”. Bardzo za nim tęskniłem. W tym momencie najbardziej za jego spokojem i opanowaniem.

Po wyjściu od zapominalskiej sąsiadki wróciłem do lasu. Za główny punkt orientacyjny postanowiłem obrać nasz dom. Wiedziałem, gdzie na tym terenie od strony wioski Rózia lubi biegać. Nie mogłaby się tu zgubić. Jakiś czas temu przeczytałem, że jeśli szuka się zagubionego psa, to nie znajdzie się go w miejscach, gdzie zazwyczaj się z nim spacerowało. Czekala mnie wyprawa do podlaskiej puszczy. W drodze do leśniczówki na chwilę obudziła się we mnie nadzieja, że suka jednak sama się znalazła. „Nic się samo nie robi” – mawiał mój dziadek. I tu miał rację.

Wróciłem do domu. Pusta miska, nietknięta karma, brak śladów Rózi. Po raz pierwszy od wielu lat miejsce, w którym mieszkałem, nie pachniało psami. W zasadzie nie pachniało niczym. Grudniowe powiewy dokładnie oczyściły budynek ze wszystkich zapachów życia. Jedyne, co było wyczuwalne, to resztki gazu. Spojrzałem na stojące przy łóżku butelki po porto – jedna pusta, a druga opróżniona do połowy. Wszędzie widziałem ślady mojej porannej ucieczki. Porozrzucane ubrania i roztraskana miska z orzechami włoskimi, które korzystając z wolności, poturłały się we wszystkie zakamarki. Było pusto i zimno. Zimno i pusto. Zupełnie jak w moim życiu. Ścisnęło mnie w żołądku. Mój układ nerwowy był przepalony.

Nawet jeśli nasz związek już nie istniał, a mojego psa dopadły wilki albo jakaś skoda fabia, to do końca życia nie wybaczyłbym sobie, że zbyt szybko opuściłem szukanie Rózi. Całkowicie odrzucałem myśl, że ktoś mógł celowo ją zabrać. Po co komuś taki kilkuletni, nierasowy pies? Wstawiłem wodę na kawę. Liczyłem na to, że kubek mocnej arabiki postawi mnie na nogi. Nie potrzebowałem żadnej dodatkowej motywacji do kontynuowania poszukiwań. Potrzebowałem tylko siły. Aż siły.

Mimo że życie ostatnio dawało mi konkretnie po mordzie, to nie zamierzałem jeszcze opuszczać gardy. Kawę wypilem w pośpiechu, parząc sobie przy tym przełyk. Chciałem wyruszyć, dopóki było jeszcze widno. Zjadłem przeterminowany jogurt i wyszedłem z domu. Już miałem zamykać drzwi na klucz, ale cofnąłem się jeszcze do środka. Wystawiłem przed chatę miskę z wodą, miskę z karmą i psie posłanie. Położyłem też obok ukochaną czerwoną bandankę Rózi, którą uwielbiała mi odwiązywać zębami, gdziekolwiek ją sobie przewiązałem. Łza zakręciła mi się w oku.

Niestety na zewnątrz szare złowrogie światło wskazywało na zbliżającą się rzeczoną piętnastą w nocy. Niczym najodważniejsza postać z komiksów Marvela zapaliłem latarkę

i zrobiłem krok do przodu, w stronę bramy. Drugi. Trzeci. Okej, nogi współpracowały. Przez chwilę pomyślałem, że może nawet mogłoby mnie spotkać coś ciekawego, może uratowałbym świat podczas poszukiwań psa? Wyobraziłem sobie wywiad z Super-Pawłem, który wyniósł z płonącego wieżowca (wieżowiec w lesie?) kilkadziesiąt osób, kocią mamę z kociętami, oryginał *Słoneczników* van Gogha i *Wenus z Milo*.

Na teledysku w studiu telewizyjnym skończył się materiał o Super-Pawle.

– Tak było w grudniu zeszłego roku. Dziś w studiu gościmy pana Super-Pawła. Panie Pawle, nie bał się pan iść do tego lasu? Musi być pan bardzo odważny. – Prowadząca wywiad szczupła brunetka po sześćdziesiątce eksponowała nogi w ekwilibrystyczny sposób, w ogóle nie patrząc w moją stronę. – Skąd w panu tyle odwagi?

– Dziękuję, pani redaktor. – Uśmiechnąłem się do zebranej w studiu publiczności i układałem odpowiedź w głowie. – Odwaga to zasługa...

– A czy władze gminy interweniowały? – Nie czekając na to, co mam do powiedzenia, kobieta zadała mi kolejne pytanie. – Czy był ktoś z powiatu?

– Nie miałem czasu na zawiadomienie... – Próbowałem jeszcze cierpliwie odpowiadać.

– Czy sprawą zajął się wojewoda? – Redaktorka zaczęła wywijać nogami niczym wiatrak pod Amsterdamem. – Mam pytanie do ekspertów. Co państwo na to?

Nie, tak nie mógł wyglądać mój pierwszy telewizyjny wywiad. Wziąłem łyk wody ze szklanki stojącej na stoliku obok. Trzy, dwa, jeden...

– Zamknij się w końcu i jak o coś pytasz, to czekaj, aż gość odpowie! – Poczulem ogromny wyrzut kortyzolu. – Proszę kamerę na mnie. Teraz! Odpowiem!

– No wiecie państwo! – Prowadząca próbowała interweniować, ale brawa publiczności utwierdziły mnie w tym, że dobrze zrobiłem, przerywając gospodyni programu.

– Matka... – Rozsiadłem się wygodnie. – Większość z nas ją ma lub miało. Ktoś kiedyś powiedział: „Choćby nawet cały świat rzucał w ciebie kamieniami, to jeżeli mama stoi po twojej stronie, nic ci się nie stanie”. Z moją mamą jest podobnie. Wybrała jednak bardzo osobliwy sposób na dbanie o bezpieczeństwo syna. – Spojrzałem w stronę publiczności. Nie powiedziałem nic wzruszającego, tymczasem jak na zawołanie wszyscy zaczęli płakać. – Żeby państwo mogli zrozumieć rodzaj miłości mojej matki, zacytuję ostatniego esemesa od niej. – Wziąłem do ręki telefon: – „Pawełku, podrzucam ci to na wszelki wypadek, koniecznie przeczytaj ten artykuł: *Objaw białaczki, który widać gołym okiem. Pojawia się na skórze*. Kocham Cię, uważaj na siebie”.

Goście zaczęli płakać jeszcze głośniejsze. Kątem oka zauważyłem, że prowadząca mamrotła coś pod nosem. Pewnie układała plan, jak odzyskać kontrolę nad swoim show.

– Tak więc, drodzy goście zebrani w studiu, taka jest miłość mojej matki. – Wstałem i wolnym krokiem zacząłem chodzić po pomieszczeniu. – Z mojej matki zawsze promieniuje ciepło, siła i... niepokój. Nauczyła mnie, żeby zawsze być przygotowanym na to, że stanie się coś złego.

Kobieta w szarym swetrze z angory siedząca w pierwszym rzędzie pokiwała głową z aprobatą.

– Nawet jeśli w życiu wszystko doskonale się układa, to i tak trzeba być ostrożnym i przygotowanym na walkę z przeciwnościami losu. Zawsze! – Wróciłem na fotel dla gościa i powiedziałem do dziennikarki: – Tak że, droga pani redaktor, skąd moja odwaga? Wyssana z niepokoju matki. Z upływem lat nauczyłem się zamieniać ten niepokój w siłę i odwagę. Mamo, kocham cię. Robisz najlepszy sernik na świecie – zwróciłem się do kamery.

W studiu zapadła cisza, przerywana jedynie pojedynczymi pochlipowaniami. Po chwili odezwała się prowadząca:

– Szanowni widzowie! Już ponad trzydzieści lat żyjemy w wolnej Polsce, a po sąsiedzku, tuż za naszymi plecami, dzieją się takie właśnie ludzkie tragedie. O tym wszystkim będziemy mówić jasno i głośno, nawet jeśli komuś się to nie podoba. Dziękuję państwu, dobranoć państwu!

W studiu zaczęło się robić coraz zimniej i ciemniej.

Nie byłem w studiu telewizyjnym. Nie byłem bohaterem. Szedłem szutrową drogą, krzycząc głośno: „Różia, Różia!”. Zależało mi tylko na uratowaniu tego jednego istnienia. Członka mojego stada. Członka mojej rodziny.

Minałem już chyba ze cztery krzyże, które jak czytałem, od stuleci były wpisane w krajobraz podlaskich miast, wsi i lasów. Miały chronić przed chorobami i śmiercią. Może to nawet dobrze, że tyle ich było na mojej trasie.

W oddali usłyszałem chrzęst rozdeptywanych gałęzi. O dziwo, nawet się nie wystraszyłem. Może dlatego, że w pierwszej chwili pomyślałem, że to mój pies. Przesunąłem latarkę w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Zaskoczenia nie było. Łoś. Spojrzał na mnie bez większego zainteresowania i wrócił do jedzenia.

Łosie. Jedna z największych fascynacji przyrodniczych Sebastiana. Potrafił wstawać nad ranem i spędzać całe godziny, obserwując przez lornetkę pasące się w okolicy zwierzęta. Na pytanie, skąd taka sympatia do tych wyjątkowo nieproporcjonalnych jak na moje oko stworzeń, odpowiedział, że ma z nimi coś wspólnego. Że podobnie jak one potrzebuje czasu spędzanego w pojedynkę. Łoś nie boi się ludzi, w zasadzie nie ma wrogów, ale mimo łagodnego usposobienia w razie konieczności potrafi nawet zabić kopniakiem. Choć po tych słowach o zabijaniu Sebastian puścił do mnie oko, to i tak zrobiło mi się nieswojo.

Właściwie jak dobrze znałem Sebastiana? Jeszcze kilka tygodni temu myślałem, że wiemy o sobie wszystko. Przez tyle lat wspólnego życia nie dałoby się udawać kogoś innego. A może jednak? Może to on teraz robił wszystko, żebym zwariował? Miał klucze do domu; pies nie hałasowałby przy nim; wiedział, że nadużywam alkoholu. Znał wszystkie moje słabe strony. W zasadzie mógł być sprawcą każdej pojębanej sytuacji, która mi się ostatnio przytrafiła. Mógł. Tylko po co? Jeśli poznał i pokochał kogoś innego, to – jak sam napisał w esemesie – mogliśmy to załatwić jak dorośli ludzie. Rozmowa i szczerłość stanowiły podstawę naszego związku.

Nie wyczułem momentu, w którym zaczęliśmy się od siebie oddalać. Może na imprezie? Może po imprezie? Tak, to wtedy wszystko się zaczęło. Sebastian wyjechał, a moja codzienność zaczęła przypominać życie bohaterki filmu *Chłopak z sąsiedztwa*. Miałem wrażenie, że ktoś cały czas był w pobliżu i mnie obserwował. Co takiego strasznego stało się tamtej nocy, że Sebastian wyjechał?

Niewiele pamiętałem. Było nas wtedy dziewięcioro: ja i Sebastian, Karolina z Bartkiem, przyjaciel Sebastiana z partnerką, mój brat z żoną i Beatka. Na pewno zalażłem za skórę Kacprowi, bo mnie usunął ze znajomych na Facebooku. Nie do końca wiedziałem, czym sobie na to zasłużyłem, ale mimo wszystko chyba nie aż tak bardzo, żeby chciał mnie zniszczyć. No i wydawało mi się, że skoro Bartek, o którego byłem zazdrosny, prawdopodobnie był w Egipcie z synem Kędzierskiego, to też nie miał żadnego powodu, żeby mnie skrzywdzić. Trzymając się teorii, że autorem moich problemów był ktoś, kto tamtego wieczoru towarzyszył nam w domu, w kręgu podejrzanych zostały trzy osoby: Sebastian, Karolina i... Beatka. Czułem, że nikomu nie mogłem już ufać.

Mimo tych refleksji chciałem, żeby Sebastian był przy mnie, chociaż ten ostatni raz. Żeby mi pomógł odnaleźć Rózię. Potem mógłby wracać tam, gdzie mu lepiej niż ze mną. Czyli gdzie? Gdzie on, do cholery, był? To pytanie niepostrzeżenie dostało się do mojego krwiobiegu i krążyło w nim nieustannie.

Idąc przez ciemny las, miałem wrażenie, jakbym kierował samochodem i cały czas wpatrywał się w martwy punkt w lusterku, nie wiedząc, czy zaraz coś we mnie nie pierdolnie. Dobrze, że w ostatnim momencie zmieniłem sportowe reeboki na odnalezione w kotłowni kalosze. W niektórych miejscach kałuże sięgały mi prawie do kolan. Nawet nie wiem, jak daleko od domu zaszedłem. Odległości i czasu nie czułem, natomiast byłem pewien, że temperatura w lesie spada. Kochałem swojego psa i mimo że serce nakazywało iść dalej, mózg sugerował powrót do domu i wznowienie poszukiwań od rana, za dnia. „Okej, to jeszcze dwieście kroków i wracam” – postanowiłem i przypomniałem sobie czasy, kiedy za mała liczba kroków zrobionych w ciągu dnia stanowiła dla mnie największy powód do życiowego niezadowolenia.

Po pierwszej odliczonej setce w oddali dostrzegłem światło. Przeszło mi przez myśl, że pewnie dochodzę do jakiejś drogi i widać reflektory samochodów. Nie, to jednak nie mogły być auta – było za cicho. Świecąc sobie pod nogi wyczerpującą się już latarką, ruszyłem w stronę światła (choć jeszcze nie umarłem). Po chwili zobaczyłem dom. Nie wiedziałem, że jeszcze ktoś mieszka w tej okolicy. W sumie to nie byłem pewien, czy nadal jestem „w okolicy”.

Ruszyłem w stronę zabudowań. Zbliżając się do chatki, zwróciłem uwagę, że jest całkiem zadbana. Ktoś na pewno tam mieszkał na stałe i starał się, żeby ten piętrowy drewniany domek zachował jak najlepszą kondycję. Na ogrodzonej płotem działce stał domek oraz garaż, na który poświęciłem latarką. Był zamknięty na kłódkę. Naprzeciwko ganku i wejścia do domu zauważyłem pokryty mchem bunkier. „To piwnica, w której trzyma się żywność. Taka spiżarka” – przypomniały mi się słowa Sebastiana. Nie wiedziałem, czy to omamy z zimna, ale usłyszałem pojedyncze szczeknięcie. Nie było żadnego dzwonka. Lekko pchnąłem furtkę i wszedłem na teren posesji. Zamiast od razu zapukać do drzwi, postanowiłem najpierw obejść dom dookoła.

- Kurwa... - syknąłem, potykając się o dziecięcy rowerek, którego wcześniej nie zauważyłem. Sta nałem na pieńku i zapuściłem żurawia do środka.

Jak na chatkę w lesie pokój był urządzony całkiem gustownie. Pomalowane na jasnoszary kolor ściany, szary narożnik z narzuconymi świątecznymi kocami i poduszkami i ogromny telewizor wiszący na ścianie. Bob Budowniczy na ekranie żywiłowo dyskutował o czymś

z koparką i betoniarką, a pod telewizorem leżały porozrzucane zabawki, głównie klocki. Doszedłem do wniosku, że w domku muszą mieszkać normalni ludzie. Normalni ludzie z normalnymi bąbelkami. Postanowiłem wejść i zapytać, czy nie widzieli mojego psa. Dwa schodki i stałem na ganku, tuż przed drzwiami. Zapukałem trzy razy i po chwili podskoczyłem z radości.

– Różia! Różia, do mnie! – krzyknąłem, zanim ktokolwiek mi otworzył. Wszędzie poznałbym szczekanie swojego psa.

Usłyszałem, że suka stoi już przed drzwiami z drugiej strony. Piszczała. Schyliłem się, żeby mieć twarz na wysokości jej pyska.

– Co, kochana? Różia, tak się cieszę – mówiłem do zamkniętych drzwi. – Halo, dobry wieczór, przyszedłem po swojego psa! – krzyknąłem, pukając ponownie.

Z radością i ulgą usiadłem przy drzwiach i czekałem, aż ktoś wypuści Rózię. Usłyszałem odgłos przekręcanego zamka i zdejmowanego łańcuszka zabezpieczającego. Kiedy drzwi się otworzyły, spojrzałem w górę. Potrząsnąłem głową, żeby się upewnić, czy wzrok mnie nie myli. Chyba nawet przez chwilę zapomniałem o oddychaniu.

W progu stała uśmiechnięta Karolina. Ka-ro-li-na. Skąd u niej wziął się mój pies?

– Jezu, Paweł! Jak dobrze, że cię widzę. Cały dzień próbowałam się z tobą skontaktować przez Facebooka. – Karolina wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Poczekaj, przywitam się z psem. – Wypuściłem głośno powietrze. Zignorowałem jej wyciągniętą dłoń i objąłem Rózię obiema rękoma. Nie przestawała mnie lizać po twarzy. – No cześć, moja kochana, gdzie ty byłaś?

Po kilku psich przytulaskach podniosłem się sam. Karolina stała w progu z założonymi na piersiach rękoma i uśmiechała się do mnie promiennie. Jej krótki żółty sweterek kończył się idealnie w miejscu, gdzie przebiegała linia czarnych dżinsów. Jak zwykle perfekcyjnie ubrana. Ja z kolei, jak zawsze, kiedy się z nią widziałem, wyglądałem jak ofiara losu. Dosłownie. Wszedłem do środka.

– Jak to się stało, że Różia jest u ciebie? – zapytałem, wieszając kurtkę w szafie w przedpokoju.

– Mogłabym cię zapytać o to samo. – Karolina wzruszyła ramionami i ruszyła w głąb domu. – Chodź na herbatę.

Poszedłem za nią. Zaprowadziła mnie do salonu, do którego zaglądałem już przez okno. Coś mi w nim jednak nie pasowało. Po chwili zorientowałem się, na czym polega różnica. Nigdzie nie było już porozrzuczanych zabawek. Usiadłem na narożniku naprzeciwko telewizora. Na ekranie Ojciec Mateusz próbował rozwiązać zagadkę śmierci kucharki, której ciało znaleziono oczywiście nad rzeką, a przyczyną zgonu standardowo było uderzenie tępym narzędziem. Morderca jak zwykle przyszedł na mszę odprawianą w intencji truposzki, usiadł z tyłu i robił głupie miny.

– Dobra, dlaczego mój pies jest u ciebie w domu?! – krzyknąłem w stronę (chyba) kuchni.

Czekając, aż woda na herbatę się zagotuje, Karolina odkrzyknęła z głębi pomieszczenia, że jak poszła rano pobiegać, zobaczyła Rózię błąkającą się po lesie i zabrała ją do siebie. Po pierwsze, obruszyłem się na stwierdzenie, że mój pies się błąkał. Różia była dobrze wychowana i miała klasę, na pewno by się nie błąkała. Pewnie nawet nie umiałyby się błąkać. Po drugie, to niby jej uwierzyłem, ale nie wierzyłem.

Karolina podała mi kubek z pachnącą owocową herbatą.

– To czemu jej nie przywozłaś do mnie? – zapytałem.

– Byłam u ciebie, ale cię nie było. – Uśmiechnęła się życzliwie. – Smakuje ci?

– Pyszna. – Rzeczywiście nie było mnie w domu. – A w ogóle to nawet nie wiedziałem, że mieszkasz tak blisko.

– Nie wspominałam ci, że ten dom i dom Sebastiana... przepraszam, wasz, kiedyś należał do mojego dziadka? – Przesesała ręką włosy. – Po powrocie z Londynu kupiłam mieszkanie w Siedlcach i czekam, aż je wyremontują.

Miało to sens. Nieco się rozluźniłem i swobodnie oparłem o kanapę. Jednocześnie, niczym pestka z czereśni, wyleciało mi z ust pytanie, którego w sumie nie chciałem zadać.

– Karolina... – zawiesiłem głos i poczekałem, aż na mnie spojrzy – ...a myślisz, że Sebastian mógłby skrzywdzić kogoś bliskiego?

Karolina patrzyła na mnie zaintrygowana, a kąciki jej umalowanych na czerwono ust jakby lekko uniosły się w górę. Tik-tak, tik-tak, tik-tak... W milczeniu upiła trochę herbaty, nie spuszczając ze mnie wzroku. Poczulem się niezręcznie, że w ogóle o coś takiego zapytałem.

– Nieważne – westchnąłem głęboko. – Głupie pytanie.

Chwila ciszy.

– Och, ksiądz nic nie rozumie! Uderzałam tylko jego głową o kaloryfer i nagle zorientowałam się, że nie oddycha. Spanikowałam i uciekłam!

– Pan Bóg ci wybaczy. Musisz się tylko bardzo modlić...

Wybuchnęliśmy śmiechem, słysząc dialog dobiegający z telewizora. Rózia pobiegła do innego pomieszczenia. Zupełnie tak, jakby coś albo ktoś tam na nią czekał. Odprowadziłem ją wzrokiem, a kiedy ponownie spojrzałem na Karolinę, omal nie wypuściłem z dłoni kubka. Wpatrywała się we mnie bardzo intensywnie, oczy jej błyszczały, a wargi były zaciśnięte w cienką kreskę. „Opisz mi to trzema przymiotnikami” – prosił czasami Sebastian, kiedy nie potrafiłem mu czegoś wytłumaczyć. W tym przypadku o spojrzeniu Karoliny powiedziałbym: obsesyjne, zrozpaczone, wściekłe. Ale czemu?

Dopiłem herbatę, żeby na chwilę uciec od niej wzrokiem.

– A ty myślisz, że zawsze udaje się znaleźć mordercę? – zapytała, nie spuszczając ze mnie oka. – Że na przykład nie da rady skutecznie zatrzeć wszystkich śladów?

Poczulem rozgrzewające działanie herbaty. Przetarłem ręką po mokrym czole i odpowiedziałem wymuszonym żartem:

– Ojciec Mateusz zawsze rozwiąże zagadkę. – Próbowałem się szeroko uśmiechnąć, ale miałem wrażenie, że nie mogę do końca otworzyć ust. Jakby coś paraliżowało mi mięśnie. Miałem już kilka razy w życiu atak paniki, ale inaczej się zaczynał. – Możesz otworzyć okno na chwilę? Jakoś mi się gorąco zrobiło.

– Jestem trochę przeziębiona, więc wołałabym nie wietrzyć. – Cały czas gapiała się na mnie w skupieniu, nieosiągalnym dla mnie głębokim skupieniu. – Wypiłeś do końca herbatę? – Wzięła mój kubek i zajrzała do środka. Dziwne. – Pusty, to super. – Uśmiechnęła

się. – *Let's listen to some music!* – Nie czekając na odpowiedź, Karolina podeszła do głośnika i włączyła *All I Want for Christmas Is You*.

– Przecież nie lubisz tej piosenki – wystękałem, czując, że już ledwie ruszam szczęką.

– Ale ty lubisz. Chcę, żeby ci dzisiaj było miło. – Zabrała kubki ze stolika i wyszła z salonu. – Odpocznij chwilę, zaraz wracam.

Miło, kurwa? Prawie nie mogłem się już ruszać. To chyba jednak nie był atak lęku. Czy to ta herbata? Może miałem uczulenie na któryś z owoców, z których była zrobiona? Podciągnąłem się na kanapie, oparłem głowę i próbowałem oddychać „na cztery”, żeby wyrównać ciśnienie. Kątem oka zobaczyłem w oddali postać zbliżającą się do salonu.

– Karolina, ja naprawdę źle się czuję. Otwórz okno, proszę. Albo zawieź mnie do domu... – powiedziałem i spojrzałem w jej stronę. – Podaj mi telefon z kurtki.

Mój wzrok również odmawiał współpracy. Mimo że cały salon się rozmywał, byłem absolutnie pewien, że tuż obok nie stoi Karolina. Nawet nie jest to dorosła kobieta. Na moje oko siedmio- lub ośmioletnia dziewczynka, ubrana w różowe ogrodniczki, patrzyła na mnie, uśmiechając się najszczerzej, jak tylko dziecko potrafi. Tuż przy jej nodze podskakiwała Rózia, próbując wyrwać jej... lalkę. Jakimś cudem od razu sobie przypomniałem. Psy przyniosły ją z dworu, stanęła na półce w salonie, a po imprezie andrzejkowej zniknęła. Wraz ze zniknięciem zabawki zaczęły się moje kłopoty. Było dla mnie oczywiste, że Karolina musiała tamtego wieczoru być pod naszym domem. Zgubiła lalkę i zabrała swoją własność, kiedy przyszła nas odwiedzić. Tylko po co?

– Rózia, *don't!* – Blondyneczka siłowała się z psem.

Suka puściła lalkę i pobiegła do przedpokoju.

Słyszałem, jak pije wodę z miski. Tak bardzo jej zazdrościłem. Byłem cholernie spragniony, a fale gorąca przepływały gwałtownie przez moje ciało. Dziewczynka usiadła obok, wpatrując się we mnie z ciekawością. Resztkami energii podniosłem głowę z oparcia, żeby odwzajemnić spojrzenie. Nasze oczy się spotkały. Znałem te oczy. Kochałem te oczy... Od kilku lat budziłem się i zasypiałem przy nich... Wszystko wirowało. Dziecko przekreśliło głowę i zaczęło mnie głaskać po policzku.

– *Are you my father?* – Jeszcze raz spojrzała mi głęboko w oczy. – Kocham cię. – Położyła głowę na moim ramieniu.

Chciałem jej odpowiedzieć, chciałem cokolwiek powiedzieć, ale odpływałem, prawie niczego już nie czułem, niczego nie widziałem. Zupełnie jak na ostatniej prywatce w leśniczówce. Zdołałem jeszcze usłyszeć wściekły głos Karoliny:

– Zuzia! Co ty tu robisz? Powiedziała ci, żebyś nie wychodziła ze swojego pokoju, dopóki ci nie pozwolę! *Leave now!*

– *But Mum*, powiedziałaś, że poznam niedługo swojego tatę... – Czułem, że rozczarowana dziewczynka odsunęła się ode mnie.

– I poznasz! Ale jeszcze muszę dokończyć pewną sprawę. *Leave now!* – Karolina zbliżała się do mnie.

ROZDZIAŁ 34

DAWNIEJ

Nowy Jork

– Mogę czy jeszcze jesz? – Nie czekając na odpowiedź Sebastiana, chwyciłem kilka frytek z jego talerza, zamoczyłem w keczupie i wsadziłem do ust.

– Możesz dojeść wszystko. Już mi się ulewa to amerykańskie jedzenie. Wszystko smażone na głębokim tłuszczu. – Sebastian z grymasem przesunął talerz w moją stronę. – Tylko nie marudź później, że ci brzuch wyduło.

Fakt, w Stanach Zjednoczonych jadaliśmy głównie to, co w Polsce nazywaliśmy fast foodem. Często spotykałem się z określeniem, że „amerykańska kuchnia jest różnorodna”. Owszem. Można było zjeść burgera przyrządzonego na kilkadziesiąt sposobów, z każdego rodzaju mięsa, a do tego obowiązkowo dostawało się frytki w wersji XXL. Kiedy chcieliśmy zjeść dobrze, zdrowo i jakościowo, musieliśmy z kieszeni wyjąć przynajmniej sto zielonych. Epidemia otyłości od wielu lat zbierała żniwo w całym kraju. Poza tym w przeciwieństwie do Europejczyków Amerykanie zupełnie nie ograniczali spożycia mięsa. Bekon dodawano nieodpłatnie do wszystkiego i na każde życzenie klienta. Prawie nikt nie wiedział, co to humus. Wyjątkiem były Hawaje, gdzie serwowano poke, tradycyjną polinezyjską potrawę, czyli pokrojoną w kostkę surową rybę z dodatkiem sosów, przypraw i warzyw. Pychota!

– Wiesz, że mózg i gałki oczne Einsteina są przechowywane w sejfie właśnie w Nowym Jorku?

Sebastian wyrwał mnie z tępego wpatrywania się w nowojorczyków spiesźnie opuszczających stacje metra. Przy pierwszym „wysypie” pomyślałem, że może ogłoszono tam alarm bombowy, ale po chwili zorientowałem się, że ci wszyscy ludzie po prostu tak się spieszą.

– No pewnie, chyba każdy to wie. – Mrugnąłem do niego. – Pijemy kawę tutaj czy gdzie indziej? – zapytałem, przełykając ostatnią frytkę.

– Wolę chyba w jakimś spokojniejszym miejscu. I koniecznie mrożoną w taki upał. – Sebastian wziął plecak i wstał od stolika. – Chodź, spalisz trochę tego tłuszczu.

Manhattan zachwycał architekturą, przepychem i nowoczesnym budownictwem, ale jednocześnie przerażał hałasem, tłumem i wszechobecnymi bezdomnymi. Mimo że Nowy Jork miał fantastyczną i bardzo logiczną siatkę ulic, to po kilku godzinach spacerowania wśród ogromnych budynków dopadło mnie poczucie małości i lekka klaustrofobia.

Przechodząc przez kwintesencję Nowego Jorku, Piątą Aleję, gdzieś między Trzydziestą Dziewiątą Zachodnią a Pięćdziesiątą Ósmą Zachodnią zobaczyliśmy tłum gapiów z aparatami stojących przed wystawą sklepową. Podeszliśmy bliżej i zapytaliśmy jedną z kobiet, na co

ludzie tak czekają przed butikiem. Okazało się, że sklep został zamknięty, żeby Angelina Jolie i Brad Pitt mogli w spokoju zrobić zakupy.

– Nie mógłbym na co dzień mieszkać w tym mieście. – Spojrzałem na Sebastiana, kiedy już oddaliliśmy się od rozhisteryzowanych Azjatów. – A ty?

– Są na pewno plusy, na przykład moglibyśmy wziąć ślub i adoptować dziecko. – Sebastian wziął łyk wody. Kilka kropelek zostało na jego wąsach. – Ale też oczywiście moglibyśmy zostać zabici przez jakiegoś bezdomnego, jak powiedziałaaby twoja mama.

– Ha, ha, ha! Chodź, napiszmy jej, że tu zostajemy. Biedaczka nie zaśnie już do końca życia.

Butelka wody poszła nam błyskawicznie. W mieście robiło się coraz goręcej. Na szczęście na horyzoncie zaczął się pojawiać pełen drzew i ławeczek Central Park.

– Cały się kleję. – Sebastian zdjął plecak, żeby wyjąć portfel. Jego plecy zdołała gigantyczna, mokra, granatowa plama. – Kupmy więcej wody, kawę i usiadźmy odpocząć w tych słynnych zielonych płucach Nowego Jorku.

– Bardzo dobry pomysł. – Zacząłem się rozglądać za jakimś punktem z mrożoną kawą. – Ooo, tam! – krzyknąłem jak dziecko, wskazując palcem na błękitnego food trucka z napisem „Big Gay Ice Cream”.

– Oczywiście, mały Pawełek chce tęczowe lody. Ty przodem. – Sebastian położył rękę na moim ramieniu i kiedy tylko zamiast czerwonej dłoni na świetłach pokazała się biała postać idącego człowieka, przeszliśmy na drugą stronę.

W kolejce po lody stało kilkanaście osób. Czarni, biali, żółci, brązowi i para z Indii. Nigdy nie wiedziałem, jakim kolorem określać ludzi z południowej Azji. Najbardziej pasował mi fioletowobrazowy, ale to jakoś nie brzmiało. W każdym razie każdy z innej części świata. Poczulem się jakoś tak kosmopolitycznie.

– Pamiętasz siostry Grycan, które nazywano polskimi Kardashiankami? – zapytałem Sebastiana, jednocześnie stając na palcach, żeby dojrzeć nazwy lodów wypisane kredą w różnych kolorach na czarnej tablicy.

– Staralem się nie pamiętać, ale mi właśnie przypomniałeś. – Sebastian spojrzał na mnie znad swoich awiatorek. – To była matka i dwie siostry, nie?

– Tak, z tego, co pamiętam, wnuczki Zbigniewa Grycana, założyciela lodowego imperium. – Byłem szalenie dumny ze swojej pamięci.

– A szkoda, że nie pamiętasz nigdy, do kiedy trzeba płacić podatki. Dobra, wybieraj. – Wspominanie Grycanek wciągnęło mnie na tyle, że nie zauważyłem, kiedy podeszliśmy do kasjerki.

Uśmiechnięta ruda dwudziestoparolatka w koszulce z tęczowym rożkiem powiedziała nam, jakie smaki są najpopularniejsze i które dodatki zachwalają turyści. Ostatecznie zdecydowałem się na dwie porcje krówkowych posypane kolorowymi cukierkami, a Sebastian zamówił połączenie truskawek z lawendą. Spojrzeliśmy jeden na drugiego i zrobiliśmy skwaszone miny. Stwierdziłem, że nigdy nie wybrałbym lodów o smaku kostki toaletowej, na co Sebastian odparł, że porzygałby się od ilości karmelu na moim wafelku. Miał trochę racji, bo gdy skończyłem jeść, natychmiast wlałem w siebie pół butelki wody.

– Smakowało? – zapytał, kiedy już wytarłem się z karmelu. – Moje były pysznie orzeźwiające.

– Moje też były superpyszne i orzeźwiające. – Nie chciałem mu dać satysfakcji, że jego wybór był jednak trafniejszy.

– Nie udawaj. Orzeźwiający karmel to oksymoron. Tak czy inaczej... – zawiesił głos i spojrzal na mnie – ...za loda należy się lód – zaśmiał się.

– „Nikt nie ma prawa mnie krytykować. Będę obciążać, komu zechcę, dopóki oddycham i jeszcze mogę klęczeć!”.

– Klasyk, Samantha Jones. A właśnie, jutro poszukamy domu Carrie Bradshaw. Wizyta w Nowym Jorku nie liczy się bez odwiedzenia miejsc znanych z *Seksu w wielkim mieście*. – Sebastian poprawił ramiączka plecaka. – A teraz chodźmy gdzieś usiąść.

Zieleń, śpiew ptaków i promienie słońca rzadko zaglądały na mroczne ulice Manhattanu. Na takie naturalne doznania mogliśmy liczyć, gdy tylko weszliśmy na teren Central Parku. Nigdy wcześniej tam nie byłem i ogarnął mnie zachwyt na widok miejsc znanych z wielu filmów. Zupełnie zapomniałem o *Seksie w wielkim mieście*, kiedy zobaczyłem zoo z *Madagaskaru*. Byłem pod ogromnym wrażeniem, jak bardzo animacja przypomina rzeczywistość.

– „Jako rzecz Król Julian...”. – Nie mogłem przestać szczerzyć się jak dziecko. – „Teraz wzbudzę w was poczucie niższości. Zresztą uzasadnione”.

Sebastian cały czas dokumentował telefonem moją dziecinną ekscytację. Byłbym bardziej powściągliwy, gdybym wiedział, że przez następne kilka lat w dniu moich urodzin partner bezpardonowo będzie wrzucał te zdjęcia na moją ścianę na Facebooku.

Chodząc po Central Parku, podziwiałem przepiękne stawy, ścieżki i trasy konne. Mimo że całość została zaprojektowana przez ludzi, to większość elementów krajobrazu wydawała mi się naturalna. Mniej więcej po dwóch godzinach spacerowania upalna pogoda dała nam się we znaki. Przeczytałem gdzieś, że w parku stoi ponad dziewięć tysięcy ławek. Większość z nich była zajęta. A to mama z dziećmi, a to staruszek, a to całująca się para.

– Patrz, ona chyba już sobie idzie. – Sebastian wskazał ręką na starszą kobietę podnoszącą się z ławeczki, do której powoli zbliżało się słońce. Staruszka wysypała ptakom resztki chleba z foliowej torebki i wstała, wspierając się laską.

– Uff, ale miło. – Kiedy usiedliśmy, oparłem głowę na ramieniu Sebastiana i wziąłem głęboki oddech.

Kilka minut na ławeczce wystarczyło, żeby odzyskać siły. Siedziało nam się na tyle przyjemnie, że nie mieliśmy ochoty iść nigdzie dalej. Park był pełen spacerowiczów, którzy co chwila nas mijali. Rzeka ludzi rozlewała się po wszystkich ścieżkach i alejkach. Czuję się tak, jakbym zwiedzał miasto bez ruszania się z miejsca.

– Dobra, tu jest idealne miejsce na naszą zabawę. – Szturchnąłem Sebastiana w rękę i założyłem okulary przeciwsłoneczne.

Zabawa polegała na tym, że siadaliśmy w centrum jakiegoś dużego miasta i każdy z nas podawał liczbę, na przykład „siedem od lewej”. Oznaczało to, że będzie musiał uprawiać seks z siódmą osobą, która nas minie z lewej strony. Oczywiście nikt żadnego seksu z nikim nie uprawiał. Chodziło tylko o to, żeby wycelować w jak najatrakcyjniejszego mężczyznę.

– No dobra, ja pierwszy. Dwanaście od lewej. – Sebastian, podobnie jak ja, był w dobrym nastroju, więc od razu zaczęliśmy się wygłupiać.

– Ej, oszukujesz! – Spojrzałem w lewo i zobaczyłem grupę kilkudziesięciu marines zbliżającą się do nas.

– W życiu! To przypadek – zaśmiał się Sebastian.

Kiedy przyszła moja kolej, trafiło mi się zupełnie nieatrakcyjne latynoskie małżeństwo. Mieli może po metr czterdzieści wzrostu i minęli nas równym krokiem.

Sebastian wybrał dziesięć z lewej. Ludzi było coraz mniej. Odliczaliśmy leniwie. Dwoje bezdomnych, staruszka, para w okularach, bardzo wysoka dziewczyna, atrakcyjny Afroamerykanin na rolkach, chłopak z gitarą i znowu staruszka.

– Teraz będzie dziesiątka. – Uniosłem dwukrotnie brwi.

Po chwili zza rogu wybiegła czarnowłosa dziewczyna w stroju do joggingu. Biały komplet idealnie opinał jej doskonale opalone ciało. Uklękła, żeby zawiązać but. Poprawiła kitkę, sprawdziła czas na zegarku i ruszyła dalej.

– *Hey, guys.* – Uśmiechnęła się, przebiegając obok nas. Wyglądała zjawiskowo.

– *Hey!* – Sebastian mrugnął do niej, przygryzł dolną wargę i spojrzał na mnie. – No i super. Biorę.

Mój zachwyt biegaczką prysnął jak bańka mydlana. Siedzieliśmy w słońcu, a ja poczułem, że robi mi się zimno.

– Super? – Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia i rozczarowania reakcją Sebastiana.

Spojrzał na mnie jak nastolatek przyłapaný na paleniu papierosów.

– No co? Przecież ładna dziewczyna – zaśmiał się. – No i na pewno lepsza niż staruszka.

Wyczułem w jego śmiechu coś, czego nie potrafiłem określić. Strach? Strach przede mną? Strach przed sobą samym? Czułem, że muszę wyjaśnić ten temat, żeby się nie męczyć.

– Spałeś z kobietą poza tymi sytuacjami ze szkoły i ze studiów? – wałnąłem prosto z mostu.

Sebastian kilka razy odetchnął głęboko i powtórzył mi dokładnie to, o czym już kiedyś gadał, wymieniając się informacjami o doświadczeniach z kobietami. Podstawówka, liceum i ostatnie podejścia w małych pokojach akademickich.

Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Kiedy już chciałem zaproponować, żebyśmy wracali do hotelu, Sebastian chwycił moją dłoń.

– Paweł, jest jeszcze jedna sytuacja, o której ci wcześniej nie mówiłem.

Chyba nikt po takich słowach nie byłby spokojny. Pot mi wystąpił na czoło.

– Zanim się poznaliśmy, byłem z przyjaciółmi na imprezie. Niewiele piłem, ale bardzo szybko poczułem się pijany. Nawet przez chwilę podejrzewałem, że ktoś mi czegoś dosypał do drinka. Z minuty na minutę wszystko zaczęło mi się rozmywać.

Dziwne myśli zaczęły przychodzić mi do głowy.

– Jezu, i co? – Nie mogłem wytrzymać.

– No właśnie nie do końca wiem co... – Wzruszył bezradnie ramionami. – Obudziłem się nad ranem, zupełnie nagi. Obok mnie leżała moja przyjaciółka, również bez ubrania. – Sebastian spojrzał przed siebie i przez chwilę nie było go ze mną w Nowym Jorku. – Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem. Niedługo potem wyjechała do pracy za granicę. – Szukał w moich oczach zrozumienia. – To wszystko było tak bardzo nie w moim stylu. Ja nie tracę

kontroli po alkoholu, a wtedy w którymś momencie zrobiło mi się ciemno przed oczami. Jedyne, co pamiętałem, to poranek następnego dnia. – Znowu wzruszył ramionami.

A moja twarz płonęła. Od środka. Przyjaciółka uwiódła Sebastiana, wcześniej go upijając. Czy komukolwiek można było jeszcze ufać?

ROZDZIAŁ 35

Wybudziłem się gwałtownie, zdezorientowany i spanikowany. Zupełnie jak po kilkunastominutowej drzemce w środku dnia. Razem ze mną przebudził się ból głowy. Już raz mieliśmy ze sobą przyjemność. Dokładnie tak samo się czułem, gdy ocknąłem się po imprezie andrzejkowej. No, prawie tak samo. Bo po imprezie obudziłem się w swoim łóżku, a obecnie siedziałem przywiązany do krzesła. Plecy bolały mnie jak po kilkunastogodzinnym locie klasą ekonomiczną do Los Angeles. Bładoróżowa bluza z kapturem, którą włożyłem, wychodząc z domu, miała na sobie ślady błota. Karolina ciągnęła mnie po ziemi? Ręce i nogi miałem skrępowane opaskami zaciskowymi, a w ustach szmatę spryskaną Guilty Gucciego. Nienawidziłem tego zapachu. Dodatkowo wokół głowy miałem przyklejoną jakąś taśmę, pewnie żebym nie wypluł tej wyperfumowanej sierci.

Siedziałem twarzą do kamiennej ściany. Nos działał na tyle sprawnie, że wyczułem zapach zgnilizny i starych ubrań. Kiedy udało mi się spojrzeć przez ramię, zobaczyłem dwa okienka w kształcie półksiężyca, za którymi zaczynało wschodzić słońce. Okej, przytargała mnie do tego bunkra koło domu. Zastanawiałem się, skąd miała tyle siły. Może ktoś jej pomagał? Mężczyzna. Sebastian. Sebastian? O Jezu. Albo krzepka kobieta. Beatka?

Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Po co uknuli taki syf, skoro po prostu mogli mi powiedzieć, że mają dziecko i chcą być razem? Pewnie bym im to utrudniał przez jakiś czas, ale, na Boga, nikogo bym nie zamknął w śmierdzącym bunkrze. Ciekawiło mnie, co w takiej sytuacji powiedzieli dziecku? „Zuzia, kochanie, idź już do swojego pokoju. Mamusia z tatusiem tylko zamkną wujka w piwniczce i przyjdą ci poczytać”. Swoją drogą śliczna ta Zuzia, ale trudno się temu dziwić. Z takimi genami dziewczynka z pewnością już była najładniejsza w klasie. Piękna Karolina, piękny Sebastian. W jednym ze swoich utworów, nie pamiętałem w którym, Tolstoj napisał: „Zdumiewające, jak zupełne bywa złudzenie, że piękno jest dobrem”. No właśnie.

Nie wiedziałem, co mnie bardziej męczy: suchość w ustach, opaski na kończynach czy zastanawianie się, czemu kilka dni przed świętami siedzę w bunkrze obok domu przyjaciółki mojego partnera, z którą jak się okazało, miał dziecko. Matriks. A co, jeśli serio Karolina chciała mi zrobić coś złego? Na przykład zostawić w tej piwnicy aż do Bożego Narodzenia? Albo do sylwestra? Albo na zawsze...

Znowu pomyślałem o swoim pogrzebie. W zasadzie często o nim myślałem, zdecydowanie częściej niż przeciętny człowiek. Na pewno nie byłem pod tym względem przeciętny. Nie żebym tak bardzo pragnął umierać, po prostu lubiłem sobie wyobrażać, kto gdzie będzie siedział i w co będzie ubrany. Że będę w centrum zainteresowania. Że będzie lato i żałobnicy będą mieli ze sobą bukiety świeżych kwiatów. No ale teraz panowała

wstrętna zima i mogłem liczyć jedynie na sztuczne kalie na stroikach z jody. To nie był dobry moment na piękny pogrzeb.

Kilka kropel potu spłynęło mi po czole. Zaczęło mi się robić duszno. Wyperfumowana szmata, którą miałem w ustach, intensywnie smakowała alkoholem, powodując co jakiś czas odruchy wymiotne. Nawet ja nigdy nie piłem z rana. Na dworze zrobiło się jasno, a do podziemia bardzo opieszale wlewało się tępe smutne światło grudniowego poranka. W okolicach najkrótszego dnia w roku łatwo było ocenić, że jest koło ósmej. Pomieszczenie, w którym siedziałem, w niczym nie przypominało, jak to opisywał Sebastian, miejsca, gdzie „urocza staruszka trzyma konfitury, kartofelki, łakocie dla wnusia, nalewkę i grabki”. Wierząc się, zobaczyłem, że otaczają mnie stoły, sznury, piła i inne ostre narzędzia, stare zardzewiałe garnki i tablica korkowa z jakimiś czarno-białymi zdjęciami. Trochę opakowań po zabawkach. No i oczywiście w rogu stał karton z winem, tej samej firmy, która od kilku tygodni dostarczała mi trunki. Co za zbieg okoliczności.

Siedząc na krześle, analizowałem wszystkie możliwe scenariusze zemsty, które zrealizuję, kiedy tylko ta psychopatka desperatka mnie wypuści. W każdym z nich szedłem na policję i usuwałem ją ze znajomych na Facebooku.

– Idź pobiegać, kundlu – dobiegło z dworu. Chyba Karolina wypuściła Rózię z domu.

Drzwi do bunkra głośno zaskrzypiały. Przy okazji zwróciłem uwagę, że nie były zamknięte na klucz. Obróciłem głowę w lewo i mimo że znowu widziałem wyraźnie, to w kobiecie, która stanęła w drzwiach, ledwo rozpoznałem Karolinę. W niczym nie przypominała damy, którą bywała na co dzień. Złoty dres z wielkim logo, czapeczka z daszkiem i białe kroksy. Spodziewałem się, że zaraz do mnie powie: „Ziomek, obstaw szluga, bo ci najebię. Kminisz?”. A może to jej siostra, która za bardzo się naćpała na dyskotecce pod Siedlcami? Jednak gdy podeszła bliżej, nie miałem wątpliwości, że to Karolina. Tego maniakałnego spojrzenia, którym mnie raczyła poprzedniego wieczoru, nie pomyliłbym z żadnym innym.

Zacząłem się szamotać. Karolina położyła lewą rękę na mojej głowie, a prawą w miarę delikatnie usunęła taśmę. Wbijając we mnie spojrzenie, wyjęła mi z ust chustkę.

– Popierdoliło cię? Daj mi wody! – Mimo jej psychowzroku miałem jeszcze na tyle siły, żeby wyrazić swoje, delikatnie mówiąc, rozczarowanie tą sytuacją. – Na pewno ci tego nie odpuszczę! Wyglądasz jak dresiara spod Sosnowca!

– Widzę, że poczucie humoru cię nie opuszcza. To dobrze. – Chyba przez moment złapałem z nią kontakt. Wzięła z jednego ze stołów do połowy pełną („do połowy pustą” – powiedziałaaby moja mamusia) butelkę z czymś pomarańczowym i przyłożyła mi do ust. – Mam tylko to. Pij.

Byłem pewien, że odtąd już nigdy, przenigdy nie wypiję niczego o smaku tak zwanej multiwitaminy. Obrzydliwie słodka ciecz wylewała mi się bokami z ust, ale nie miałem innego wyjścia. Coś mi mówiło, że nie mogłem liczyć na butelkę schłodzonej wody Evian. Kiedy wypilem na tyle dużo, że już nie groziło mi odwodnienie, kiwnąłem przecząco głową. Karolina odsunęła butelkę od moich ust.

– Co to za zabawa? Gdzie jest Sebastian? – syknąłem przez zęby. – Kiedy mnie wypuście? Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

– Słuchaj, domyśliłem się, do czego dążysz, ale może znajdziemy jakieś inne rozwiązanie?
– Strach parował z mojego ciała. Mimo to podjąłem próbę negocjacji. – Jeśli chcesz być z Sebastianem i on tego chce, to myślę, że jakoś sobie z tym poradzę. Nie musisz mi robić krzywdy.

– Ale ty jesteś głupi. – Karolina usiadła na stole, zdjęła czapkę, włosy złapała w kitkę, nie przestając się na mnie gapić. Jej oczy niczym lasery wypalały dziury w moim ciele. – Naprawdę niczego nie rozumiesz.

Zrobiło mi się bardzo gorąco. Jak przez mgłę przypomniałem sobie moment z imprezy, kiedy po wyjściu z domu Karolina pokazywała coś Sebastianowi w telefonie, a on nerwowo gestykulował. Później na imprezie był już cały czas jakby mniej obecny. Czyżby właśnie dopiero wtedy powiedziała mu o dziecku? Czy to możliwe, że on nadal chciał być ze mną?

ROZDZIAŁ 36

DAWNIEJ

Portland

Zaraz po śniadaniu ruszyliśmy w stronę ogrodu japońskiego. Widziałem już kilka podobnych i dość leniwie zbierałem się do tej wycieczki. Sebastianowi udało się jednak mnie przekonać, mówiąc, że ambasador Japonii okrzyknął właśnie to miejsce najpiękniejszym i najbardziej autentycznym ogrodem japońskim na świecie. Oczywiście poza granicami Japonii.

Im bliżej położonego na wzgórzu kultowego Washington Park, tym mniej słychać było zgiełk miasta. Zastępowały go kojące odgłosy natury: śpiew ptaków, szum drzew i ukrytych gdzieś za drzewami potoków.

– Ale tu cicho. – Spojrzałem na Sebastiana, którego bez reszty pochłonęło piękno otoczenia. – Prawie nikt nie gada.

– To ty też mógłbyś dzisiaj mniej mówić. Dasz radę? – Jego prośba wydawała się szczerą.

Pomyślałem, że może się obrazę i będzie musiał mnie przeproszać, ale akurat weszliśmy na jakiś zygzakowaty most i moją uwagę przykuły kolorowe ryby pływające w stawie.

Harmonia i elegancja. Te dwa słowa najlepiej oddawały klimat ogrodu. Drzewa w niezliczonych odcieniach zieleni były starannie wypielęgnowane, a jednocześnie zupełnie nie sprawiały wrażenia, że za ich pięknem stoi człowiek. Wydawało mi się, że woda przepływa przez ogród wszędzie z taką samą prędkością. Szemrzące dookoła strumienie działały nieco usypiająco.

Zatrzymaliśmy się przy niewielkim wodospadzie. Napiliśmy się wody, potem wyjąłem z plecaka telefon, żeby zrobić kilka zdjęć.

– Nie, zostaw. – Sebastian odsunął moją rękę wycelowaną w przelewającą się wodę. – Tu jest tak idyllicznie i spokojnie. Zostawmy technologię i fotografujmy tylko mózgiem i sercem.

„Dobra, spoko” – pomyślałem. Nie przeszkadzało mi to za bardzo, bo sam czułem się *zen* i *kendo* czy jakoś tak. Stawałem się jednością ze swoim oddechem. Schowałem telefon do kieszeni. Nie wiem, jak długo spacerowaliśmy. Ogród zawładnął wszystkimi moimi zmysłami. Nigdy wcześniej nie odczuwałem przyjemności z milczenia. Nie czułem zmęczenia ani głodu. Sebastian wskazał palcem na budynek znajdujący się na wzniesieniu.

– Chodźmy do tej herbaciarni. – Chwycił moją dłoń i weszliśmy po schodach do pomieszczenia, którego wystrój mnie zaskoczył. A w zasadzie jego brak.

– To chyba jest jakaś sala do jogi... – szepnąłem do niego i zauważyłem, że ściąga buty, więc zrobiłem to samo – ...albo do judo.

Weszliśmy do środka i usiedliśmy na czarnych materacykach przy niskim drewnianym stoliku. Z tego, co zapamiętałem po obejrzeniu *Wyznań gejszy*, bynajmniej nie byliśmy

w poczekalni. Wiedziałem, że nikt nas nie zaprosi do wygodnego stolika. Rozglądając się wokół, zauważyłem makatkę z *kanji*, których oczywiście nie znałem. Pod spodem było jednak tłumaczenie na angielski: „Czysty dom to czysty umysł”. Kiedy zastanawiałem się, czy w naszym domu jest wystarczająco czysto, podeszła do nas kobieta w różowym kimonie przewiązanym białym pasem, w którym trzymała jakieś szmatki.

– *Ocia*. – Sebastian zwrócił się do niej, wypowiadając dziwny wyraz, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. – Zamówiłem nam herbatę – dodał, spoglądając na mnie.

Kobieta wzięła się do roboty. Choć to trochę za dużo powiedziane. To była najwolniej przygotowywana herbata, jaką piłem. Ja gotuję wodę, wrzucam saszetkę, plaster cytryny i już. Ona zagotowała wodę i miarka po miarce, bardzo powoli, mieszała ją z jakimś proszkiem, czego rezultatem był spieniony napar. Doceniałem jej wysiłek i skupienie, jakie włożyła w przyrządzenie nam napoju, ale i tak trwało to zdecydowanie za długo.

– To macza? – zapytałem Sebastiana, trzymając czerwony gliniany kubeczek w dłoni.

– Macza to się sushi w sosie sojowym. To jest *matcha*, „t” w środku nie jest nieme. – Sebastian uśmiechnął się pod nosem i zbliżył swoją czarkę do mojej. – Na zdrowie. Ale cudowny ten dzień, nie sądzisz?

– Zgadzam się. – Spojrzałem mu głęboko w oczy i uśmiechnąłem się.

Siedzieliśmy przez chwilę, delektując się herbatą, kiedy Sebastian zapytał:

– „Jak się pisze MIŁOŚĆ”?

– Nie rozumiem. – Wyrwany z zamyślenia i wpatrzony w zieleń za oknem, nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– „MIŁOŚĆ się nie pisze. MIŁOŚĆ się czuje” – odpowiedział sam sobie i wtedy skojarzyłem, że to fragment z *Kubusia Puchatka*.

Sebastian pocałował mnie w dłoń.

– Bardzo cię kocham. Chcę się z tobą zestarzeć i zrobię wszystko, żeby tak było. Obiecuję ci, że pokonam każdą przeszkodę, która się między nami pojawi – wyszeptał wzruszony. – Jeśli tylko coś będzie w stanie zagrozić naszej miłości, to będziemy to my sami. Z całą resztą damy sobie radę.

Nic nie odpowiedziałem. Nie chciałem. Nie musiałem. To był wyjątkowy dzień. Dzień, w którym ani razu nie użyłem aparatu fotograficznego, a miałem mnóstwo przepięknych zdjęć. W sercu.

ROZDZIAŁ 37

Karolina siedziała na starym drewnianym krześle, wpatrując się we mnie zdesperowanym i zmęczonym wzorkiem.

– Od zawsze marzył o córce. Chciał, żeby miała na imię Laura albo Zuzia – wymamrotała i przełknęła ślinę. – Teraz jednak powiedział, że potrzebuje czasu, żeby to zaakceptować. Był zły, że zataiłam to przed nim, i stanowczo dodał, że wasz związek stawia na pierwszym miejscu.

Miałem rację. Na imprezie andrzejkowej musiała mu wyznać prawdę o dziecku. To dlatego zniknął. Kilka lat zajęło mi zrozumienie, że kiedy w życiu Sebastiana pojawiały się krytyczne momenty, on zawsze potrzebował czasu sam na sam ze sobą. Gdy zmarła jego babcia, wyjechał na tydzień w góry i wyłączył telefon. Ważne wydarzenia zachodzące w jego życiu najpierw musiał przetrwać w samotności. Prawdopodobnie tak samo było, kiedy się dowiedział o Zuzi.

– Więc wpadłaś na pomysł, że jak się mnie pozbędziesz, to on jednak będzie z tobą? – W przesadny sposób przechyliłem głowę. Czułem, że jeśli przestanę ją zagadywać, przejdzie do konkretów. Na przykład coś mi utnie. – A ty nie widziałaś na filmach, że to zazwyczaj nie wychodzi? No nie wiem, musiałaś oglądać na przykład *Fatalne zauroczenie* z Glenn Close. – Uwielbiałem ten film. Studium kobiecej hysterii, frustracji i żądzy zemsty.

Karolina spojrzała w stronę okna. Światło padało na jej twarz. Widziałem, jak jej kości policzkowe drgają.

– Jestem samotną matką. Jeszcze do niedawna myślałam, że dam sobie radę bez niczyjej pomocy. Po stracie pracy w Londynie wpadłam w tarapaty finansowe i wtedy znów przyszła mi do głowy myśl, żeby mieć Sebastiana dla siebie i dla Zuzi. – Jak zakłeta patrzyła w dal. – Od zawsze mi się podobał. Kiedy w końcu, przy małym wsparciu leków, udało mi się go uwieść, pojawiłeś się ty. W dniu, w którym dowiedziałam się, że jestem w ciąży, zadzwonił do mnie rozanielony i powiedział, że nareszcie znalazł miłość swojego życia. Nie powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka. Nigdy też nie rozmawialiśmy o tym, do czego doszło między nami. Postanowiłam wyjechać i znaleźć mężczyznę, który będzie dla mojej córki ojcem. Niestety przeszłość podążała za mną wszędzie. Gdziekolwiek się wprowadziłam, ona już tam była, czekała na mnie rozwalona na kanapie. – Po jej policzku spłynęło kilka łez.

Podeszła do kartonu stojącego w rogu i wyjęła z niego butelkę wina.

– Napijesz się przed odejściem na tamtą stronę. Będzie bardziej wiarygodnie. – Zdjęła folię zabezpieczającą korek i zaczęła śrubokrętem wpychać go do środka. – Może nawet napiję się z tobą.

Czułem, jak krew napływa mi do twarzy. Nie chciałem się wybierać na żadną stronę. Ale bardziej niż jej słowa przerażało mnie to, jak się przeistacza. Coraz bardziej przypominała Glenn Close, i to z końcówki filmu: zrozpaczona, załamana i wściekła. Pomyślałem, że jeśli jednak napije się ze mną, to może uda się ją jakoś przekonać, żeby zmodyfikowała swoje plany. Na przykład mogłaby mnie mocno skopać, zamiast zabijać. Jeszcze raz rozejrzałem się po bunkrze. Wyobrażenia podsuwała mi setki sposobów, w jakie mógłbym zostać pozbawiony życia. Większość koncentrowała się wokół noży, pił i młotków. Zadżgany, przerżnięty piłą i z rozbitą czaszką.

Kiedy korek wpadł do środka, Karolina wzięła łyk wina, podeszła do mnie, rozchyliła mi wyschnięte usta i przechyliła butelkę.

– Nie chcę już! – Przekręciłem gwałtownie głowę. Wino ciekło mi po brodzie i na bluzę.

Karolina zabrała butelkę i wróciła na krzesło.

– Czyli te wszystkie syfy, które mnie ostatnio spotykały, to twoja zasługa? Znikające kwiaty, odcięty prąd, zdjęcia w telefonie, gorący kubek z kawą... – Uniosłem brwi.

– Nie wiem, o jakiej kawie gadasz. Akurat to chyba sobie wymyśliłeś. – Spojrzała na mnie pytająco. – Ale zdradzę ci, że w całej zabawie to najtrudniej było mi oswoić Rózię, żeby nie szczekała. Zaczęłam jej w końcu dawać przekąski ze środkami nasennymi.

Teraz już rozumiałem, czemu pies ciągle drzemał. Rózia była zupełnie zdrowa. Ale jak to możliwe, że to nie Karolina zrobiła kawę i postawiła obok mojego kubka tamtego dnia? Dobra, może rzeczywiście coś mi się popieprzyło.

– Jak mnie tutaj sama przeniosła? – Wróciłem do niej wzrokiem.

– Nie zapominaj, że jestem pielęgniarką. Nie takich jak ty nosiłam w szpitalu. – Uśmiechnęła się szeroko. Niczym Joker. Smutny, samotny Joker. – Nękanie ciebie było proste i przyjemne. Jak tylko zobaczyłam, że przyjechaliście do leśniczówki, zaczęłam was obserwować przez okno.

Przypomniało mi się, że już kilka lat zbieraliśmy się do wymiany zamków, ale nigdy tego nie zrobiliśmy. Karolina mogła wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chciała.

– Zauważyłam, że lubisz wieczorem wypić wino albo dwa. Kiedyś podsłuchiłam, jak się kłóciliście i rozmawialiście o twoim nadużywaniu alkoholu i śmierci waszego sąsiada. Plan sam zaczął się układać.

– Plan czego?

– Żeby zrobić z ciebie alkoholika wariata. – Podniosła butelkę w geście toastu. – Chciałam doprowadzić do tego, by Sebastian zaczął wątpić w sens bycia z tobą. Żeby cię zostawił i wprowadził się do nas. Mieliśmy być szczęśliwą rodziną i przerwać kilkupokoleniową kłatwę.

– Kłatwę? – Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak na serio użył tego wyrazu.

– Mój dziadek zostawił moją babcię dla jej siostry. Babka wychowywała sama moją matkę. Moja matka również nie miała przy sobie mężczyzny, kiedy ja dorastałam. – Jej mętne oczy na chwilę posmutniały. – Wiesz, jak to jest wychowywać się bez ojca?

Spojrzała na mnie. Chciałem wykorzystać tę chwilę słabości i dotrzeć do jakiegoś współczującego zakamarka jej mózgu.

– Bardzo mi przykro. – Z pełną empatii miną przelknąłem ślinę.

– Twoje „przykro” nie utuli do snu mojej córki. – Zeskoczyła energicznie na ziemię. Chyba jednak nie miała żadnej chwili słabości. – Całe życie szukałam poczucia bezpieczeństwa. Matka ciągle poszukiwała szczęścia. Przez nasz dom przewijały się dziesiątki mężczyzn!

Jej podniesiony głos coraz mocniej rezonował w kamiennym pomieszczeniu. Podeszła do tablicy korkowej, odczepiła jedno z czarno-białych zdjęć i przytrzymała mi przed oczami.

– Na tyle, na ile mogę ufać mojej matce, to jest mój ojciec.

Mężczyzna na fotografii bardzo przypominał Sebastiana sprzed kilku lat. Zupełnie mnie to nie zdziwiło. Czytałem wiele razy, że podświadomie szukamy partnerów podobnych do naszych rodziców. Spojrzałem na Karolinę i jeszcze raz na zdjęcie. Przez chwilę było mi jej nawet żal. Syndrom sztokholmski. Z minuty na minutę robiło mi się coraz bardziej duszno. Moja oprawczyni zaczęła nerwowo chodzić wokół krzesła. Kontynuowała swoją spowiedź:

– Zaczęłam uprawiać seks w wieku trzynastu lat. To byli faceci mojej matki. – Zatrzymała się tuż za moimi plecami. – Żaden z nich nie dał ani mnie, ani mojej matce poczucia bezpieczeństwa, miłości.

– Słuchaj, jak dla mnie to bardziej brak umiejętności bycia w związku niż klątwa – próbowałem rozładować atmosferę. – Może jakaś terapia zamiast zabijania?

Karolina mnie nie słuchała. Po chwili zniknęła z mojego pola widzenia, słyszałem, że coś przesuwa po stole stojącym pod ścianą. Jakiś zimny ostry przedmiot dotknął mojej szyi.

– Kiedy pojawił się Sebastian, który otoczył mnie opieką i okazał mi zainteresowanie, zapragnęłam, żeby stał się mężczyzną mojego życia. Spędzaliśmy razem długie godziny, potem całe dni i tygodnie. – Z każdym słowem jej głos stawał się coraz bardziej szorstki. – Pamiętam, jak kiedyś w Sopocie chciał mnie pocałować w policzek na pożegnanie, a ja celowo ruszyłam głową i nasze usta się zetknęły. Przez moje ciało przebiegła fala gorąca. Od tego momentu szalenie go pokochałam.

Tak, wyraz „szalenie” doskonale pasował do sytuacji, w której tkwiłiśmy.

– Au! To boli! – Ostry przedmiot coraz mocniej wbijał się w moją szyję. – Karolina, ale zabicie mnie niczego ci nie da. – Poczulem, jak ciepła strużka krwi spływa mi po karku. – Myślę, że Sebastian nadal może być dla Zuzi dobrym tatą.

– Nienawidzę cię od momentu, kiedy cię zobaczyłam! – mówiła coraz głośniej. Właściwie to już krzyczała.

Chwyliła mnie mocno za włosy i stanęła naprzeciwko. Do mojej twarzy zbliżał się nóż zakończony czerwonym drewnianym trzonkiem. Byłem przygotowany na to, że Karolina zaraz poderżnie mi gardło albo wydtubie oczy. Nie, nieprawda, w ogóle nie byłem przygotowany. Ubranie do trumny niewybrane, na zewnątrz pizgawica, więc mało kto przyjdzie na pogrzeb, no i nie zdążyłem się pojawić na bożonarodzeniowym koncercie Mariah Carey. Ale przede wszystkim nie przekazałem nikomu żadnych słów pożegnania. Hmmmm...

Sebastian, najpiękniejsza stara duszo na świecie. Kiedy mnie już nie będzie, znajdź kogoś, kto Cię pokocha tak jak ja, a jeśli to możliwe, to nawet bardziej, lepiej, czystziej. Zostań na zawsze sobą, nie zmieniaj się i pamiętaj o mnie jak najdłużej. Kocham Cię.

Mamo, Twoja ogromna miłość okazywana w dość oryginalny sposób dała mi w życiu dużo siły i pozwoliła poradzić sobie w niejednej trudnej sytuacji. Wykorzystaj teraz swoją

mądrość, żeby sobie poradzić z moim odejściem. Jesteś wspaniałą kobietą. Kocham Cię.

Beata, błagam Cię, schudnij. Naprawdę z cholesterolem w okolicach trzystu nie pożyjesz zbyt długo. Głupio by było, gdybyś po wygranej z rakiem dostała teraz udaru od nadmiaru frytek. Jeżeli po mojej śmierci znajdziesz kogoś, kto zastąpi mnie w Twoim życiu, to przysięgam, że co noc będę Cię straszyl na tej Twojej Białogórze. Kocham Cię.

Karolina dziwnie mi się przyglądała. Jakby spodziewała się z mojej strony histerycznego krzyku i błagania o pomoc. Zamiast tego spojrziałem na nią i pewnym głosem zapytałem:

– Wahasz się? – Zaraz po tych słowach poczułem kolejne fale gorąca na twarzy. Nerwowo zaciskałem i rozprostowywałem drętwiejące palce.

Kiedy jej wzrok zdawał się odpowiadając przecząco na moje ryzykowne pytanie, z zewnątrz dobiegło trzaśnięcie furtki i szczekanie psa.

– Panie Pawle, jest pan tu?! – Znajomy głos nawoływał mnie z podwórka. – Różia tu jest! Znalazłam ją!

Od razu poznałem głos pani Marysi. Znalazła mnie, choć nawet nie wiedziałem, że mnie szuka. No tak, powiedziała, że dołączy do poszukiwań psa, jak tylko odbierze pieczarki.

– Kurwa... – Karolina spojrzała w stronę okien, błyskawicznie włożyła mi szmatę do ust i położyła na nich palec wskazujący, nakazując milczenie. Wzięła kilka głębokich oddechów i poszła w stronę wyjścia. Kiedy zamykała za sobą drzwi, usłyszałem, jak woła:

– O, dzień dobry pani. – Delikatny, ciepły głos Karoliny przywitał Marysię. – Co panią tu sprowadza?

Nic więcej nie udało mi się usłyszeć. Drzwi bunkra trzasnęły z hukiem. Mogłem się tylko domyślić, że Karolina opowiada Marysi to samo co mnie, czyli że znalazła psa, kiedy biegła w lesie. Marysia nie miała żadnych powodów jej nie wierzyć. Istniała jednak szansa na konflikt. Karolina z pewnością nie zechce oddać psa sklepowej, a ta na pewno będzie usiłowała zabrać Rózię ze sobą i zaprowadzić do mojego domu. Obawiałem się, że jeśli Marysia zbyt mocno postawi się Karolinie lub spróbuje wezwać policję, może się to dla niej skończyć fatalnie. Najfatalniej.

Mimo że przed chwilą żegnałem się już z tym światem, to byłbym skończonym idiotą, gdybym nie spróbował wykorzystać sposobności, którą stworzyła wizyta Marysi. Jednak łatwiej było sobie powiedzieć „Do dzieła!” niż zaplanować sekwencję ruchów, które pozwoliłyby mi się uwolnić.

Nogi i ręce miałem skrępowane czarnymi trytytkami. Do krzesła byłem przywiązany białym sznurkiem, jakiego rolnicy używają do robienia walców z siana. Nigdy nie mogłem zapamiętać, jak się na to mówiło. Bela? W ustach miałem wyperfumowaną szmatę. Obiecałem sobie, że jeśli jakimś cudem uda mi się wydostać z tych, delikatnie mówiąc, tarapatów, to będę miażdżył wzrokiem każdą kobietę pachnącą Guilty Gucciego.

Odtworzyłem w głowie kilkadziesiąt odcinków *MacGyvera*, ale nic mi to nie dało. Nie byłem facetem, który potrafiłby stworzyć pociąg z sześciu aluminiowych puszek, starego bojlera, kłamki i kamienia. Nie odgryzałem też głów gołębiom. W ogóle nie robiłem praktycznie niczego, co robili bohaterowie seriali i filmów przygodowych. Patrząc na to, jak sobie radziłem z różnymi technicznymi pracami, na przykład ze skręcaniem regału,

Sebastian zwykł mnie określać „nieoczywiście męskim” i najmniej praktycznym mężczyzną na świecie. Nigdy nie uważałem tego za przytyk. Wręcz przeciwnie.

Nie wiedziałem, ile czasu zajmie Karolinie pozbycie się Marysi. Musiałem więc zastanowić się, którą część ciała oswobodzić, by dało mi to najwięcej możliwości, a jednocześnie było najszybsze. Ręce nie wchodziły w grę, bo były skrupowane z tyłu, za krzesłem. Sznura było tak dużo, że też nie widziałem szansy, żeby się z niego sprawnie wyplątać. Postanowiłem w jakiś sposób przeciąć opaski, które trzymały moje nogi. Na filmach ofiary często pocierały o różne kanty i brzegi i to pozwalało im się uwolnić.

Podsakując na krzesło, zbliżyłem się do starej zielonej szafy. Kosztowało mnie to dużo wysiłku. Drzwi mebla były uchylone. Chwyciłem je między nogi tak, żeby opaski znajdujące się na wysokości kostek stykały się z ich kaniem. Zacząłem poruszać nogami w górę i w dół, dość delikatnie i powoli, bo wiedziałem, że jak się przewrócę, to nie będę w stanie sam się podnieść. Albo gorzej – szafa wypełniona stoikami z ogórkami przewróci się i mnie przygniecie. Cały czas starałem się zachowywać możliwie cicho. Po kilkunastu ruchach zauważyłem, że opaska jest prawie nienaruszona. „No i chuj” – zakląłem w myślach. Odsunąłem się od szafy i spojrzałem w stronę okna. Usłyszałem szczekanie Rózi. Co się tam działo?

Obok stołu, na którym wcześniej siedziała Karolina, leżało kilka arkuszy blachy. Takiej, jaką kładzie się na dachach. Fachowo to chyba się nazywało blachodachówka. Cholernie spocony zacząłem się przemieszczać w stronę tego składowiska. Kiedy udało mi się dotrzeć w okolice stołu, byłem półżywy. Tuż za blachą, pod ścianą, stało stare ubrudzone lustro w metalowej ramie. Dostrzegłem w nim własne odbicie, które trzymając w ustach szmatę nasączoną perfumami, powiedziało do mnie bezgłośnie:

„Weź, chłopie, zagęść ruchy, zanim ona wróci. Masz dla kogo żyć. Sebastian, psy, brat z rodziną. – Mrugnęło okiem i dodało: – I pokaż w końcu matce, że nawet gdy stanie się coś złego, to sobie poradzisz”.

Zawsze mogłem liczyć na swoje odbicie. Poczułem mocny wyrzut adrenaliny. Góra, dół, góra, dół, góra, dół. Coraz szybciej pocierałem nogami o kawałek blachy. Krzesło co chwila drgało. Musiało się udać. W końcu opaska strzeliła. Byłem w stanie podnieść się mniej więcej do wysokości kogoś z zaawansowanym lumbago. Wypita poprzedniego wieczoru herbatka z otumaniającą wkładką jeszcze nie do końca ze mnie wyparowała. Przy pierwszej próbie utrzymania się na nogach upadłem na kolana. Czułem się tak, jakbym ważył ponad sto kilogramów. W zasadzie po tylu dniach żywienia się prawie wyłącznie humusem i czerwonym winem mogło tak być.

Z ciałem zgiętym pod kątem dziewięćdziesięciu stopni powoli ruszyłem w stronę drzwi. Liczyłem, że słuch mnie nie mylił i Karolina, wychodząc, jednak nie zamknęła ich na klucz. Ostrożnie wszedłem na pierwszy schodek prowadzący do wyjścia. Na uwolnienie nóg zużyłem większość energii. Ledwo oddychałem. Zapach perfum dusił mnie coraz bardziej. Musiałem pozbyć się tej szmaty z ust, żeby nie stracić przytomności. Karolina nie miała zbyt wiele czasu, nim wybiegła na podwórze, więc taśma przytrzymująca chustę była lekko poluzowana.

Obok drzwi zauważyłem zardzewiały hak. Pewnie używano go, żeby wieszać na nim kurtkę, łopatę albo i lochę. Zbliżyłem się do niego. Śmierdział rdzą. Zacząłem ostrożnie

celować tak, by zaczepić o niego srebrną taśmę znajdującą się na moich ustach. Kręcąc głową w prawo i lewo, wsunąłem za ostry koniec haka mniej więcej połowę grubości taśmy. Trzy, dwa, jeden... Odrzuciłem głowę w tył w nadziei, że taśma się urwie. Niestety nic z tego. Moje na wpół zgięte, skrępowane, odwodnione i słabe ciało miało już dość.

– Co pani sobie wyobraża?! Proszę mi natychmiast oddać tego psa! Szukałam go w lesie całą noc! – Usłyszałem krzyk dobiegający z podwórka. – Kim pani w ogóle jest?! – Spotykałam tylko na wsiach specyficznym tonem, pełnym oburzenia i pretensji, Marysia darła się na Karolinę. – A, poznaj! To pani ostatnio próbowała mnie w sklepie prowokować! Paniusia z miasta!

Przypomniało mi się, jak siedząc na zapleczu, zastanawiałem się, skąd znam dochodzący ze sklepu głos.

Podjąłem drugą próbę wyjęcia szmaty z ust. Zastosowałem tę samą technikę, tylko włożyłem w tę czynność jeszcze więcej siły i precyzji. Połowa taśmy pękła. Spróbowałem językiem wypchnąć materiał, ale reszta taśmy nadal go trzymała. Na szczęście nie tak mocno. Ku mojemu zaskoczeniu z drugą częścią poszło już łatwiej. Kiedy taśma całkiem puściła, zacząłem z całej siły wypychać chustę z ust. Po kilku sekundach mogłem już oddychać swobodnie. Swobodnie, ale nadal stęchłym powietrzem. Odkaszałem po cichu.

Wszedłem na drugi schodek i chwyciłem ustami starą mosiężną klamkę. Obrzydlistwo! Zaboląły mnie wszystkie zęby. Ale jeśli kosztem pleśniawek w ustach mogłem odzyskać wolność, to smak brudu z klamki nie miał większego znaczenia. Mocno pociągnąłem ją w dół. Niezamknięte na klucz drzwi lekko odskoczyły. Czuję, jak cudowny powiew chłodnego poranka oczyszcza mnie z zapachu perfum i brudu. Zadziałał odświeżająco niczym plaster imbiru między kawałkami sushi. Dobiegało mnie nerwowe szczekanie Rózi. Zrobiłem krok do tyłu i głową, niczym zwierzę, zacząłem powiększać szczelinę w drzwiach, żeby wydostać się z bunkra. Kiedy ciężkie drzwi otworzyły się na tyle, żebym mógł się wydostać, zgięty wpół resztkami sił pchnąłem je ramieniem i wypadłem na zewnątrz.

Mimo że na dworze panował grudniowy półmrok, to pierwszy kontakt ze światłem dziennym dał się moim oczom we znaki. Poczuję ukłucie i zamknąłem na chwilę powieki. Szybko je jednak otworzyłem. Podwórko wyglądało zupełnie inaczej, niż je zapamiętałem z poprzedniego wieczoru. Wtedy wszystko wydawało mi się czarne. Dzień odsłonił uśpiony o tej porze roku, ale zadbane niewielki sad. Po prawej stronie była piaskownica wypełniona zabawkami i mała niebieska zjeżdżalnia. Typowy podlaski dom, wiele kolorów i kunsztowne zdobienia. Podobało mi się. Sebastianowi też by się podobało.

Stałem na tyle prosto, na ile może sobie pozwolić ktoś z przywiązaniem do siedzenia krzesłem. Zobaczyłem, jak na ganku Karolina z Marysią gestykuluje i krzyczą.

– Pani miejsce jest w sklepie, a nie u mnie na podwórku! – Karolina stała przodem do podwórka, na tle błękitnych drzwi ozdobionych świąteczną girlandą.

Wiedziałem, że zaraz mnie zauważy. Prawą ręką wskazywała Marysi furtkę, a w lewą trzymała na smyczy Rózię. Marysia, ubrana w coś na kształt futra, stojąc tyłem do podwórka, wymachiwała energicznie lewą ręką przed nosem Karoliny. Prawą wyciągała w stronę smyczy, jakby czekała, kiedy Karolina poluzuje uścisk, żeby zabrać jej psa. Dresiara, dama w futrze i koleś przywiązany do krzesła. Ot, zwykły niedzielny poranek na wsi.

Przy lewej nodze Karoliny trzęsła się Różia, która od razu mnie dostrzegła i radośnie zaszczekała. Wzrok Karoliny natychmiast powędrował w moim kierunku, a na jej twarzy odmalowała się panika. Skupiona na awanturze Marysia zupełnie nie zwróciła uwagi na reakcję psa. Musiałem połączyć z nią siły. Wziąłem głęboki wdech i wydech.

– Pomocy! – W grudniowy niedzielny poranek mój głos z łatwością niósł się po całym podwórzu, a może i po województwie.

Marysia obróciła się gwałtownie w moją stronę. Przy okazji zauważyłem, że kołnierz jej sztucznego futra jest ozdobiony broszką w formie tęczy. Przypomniało mi się, jak mój dziadek kupił kiedyś babci płaszcz z szynszyli tylko po to, żeby jego koledzy ze Śląskiego Koła Szachowego wiedzieli, że mu się powodzi. Babcia nie mogła nosić futra w inne dni, żeby cały czas wyglądała na nowe, „prosto z salonu”.

Mimo że sklepowa nie wiedziała zapewne, co oznacza skrót „WTF”, to kiedy zobaczyła mnie skrępowanego, zgiętego wpół i wychodzącego z bunkra, zamarła. Karolina trzeźwo wykorzystwała ten moment. Wepchnęła psa do domu i zatrzasnęła za nim drzwi. Hałas sprowadził Marysię na ziemię, a w zasadzie na werandę.

– Co tu się dzieje? – wrzasnęła do Karoliny. – Czemu pani przywiązała do niego krzesło?! Dzwonię na policję! – Marysia sięgnęła lewą ręką do futra. Nie wymacawszy telefonu, prawą również zanurzyła w kieszeni.

I to był błąd. Bardzo kosztowny.

– Nigdzie nie zadzwonisz! – Karolina z całą swoją pielęgniarską siłą popchnęła Marysię, która z rękoma w kieszeniach upadła jak sosna powalona przez piorun podczas wiosennej burzy.

– Karolina, nie! – Pospiesznie i pokracznie ruszyłem w ich kierunku. Chciałem pomóc Marysi. Jak? Tego nie wiedziałem. – Zrobisz jej krzywdę!

Jak długo może spadać z pięciu schodków kobieta po sześćdziesiątce? Zapewne kilka sekund. Dla mnie trwało to dłużej niż wszystkie odcinki *Mody na sukces*. Zbliżając się z częściowo skrępowanymi nogami do domu, bezradnie patrzyłem, jak Marysia leci w dół, próbując jeszcze wyciągnąć dłonie z kieszeni, które jak na złość nawet nie drgnęły.

Z oddali dobiegał klangor żurawi. Gdzieś na podlaskim polu ptaki delektowały się wolnością i szczęściem. Żałowałem, że nie jestem tam z nimi. Z dala od tego miejsca.

Na tle ich odgłosów rozległ się inny dźwięk. Ciało Marysi z ogromną siłą uderzyło o ziemię. Niestety, upadając, sklepowa przekręciła głowę tak, że skronią uderzyła w kant sanek stojących przy schodach. Usłyszałem głośnie, bolesne jęknięcia.

– Nieee! – krzyknąłem jeszcze głośnie. Mój głos długo wygasał.

Z odległości, w jakiej się znajdowałem, widziałem prawie każdy szczegół jej twarzy. Mięśnie napięły się, a skóra nienaturalnie naprężyła. Z lekko uchylonych ust poleciała gęsta czerwona ciecz. Tak bardzo chciałem, żeby to był zakwas, którym mnie poczęstowała poprzedniego dnia. Tak, to na pewno zakwas. Tylko czemu zaczął jej również lecieć z nosa? I czemu się nie ruszała? I mimo otwartych oczu nie mrugała? Przecież zawsze do mnie mrugała. Zawsze, kiedy do niej przychodziłem, dawała coś spod lady, puszczać przy tym oczko. Serce pompowało krew jak szalone. Cały się trząsłem. Z zimna. Ze strachu. Z rozpacz.

Przez moment Karolina wyglądała na kogoś, kto sam nie dowierza temu, co zrobił. Cała jej determinacja gdzieś uleciała. Czym innym było wchodzenie nocą do czyjś domu, a czym innym zabicie sklepowej. Mój pragmatyczny umysł sprawił, że na chwilę oderwałem się od wydarzeń na podwórku i zacząłem się zastanawiać, co teraz zrobią mieszkańcy wsi bez sklepu. I co z tymi świeżymi pieczarkami, które wczoraj przyjechały?

Narzuciwszy na siebie granatowy puchowy bezrękawnik, Karolina ruszyła w moją stronę.
– Kurwa mać – syknęła pod nosem, spoglądając na Marysię.

O ile, siedząc w piwnicy, miałem nadzieję, że jakoś mi się uda wykaraskać z tego syfu, o tyle patrząc, jak wysmarowana samoopalaczem twarz Marysi robi się alabastrowa, traciłem nadzieję, że uniknę, hmmm... Musiałem zacząć się oswajać z tym wyrazem.

Z domu dobiegało szczekanie Rózi. Pomyślałem, że Karolina będzie się chciała uporać z sytuacją, zanim obudzi się Zuzia, więc ujadanie psa nie działało na moją korzyść.

Osunąłem się na ziemię, leżałem na boku i czekałem na swoją kolej. Nawet moja bujna wyobraźnia nie podsuwała mi żadnych pomysłów. Wiedziałem, że daleko nie ucieknę z przytwierdzonym do ciała krzesłem, choć zwróciłem uwagę, że na bramie nie ma kłódki, a furtka musiała być otwarta, bo Marysia weszła bez problemu. Byłem przekonany, że po tym, co zobaczyłem, nie mam już szans na żadne negocjacje z Karoliną. Na pewno będzie chciała się pozbyć świadka zabójstwa. Położyłem głowę na lodowatej trawie, trząsałem się coraz bardziej. Zobaczyłem buty Karoliny na wysokości oczu i poczułem, że się przesuwam. Próbowwała mnie podnieść. Słyszałem sapanie i pochlipywanie oprawczynie, ale rzeczywistość była bardzo silna. Siedziałem teraz prosto. Podniosłem powoli głowę i spojrzałem na Karolinę.

– Zupełnie nie tak to miało wyglądać. Nie chciałam nikogo zabić! – powiedziała zdławionym głosem. W oczach miała łzy. – Nie mogłeś po prostu gdzieś wyjechać? Odejść? Znaleźć sobie innego Sebastiana?

– Jeszcze mogę. Serio. – To było bardziej naiwne niż tekst z najgłupszego serialu. – Moja kuzynka mieszka w Barcelonie. Mogę do niej polecieć. Nawet zaraz. Tylko mnie zawieź na lotnisko.

– Paweł, że tobie się chce błaznować w takiej sytuacji. – Na twarzy Karoliny pojawił się grymas mówiący: „Chętnie bym cofnęła czas”. – Widziałeś, że kogoś zabiłam. Teraz już nie mam odwrotu.

Z zimna już prawie nie byłem w stanie mówić. Równie dobrze mogłaby mnie zostawić na tym krześle, żebym zamarł.

– Zaniósę sklepową do lasu. Ciężka nie jest. – Karolina patrzyła przed siebie, układając plan. – Uchodzi na wsi za kogoś, kto miewa szalone pomysły. Nikogo nie zdziwi, że poszła sama do lasu, przewróciła się i rąbnęła głową w jakieś drzewo.

Miało to sens.

– Mamó! *I woke up!* – Niespodziewanie z domu dobiegło wołanie Zuzi. – *Where are you?*

Spojrzałem na Karolinę, która krzyknęła w stronę domu:

– *I'll be right there!* Pooglądaj sobie bajki na tablecie. – Jej ciepły donośny głos brzmiał tak, jakby właśnie kończyła podcinać róże, a nie zabierała się do mordowania kolejnej niewinnej osoby.

– Nie boisz się, że nas zobaczy przez okno? – Dalej próbowałem. Nie miałem niczego do stracenia.

– Nie, jest zamknięta w swoim pokoju, z którego nas nie widać. – Karolina znowu patrzyła na mnie palącym wzrokiem. Tym razem była wyjątkowo skupiona. – Nie popełnisz samobójstwa. Nie mam na to czasu. Zmiana planów.

– Spoko, kombinuj. Mnie się nie spieszy na tamtą stronę. – Nigdy w życiu nie było mi tak koszmarnie zimno. – Ale jakbyś się miała jeszcze długo zastanawiać, to przynieś mi jakąś czapkę, bo mi zaraz uszy odpadną.

Karolina przewróciła oczami i zrobiła kilka kroków w kierunku domu. Rozejrzała się wokół, jakby czegoś szukała. Pomyślałem naiwnie, że może jednak rozgląda się za czapką dla mnie. Jednak nie. Wzięła do ręki wielki metalowy szpikulec do smażenia kiełbasy i obejrzała go z kilku stron. „Boże, tylko nie tym. Jakie to byłoby żenujące” – przeleciało mi przez głowę. Odłożyła. Poszła za dom. Usłyszałem, że przerzuca jakieś narzędzia i dechy. Ta kobieta miała niewiarygodnie dużo siły. Baba terminator. Z drugiej strony parszywa młodość, nieszczęśliwa miłość i samotne macierzyństwo solidnie ją zahartowały. Chwila ciszy. Chyba znalazła to, czego szukała.

Ciekawe, że kiedy tylko Karolina zniknęła z mojego pola widzenia, to mięśnie mi się rozluźniły, a ucisk w brzuchu zelżał. Zupełnie jakby już miała nie wrócić. Ale wracała. Wracała, trzymając w rękach wielką łopatę. Kiedy na nią patrzyłem, czułem, jak moje ciało napina się do granic możliwości. Oddech przyspieszył. Zmierzając w moim kierunku, Karolina przeszła pod stojącą przy domu drabiną. Przypomniało mi się, jak kiedyś matka, czytając mi bajkę na dobranoc, powiedziała, żebym nigdy nie przechodził pod drabiną. Według niej to przynosiło nieszczęście, ponieważ drabina symbolizowała szubienicę. Pamiętam, że później przez kilka nocy nie mogłem zasnąć. Patrząc, jak kobieta z łopatą pewnym krokiem przełazi pod drewnianą drabiną, po raz pierwszy w życiu pragnąłem, żeby spełniły się obawy mojej matki, że stanie się coś złego.

– To będzie morderstwo. – Nie zauważyłem, kiedy Karolina stanęła przede mną, opierając się o łopatę lekko wbita w ziemię. – Morderstwo na tle światopoglądowym. To jest wieś. Ty jesteś gejem. Klei się.

Spojrzałem na zakrwawioną tęczową broszkę Marysi. Nie mogłem się z tym pogodzić. Wieś nie była taka. Nie była homofobiczna. Przecież zostałem zaproszony do Komitetu Przygotowywania Przekąsek na spotkania w świetlicy.

– Karolina... może powiemy, że śmierć Marysi to był wypadek? – Spojrzałem jej prosto w oczy, z których zaczęły lecieć łzy.

Z moich też.

– Nie mogę. Nie mogę już się cofnąć... – Zardzewiała łopata podnosiła się coraz wyżej. Karolina łkała i patrzyła na mnie tak zrozpaczonym wzrokiem, że sam zaczynałem mieć wyrzuty sumienia, że musi mnie zabić. – Nie mogę pójść do więzienia. Zuzia musi mieć lepsze życie od mojego.

Spojrzałem jeszcze raz w stronę Marysi, wokół której cały czas powiększała się kałuża krwi. „Czekaj tam na mnie” – powiedziałem do niej w myślach i zamknąłem oczy. Uznałem, że tak będzie lżej. Nabrałem do płuc zimnego powietrza.

Przez tych kilka sekund, kiedy czekałem na uderzenie, wspominałem życie z Sebastianem, wspólne podróże przez Stany Zjednoczone. Dzień wcześniej dostałem maila z redakcji. Zainteresowali się moją propozycją opisanie naszych podróży zamiast klasycznego przewodnika. Poprosili tylko, żebym dodał jeszcze jakiś mocniejszy akcent. Coś w stylu, że się zgubiliśmy. Patrząc na sytuację, w jakiej się znalazłem, wcale nie musiałem lecieć do Los Angeles czy Chicago po konkretne wrażenia. Myślałem o swoim szczęśliwym dzieciństwie, o bracie, o matce i o problemach, które w ostatniej godzinie zupełnie nie wydawały się problemami. Były po prostu życiem. Éric-Emmanule Schmidt powiedział kiedyś o śmierci: „Właściwie nie boję się nieznanego. Tylko trochę szkoda mi tracić to, co znam”. Właśnie tak się czułem. Miałem piękne i szczęśliwe życie. Dopóki nie stało się coś złego.

W końcu poczułem uderzenie. Jakby niedokończone, ale dość mocne. Razem z krzesłem przewróciłem się na ziemię. Wszystko wirowało. Później usłyszałem wielki hałas i krzyk... Stało się. Byłem po drugiej stronie.

Promienie słońca odbijające się w turkusowej wodzie raziły mnie w oczy. Odruchowo sięgnąłem do prawej kieszeni białych krótkich spodenek po okulary przeciwsłoneczne. Czarne plastikowe wayfarery Ray-Bana, jedyne, które się nie niszczyły podczas przechowywania bez etui. Nałożyłem je i przesunąłem wzrokiem po linii brzegowej. Idealnie białe zabudowania z niebieskimi okiennicami od razu skojarzyły mi się z Grecją. Pomyślałem, że gdybym po przeciwnej stronie brzegu zobaczył trzy jasne wiatraki, to byłbym na Mykonos. Po chwili je zauważyłem. Czyli stałem na brzegu Mykonos. Czułem się spokojny i bezpieczny. Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Powoli obróciłem się w stronę łądu. Przede mną w brudnoróżowym garniturze stał ojciec mojego ojca. Jego obecność wydawała mi się bardzo naturalna. Zupełnie jakbyśmy się tam umówili.

– Witaj, wnuku. – Wyciągnął do mnie dłoń. Znacznie młodszą, niż zapamiętałem, bez zmarszczek.

– Cześć, dziadek. Jak ci się... hmm... żyje?

Zauważyłem, że za jego plecami stoi zgrabna kobieta około trzydziestki. Brunetka ubrana w błękitną koktajlową sukienkę w białe grochy pomachała do mnie, uśmiechając się, jakbyśmy się znali od dawna.

Dziadek spojrział na kobietę, później znowu na mnie i mrugnął.

– Nigdy nie było lepiej.

Dziadek, nasz rodzinny Hugh Hefner. Całe życie miał kochanki, a babcia udawała, że ich nie zauważa.

– Słuchaj, muszę ci coś wyjaśnić. Chodzi o mój spadek...

– Chyba o jego brak – przerwałem mu.

Na swoich dyrektorskich posadkach dziadek odłożył sporo kasy. Kiedy po jego śmierci o cichu liczyliśmy z Jankiem, że uda nam się pospłacać mieszkania z pieniędzy odziedziczonych po dziadku, okazało się, że całą mamonę dostał jego syn – nasz ojciec. Wujek otrzymał kawalerkę w Czeladzi wartości metra kwadratowego w Warszawie, a nam dziadek zapisał „pozostałe dobra”, czyli książki i niezliczone ilości fajansu. Mimo że nasze relacje z nim pod koniec jego życia nie istniały, to jednak rozczarowanie pozostało.

– Nie zostawiłem wam żadnych pieniędzy, bo obserwując, jak świadomie budujecie swoją przyszłość i realizujecie marzenia, wiedziałem, że nie potrzebujecie mojego wsparcia. Wasza matka wychowała was na wspaniałych mężczyzn. – Dziadek ciepło spoglądał mi w oczy, szukając w nich wyrozumiałości. – Co innego wasz ojciec. On nawet gwoźdźnia nie potrafi wbić. Po tym, jak wasza matka go zostawiła, popadł w ogromne długi. Groziło mu więzienie.

Nie chciało mi się słuchać usprawiedliwień dziadka. Wolałem zacząć się cieszyć życiem po życiu. W mojej głowie już rodziła się lista osób, które chciałem spotkać. Whitney Houston... Whitney Houston... Whitney Houston... Chyba tylko ją.

– Dobra, dziadek, nie szkodzi.

Dziadek niepewnie przytulił się do mnie.

– Muszę już iść.

– Przywitaj się chociaż ze swoją babcią – powiedział, odchylając się i wskazując na uśmiechającą się szeroko kobietę w sukience w grochy.

– Wzięłeś z tą panią ślub? A co z naszą babcią? Z prawdziwą babcią! – Pieniądże pieniędzmi, ale rozwód po śmierci brzmiał ekscentrycznie, nawet jak na niego.

Dziadek uśmiechnął się bezwstydnie niczym ekshibicjonista z parku Skaryszewskiego.

– To jest twoja prawdziwa babcia. Ta, która czytała ci na dobranoc...

Gdy kobieta zbliżyła się do mnie na odległość metra, błysk w jej oczach wydał mi się znajomy. Spojrzałem z niedowierzaniem na dziadka, który dokończył:

– ...tylko poprosiłem, żeby tutaj na zawsze pozostała taką, jaka była w dniu, kiedy się poznaliśmy.

Najwyraźniej to po nim odziedziczyłem tupet. Postanowiłem, że szybko przywitam się z babcią i lecę dalej. Swoją drogą perspektywa utknięcia na zawsze na Mykonos nie była taka zła. Słońce, piękni ludzie, pyszne jedzenie. Mogłem trafić dużo gorzej, na przykład do Świebodzina.

Kiedy babcia stanęła tuż przy mnie, zaskoczył mnie smród, jakby ze starego diesla. Zrobiło mi się też bardzo zimno. Sylwetka babci zaczęła tracić ostrość.

– Paweł! – Moja pin-up babcia niespodziewanie wydarła mi się w twarz.

– To ja, babciu. Słyszę cię bardzo dobrze – odpowiedziałem grzecznie. – Nie musisz krzyczeć.

Babcia chwyciła mnie dwoma rękoma za ramiona i zaczęła szarpać jak szalona. W ogóle nie sprawiała mi to przyjemności. Kręciło mi się w głowie.

– Paweł! – Walnęła mnie w policzek. A taką drobną dłoń miała. Nie posądzałem babci o tyle siły. – Nic ci nie jest?! Otwórz oczy!

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, przecież ją widziałem. Zawroty głowy były coraz silniejsze, a babcia zaczęła jakoś dziwnie puchnąć na twarzy. Zawiał zimny wiatr, wokół nas pojawiła się mgła. Babcia nie była już taka szczupła jak przed chwilą, a dziadek gdzieś zniknął. Akwamarynowe tło za nią poszarzało. Bardzo poszarzało. Słyszałem swoje stękanie. Tak jakbym próbował obudzić się z koszmarne snu. Ołowiane powieki unosiły się z trudem.

– O Boże, jak dobrze, że wróciłeś. – Poczułem zapach cebuli z ust babci. Kiedy przestała mną szarpać, stanęła za moimi plecami i próbowała uwolnić moje dłonie z opaski. – Masz

brud wrośnięty w linie papilarne – dodała znajomym głosem.

Zacząłem odzyskiwać ostrość widzenia. Próbowałem jakoś rozeznaczyć się w sytuacji – gdzie i kiedy się znajduję. Pierwsza rzecz, jakiej byłem pewien, to to, że nie jestem już na Mykonos. Na pewno też dostałem w łeb łopata, bo czułem pulsujący ból z lewej strony głowy. Mroźna rzeźkość dość szybko sprowadziła mnie do ponurej grudniowej rzeczywistości, na podwórko Karoliny. Krajobraz, który jeszcze przed chwilą miał być ostatnim widzianym przed śmiercią, wyglądał inaczej. Ociężałe dopasowywałem zmienioną scenografię do hałasów, które usłyszałem przed utratą przytomności. Pojawiły się trzy nowe elementy: rozwalona brama wjazdowa, czerwony samochód Beatki i nieprzytomna, zakrwawiona Karolina leżąca ze trzy metry ode mnie. Nawet Scooby-Doo poradziłby sobie z tą zagadką. Poczujęm, że jestem w stanie uwolnić dłonie skrępowane za plecami, a sznur wokół pasa się rozluźnił. Kiedy udało mi się wstać, zachwiałem się i wziąłem głęboki oddech.

Przede mną stała Beata.

– Jezu, jak dobrze, że jesteś. – Głos miałem nadal zachrypnięty.

– Zawsze ci powtarzam, że beze mnie byś zginął. A dzisiaj to dosłownie. – Beata pękała z dumy. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i przyłożyła do mojej lewej skroni. – Chyba ci się przytyło ostatnio, co? Ledwo cię podniosłam z tym krzesłem.

Chyba jednak znalazłem się w jakimś innym uniwersum. Beata wypominała mi kilogramy.

– A jak tu w ogóle trafiłeś? – Jak na dom, o którego istnieniu jeszcze niedawno nie wiedziałem, przewinęło się tu dzisiaj sporo ludzi.

– No, wysłałeś mi wczoraj pinezkę z lokalizacją, ale już spałam. – Wzruszyła ramionami. – Sądziłam, że to jakaś miejscówka na imprezę, ale wiedziałam, że jesteś w słabej kondycji psychicznej i coś mi nie pasowało. Twój telefon był cały czas wyłączony, to wolałam sprawdzić, co się dzieje.

Fakt, przed wejściem do domu Karoliny przestałem Beacie swoją lokalizację. Tak na wszelki wypadek.

– To czemu nie przyjechałaś od razu w nocy? – Wracalem do formy; byłem oburzony.

– W nocy to ja śpię, kochany. – Beata wydeła usta. – Policja już tu jedzie. To dom Karoliny? – zapytała, spoglądając na budynek.

– Tak. A co z nią? – Zmrużyłem oczy, żeby lepiej przyjrzeć się Karolinie. – Nie rusza się.

– Nie wiem, Paweł. Jak zobaczyłam, co się dzieje, wcisnęłam gaz do dechy. – Beata nawet nie spoglądała w jej stronę. – Chodź się ubierz, bo się cały trzęsiesz.

Temperatura na pewno spadała już poniżej zera, a ja miałem na sobie tylko bluzę.

– Tamtej starej sprawdziłam puls, na pewno nie żyje. – Beata wskazała głową w kierunku schodów, u podnóża których leżała Marysia. – Kto to w ogóle jest? Ona też miała coś z tym wszystkim wspólnego?

– Próbowała mi pomóc... – zawiesiłem głos.

Czyli jednak. Moja kochana wiejska bratnia dusza odeszła na zawsze. Nie miałem siły na żalobę. Zresztą Marysia należał się na pewno jakiś większy hołd niż przeżeganie w pośpiechu.

– *Mum, I'm hungry!* – Dobiegło z domu. – Zrobisz mi śniadanie?

Zaraz po tym usłyszałem szczekanie Rózi. Zaskoczona Beata spojrzała w stronę, z której dobiegały dźwięki.

– Tam jest jakieś dziecko? – Zdziwienie wykrzywiło jej twarz. – Co to za dziecko?

– Chodź do domu dać Zuzi śniadanie. Wszystko ci opowiem.

Objąłem Beatkę ramieniem i powoli ruszyliśmy w stronę wejścia. Cały czas miałem w głowie karuzelę i potykałem się o własne nogi. Tuż przed wejściem na ganek Beata zatrzymała się, spoglądając na mnie z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

– Paweł, muszę ci się do czegoś przyznać... – urwała nagle.

„Ja pierdolę, co jeszcze? Zaraz się okaże, że ja też mam z nią dziecko”. W milczeniu czekałem, co powie.

– ...bo pamiętasz ten dzień, kiedy się umówiliśmy na pikantne skrzydełka? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Bo mi się pomyliły godziny i przyjechałam do ciebie wcześniej...

– Przecież napisałaś, że będziesz wcześniej. – Dalej nie wiedziałem, o co jej mogło chodzić.

– No tak, ale przyjechałam jeszcze wcześniej i ciebie nie było, i w końcu doszłam do wniosku, że wyjadę i wrócę, jak będziesz w domu, żebyś znowu się ze mnie nie nabijał... – Beata spuściła wzrok i wtedy domyśliłem się, co chce mi powiedzieć. – Ale wcześniej zrobiłam sobie kawę, postawiłam koło twojej i wyjeżdżając w pośpiechu, zapomniałam ją wyłączyć... Przepraszam, że ci nie powiedziałam...

Oczywiście nie zmieniłoby to pewnie niczego, ale miałem ochotę jej przywalić. Brak siły i fakt, że przed chwilą uratowała mi życie, ocaliły mnie od zamiaru popełnienia niechlubnego czynu. Kiedy tak stała, brudna i zmęczona, i czekała, aż wydam wyrok, spojrzałem w jej brązowe oczy i resztką sił przytuliłem ją, kłamiąc:

– No co ty, to zupełnie nieważne. Nic się nie stało. – Obmyślałem już plan, jak się dostać do jej kompa i zgrać sobie filmik z Beatką w roli Czarodziejki z Księżycy. Nikt jej nie kazał przyjaźnić się ze mną.

KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ

– Tak, na pewno. Dzięki! – Odłożyłem telefon na szklany stół i uśmiechnąłem się sam do siebie.

Po negocjacjach podpisałem umowę z redakcją i zamiast przewodnika po Kalifornii ostatecznie opisałem podróżowanie przez Stany Zjednoczone z mojej perspektywy. Na początku Sebastianowi nie bardzo się ten pomysł spodobał. Mówił, że trochę za dużo tam intymnych sytuacji z naszego życia. W końcu go przekonałem, mówiąc, że z honorarium spłacę wszystkie swoje karty kredytowe.

Do garnka włożyłem skrzydło z indyka, zalałem wodą i postawiłem na płycie, tak aby rosół był gotowy, gdy Sebastian wróci z Zuzią z basenu. Po pogrzebie Karoliny Zuzia zamieszkała z nami w Konstancinie. Jej prawnym opiekunem była ciotka Karoliny, złośliwa fryzjerka Iwonka, która ze względu na chorobę męża nie mogła się chwilowo poświęcić opiece nad dzieckiem. Sebastian, wykorzystując to, że Iwona miała do niego słabość,

przekonał ją, żeby Zuzia tymczasowo została u nas. Ustalanie ojcostwa zajmowało kilka miesięcy.

W ramach śledztwa prowadzonego przez siedlecką prokuraturę okazało się, że w leśniczówce było więcej odcisków palców Karoliny niż moich. Wszystko wskazywało na to, że w zasadzie bywała tam każdego dnia i każdej nocy. Moi ulubieni śledczy poinformowali mnie, że na nagraniach sprzed domu w Konstancinie także ją rozpoznali. Przerazające było to, że ktoś mógł tak długo kręcić się koło mnie, a ja niczego nie zauważyłem.

Podobnie Sebastian, nieświadomy wydarzeń, czekał na mnie feralnego dla nas wszystkich dnia w leśniczówce. Kiedy podjechałem wozem policyjnym pod furtkę, od razu się domyślił, że stało się coś złego. Gdy Karolina powiedziała mu na imprezie o Zuzi, targwały nim sprzeczne uczucia. Nie mógł sobie poradzić z nadmiarem bodźców, dlatego postanowił wykorzystać prezent, który kiedyś otrzymał ode mnie, czyli trzytygodniowe warsztaty *mindfulness*. Rzutem na taśmę zapisał się na ostatni turnus w roku i wyjechał na Podhale. Podstawową zasadą na zajęciach było wyłączenie telefonu i całkowite odcięcie się od informacji z zewnątrz.

Na Boże Narodzenie zabraliśmy Zuzię do mojej rodzinnej miejscowości. Doskonale dogadywała się z dziećmi Janka i Sylwii.

– No nie wiem, czy ta kurteczka nie jest na te temperatury trochę za cienka. – Moja mama, witając się z nami, chwyciła odzienie Zuzi i potarła materiał palcami. – Kochanie, babcia zabierze cię na zakupy. Kupimy coś ciepłego, żebyś się nie przeziębila.

Wszystko wracało do normy. Do nowej normy.

Kiedy jadąc po świętach do leśniczówki, mijaliśmy sklep świętej pamięci kochanej pani Marysi, zobaczyłem na nim wielką płachtę z napisem „Do wynajęcia”.

– Sebastian... – Spojrzałem na mojego partnera, który znał dobrze ten ton i dlatego nieco zwolnił. – A gdybyśmy tu zamieszkali...?

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Radkowi Rychlikowi, który w trakcie pisania *Stanie się coś złego* był moim pierwszym recenzentem oraz nieocenionym doradcą. Dzięki niemu obecność każdego z występujących w powieści zwierząt jest wiarygodna i idealnie umieszczona w podlaskich lasach. A za sprawą jego uwag główny bohater nie jest jeszcze bardziej bezczelny. ?

Dziękuję Małgosi Wardzie, mojej mądrej i wrażliwej nauczycielce pisania, która pomogła mi ułożyć w głowie całą historię i przelać ją na papier.

Dziękuję całej ekipie Mięty: Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie – za szansę i cierpliwość, Kasi Miszczuk – za wrażliwość, Agnieszce Czajkowskiej – za obdarzenie mnie bezwarunkową miłością, #teamnowasól, Marcie Kucharz – za entuzjazm i Magdzie Matuszewskiej – za wsparcie i bycie głosem rozsądku.

Wszystkim bliższym i dalszym ludziom, których życiowe losy inspirowały mnie przy tworzeniu postaci – dziękuję.

W tekście wykorzystano fragmenty następujących utworów:

- Sanah, *Szampan*, tekst: Sanah, Magdalena Wójcik.
- Janusz L. Wiśniewski, *Samotność w sieci*.
- Adele, *Someone Like You*, słowa: Adele Laurie Blue Adkins, Daniel Dodd Wilson.
- Edyta Górniak, *Kolorowy wiatr*, słowa: Antoni Marianowicz.
- Ella Fitzgerald, *Autumn in New York*, słowa: Vernon Duke.
- Adele, *Easy on Me*, słowa: Adele Laurie Blue Adkins, Gregory Allen Kurstin.
- Stephen King, *Dallas '63*, tłum. Tomasz Wilusz.
- Gabriel Garcia Márquez, *Miłość w czasach zarazy*, tłum. Carlos Marrodán Casas.
- Jojo Moyes, *Razem będzie lepiej*, tłum. Nina Dzierżawska.
- Lew Tołstoj, *Sonata Kreutzerowska*, tłum. Maria Leśniewska, Eleonora Słobodnikowa.
- Alan Alexander Milne, *Kubuś Puchatek*, tłum. Irena Tuwim.
- Éric-Emmanuel Schmitt, *Oskar i pani Róża*, tłum. Barbara Grzegorzewska.